

CYKL TEATR WĘZY

POŚRÓD CIENI

Robert
M. Wegner
poleca!

AGNIESZKA HAŁAS



REBIS

AGNIESZKA HAŁAS

CYKL TEATR WĘZY

POŚRÓD CIENI

Tom II



Dom Wydawniczy REBIS

*Tańcząc pośród cieni
Minionych barw, wspomnień
Tysiąc barw szarości
Utraconych kolorów blask*

(Artrosis, Epitafium)

Prolog

Gdy bogowie ofiarowali ludziom magię, na początku była ona jak dzień i noc, jak dwie strony księżyca. Światło i ciemność, lecz w harmonii ze sobą. Zmrocza, źródło czarodziejskiej mocy, ma dwie barwy; podobnie ma się rzecz z aurą każdego miejsca i każdej żywej istoty. Taka jest dwoista natura świata ludzi, którą magia odzwierciedla. Tak zaplanowali to dwaj najpotężniejsi spośród bogów, Haran i Eresh. Przez wieki istniały dwie równoprawne szkoły sztuki magicznej – srebrna i czarna. Herbem pierwszej była gwiazda, drugiej – wąż.

Adeptów srebrnej szkoły zwano w mowie magów *horos kai*, Władający Światłem. Adeptów czarnej – *t'hael*, Ci, Którzy Śnią. Określenie „żmij”, używane w stosunku do tych drugich przez prosty lud, w dawnych czasach wyrażało szacunek. Wtedy czerń jeszcze nie karmiła się cierpieniem. Była wolna od skazy, czysta jak noc. Posługiwanie się nią nie niosło groźby szaleństwa. Była barwą tych magów, którzy nie wyzbywali się emocji – nadal potrafili kochać i nienawidzić jak zwykli ludzie, nie upatrując w tym ujmy dla siebie. Adeptci srebra dążą do uwolnienia się od uczuć, które postrzegają jako słabość.

Srebrni magowie nadali swemu bractwu nazwę Elita. Nade wszystko cenili wiedzę, a dokładniej – potęgę, którą wiedza może dać. Zgłębiali różne gałęzie nauk, nie stronili też od polityki. Konstruowali golemy i maszyny bojowe, odczytywali przyszłość z gwiazd, doradzali królom i wiedzieli, jak wpływać na społeczeństwo. Tak pozostało do dziś. Srebrna magia jest magią umysłu, jej rywalka zaś – magią duszy.

Czarna magia, nosząca obecnie nazwę Zakazanej Sztuki, była kiedyś sztuką darzoną ogromnym respektem, chociaż jej adepci nie dążyli nigdy do tego, by władać kimkolwiek i czymkolwiek w materialnym świecie. Ich domeną był świat astralny, świat snów

i kraina umarłych. Czerń pozwala podróżować do miejsc, które dla srebra są ukryte lub niedostępne, i komunikować się z siłami, których istnienie srebro ignoruje. Obie szkoły władają mocą żywiołów, lecz na odmiennych zasadach. Srebrny mag rozkazuje żywiołowi, czarny rozmawia z żywiołakiem.

Srebro i czerń od setek lat rywalizowały ze sobą, bo taka jest natura ludzka. Aż nadszedł dzień, kiedy srebrny mag Tilead Tiriac zapragnął zapisać się w pamięci potomnych jako ten, który na zawsze udowodni wyższość *horos kai* nad *t'hael*. Powodowany ambicją i ślełą pychą, wezwał demona Otchłani i zawarł z nim pakt.

Demon obiecał pomóc mu w spełnieniu najśmielszych dążeń i na wieki ugruntować wyższość srebra nad czernią. Za jego podszeptem Tilead wyzwał na pojedynek ostatnią arcymistrzynię *t'hael*. Nosila ona imię Nepenthe Ri Araine, nazywano ją Czarną Lilią. Przyjęła jego wyzwanie, bo tak nakazywał honor i obyczaj.

Nikt dzisiaj nie wie na pewno, gdzie rozegrała się ich walka, wiadomo jednak, że wszystko odbywało się na oczach zebranych tłumnie przedstawicieli obu szkół. To miał być rytualny pojedynek magów, więc taki, w którym krew nie ma prawa się polać. Lecz okazał się jedynie przykrywką dla podstępu. Do walki zamiast Tileada stanął utajony pod jego postacią demon. To on rzucił zaklęcie, które śmiertelnie ugodziło Ri Araine.

Wówczas ziemia zatrzęsła się, niebo pociemniało i spadł deszcz popiołu. Tilead Tiriac uaktywnił stworzoną w Otchłani klątwe, która ugodziła w samo sedno Zmroczy, w istotę magii, zatruwając źródło czarnej mocy. Śmierć Nepenthe Ri Araine przypieczętowała moc tego czaru, jednego z najpotężniejszych, jakie kiedykolwiek rzucono w materialnym świecie, i znanego dziś jako Skażenie. Od tamtej pory czerń karmi się cierpieniem, a *t'hael* nazywają się teraz *ka-ira* –

Złodzieje Światła lub Złodzieje Życia, bo tę nazwę można tłumaczyć dwojako. Wielu z nich popada w szaleństwo, czy to podczas budzenia się daru, czy później. Tych, którzy pokochają zadawanie mąk i śmierci, trzeba eliminować niczym wściekłe zwierzęta, inaczej gdziekolwiek postanie ich noga, będą zostawiać za sobą krew, łzy i żalobę.

Gdy jego zbrodnia wyszła na jaw, Tileada Tiriaca okrutnie ukarano. Wgnano go na wieki poza granice materialnego świata

i uwięziono w odległym zakątku sfer, w żelaznej fortecy. Lecz było już za późno, by naprawić szkody, które wyrządził. Kiedy potwierdziły się najgorsze obawy, Elita podzieliła się na dwie frakcje. Jedni twierdzili, że należy czekać i nie robić nic, że Zmrocza oczyści się sama. Jednak szybko zaczęły się rozchodzić wieści o czarnych magach, którzy pograżyli się w szaleństwie, siejąc śmierć i zniszczenie – jak Lea Saricci zwana Płonącą Różą, która zesłała deszcz ognia i siarki na Othlon, albo Adrien de Vere z Ponte Auria, morderca dziewcząt. Wtedy ówczesny arcyministrz Elity dał posłuch zwolennikom drugiej frakcji, którzy uważali, że dotkniętych skazą należy tępić bez litości. Podjęto kroki, aby wszystkich magów czarnej szkoły wytropić i zniszczyć. Jednak okazało się to niemożliwym zadaniem, gdyż skazone talenty odradzają się wciąż na nowo. Taka jest natura samej Zmroczy. Dwie barwy, zawsze, po kres wieków. To warunek zachowania równowagi świata – Ekwilibrium.

*Zaihos ar Kyth i Argil d'Engle zwany Sokołem, Nowe kroniki magii
Dzieło umieszczone przez Elitę na indeksie ksiąg zakazanych*

Częstokroć obserwuje się, że obdarzeni czarnym darem nie tylko wyczuwają cierpienie bliźnich, reagując na nie jak rekin na krew, ale sami działają jak magnes, ściągający jednostki dotknięte nieszczęściem czy chorobą. *Ka-ira* przypomina świecę, do której lecą ćmy; kusi cierpiących mirażem wyleczenia i zapomnienia, a skrzywdzonych obietnicą sprawiedliwej zemsty. W rzeczywistości jedyne, czego pragnie, to sycić się czernią.

Amaris ar Vanth, O naturze skazy

1. Złe przeczucia

Nieduży salon na piętrze rezydencji Vaneisenów urządzony został z myślą o spotkaniach w wąskim gronie, dlatego też – w przeciwieństwie do bawialni na dole – wciąż jeszcze był użytkowany. Również pod nieobecność pana domu.

Światło słońca przesączało się przez ciemnozielony materiał zasuniętych zasłon. Na stoliku stała karafka wina z wodą i dwa pucharki. Dwie dziewczyny w czarnych sukniach siedziały na szeszlunku, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Anavri Vaneisen nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy jej cioteczna siostra tylko udaje, czy naprawdę ma coś poważnie nie w porządku z głową.

Lorraine Alexia Nevers od zawsze była... dziwna. Łagodnie rzecz ujmując. Ale wszyscy patrzyli na to przez palce, bo powszechnie wiadano, jaki jest jej ojciec.

Hrabia Nevers miał niebezpieczne zainteresowania. I w jakiś sposób ewidentnie zaszkodziło to jego córce.

Lorraine od dzieciństwa ubierała się na czarno, a ostatnimi czasy nie pokazywała się na dworze bez welonu zasłaniającego twarz. Jeśli w jej obecności zaczynało rozmawiać o kimś, kto ciężko choruje lub niedawno zmarł, wychodziła z komnaty. Stwierdziła kiedyś, że wolałaby sama postradać życie, niż patrzeć, jak kogoś wieszają. Nigdy nie odwiedzała cmentarzy. Nie jadła mięsa. Ale potrafiła przy świadkach nagle podciągnąć mankiet i ugryźć się w rękę do krwi.

Wszystko to były drobnostki w porównaniu z wyczynami jej ojca. Na salonach Shan Vaola szeptano, że hrabia Ephrestus Dorian Nevers od lat zgłębia teorię Zakazanej Sztuki i nade wszystko marzy, by obudziło się w nim przekleństwo Zmroczy, czarny dar. Że wydaje w tym celu ogromne sumy na eliksiry i narkotyki, którymi już kilka razy zatruł się tak, że był na skraju śmierci. Że każde sprowadzać do

siebie ubogie dziewczęta i własnoręcznie upuszcza im krew, którą potem pije. Że kiedyś w ataku furii zabił służącego, a potem sownie zapłacił jego rodzinie, aby wszystko wyciszyć. Że jego małżonka, matka Lorraine, zmarła przed pięcioma laty w tajemniczych okolicznościach. I że hrabia ma układy ze srebrnymi magami, dzięki czemu ci patrzą przez palce na jego ekscesy. Choć, jak powtarzano, do czasu.

Sam jego wygląd mówił wiele. Brzydki jak źle ociosana kamienna figura, za młodu mocno zbudowany, teraz tęgi, Nevers przypominał złoczyńcę z jarmarcznej sztuki. Nosił czarne peleryny i kapelusze, stapał ciężko, podpierając się laską, o której wszyscy wiedzieli, że wewnątrz kryje wysuwane ostrze. Wydawałby się komiczny, przerysowany, gdyby nie to, że na jego widok ciarki przebiegały po plecach.

Kiedy Lorraine opowiadała o swoim ojcu, ściszała głos prawie do szeptu, a potem rozglądała się, jakby w obawie, że ktoś stoi za zasłoną i podsłuchuje.

– Anavri, zaczynam myśleć, że on do reszty stracił rozum. Sprowadza jakichś obdartych guślarzy, pali z nimi haszysz i godzinami słucha ich bełkotu... Albo zamyka się w tej pustej komnacie, którą nazywa swoją salą medytacji, a potem wychodzi stamtąd w środku nocy i dziurawi szpadą obrazy w galerii.

Anavri wyobraziła sobie, jak jej ojciec skomentowałby informację, że hrabia Nevers posiada galerię pełną własnoręcznie podziurawionych obrazów.

Ciekawy pomysł. Mógłbym mu polecić kilku malarzy, których dzieła idealnie się nadają do tego celu.

Musiła stłumić uśmiech, chociaż tak naprawdę nie było jej do śmiechu.

– To nie wszystko – ciągnęła Lorraine, skubiąc mankiet. – Ojciec planuje wkrótce wydać mnie za mąż.

Logiczne – pomyślała Anavri. Dziewczęta z arystokratycznych rodzin rzadko wydawano za mąż przed szesnastymi urodzinami, ale przed osiemnastymi już dość często. Dobrze wiedziała, że nieżyczliwe języki nie omieszkały już skomentować faktu, iż Alain Vaneisen nie spieszy się z szukaniem narzeczonego dla swojej dziewiętnastoletniej córki. Znajac Neversa, można było co najwyżej lekko się zdziwić, że

przeznaczył latorośli los tak normalny i zgodny z dobrym obyczajem, zamiast na przykład złożyć ją potajemnie w ofierze demonom.

Reputacja hrabiego oraz – w mniejszym stopniu – samej Lorraine na pewno musiała budzić niepokój, ale to nie znaczyło, że nie znajdą się chętni. Nazwisko, a tym bardziej obietnica wysokiego posagu miały szansę zadziałać jak potężny wabik. Hrabia Nevers potrafił dbać o finanse i dysponował fortuną nienadszarpniętą w istotnym stopniu przez ekstrawagancje, których się dopuszczał. Lorraine zaś... Lorraine była młodziutka i raczej nikt, kto znał ją choć trochę lepiej, nie żywił podejrzeń, że podziela niebezpieczne zainteresowania ojca. Jej dziwactwa można było od biedy zbagatelizować, zakładając, że z nich wyrośnie. Poza tym tyle się dowcipkowało o brzydkich pannach, które zyskują atrakcyjność dzięki posagowi, a córka hrabiego Nevers była ładna. Szczupła, o bladej cerze, miała delikatne rysy Vaneisenów, po ojcu odziedziczyła jedynie ciemne włosy. Mogła kusić.

– Ma na oku kogoś konkretnego?

– Tak. Twierdzi, że rozmawiał w tej sprawie z młodym baronem Ber-Haastenem. Ponoć już się wstępnie dogadali.

Anavri bywała w towarzystwie częściej niż jej kuzynka, więc doskonale wiedziała, o kogo chodzi.

– Loic Ber-Haasten sprawia wrażenie sympatycznego – stwierdziła tonem, który w zamierzeniu miał być pocieszający. Tak naprawdę młody Ber-Haasten, grubawy osobnik, który przedwcześniełysiał, więc nosił rudą, fryzowaną perukę, wydawał się jej mało pociągającym kandydatem na męża. Ale można było trafić gorzej.

– Nie w tym rzecz – odparła niecierpliwie Lorraine. – Kiedy opuszczę dom, ojciec będzie mógł robić, co mu się żywnie spodoba. Teraz trochę się jeszcze hamuje ze względu na mnie. Anavri, proszę cię, porozmawiaj z wujem.

– Ale co mam mu powiedzieć?

– To, co ja ci powiedziałam.

Zsunęła rękawiczkę i w roztargnieniu obgryzała paznokcie. Anavri poczuła iskierkę współczucia. Dotąd nie wiedziała, że obie z kuzynką mają ten sam powód, aby nigdy nie pokazywać się publicznie bez rękawiczek.

Nagle wróciło do niej wspomnienie *ka-ira*, którego kilka miesięcy wcześniej spotkała na grobie brata, kiedy świecił szkarłatny księżyc

zachwiania. Nikomu nie opowiedziała o tym zdarzeniu; było przedziwne, jakby z pogranicza snu i jawy. Zwalczyła pokusę, by zapytać, czy w willi hrabiego nie pojawia się czasem człowiek z trzema bliznami na twarzy. Myśl, że tamten nieszczęśnik, któremu użyczyła sił przez wzgląd na pamięć o Fabienie, może zaliczać się do podejrzanych znajomych Neversa, okazała się zaskakująco nieprzyjemna i Anavri ją odepchnęła.

– Coś się stało? – zagadnęła Lorraine. Spojrzenie, którym obdarzyła kuzynkę, było najzupełniej przytomne i niepokojąco dociekliwe. – Masz taką minę...

– Co takiego? Nie, nic. Zamyśliłam się. – Anavri zaśmiała się, by pokryć zmieszanie, i pospiesznie zmieniła temat: – Mogę cię o coś spytać? Lorraine, czemu ty właściwie nosisz żałobę od tak dawna? Chodziłaś w czerni, zanim jeszcze ciotka zmarła.

– A czemu ty nosisz żałobę?

– Przecież wiesz. – Anavri trochę się zniecierpliwiła. – Po Fabienie.

– No właśnie – odparła jej kuzynka takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. – Żałobę nosi się ze względu na umarłych.

– A ty?

– Ja też noszę ze względu na umarłych. Po to, żeby... – Nagle Lorraine skuliła się, a przez jej twarz przebiegł skurcz, jakby miała się rozpłakać. – Żeby nie zapragnęli mnie ukarać za brak szacunku. To nie moja wina, że słyszę ich głosy.

– Umarli przemawiają do ciebie?

– Nie do mnie, Anavri. Po prostu ich słyszę. Słyszę, jak mówią.

– I o czym opowiadają?

– Najczęściej o tym, jak umierali. I o tym, jak strasznie jest po drugiej stronie. – Lorraine objęła się ramionami, jakby było jej zimno. – Ale ty nie wierzysz w takie rzeczy. Jesteś taka jak wuj Alain, nigdy mnie nie zrozumiesz.

Anavri jedynie potrząsnęła głową. Pomyślała, że o tym też powinna powiedzieć ojcu, ale wiedziała, co usłyszy w odpowiedzi. Że owszem, oni oboje nigdy nie rozumieją Lorraine. Dlatego zamiast z nimi panna Nevers powinna pomówić z medykiem, ale prawdopodobnie jest już za późno na jakąś pomoc.

Obie drgnęły, słysząc szelest, lecz to tylko podmuch wiatru poruszył frankami. Anavri wstała, żeby przymknąć okno.

– Porozmawiam z ojcem, gdy wróci z podróży – powiedziała. –
Uważaj na siebie, Lorraine.

* * *

Blask latarni odbijał się w ustawionych na stole butelkach oraz kielichach, wydobywając z mroku sylwetki dwóch mężczyzn. Jeden z nich, niski i zgarbiony, z twarzą nękającą w cieniu kaptura, wyjął spod peleryny pękatą sakiewkę i wysypał jej brzęczącą zawartość na brudny blat.

– Zgodnie z umową – oznajmił. – Pięćset z miesięcznego rozliczenia, za trupa maść i inne rzeczy. A do tego czterysta w związku ze sprawą dziewczyny.

Helshor, niekoronowany władca żebraków, rzeźmieszków i reszty szumowin Shan Vaola, zaśmiał się ochryple, aż zatrzęsły się fałdy jego cielska.

– Drogo was kosztuje jedna dzierlatka.

Zakapturzony nie uśmiechnął się.

– Zajmijcie się nią – dorzucił z naciskiem. – Pilnujcie jak oka w głowie, póki nie damy wam znać.

– Nie ma obawy. – Hakiem, który zastępował mu uciętą prawą dłoń, Helshor zgarnął monety z powrotem do sakiewki, a ta zniknęła w kieszeni obszarpanego szkarłatnego kaftana. – Będzie tak jak z tą nieszczęsną małą trzpiotką Amadią de Vilier. Jak kamień w wodę, braciszku. Choćby rodzina wyblagała pomoc u Elity.

– Na to liczymy. – Zakapturzony wyjął z cholewy sztylet i sięgnął po stojący między butelkami półmisek z resztkami zimnej pieczonej karkówki. Odkroił kawałek, nadział go na czubek klingi i zaczął jeść. Złoty sygnet na małym palcu jego lewej ręki błysnął, łowiąc światło. – Tak między nami, czy panna de Vilier nadal żyje?

Helshor zarechotał jeszcze głośniej.

– Oficjalnie zniknęła z powierzchni ziemi i tego się trzymajmy, przyjacielu. A, byłbym zapomniiał. – Wyjął spod stołu jeszcze jedną butelkę, zapieczętowaną czerwonym woskiem. – Mam tu dla was próbkę czegoś nowego. Za dodatkowe pięćset leri możemy wam dostarczać miesięcznie cztery takie flaszki.

– A co to jest?

– Coś jak laudanum, tylko lepsze. Można tym rozweselać, usypiać albo truć, zależnie od dawki, ale przede wszystkim można – żebraczy król zniżył głos – użyć tego do wydawania rozkazów. Ogłup tym dziewczkę i każ jej choćby z okna skoczyć; usłucha... Zresztą powąchaj. – Zdarł wosk, odkorkował butelkę i podsunął ją gościowi pod nos. Ten cofnął się odruchowo. Helshor parsknął ubawiony. – Śmiało, bracie, to nie trucizna.

Zakapturzony nieufnie powąchał zawartość butelki i aż zagwizdał.

– Wschodni eliksir, yadhmarska receptura! Kto to uwarzył?

– Mój alchemik.

– No proszę. Taki talent tu w Podziemiach? – W głosie przyjezdnego zabrzmiała podejrzliwość świadcząca o tym, że domyśla się prawdy.

Helshor z mrugnięciem oka pogroził mu hakiem.

– Wszyscy mamy nasze małe tajemnice.

* * *

Wśród wielu ukłonów i wzajemnych grzeczności Demetheos ar Kel pożegnał wreszcie przedstawicieli władz uczelni, którzy przybyli do jego wieży z nieformalną petycją o przywrócenie do biblioteki uniwersyteckiej kilkunastu skonfiskowanych dzieł. Zamiatając powłóczystą oficjalną szatą, ciężką od złotych i srebrnych haftów, wkroczył z obszernej sali audiencyjnej do wąskiego pomieszczenia kancelarii.

– I jak zakończyła się sprawa tych golemów? – zapytał od progu.

Jego sekretarz uniósł głowę znad pisma, które pracowicie kaligrafował.

– Iglendis ar Vanth doniosła przed godziną, że zgodnie z poleceniem arcymistrza dwudziestu w pełni wyszkolonych Jednookich zostało wyprawionych portalem na dwór książęcy w Val Marsea, jako dar Elity dla księcia.

– Więc arcymistrz przysłał pismo. Doskonale. Co nam zostało do załatwienia w tym tygodniu?

Sekretarz wręczył Opiekunowi Miasta kartkę z listą bieżących spraw. Sędziwy mag z westchnieniem przebiegł wzrokiem te jej punkty, które nie zostały jeszcze przekreślone czerwonym

atramentem. Dokończyć listę uwag i wniosków, które Terbius ar Aoth, zasiadający jako delegat Elity w radzie miasta, miał zgłosić na najbliższym posiedzeniu... Pchnąć któregoś z młodszych akolitów, żeby był obecny przy dorocznej kontroli stanu akweduktów...

– I jeszcze to – przypomniał sobie młodzieniec. Podał zwierzchnikowi pismo opatrzone pieczęcią.

Demetheos złamał ją. Przeczytawszy pierwsze zdanie, opuścił pergamin z miną pełną obrzydzenia.

– Opinia w sprawie wysokości kar dla kupców fałszujących oliwę i mąkę? Do mnie z takimi rzeczami? Niech idą z tym do Terbiusa. Wszelkie związane z Ekwilibrium zagadnienia prawne to jego działka, nie nasza.

– Przekażę. Mistrzu... – Na twarzy sekretarza odbił się wyraz zakłopotania. – Golemy służebne twierdzą, że przed chwilą coś się działo z gwiazdym kryształem. Ponoć ni z tego, ni z owego zaczął świecić. Wystraszył je.

– Ciekawe. – Demetheos zmarszczył brwi. – Sprawdzę to.

Gwiazdny kryształ znajdował się w posiadaniu Opiekuna Miasta od kilku tygodni. Został skonfiskowany przez Jednookich na podziemnym targowisku, gdzie pojawiały się najrozmaitsze dziwne, a niekiedy niebezpieczne towary. Jakimś sposobem dostał się w ręce yadhmarskiego marynarza, który sprzedał go handlarzowi osobliwości, twierdząc, że to jajo smoka. Powszechnie wiadano, że Demetheos ma słabość do wszelkiego rodzaju fenomenów natury, dlatego podwładni oddali mu znalezisko, zamiast odesłać je do laboratoriów na Wyspie Salamander.

Kryształy tego rodzaju pochodziły z piątego dominium astralnego i jeśli wierzyć księgom, posiadały różne niezwykle właściwości. Mogły pokazywać obrazy przeszłych, przyszłych lub tylko możliwych wydarzeń. Niekiedy śpiewały albo przemawiały ludzkim głosem, a w grymuarze Chalkesa opisano przypadek gwiazdnego kryształu, który co roku podczas zimowego przesilenia buchał ogniem. Ten, który znalazł się w posiadaniu Demetheosa, miał wprawdzie piękny fioletowy kolor, a także unikatową, nieco niepokojącą aurę, jednak dotąd nie zdradzał innych godnych uwagi cech.

Zaintrygowany Opiekun Miasta wstąpił jeszcze do swoich prywatnych komnat, aby przebrać się w codzienny biały strój.

Następnie podążył do podziemi wieży, do sali, gdzie przechowywał swoją kolekcję wypchanych rzadkich ptaków i zwierząt, czaszek odmieńców oraz zdeformowanych płodów w słojach.

Ledwie przestąpił próg, jego wzrok odruchowo powędrował w stronę gabloty ze złotym puzdrem, gdzie bezpiecznie spoczywał kamyk o obłym kształcie, podobny do czarnej łyzy. Jeden z tych, które ognistym deszczem spadały z nieba owego dnia, przed ośmiuset z górą laty, gdy podczas Czerwonego Zaćmienia mag-prorok Orhed ar Hekel ogłosił, że bogowie odeszli...

Obok, na postumencie pod szklanym kloszem, stał gwiazdny kryształ – nie tak cenny, lecz bez porównania bardziej efektowny. Wyglądał jak polerowany ametyst wielkości melona.

Gdy mag się zbliżył, kryształ zaśnił i zakolorował się obrazami, obracającymi się jak w kalejdoskopie. Demetheos zapatrzył się na nie, wstrzymując oddech.

Po chwili wstał i sięgnął po różdżkę. Spokojnie, metodycznie obłożył kryształ iluzją, tak aby niczyje oko poza jego własnym nie mogło już dostrzec pojawiających się wewnątrz wizji. Następnie opuścił podziemną salę, wzywany przez swe rozliczne obowiązki.

Wieczorem jednak wrócił i znowu zapatrzył się w fioletową gładź kryształu, a ona ożyła dla niego.

* * *

W odległym zakątku Otchłani, w Dolinie Popiołów, chmury sunęły ponad granią gór, a wiatr przynosił z oddali krzyki potępionych.

Na występie ponad przepaścią siedziała drobna postać w szarych szatach. Objąwszy rękami kolana, patrzyła w dal.

Anyah ceniła sobie samotność. Ilekroć obowiązki jej pozwalały, opuszczała pałac władcy, gdzie zawsze kotłowały się pomniejsze demony, by poszukać spokoju w miejscu, które sprzyjało wyciszeniu i skupieniu.

Wpatrywała się w mgły kłębiące się w dolinie, w zamyśleniu przesuwając palcami po wewnętrznej stronie przedramienia. Na szarej jak popiół skórze demonessy wypalono rozżarzoną żelazem trzy znaki. Imię, którego jej podopieczny już nie pamiętał, ale które nie przestało być jego imieniem.

Zanim w paskudnych okolicznościach trafił pod władzę jej ojca, był zdolnym, obiecującym magiem. Pozbawiono go wspomnień i wysłano z powrotem do świata ludzi, by służył Otchłani, nie będąc tego świadomym, a Anyah została mianowana jego stróżem. Teraz pod jej kuratelą spokojnie żył nowym życiem w nowym otoczeniu, ucząc się i poznając swoje możliwości. Był zasianym ziarnem, które dopiero zaczyna wzrastać. Chcieli teraz, by przede wszystkim rozwijał się jako mag, nabierał doświadczenia. Obserwowano go, sprawdzano, kalkulując przyszłe plany. Otchłań się nie spieszy. Ma przed sobą całe tysiąclecia.

Anyah ograniczała się zatem do pilnowania podopiecznego oraz regularnego składania raportów. Miała dbać, by wykształcał te zdolności, o które chodziło Dolinie Popiołów, by dostatecznie często mierzył się z przeciwnościami, lecz przy tym nie postradał przedwcześnie życia.

Ileokroć zagrażało mu niebezpieczeństwo, wiedziała o tym. Teraz czuła niepokój, który nie dawał się stłumić.

Coś się szykowało.

* * *

W uszach narasta zgrzytliwy odgłos, podobny do cykania wielu metalowych świerszczy. Pierścień golemów zacieśnia się. Nie ma ucieczki – dematerializacja nie chce zadziałać, niczym w złym śnie. Nie ma jak się uchylić przed ciosami białych pięści. Ból eksploduje, odbierając oddech, posadzka ucieka spod nóg. Kopniak wytrąca z dłoni sztylet, potem ciężka stopa golema miażdży palce.

Mechaniczny świergot cichnie. Jednoocy rozstępują się. Zza podwładnych wylania się potężna postać w srebrnej zbroi. Uniesiona przyłbica hełmu odłania ludzkie oblicze, blade jak śmierć. Pośrodku czoła żarzy się trzecie oko...

Krzyczący w Ciemności zbudził się, ciężko oddychając. Przetarł twarz. Blizny na policzku rwały bólem. Rozejrzał się, półprzytomnie ogarniając wzrokiem wnętrze ciasnego pomieszczenia: palenisko, półki, stół ze sprzętem, kamienne ściany, na których widniały symbole wyrysowane kredą i węglem.

Był u siebie, głęboko pod ziemią, w swoim azylu. W miejscu, które

od niecałego roku nazywał domem.

Sięgnął umysłem w przestrzeń, poza mury kryjówki, lecz wyczuł tylko to, co zwykle. Mrok i chłód starożytnych korytarzy, przemykające nimi malutkie, głodne jaźnie szczurów i homunkulusów, snujące się cienie umarłych. Gdzieś daleko obecność pojedynczych ludzi, a jeszcze dalej, na skraju świadomości – lodowaty błysk srebrnej aury. Koszary i laboratorium Elity na drugim brzegu rzeki.

Powoli odzyskiwał spokój. Wiedział jednak, że nie da już rady zasnąć.

* * *

Rikke biegł, ściskając worek wypełniony połową łupów z włamania, który wspólnicy wepchnęli mu w rękę, kiedy trzeba było się rozdzielić, żeby zmylić pościg.

Na trzecim poziomie Podziemi przystanął i nasłuchiwał przez chwilę. Ponieważ wokół panowała cisza, wyjął zza pazuchy słoiczek ze świeciwem i ruszył naprzód, już normalnym krokiem. W korytarzu śmierdziało, jakby w pobliżu leżała padlina albo odpadki ze sklepu rzeźnickiego, ale to w Podziemiach nie było niczym niezwykłym. Na powierzchni zresztą też.

Minął zamknięte na kłódkę drzwi dawnego magazynu. Kawalek dalej zaczynały się schody prowadzące w dół, ale nimi nie zamierzał schodzić. Poziom niżej znajdowały się krypty pochówkowe – terytorium umarłych, od którego należało się trzymać z dala. Zamierzał przejść korytarzem aż do następnego rozwidlenia, gdzie będzie mógł ukryć worek w umówionym miejscu, w tajnej wnęcie za posągiem bożka z ptasią głową.

Pociągnął nosem. Smród padliny stawał się coraz silniejszy.

Nagle Rikke wdepnął bosymi stopami w zimną maź, a dwa małe kształty umknęły mu z piskiem spod nóg. W słabym blasku świeciwa zobaczył ochłap rozkładającego się mięsa, przywleczone tu przez szczury. Potem usłyszał dolatujące zza rogu niewyraźne szepty oraz mlaskanie. I w lodowatym przebłysku zrozumiał, co tam się dzieje. Duchy ucztowały.

Zachowując resztki przytomności umysłu, wycofał się bezszelestnie,

krok za krokiem. Odszedłszy na bezpieczną odległość, rzucił się do ucieczki.

* * *

Na powierzchni zachodziło słońce.

Na pierwszym poziomie Podziemi, niedaleko zejścia przy targu rybnym, znajdowała się tania jadłodajnia. Nad jej drzwiami nie wisiał żaden szyld. Mały, odziany tylko w zamotaną na biodrach szmatę odmieniec o prosiakowatej fizjonomii przycupnął przed progiem i chrupał obierki, które wybierał z ziemi albo dostał w charakterze jałmużny. Ukłonił się z szacunkiem, gdy w przejściu pojawił się wysoki, przygarbiony mężczyzna w brudnej roboczej odzieży, niosący latarnię. Szczurołap Veljanov wracał z popołudniowego obchodu.

Wewnątrz jadłodajni mimo późnej pory unosiły się zapachy w szerokiej gamie, kojarzącej się obiadowo i tanio. Dominowały w niej nuty gotowanej kapusty, ryb, smażonej cebuli oraz tłuszczu nie pierwszej świeżości. Na jednym ze stołów ciemniała kałuża sosu. Pod oknem podpity typ kiwał się sennie nad talerzem, a drugi chrupał wyciągnięty na ławie.

Zamiast właściciela jadłodajni za kontuarem stała jego córka, kształtna pannica o przymrużonych oczach, które mówiły, że obsługa klientów w tej budzie ją mierzi. Obrzuciła Veljanova pełnym niesmaku spojrzeniem, ale nie odważyła się powiedzieć słowa na temat jego utyłanego w błocie i ściekach przyodziewku.

– Dziś kapuśniak za piąta, a zupa kapitańska za dziesiątkę, bo ryby podrożały – poinformowała go tylko.

Szczurołap położył na kontuarze miedzianą monetę. Pannica zgarnęła ją, po czym zdjęła z półki z naczyniami glinianą miskę. Podniosła pokrywę jednego z dwóch wiszących nad paleniskiem kotłów, uwalniając chmurę kapuściano-kminkowej pary, i zaczerpnęła chochlą zawartości, następnie zaś odkroiła z wielkiego razowego bochna całkiem uczciwą pajdę.

– Wasz druh czeka w drugiej sali – oznajmiła, wręczając staremu naczynie wraz z chlebem.

Druga sala, jeszcze mniejsza i pozbawiona okien, oddzielona była od pierwszej drewnianym przepierzeniem. Krzyczący w Ciemności

swoim zwyczajem siedział w kącie, grzejąc ręce o kubek, z którego unosiła się para. Jego źrenice błysnęły żółto, gdy powitał szczurołapa skinieniem głowy.

Veljanov usiadł naprzeciwko, ostrożnie stawiając na stole miskę oraz latarnię. Wyjął z pasa łyżkę i zabrał się do jedzenia.

Brune w milczeniu pił swoją herbatę, od niechcienia tasując talię kart. Co jakiś czas rozkładał ją w wachlarz i przyglądał się rycinom.

Patrząc na niego, nie sposób było się domyślić, że mieszka w Podziemiach. Gdyby wszedł do porządnej tawerny na powierzchni, zwłaszcza zasłoniwszy przedtem iluzją szramy na twarzy, nikt nie skrzywiłby się na jego widok. Mimo to szczurołap poczuł niepokój, gdy zauważył leżącą obok kubka osmaloną szklaną lufkę. Brune zaczynał palić opium w ilościach, które u normalnego człowieka spowodowałyby już paraliż woli i osunięcie się głęboko w nałóg.

Żmij też zdążył dyskretnie obrzucić szczurołapa wzrokiem i z ciężkim sercem odnotował, o ile gorzej stary wygląda od śmierci córki. Było oczywiste, że zbyt często szuka zapomnienia w kieliszku.

– Jakie wieści? – zagadnął, gdy szczurołap odsunął pustą miskę.

– Helshor kazał ci coś przekazać. – Veljanov wygrzebał z kieszeni garść monet i wręczył żmijowi. – Należność plus zaliczka na produkty, ty ponoć masz wiedzieć jakie.

– Proszę, jak miło z jego strony. – Brune przeliczył pieniądze. – I nawet suma się zgadza. Niesłychane.

Po stole biegł karaluch. Veljanov zrzucił go pstryknięciem.

– A poza tym jest kłopot – podjął, zniżając głos do szeptu. – Pochorowały się dzieciaki Queleta, tego garbatego.

– Ospa?

– Chyba nie. Źle to wygląda, psiakrew. Nie podoba mi się.

– Pójdę tam dzisiaj, rzucę okiem. – Brune dobrze wiedział, czego szczurołap się obawia. Veljanov, pracujący na posadzie opłacanej przez miasto, miał obowiązek zgłaszać władzom Shan Vaola wszelkie oznaki nadchodzącej zarazy, jak na przykład zdychające masowo szczury. Widział w swoim życiu kilka epidemii i był przeczulony, gdy chodziło o temat dżumy.

– Jest coś jeszcze – mruknął Veljanov. – Znasz ten korytarz na trzecim poziomie, zaraz nad kryptami, gdzie kiedyś był skład z wełną?

– Znam.

– Srebrni wyłożyli tam stertę gnijącego mięsa, a na murze wymalowali te ichnie znaki.

– Karmią umarłych? – Żmij aż odłożył karty. – Cholera. Zawsze sądziłem, że to nie w ich stylu.

– Wiesz, o co w tym chodzi?

– Nie mam pojęcia. Trzeba ostrzec, kogo się da, żeby omijali ten rejon.

– Nie możesz...

– Nie mogę. To znaczy mogę, ale wtedy srebrni już mnie mają jak na dłoni. Równie dobrze mógłbym im zostawić w prezencie trochę swojej krwi albo włosów.

Za przepierzeniem rozległy się ciężkie kroki i zagrział głos właściciela jadłodajni:

– Dam ja ci, flejo! Stoły znowu niewytarte...!

* * *

W podziemnych koszarach panował zgiełk i ruch – patrole szykowały się do wyjścia na miasto. Trzej akolici wykrzykiwali komendy, machając latarniami.

W zamkniętej na klucz komnacie, na której drzwiach widniał herb Elity, jasnowłosa kobieta w białej szacie lewitowała nad posadzką z pięcioma płonącymi świecami rozstawionymi na czubkach narysowanego kredą pentagramu.

Pod sufitem unosiło się kilka mglistych postaci. Iglendis ar Vanth zmierzyła umarłych twardym spojrzeniem.

– Wypełniłam moją część umowy – oznajmiła. – Kiedy wypełnicie swoją?

Już wkrótce, srebrna czarodziejko. Kiedy okoliczności będą sprzyjać.

Iglendis zacisnęła w dłoni medalion z pentagramem, a jej oczy rozbliły. Gdyby chciała, mogłaby bez trudu unicestwić duchy, wygnać je w nicość poza granicami światów, w której rozwiałyby się jak dym na wietrze.

– Śmiecie mnie zwodzić? Mnie, mistrzynię Elity?

W żadnym wypadku. Czekamy jedynie na najbardziej korzystny układ gwiazd i prądów Zmroczy. Za pięć dni, gdy słońce skryje się za horyzontem, zapal kadzidło Myrmisa i przywołaj nas.

Iglendis spojrziała na stojącą w rogu komnaty maszynę astrologiczną. Osadzone na drewnianej podstawie złote i srebrne ciała niebieskie poruszały się w powolnym, miarowym rytmie, napędzane obrotami zachodzących na siebie kół zębatach.

Wiedziała, że duchy mają rację. Należało poczekać na optymalny układ Ekwilibrium.

Stłumiła dreszcz niepokoju. Działała bez wiedzy i zgody Opiekuna Miasta, co więcej – za radą umarłych uciekła się do ryzykownego fortelu, aby mieć pewność, że Demetheos nie nabierze podejrzeń i jej nie przeszkodzi. Postawiła na szali karierę, może nawet więcej, bo gdyby ta sprawa wyszła na jaw... Lecz był to jedyny sposób, aby sława i nagroda po udanej akcji przypadły w udziale jej, a nie zwierzchnikowi.

Demetheos ar Kel żelazną ręką kontrolował wszystkie działania, jakie jego podwładni prowadzili w ramach pełnionych funkcji. Jednak Iglendis jako dowódca podziemnego garnizonu miała prawo podejmować decyzje, nie konsultując ich z Opiekunem Miasta.

Młoda dumna czarodziejka już od dłuższego czasu źle znosiła reżim narzucony jej przez zwierzchnika, któremu podlegała we wszystkim, a który traktował ją, pełnoprawną mistrzynię, jak byle akolitkę. Dusiała się. Wiedziała, że stać ją na więcej.

Akcja się uda. Musiała się udać. Jak polowanie na lisa.

Gdy dzięki Iglendis silny i niebezpieczny *ka-ira* znajdzie się w Domu Godnego Odejścia, będzie to dowód, że Demetheos i władze Elity powinni ją wyżej cenić.

Już wkrótce.

2. Pandemonium

W zaułku niedaleko portu stał stary dwupiętrowy dom. Jego ozdobiona kruszącymi się płaskorzeźbami fasada przypominała o dawnej świetności – kiedyś należał do kogoś bogatego. Nad wejściem chybotął się pomalowany na żółto szyld. Farba obłaziła zeń miejscami, odsłaniając poczerniałe od wilgoci drewno.

Wysoki, ponury odmieniec zwany Kostropatym ściągnął lejce, zatrzymując wóz.

– Jesteśmy, panienko – powiedział do pasażerki, ale ta się nie poruszyła. – Powiedz no pani, żeśmy przyjechali – zwrócił się do niemłodej służącej, która wyjrzała przez uchylone drzwi.

– Proszę, proszę, kogóż to widzą moje oczy – zabrzmiał po chwili ochryply głos. Kylja, właścicielka domu, spłynęła po schodkach niczym okręt pod pełnymi żaglami, przytrzymując wydymane przez wiatr spódnice. Kostropaty uchylił czapki.

– Powitać. Przywożę wam nową, tak jak było umówione.

– W sam czas. Ersilla jest chora, a jutro ma nas odwiedzić większa kompania.

– Kto?

– A któż by? Weseli panowie ze Szmaragdowej Dzielnicy, co im się znudziły teatry i inne pańskie rozrywki.

Kostropaty odwrócił się do swej pasażerki.

– Hej, panienko, wysiadka.

Dziewczyna nie podniosła głowy. Chwiała się sennie, z przymkniętymi oczami. Uśmiech Kylji zgasł.

– Co ona taka... Co jej jest?

Podeszła do wozu, bezceremonialnie zadarła dziewczynie powiekę i odwróciła się do Kostropatego, aż zafurczały spódnice.

– Co wy, żarty sobie robicie? Sto razy mówiłam, że nie chcę żadnych ćpunek! Z ćpunkami są same kłopoty!

- To nie tak, jak myślicie – westchnął odmieniec. – Rozkazy mam. Pochylił się i długo szeptał jej na ucho. Kylja pokręciła głową.
- Też wymyślili, niech ich... Trudna rada. Król każe, to nie ma wyjścia, co, brzydalu?
- Ano, nie ma wyjścia – zgodził się Kostropaty.

* * *

– Na trzecim poziomie, nad dawnym składem z wełną, srebrni wyłożyli dużą ilość mięsa dla umarłych – poinformował Krzyczący, siadając na zniszczonym wyściełanym krześle, które kiedyś prawdopodobnie stało w zamożnym mieszczańskim domu, ale było to bardzo dawno temu. – Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

– Wiem, już mi doniesiono. – Staruch pokręcił głową. – Prowadzą jakieś swoje eksperymenty, jak to oni. Teraz, jesienią, Ekwilibrium jest stosunkowo stabilne, więc raczej nie rozszczelnia niechcący bariery zaświatów. Na twoim miejscu nie wnikałbym, o co w tym chodzi.

– Ależ nie zamierzam. Jeśli o mnie chodzi, srebrni mogą umarłym wykładać nawet tort z wiśniami i paszteciki.

Siwobrody odmieniec, prawdopodobnie najstarszy żywy mieszkaniec Podziemi i tutejszy nieformalny ojciec duchowy wszystkich, którzy w taki czy inny sposób parali się magią, zaśmiał się, dokładając do pieca. Potem spoważniał. Podsunął sobie zakurzony fotel, na oparciu którego spał oswojony szczur, usiadł i popatrzył na Krzyczącego z życzliwą troską.

– Dawno do mnie nie zaglądałeś, Brune. Jak się miewasz?

– Jakoś. Dopóki tylko nic złego nie dzieje się z Ekwilibrium i Elita nie próbuje nękać mnie ani moich klientów, da się żyć.

– Problem twoich utraconych wspomnień – Staruch zniżył głos – pozostaje nierozwiązany?

– Nie miałem ostatnio czasu, siły ani ochoty tego drażyć – odrzekł zwięźle Krzyczący. – Dopóki ich brak nie jest jakoś dotkliwie odczuwalny na co dzień... – Wzruszył ramionami. – Może trzeba po prostu nauczyć się z tym żyć. Nie wszystkie wspomnienia, było nie było, są warte pamiętania.

– Nie da się ukryć – przytaknął z westchnieniem Staruch, sięgając

po fajkę i kapciuch z tytoniem. – Posłuchaj, czy naprawdę musisz pracować dla Helshora? – zapytał, zmieniając temat.

– Dopóki gwarantuje to, że srebrni pewnej pięknej nocy nie przyjdą zastukać do moich drzwi, owszem, muszę. – Żmij zmierzył go wzrokiem. – Aha, wiem, co zaraz powiesz. Używają moich mikstur do nieprzyjemnych celów. No cóż, każdy płatnerz też musi się liczyć z tym, że ludzie wykorzystują wyroby jego rąk do zabijania się nawzajem.

– Wcale nie zamierzałem cię moralizować. – Odmieniec skończył nabijać fajkę i zapalił ją drewnikiem od świeczki. – Uważam po prostu, że szkoda twojej wiedzy na warzenie jakichś olejków dla złodziei. To już doprawdy te eliksiry miłosne, których wyrobem tak gardzisz, nie są wiele gorsze.

– Robię różne rzeczy dla różnych ludzi. Nie wszystkimi się chwale. – Brune wstał. – Spieszę się na spotkanie, wybacz.

Staruch potrząsnął głową.

– Gdybyś kiedykolwiek potrzebował rady – rzekł tylko – wiesz, że do mnie zawsze możesz przyjść.

Krzyczący skłonił się lekko w odpowiedzi.

* * *

Podziemne targowisko Loss Fomar pustoszało. Sprzedawcy zwijali towary, zabierali lampy i ryglowali drzwi kramów. Samotny homunkulus, który odważył się wyleźć z jakiejś wnęki, obwąchiwał rozrzucone odpadki.

Przy jednym z nielicznych otwartych jeszcze stoisk stary Veljanov gawędził z właścicielką. Delilah, czarnowłosa i ładna, miała skośne oczy po matce Nedgvarce i zawsze lekko znudzony wyraz twarzy. W kolorowym jedwabnym stroju z daleka wyróżniała się spośród handlujących. Prowadziła kram na podziemnym targowisku, bo jeszcze nie stać jej było na to, żeby założyć warsztat i sklep w mieście. Co roku płaciła zebraczemu królowi stosowną sumę, żeby móc się nie obawiać złodziei. Mieszkała oczywiście na powierzchni.

Zegar pośrodku targowiska wybił północ, zagrały kuranty.

– Brune się spóźnia – zauważyła alchemiczka.

– Jak powiedział, że przyjdzie, to przyjdzie – odparł flegmatycznie

szczurołap.

– Poszedł do tych kanalarzy?

– A jakże.

Jakiś czas stali w milczeniu, obserwując homunkulusa, który wywlókł skądś sporą kość i teraz ją ogryzał. Do kramu podszedł gruby, niechlujny mężczyzna.

– Masz moją miksturkę, kotku? – zagadnął przepitym głosem. Delilah sięgnęła pod ladę, wręczyła mu fajansowe naczynie z przykrywką i zainkasowała dwie srebrne monety. Grubas odszedł spiesźnie, wymijając dwóch uliczników, którzy z wzrokiem wbitym w ziemię szukali upuszczonych drobniaków i resztek żywności.

Veljanov popatrzył na tarczę zegara, po raz pierwszy zdradzając oznaki zaniepokojenia. Ale w tym samym momencie z sąsiedniego straganu wyłonił się zgarbiony osobnik w ciemnej opończy, o zwiędłej i wyjątkowo nieciekawej fizjonomii. Gdy zatrzymał się przed kramem alchemiczki, nagle wyprostował się, młodziejąc o dwadzieścia lat. Zarówno Delilah, jak i szczurołap odnieśli wrażenie, że tylko oni dostrzegli tę przemianę.

– Byłem obejrzyć dzieci Queleta – oznajmił Krzyczący w Ciemności zaraz po słowach powitania. – To nie dzuma.

– Chwała bogom – mruknął szczurołap. – A co w takim razie?

– Odra, jak przypuszczam. Zostawiłem ich matce środek na gorączkę. Epidemii w każdym razie nie musimy się obawiać. Zresztą, gdyby coś się szykowało, umarli wiedzieliby o tym pierwsi.

Delilah poczuła dreszcz, jak zawsze, kiedy słyszała z jego ust podobne słowa.

Veljanov, który chciał się tylko upewnić, że Podziemiom nie grozi wybuch zarazy, pożegnał się, a potem odszedł. Alchemiczka zamknęła i zaryglowała kram od frontu, po czym otworzyła tylne drzwi i gestem zaprosiła żmija do środka.

– Belladona, ekstrakt potrójnej mocy, zgodnie z umową – oznajmił, wyjmując z kieszeni zakorkowaną buteleczkę. Delilah sięgnęła do skrytki pod ladą i wręczyła mu złotą monetę.

– Chcę ci się czymś pochwalić, tak jak obiecałam. – Zdjęła z półki karafkę wypełnioną szkarłatnym płynem i dwa kieliszki. – Ciekawe, czy rozpoznasz skład.

Brune zakręcił kieliszkiem, oceniając pod światło kolor trunku, upił

łyceczek.

– Cukier trzciniowy, goździki, czerwony lotos i odrobina lucyferii – stwierdził po chwili zastanowienia. – W zupełnie niezłym winie. Trafiłem?

– W dziesiątkę. Co sądzisz o takim połączeniu?

– Interesujące. – Napił się jeszcze. – Ja bym nie dodawał cukru. Ale to kwestia gustu.

Delilah obracała w dłoni kieliszek.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziała po chwili wahania.

– Jaka? – zdziwił się.

– To dłuższa historia. Opowiem ci, ale najpierw obiecaj, że zachowasz to dla siebie.

– To oczywiste. Mów.

Dopiła wino, odchrząknęła.

– Zacznijmy od tego, że mam stałą klientkę w Szmaragdowej Dzielnicy, jej imię nic ci nie powie. Kupuje ode mnie kremy, bielidło, szminki, takie tam kobiece drobiazgi.

Brune powstrzymał się od komentarza. Wiedział, że Delilah specjalizuje się w środkach odurzających oraz afrodyzjakach. Kosmetyki, które oferowała, zawsze posiadały jakieś dodatkowe właściwości. Najczęściej działały po prostu jak wabik na płęć przeciwną, ale nie tylko.

– Znamy się prawie trzy lata, zdążyliśmy się przez ten czas po trosze zaprzyjaźnić – kontynuowała alchemiczka. – Ona jest szlachcianką z zamożnej rodziny. Wydano ją młodo za mąż za wysokiego urzędnika, dużo starszego od niej. Małżonek zmarł cztery lata temu, zostawił jej w testamencie większą część majątku i teraz dziewczyna nareszcie może cieszyć się życiem; wiesz, jak to jest.

– Domyślam się.

– Wkrótce po śmierci męża nawiązała romans z pewnym młodzieńcem, arystokratą. Rodzice tego chłopaka zmarli na zarazę, zanim skończył dwadzieścia lat. Miał jeszcze siostrę, ale dwa lata temu zginęła w wypadku, bodajże na polowaniu. Po jej śmierci popadł w rozpacz, za radą medyków wyjechał w dalekie strony, podróżował. Wrócił kilka miesięcy temu i... – Delilah zawahała się. – Moja klientka ma uzasadnione podejrzenia, że stał się *ka-ira*. Może po śmierci siostry, może dopiero później, nie wiadomo. Jeśli rzeczywiście

tak jest, najlepiej byłoby, żeby wyjechał jak najdalej i nigdy tu nie wracał.

– Powoli... – Brune uniósł dłoń. – Twoja klientka sądzi, że pod wpływem szoku po śmierci bliskich obudził się w nim dar, tak?

– To się zdarza, prawda?

– Tak. Ale tylko w przypadku podatnych osób. Warto byłoby wiedzieć, czy we wczesnym dzieciństwie zaobserwowano, żeby zachowywał się dziwnie.

– Dziwnie? Co masz na myśli?

– Rozmowy z niewidzialnymi postaciami, mówienie do siebie, a już zwłaszcza we własnym, niezrozumiałym języku... – Żmij w miarę wyliczania odginał palce. – Rozpoznawanie widzianych po raz pierwszy osób i miejsc, samookaleczanie, fascynacja ogniem, irracjonalne napady lęku, na przykład przed słońcem, lecącymi ptakami lub płynącą wodą. Jeśli kilka z tych objawów wystąpi u dziecka między drugim a szóstym rokiem życia, to znak, że w wieku dojrzewania lub wkrótce po osiągnięciu dorosłości w takiej osobie może się obudzić czarny dar. Wyzwalaczem zazwyczaj są dramatyczne przeżycia: ciężka choroba, wypadek, śmierć bliskiej osoby. Ale budzenie się daru trwa dłuższy czas i raczej trudno je przeoczyć, poza tym w większości przypadków potrzebna jest obecność doświadczonego maga, żeby przeprowadzić delikwenta przez kryzys. Słyszałaś pewnie, jak to wygląda... Gorączka, halucynacje, niekontrolowana telekineza i tak dalej. Nie sądzę, żeby mógł to po prostu przechorować w pierwszym lepszym zajeździe.

– Moja klientka wie tylko tyle, że jej kochanek wrócił z podróży odmieniony. Kiedy był chłopcem, pisał wiersze...

– A teraz co, przestał?

– Przeciwnie. Píše więcej i lepiej. Poematy, sztuki teatralne. Nagle, z dnia na dzień, zyskał rozgłos.

– Dorósł i jego talent się rozwinął. Tylko się cieszyć.

– No cóż, poczekaj. Nie powiedziałam ci najważniejszego. Odkąd wrócił z tych swoich wojaży, interesuje się tajemnymi sztukami. Czyta książki, obserwuje gwiazdy, medytuje. Igra z ogniem, ludzie już plotkują; służba i tak dalej. Tylko patrzeć, jak to dotrze do srebrnych. Przyznaj, że dziewczyna słusznie się obawia.

Żmij skrzywił się sceptycznie.

– Ma chłopak pieniądze i się nudzi. Gdyby rzeczywiście posiadał dar, Elita już by się nim zajęła. Ale dobrze, powiedz mi, jak się nazywa ten jegomość.

* * *

Wysiadając z powozu, Vincent Ambers skrzywił się i odgonił sprzed twarzy natrętne muchy. Na podwórzu kamienicy zalegało cuchnące bajoro. Przerzucono nad nim kładkę prowadzącą do wejścia, nad którym wisiały dwa szyldy – pracowni krawieckiej i antykwariatu.

Właściciel tego drugiego, siwy Gennaro, jak zwykle rozpromienił się na widok młodego arystokraty.

– Ach, paniczu Ambers, tak właśnie myślałem, kiedy panicz znów nas odwiedzi. – Uśmiechnął się, demonstrując szczerbate uzębienie. – Przedwczoraj dostarczyli mi to, o co panicz pytał.

W ciemnym wnętrzu sklepu pachniało stęchlizną oraz ziołami, wyłożonymi w kątach jako środek przeciwko molom. Księgi stały na półkach sięgających od podłogi do sufitu i piętrzyły się w stertach na wielkim stole. Gennaro podniósł leżący na wierzchu tom w czarnej oprawie.

– Traktat Fulwiusa o astrologii, drukowany w Ri Talma, drugie wydanie. – Otworzył księgę i wskazał ozdobne napisy na pożąłkłej stronie tytułowej. – Z komentarzami i posłowiem srebrnego mistrza Abertesa ar Ive.

– Wyśmienicie. – Ambers sięgnął po sakiewkę. – Cena taka jak się umawialiśmy?

– Proszę zaczekać, mam dla panicza coś jeszcze. Coś specjalnego. – Gennaro zatarł ręce z nieledwie łobuzerską miną, po czym zniżył głos. – Po znajomości, bo to trefny towar. – Zdjął z półki księgę oprawioną w czerwoną skórę z metalowymi okuciami.

Zaintrygowany Ambers przerzucił kilka stron i uniósł brwi. Popatrzył pytająco na antykwariusza, podejrzewając żart, choć Gennaro nigdy wcześniej nie objawiał sztubackiego poczucia humoru.

Staruszek uśmiechał się jak ktoś, kto skrywa w rękawie asa.

– Niech panicz przyjrzy się uważniej. Dalej, dalej. – Gestem zachęcał młodzieńca, żeby ten przewracał stronicę.

– O, na bogów – powiedział po dłuższej chwili Vincent, wpatrując

się w tytuł książki, którą introligator sprytnie zakamuflował, umieszczając w tej samej oprawie nieprzyzwoite obrazki. Przerzucając kilka stron z początku, kilka stron z końca albo otwierając wolumin na chybił trafił, ulegało się złudzeniu, że ma się do czynienia ze zwykłym albumem tysiąca pozycji; w każdym szanującym się domu schadzek można było znaleźć podobny. Najprawdopodobniej na księgę rzucono subtelny czar sprawiający, że losowe otwarcie kończyło się natrafieniem na wiadome treści.

– Po znajomości – powtórzył z naciskiem Gennaro.

Młodzieniec ostrożnie przewrócił kolejną kartę. Z bijącym sercem zapatrzył się na skomplikowane wykresy i tabele symboli. Nie ulegało wątpliwości, że książka jest autentyczna. Pod tym względem ufał swojej wiedzy, nabytej przez ostatni rok.

Gdy już w pełni dotarło do niego, co trzyma w rękach, Ambers poczuł ciarki.

Grymuar Liseniusa, legendarne dzieło o magii teleportacyjnej, to było stanowczo co innego niż traktaty o astrologii i interpretowaniu snów. Za astrologię można było co najwyżej zapłacić grzywnę, a i to wyłącznie przy tak niesprzyjającym układzie Ekwilibrium, kiedy za oblanie kogoś przez okno zawartością nocnika zaczynało karać jak za pobicie. Za Liseniusa przy odrobinie pecha groziło więzienie i konfiskata majątku. A może nawet Dom Godnego Odejścia – srebrni ostatnio zaostrzyli prawo. Teraz, aby trafić do godnej umieralni, wcale nie trzeba było posiadać skażonego daru. Wystarczyły niegrzeczne zainteresowania i brak rozwagi.

Młodzieniec popatrzył na antykwariusza z szacunkiem. Nie podejrzewał wcześniej, że spokojny stary Gennaro prowadzi po cichu działalność tego kalibru.

– Jaka jest cena? – spytał, mimo woli zniżając głos niemal do szeptu.

– Sześćset leri za samego Liseniusa. Jeśli panicz weźmie dzisiaj obie książki, dam sto leri upustu, wtedy będzie sześćset pięćdziesiąt za jedno i drugie.

Kwota była niższa, niż Ambers się spodziewał. Obiektywnie wysoka, ale w stosunku do wartości dzieła wręcz uderzająco niska. Nasunęło mu się podejrzenie, że sprzedawca mimo pozorowanego entuzjazmu chce się jak najszybciej pozbyć niebezpiecznego towaru.

– Miałem umówionego klienta – dorzucił starzec, jakby odgadując wątpliwości Vincenta. – Sprowadzenie dla niego tej książki trwało ponad pół roku, a kiedy wreszcie ją zdobyłem, nie zgłosił się do mnie, bo w międzyczasie zdążyli go dopaść srebrni. Paskudna historia, było o tym głośno w Podziemiach.

Ambers niepewnie zważył grymuar w rękach. W sakiewce miał trzydzieści złotych monet i trochę srebra – łącznie prawie siedemset leri. Pokusa była potężna.

Imella by mnie zabiła, gdyby wiedziała.

Raz jeszcze popatrzył na szkarłatną okładkę z metalowymi okuciami, na kremowy papier bez najmniejszej plamki. Na formuły zapisane ideogramami w dwóch kolorach, zaszyfrowane przypisy, ilustracje, tabele i symbole. I podjął decyzję.

* * *

Na niebie zbierały się ciemne chmury. Tylko nad widocznym w oddali fragmentem zatoki było jeszcze widać żółtą poświatę zniżającego się ku zachodowi słońca.

– O, tam – mruknął garbaty wywoziciel nieczystości, wskazując willę w dole zbrocza, otoczoną cyprysami. – Mieszka tu dopiero od paru miesięcy. Odkupił ten dom od poprzedniego właściciela, durnia, co przegrał majątek w karty. – Popatrzył chytrze na żmija. – Czego Helshor chce od tego bogatego ptaszka?

– Najlepiej sam go spytaj.

– Dobra, przyjmuję. Mniejsza z tym.

– Możesz już iść. – Żmij rzucił mu monetę. Garbus chwycił ją i ze zwinnością zaskakującą przy jego kalectwie pobiegł z powrotem ścieżką, którą weszli na wzgórze.

Wiatr zmarszczył powierzchnię w obmurowanym zbiorniku, gdzie gromadziła się woda z akweduktu zaopatrującego położone niżej rezydencje. Zaczęło kropić; deszcz wkrótce przybrał na sile. Brune poszukał schronienia pod rozłożystym orzechem. Miał stąd idealny widok na willę, która go interesowała. Znajdował się też dostatecznie blisko, żeby móc ocenić aurę budynku.

To, co wyczuł, zaintrygowało go na tyle, że postanowił zaczekać i poobserwować dom, nie przejmując się ulewą.

Czerń mogła mieć rozmaite źródła. Może w willi akurat przebywał ktoś złożony ciężką chorobą albo pogrążony w żałobie. A może nie.

* * *

Deszcz bębnił o zamknięte okiennice. Vincent Ambers przetarł zmęczone oczy i przysunął bliżej lichtarz. Tak jak się obawiał, odcyfrowywanie treści grymuaru wymagało mnóstwa wysiłku. Dzieło było dla młodzieńca po prostu zbyt trudne. Staroświeckie słownictwo i gramatyka dodatkowo pogarszały sprawę.

Gdy dotarł do końca pierwszego rozdziału, poczuł się zbyt znużony, żeby czytać dalej. Pomyślał cierpko, że oto nie lada osiągnięcie – wydać sporą sumę, ryzykować więzienie i konfiskatę majątku dla księgi, z której nie rozumie się połowy pojęć.

Nagle zamarł.

Na górnym marginesie karty pojawiły się litery. Czerwone jak krew, kaligrafowane odręcznie.

Pierwszy werset odczytany na głos ułatwia rozumienie mojego dzieła.

Vincent wpatrzył się w napis z bijącym sercem. Słyszał oczywiście o księgach, które komunikowały się z czytelnikiem, udzielały mu wskazówek, czasem nawet wykazywały się poczuciem humoru, lecz nie sądził, że można się na nie natknąć gdziekolwiek poza bibliotekami Elity.

Zatem posiadanie księgi Liseniusa wiązało się z jeszcze większym ryzykiem, niż przypuszczał. Powziął w duchu postanowienie, że pozbędzie się jej przy pierwszej okazji. Tymczasem jednak był sam za zamkniętymi drzwiami pracowni, służba spała na dole i nie mógł się powstrzymać, żeby nie kontynuować zgłębiania zagadek grymuaru.

* * *

Ulewa szumiała monotennie, wieczór gęstniał. Gdyby nawet ktoś przechodził o tej porze ścieżką obok zbiornika wody, nie spostrzegłby stojącej pod drzewem postaci w ciemnej oponczy.

Brune, zaledwie świadom chłodu i tego, że moknie, skupił całą uwagę na willi otoczonej cyprysami. Zakłócenie aury narastało powoli, lecz nieubłaganie i był już pewien, że to się nie skończy dobrze.

Miał dylemat – czekać na rozwój wydarzeń czy interweniować. Ale szybko zdusił wątpliwości. Ten, kto tam w dole zabawiał się Zakazaną Sztuką, powinien wiedzieć, że przed przystąpieniem do jakichkolwiek obrzędów należy tak zabezpieczyć dom, aby aura nie zdradzała z daleka, co się dzieje wewnątrz. Skoro tego nie zrobił – był dyletantem; a skoro był dyletantem, niech dziękuje gwiazdom, że to nie srebrni wpadli na jego trop.

Wystarczyła chwila skupienia, żeby żmij zamiast trawy poczuł pod nogami podłogę, a przed sobą ujrzął płomyk świecy i sylwetkę mężczyzny pochylonego nad pulpitem do czytania. W następnej chwili usłyszał rozpaczliwy krzyk, zduszony w połowie, i eksplozja czerni niemal odebrała mu oddech. Świeca zgasła.

Brune bez zastanowienia osłonił zakłębieniem tarczy tego przerażonego kogoś, kto w wyniku brawury czy głupoty uruchomił zabezpieczenia potężnej księgi, jednej z tych, które nie tolerują czytania przez profanów. Zarejestrował w przelocie, że nieznajomy kim jak kim, ale *ka-ira* nie jest na pewno.

Spomiędzy kart grymuaru wylewała się ciemność, przybierając kształt pulsujących macek. W ciągu paru sekund rozprzestrzeniły się one na całą komnatę, chwytając, rozrzucając i niszcząc wszystko, czego zdołały dosięgnąć. Rozległ się przeraźliwy odgłos prutek zasłon, załomotały książki wysypujące się z szafy, trzasnęło łamane drewno pulpitu. Ale w tejże sekundzie Krzyżący pochwycił księgę. Ignorując ból, który przeszył jego ręce, zatrzasnął ją i uderzył w okładkę, jakby policzkował kogoś.

– Na Eresha! Jeśli się nie uspokoisz, spalę cię – syknął, pozwalając, żeby wokół jego palców zatańczyły sine płomyki.

Wyczuł, że opór księgi zgasł. Należała teraz do niego. Czarne macki rozwiały się i tylko zdemolowana komnata świadczyła, że nie były przywidzeniem.

Żmij popatrzył na swoje dłonie, które nadal piekły, nie dostrzegł jednak na skórze żadnych śladów. Zorientowawszy się, z kim ma do czynienia, księga nie miała odwagi wyrzucić mu krzywdy.

Sięgnął umysłem w przestrzeń, ale wbrew swoim obawom nie

wyczuł zbliżających się ludzi. Służba spała w drugim skrzydle domu, na parterze, i najwyraźniej nikt niczego nie usłyszał.

Brune odszukał przewrócony lichtarz i zapalił świecę pstryknięciem palców. Nie bez politowania popatrzył na kulącego się pod ścianą młodzieńca w bogatym stroju.

– No co? Żyjesz?

Niedoszły adept sztuk tajemnych pozbierał się z podłogi, zaklął z cicha, rozcierając krzyż. Miał skaleczone czoło i rozdarty rękaw kaftana, ale poza tym nie odniósł widocznych obrażeń.

– Ja... eee... – zająknął się. Zaraz potem wychowanie oraz wrodzona śmiałość wzięły górę nad szokiem i przestraszaniem, bo skłonił się dwornie. – Dziękuję za uratowanie życia, mistrzu.

– Nie ma za co. – Krzyczący w Ciemności popatrzył na tytuł na okładce książki. – Grymuar Liseniusa? Tak myślałem. Skąd to masz, do pioruna?

– Ja... – Młodzieniec znowu się zająknął. Było jasne, że nie chce zdradzać osoby, która sprzedała lub ofiarowała mu niebezpieczny wolumin.

– Wiesz, co właśnie zrobiłeś?

– Nie...

– Lisenius nie lubił fałszywych magów. Przygotował kilka przykrych niespodzianek dla tych, którzy nie posiadają daru, a mimo to spróbują czytać jego dzieło. Wlazłeś jak ślepy prosto w pułapkę. Nazywałeś się Vincent Ambers?

– Tak.

– Po pierwsze nie powinieneś w ogóle brać do ręki takich książek, po drugie to szczyt głupoty, żeby je trzymać w domu. Masz szczęście, że srebrni cię jeszcze nie zgarnęli.

Arystokrata zacisnął usta. Widać było, że w normalnych warunkach nie pozwoliliby, żeby przemawiano do niego takim tonem.

– Jakie zakazane dzieła jeszcze posiadasz?

Ambers wyprostował się dumnie.

– Nie widzę powodu, żebym miał... – Urwał i aż się skurczył pod świecącym żółto spojrzeniem.

– Pytałem, jakie inne skarby kryje twoja biblioteka, młodszy bracie. – Krzyczący w Ciemności specjalnie użył tego zwrotu, zabarwiając go sarkazmem. – Mam ci zrobić rewizję?

– Nie trzeba. – Arystokrata westchnął. – Posiadam „Opisanie sfer” Helwarda z Aoth, traktat Fulviusa o astrologii, traktat Korihena o żywiołakach oraz kilka anonimowych zwojów z zaklęciami.

– To wszystko?

Na twarzy Ambersa pojawił się cień krzywego uśmiechu.

– No cóż, mam jeszcze kilka szaf poezji, dramatów, rozpraw filozoficznych, biografii, pamiętników...

– W porządku, rozumiem. Przynieś tu traktaty Fulviusa i Korihena, „Opisanie sfer” i zwoje. Tylko bez głupich pomysłów. Wyczuję, jeśli spróbujesz zbudzić służbę.

Kiedy młodzieniec wrócił, niosąc księgi, zmij od niechcienia kartkował grymuar. W pewnej chwili uniósł brwi, patrząc na rycinę przedstawiającą dwóch panów i panią w dość niezwykłej konfiguracji. Ambers zamarł.

Ka-ira tylko pokręcił głową, po czym stuknął palcem w oprawę księgi. Strony z pornograficznymi ilustracjami wypadły z niej, rozsypując się po podłodze.

– Chyba nie należy pozwolić, żeby służba rano zobaczyła to wszystko, prawda? – spytał jakby nigdy nic, wskazując podarte zasłony, rozrzucone książki i połamany pulpit. Nie czekając na odpowiedź Ambersa, szepnął coś rozkazująco do grymuaru.

Błysnęło zielone światło; arystokrata osłonił oczy. Poczul, że włosy targa mu gorący podmuch, usłyszał furkot i stukot. Kiedy wszystko ucichło i odważył się spojrzeć, zobaczył, że lichtarz z płonąca świecą stoi na naprawionym pulpicie, a cała komnata została przywrócona do stanu sprzed przygody. Tylko nieprzyzwoite rysunki nadal leżały tam, gdzie spadły.

– Znakomicie – stwierdził *ka-ira*, a karty grymuaru zaszeleściły jakby w odpowiedzi. – Księgi poproszę.

Ambers posłusznie wręczył mu tomy i zwoje. Znał prawo magów i był pełen ulgi, że zażądano od niego tylko takiej zapłaty.

Zaraz potem poczuł zimny dreszcz, bo niespodziewany gość wpatrzył się w niego nieruchomymi, hipnotyzującymi żółtymi oczyma.

– Zapomnij – szepnął zmij, dotykając wolną ręką czoła arystokraty.
– Zapomnij! – powtórzył głośniej, z naciskiem.

Gdy zorientował się, że zaklęcie nie działa, wyglądał w pierwszej chwili na zbitego z tropu. Ambers, choć poniewczasie dotarło do niego,

ile ryzykuje, drażniąc węża, znów przywołał na twarz krzywy, buntowniczy uśmiezek.

Wprawdzie nie posiadał daru, ale i tak wiedział o Zakazanej Sztuce wystarczająco dużo, żeby umieć postawić mentalną blokadę. Słabą, bo słabą – wiedział, że dałoby się ją złamać w ciągu paru sekund. Jednak *ka-ira* najwyraźniej nie chciał mu tego robić. Cofnął rękę.

– W porządku. Księgi i twoje milczenie w zamian za uratowanie ci czterech liter. Uszanuj mój wysiłek i postaraj się więcej nie pakować w kłopoty, dobrze? Na drugi raz, jak ci się będzie nudziło, poczytaj sobie dramaty albo rozprawy filozoficzne.

I już go nie było – zdematerializował się bezszelestnie. Ambers dopiero teraz poczuł, że uginają się pod nim kolana. Oparł się ciężko o ścianę.

Potem wyobraził sobie miny służących po wejściu do komnaty, gdyby go zastali leżącego wśród rozsypanych stronic o ciekawej treści. Zaczął je zbierać, dzielnie walcząc z zawrotami głowy.

Nie, Vincent. Jeszcze nie wolno ci zemdleć.

3. Dziewczyna w czarnym welonie

Tej nocy, jak tylekroć wcześniej, Lorraine przyśnili się umarli. Szybowała razem z nimi przez ulice opuszczonego miasta, gdzie domy patrzyły w przestrzeń pustymi otworami okien.

Nagle rozproszyli się jak liście porwane wiatrem, a ona została sama. I wtedy się zbudziła.

Trochę później, gdy – już ubrana – bez apetytu skubała śniadanie przyniesione przez służącą, nagle odezwał się w niej niepokój. Ciche, niedobre przeświadczenie, że wkrótce wydarzy się coś złego.

Tak samo czuła się w przeddzień śmierci matki. Andiana Nevers od paru miesięcy uskarżała się na bóle i narastające osłabienie, a medycy nie umieli stwierdzić, co jej jest. Jeden zdiagnozował podrażnienie nerwów i doradzał wyjazd do wód, drugi winił nadmiar czarnej żółci, zalecił puszczanie krwi i gorące kąpiele. Kilka dni przed piętnastą rocznicą ślubu Andiana znienacka zasłabła wieczorem i tej samej nocy zmarła.

Lorraine dobrze pamiętała niesprecyzowane uczucie obawy, jakie dręczyło ją poprzedniego dnia, gdy patrzyła na matkę, która akurat wtedy wydawała się bardziej ożywiona niż zwykle, ucieszona perspektywą zbliżającego się balu z okazji rocznicy.

Jakby wszystko wokół było teatralną dekoracją, która lada chwila ma runąć.

Wzdrygnęła się mimo woli, dopijając herbatę.

Niemal podskoczyła, gdy otwarły się drzwi, ale to tylko Etel przyszła zabrać tacę. Cmoknęła z dezaprobatą, gdy zauważyła, że większa część posiłku pozostała nieruszona.

– Ojciec chce z tobą rozmawiać, panienko – oznajmiła. – Prosi, żebyś przyszła do jego gabinetu, gdy tylko będziesz gotowa.

Ton jej głosu sprawił, że Lorraine popatrzyła na służącą uważniej. Pulchna, trzydziestoparoletnia Etel pracowała w ich domu od ośmiu

lat. Sprawnie wykonywała swoje obowiązki, a odzywała się tylko z konieczności. Jej śniada, płaska twarz była zawsze pozbawiona wyrazu niczym zamknięte drzwi. Nawet wtedy, kiedy pan domu dostawał swoich sławetnych ataków szału, ciskał obelgi, tłukł kosztowną porcelaną i groził, że pozabija domowników albo poszczuje na nich niesprecyzowane okropieństwa z Otchłani.

Ale teraz Etel wyglądała na zatroskaną, chyba wręcz zmartwioną.

Ich spojrzenia spotkały się i służąca jakby się otrząsnęła. Zabrała tacę i pospiesznie wyszła.

Lorraine stłumiła obawy, które ją ogarnęły.

Co on znowu wymyślił...?

Od siódmych urodzin, od dnia, kiedy po raz pierwszy kazał jej się ubrać na czarno, bywało, że służyła ojcu jako rekwizyt w jego... eksperymentach. Matka udawała, że o niczym nie wie, bo tak było łatwiej. Dla wszystkich.

Noce w tajnej komnacie w piwnicach willi. Krąg wyrysowany na posadzce, świece, zapach kadzideł. Ojciec i jego znajomi, czasem poważni mężczyźni w eleganckich strojach, czasem cuchnące kreatury w łachmanach. Kładli ją nagą na nakreślonych kredą symbolach, ukreślali łebki gołębiom i skrapiali jej ciało krwią, po czym kazali, żeby wdychała dym z fajki wodnej i prorokowała – tak to nazywali. Zadawali jej pytania, których nie rozumiała, ale szybko nauczyła się odpowiadać zawile i mętnie, a wtedy byli zadowoleni. Albo zmuszali ją do picia obrzydliwych naparów, po których najpierw bredziła od rzeczy, później wymiotowała i dostawała konwulsji...

Kiedy skończyła czternaście lat i naprawdę zaczęła słyszeć głosy, ojciec ni z tego, ni z owego dał jej spokój. Nawet rzucił kiedyś mimochodem, że mogłaby znów zacząć nosić kolorowe suknie. Od ostatniego seansu minęły ponad dwa lata. Ale i tak wezwanie do gabinetu zmroziło ją lękiem.

A może po prostu mamy gościa?

Usiadła przed lustrem i sięgnęła po grzebień. Rozpuściła włosy i uczesała je na nowo. Raz jeszcze popatrzyła w zwierciadło, upewniając się, że wygląda nienagannie, potem wyszła z komnaty.

Nie – pomyślała z nowym ukłuciem strachu, schodząc po schodach. – Gdyby przyjechał baron Ber-Haasten, Etel by mi przecież powiedziała.

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, i zastukała do drzwi gabinetu ojca.

Hrabia Nevers nie podniósł głowy, gdy weszła. Przekładał dokumenty na biurku, mrużąc do siebie. Jak zwykle nie sposób było poznać z jego twarzy, w jakim jest humorze. Jego wybuchów gniewu nie dawało się przewidzieć, podobnie jak przyłyków dobrego nastroju, w których stawał się zaskakująco łaskawy dla otoczenia.

Lorraine stanęła przy drzwiach i czekała w milczeniu. Hrabia w końcu zgarnął dokumenty w stosik i popatrzył na nią.

– Wiesz, o czym chcę z tobą porozmawiać?

Potrząsnęła głową.

Nevers sięgnął do szuflady biurka i wręczył córce miniaturę oprawioną w złoto.

– Co o nim sądzisz?

Miniatura przedstawiała pulchnego mężczyznę o rumianych policzkach i rudych włosach, ułożonych w loki.

– Kto to jest? – spytała Lorraine, chociaż domyślała się odpowiedzi.

– Baron Loic Ber-Haasten, ten, o którym ci wspominałem. Posiada rozległe dobra na południe od naszej posiadłości w Trais. Zgodził się pojąć cię za żonę. Za dwa tygodnie wydaję w Trais bal, na którym oficjalnie ogłoszę wasze zaręczyny.

– To wspaniała wiadomość – odparła, dbając, żeby jej uśmiech sprawiał wrażenie szczerego. Hrabia spojrzał na nią podejrzliwie.

– Baron Ber-Haasten spodoba ci się – powiedział. – Bardzo chce cię jak najszybciej poznać. Pojutrze wyjeżdżamy do Trais. Już powiedziałem Etel, żeby spakowała twoje rzeczy.

Zabrzmiało stukanie do drzwi i wszedł lokaj.

– Panie, posłaniec przywiózł listy. Od zarządcy w Trais, od...

– Wyjdź. Rozmawiam teraz z córką. Listy możesz zostawić, przeczytam je później

Służący wyjąkał przeprosiny i wycofał się, zostawiając listy na stoliku. Nevers nawet nie rzucił na nie okiem, myślał ewidentnie o czym innym.

– Zaczekaj! – rozkazał nagle. Lokaj zatrzymał się w drzwiach. – Skoro już tu jesteś, zanieś wiadomość do Alaina Vaneisen.

Sięgnął po czysty arkusz, zamoczył pióro w kałamarzu i szybko zaczął pisać. Lorraine tymczasem przypatrywała się przyniesionym

listom. Ten, który leżał na samej górze, opatrzony był czerwoną pieczęcią, ale bez godła.

– Ach, panienko – odezwał się służący. – Jeden list jest do ciebie. Od barona Ber-Haasten.

– Który?

– Ten z czerwoną pieczęcią.

– Otwórz go, Lorraine – polecił hrabia, nie unosząc głowy.

Dziewczyna rozłamała pieczęć. Rozkładając list, nagle poczuła swędzące mrowienie w opuszkach palców, które po chwili zdrętwiały – straciła w nich czucie. Potem spostrzegła szczegół, który ją zmroził.

Czerwona pieczęć. Dwa listy miały podobną, lecz tylko na jednej z nich – tej nierozłamanej – widniało odcisnięte godło.

Ponownie popatrzyła na arkusik eleganckiego welinu. Pokrywały go dziwne symbole, nakreślone czarnym i szkarłatnym atramentem.

Nieprzyjemne mrowienie w palcach nasilało się. Przeniosła wzrok na swoją rękę i zamarła. Dłonie miała całe w białych plamach, które rosły powoli, lecz nieubłaganie, zlewały się...

– Ojczy... – wyjąkała niepewnie.

Hrabia Nevers podniósł głowę i Lorraine po raz pierwszy w życiu zobaczyła na jego twarzy prawdziwy strach. Dopiero teraz sama poczuła, że ogarnia ją panika.

– Przedrzej list! Szybko! – rozkazał chrapliwie.

Ręce jej dygotały, z trudem była w stanie uchwycić kartkę pozbawionymi czucia palcami. Gdy w końcu się udało, rozległ się trzask, zapachniało siarką. Dziewczyna odrzuciła od siebie przedarte połówki listu; jeszcze w powietrzu obróciły się w popiół.

Oniemiała popatrzyła na swoje dłonie. Były jednolicie białe aż po nadgarstki, ale wyglądało na to, że przedarcie listu zahamowało proces rozszerzania się czaru.

Hrabia Nevers złapał służącego za ubranie i potrząsnął nim jak szmacianą kukielką.

– Ty przeklęty durniu! Ty kretynie!

Przerażony lokaj przywarł plecami do ściany i tylko wytrzeszczał oczy. Nevers spoliczkował go raz i drugi.

– Bierz powóz i jedź do siedziby cechu astrologów – warknął. – Znajdź Ambrozziego i przywieź go tu. Albo nie! Sam po niego pojedę. Nikomu ani słowa, bo żywcem cię obedrę ze skóry, pamiętaj! I zadbaj,

żeby Etel tu nie wchodziła!

Odwrócił się do córki.

– W liście była klątwa – powiedział sucho. – Siedź tu, nie ruszaj się i niczego nie dotykaj. To paskudztwo prawdopodobnie może się roznosić. Jadę po pomoc.

* * *

W fioletowej przestrzeni kryształu szybowały obrazy – odbicia zdarzeń rozgrywających się w odległych przestrzeniach sfer, gdzie salamandry wojowały z sylfami, w ogrodach krainy snów kwitły śpiewające lilie, a na pustkowiach dominium gnomów niemające nazwy monstra polowały na siebie nawzajem.

Na stole w prywatnej komnacie Demetheosa wyrosła sterta ksiąg poświęconych sferom oraz gwiezdny kryształom. Niezwykły przypadek tak zafascynował maga, że ogarnęła go chęć napisania monografii, choć wobec natłoku innych spraw prościej byłoby to zlecić któremuś z akolitów.

Nie pozwolił sobie ulec pokusie wpatrywania się w kryształ dłużej niż przez krótki czas każdego wieczora. I może właśnie dlatego nie uświadamiał sobie, że nazajutrz jest zawsze w gorszej niż zwykle kondycji, z lekka otępiały i rozkojarzony. Nadal wypełniał swoje liczne obowiązki, ale jego wewnętrzny wzrok osłabł. Nie było teraz szans, żeby Demetheos zwrócił uwagę na drobne, lecz znaczące wahnięcia w aurze miasta, które w innym przypadku mogłyby go zaniepokoić.

Delikatny czar uzależniający, tak subtelny, że nawet wyczulone zmysły starego maga nie były w stanie go wychwycić, działał bezbłędnie.

* * *

Forco Ambrozzi, doktor astrologii, wbrew stereotypowi nie był podstarzałym dziwakiem w długiej szacie, tylko smagłym dandysem o posepnych oczach. Nosił koronkowe żaboty i haftowane złotem kamizelki, a spojrzenie miał równie martwe, jak śnięta ryba. Lorraine знаła go z widzenia, bywał u jej ojca częstym gościem.

– To klątwa kamienienia – powiedział, gdy tylko zobaczył jej rękę. –

Nie ma wątpliwości.

– Możesz coś z tym zrobić? – zapytał niecierpliwie hrabia. – Wiesz, że cena nie gra roli.

– Najpierw muszę ją zbadać – mruknął Ambrozzi. Wyjął z kieszeni zamszowe rękawiczki, założył je i ukląkł obok dziewczyny.

Lorraine bez sprzeciwu pozwoliła, żeby ujął pokrytą białymi plamami dłoń i delikatnie rozgiął zeszywniałe palce. Kiedy czekała, aż ojciec wróci z Ambrozzim, zaczęło się z nią dziać coś dziwnego – zubożniała, jej emocje jakby zastygły. Teraz niby była przytomna, ale świat wydawał się odległy, wszystko działo się gdzieś obok. Pozbawione czucia dłonie już nie budziły w niej przerażenia, jakby należały do kogoś innego.

Ambrozzi badał jej ręce długo, bez słowa. Wyjął z kłapy kaftana złotą szpilkę i kilkakrotnie ukląkł wewnątrz każdej dłoni. Widząc brak reakcji, zasępił się jeszcze bardziej.

– Niedobrze – powtórzył. – Zakłęcie wzmocniono prawdopodobnie żółcią wilka, może nawet śliną bazyliuszka. Innymi słowy klątwa prawie na pewno jest zaraźliwa. Myślę, że może się roznosić przez dotyk i pozostawać na przedmiotach, jak trąd.

– Tak myślałem – mruknął hrabia. – Co radzisz?

– Na początek zabandażować jej ręce, porządnie wykadzić tu mirrą i hyzopem. Zajmę się tym. To powinno zlikwidować zagrożenie.

– Co się ze mną stało? – odważyła się spytać Lorraine. Hrabia zaśmiał się sucho, śmiechem, który mógł wzbudzić ciarki.

– Jeszcze nie rozumiesz? Ktoś przysłał twojemu ojcu klątwę w liście, ale przez pomyłkę list otworzyłaś ty. Forco, będziesz umiał z niej zdjąć ten czar?

– Przykro mi, hrabio. To przekracza moje możliwości.

– Na siedmiu synów Eresha, ty nieudolny... – Nevers wyglądał przez chwilę tak, jakby miał ochotę trzasnąć eleganta w twarz. Astrolog przezornie cofnął się o krok, nie stracił jednak zimnej krwi.

– To klątwa kamienienia, hrabio, nie jakiś tam kołtun z wbitymi igłami. Tu trzeba prawdziwego maga, z darem. Gdyby Lorchel żył...

– Ale nie żyje, a ten dureń Jacentin nie zna się na niczym oprócz perfum. Co radzisz? Nie zwrócę się przecież do...

– Ja bym wysłał kogoś do Starucha – powiedział cicho Ambrozzi. – Nie widzę innego wyjścia.

– Prosić o pomoc te śmierdzące kreatury z Podziemi? W żadnym wypadku!

– Jeśli chce pan poszukać innego rozwiązania, hrabio, trzeba to uczynić jak najszybciej. Czar nadal działa, powoli niszczy ciało. To mi wygląda na zaklęcie z jednodniowym marginesem. Jeśli klątwa nie zostanie zdjęta, prawdopodobnie zabije ją jutro o wschodzie słońca.

Lorraine przyjęła słowa Ambrozziiego tak, jakby jej nie dotyczyły.

Hrabia Nevers zmełł w zębach przekleństwo. Myślał przez chwilę, marszcząc brwi.

– Dobrze, Forco – powiedział w końcu. – Posłuchaj. Służący zaraz przyniesie bandaż. Opatrzysz jej te ręce. Potem wracaj do siebie i trzymaj język za zębami. – Sięgnął do szuflady biurka i wyjął sakiewkę, którą położył na blacie. – Tu masz złoto za fatygę.

* * *

Zmierzchało.

Lorraine siedziała skulona na wyściełanym podnóżku. W sypialni pachniało mirrą i hyzopem; ze stojącej na stoliczku kadzielnicy wciąż jeszcze sączył się dym.

Na dworze zabrzmiał szcęk otwieranej bramy, potem turkot powozu. Nie wiedziała, dokąd tym razem pojechał ojciec, i nie obchodziło jej to.

Gdy usłyszała wokół siebie znajome głosy umarłych, narastające w powolnym crescendo, uświadomiła sobie, że nawet oni nie budzą już w niej lęku. Jednak po chwili zamarła, gdy pojęła, że tym razem nie mamroczą o szarości, osamotnieniu i gniciu.

Opuść dom – szeptali. – Idź do miasta. Nie zwlekaj.

Pomożemy ci poszukać ratunku.

Wstała jak zahipnotyzowana. Zaledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi, założyła płaszcz i owinęła głowę żałobnym welonem. Obie rzeczy wisiały naszykowane na krześle, bo Etel, zgodnie z porannym poleceniem hrabiego, wyjęła je z szafy z myślą o zbliżającej się podróży do Trais.

Głosy w głowie dziewczyny nie milkły, stanowcze, rozkazujące.

Opuść dom, Lorraine. Pospiesz się.

Willa Neversów, jak wiele rezydencji w Szmaragdowej Dzielnicy,

znajdowała się na zboczu wzgórza; z sypialni Lorraine, położonej na piętrze na tyłach domu, można było wyjść na taras, a z niego zejść do ogrodu. Dziewczyna wzdrygnęła się, gdy owionął ją mokry chłód jesiennego wieczoru, ale umarli znów ponaglili ją natarczywym chórem. Pobieгла ścieżką do tylnej furtki. Klucz, jak zawsze, tkwił w zamku od wewnętrznej strony. Nie była pewna, czy zdoła go przekręcić obandażowanymi dłońmi, lecz po dłuższej, nerwowej chwili udało się.

Wydostawszy się na ulicę, znalazła jeszcze dość przytomności umysłu, żeby zamknąć furtkę z powrotem i schować klucz do kieszeni.

* * *

Stary rzeźbiony zegar w rogu sali zazgrzytał, zarzęził, po czym ochryple wybił godzinę. Brune spojrzał na jego tarczę i zaklął półgłosem.

– Co, nadal czekasz? – zagadnęła Scaraveshia Płosząca Ptaki, stawiając na kontuarze tacę pełną kufli.

– Już chyba nie – mruknął zde gustowany. – Wygląda na to, że klient mi stchórzył.

Rudowłosa prostytutka z twarzą zeszpeconą przez plamy wysypki szturchnęła koleżankę i szepnęła jej coś do ucha. Obie zachichotały. Żmij zignorował je. Dopił resztkę grzanego wina i oddał kubek właścicielce tawerny.

Cagliostro – mieszkający w słoju brat Scaraveshii – nieśmiało przemówił obrazami, próbując wznowić przerwana telepatyczną rozmowę, a raczej monolog. Zachwycony, że trafił mu się słuchacz, przez całą poprzednią godzinę uszczęśliwiał żmija wspomnieniami wyjętymi z głów innych gości. Brune nie miał serca uciszać stwora. Trudno było nie współczuć komuś, kto nie ma ust, rąk ani nóg i całe życie spędził zawieszony w oślizgłej zielonej cieczy, chłonąc, a potem odtwarzając cudze doświadczenia, bo nigdy nie zbierze własnych.

Odmianka wyszła z tacą na zaplecze. Dziewczyny założyły płaszcze i opuściły lokal. Krzyżący rozejrzał się – był ostatnim gościem. Zawahał się, walcząc z pokusą, żeby zamówić herbatę i posiedzieć jeszcze chwilę. Wiedział, że Scaraveshia wolałaby już zamykać, ale nie chciało mu się wracać do ciemnej, zimnej kryjówki.

Nagle Cagliostro opadł na dno słoja i wydał przeraźliwy telepatyczny skowyt. Jego nakrapiana skóra pobladła.

– Hej, co się dzieje? – zaniepokoił się zmij.

Ze słoja dobiegł bulgot, a potem niesamowity myślowy krzyk, zgiełk wielu głosów. Brune odruchowo chwycił się za głowę, ale zanim zdążył siłą woli stłumić przekaz, ten ucichł. Cagliostro unosił się bez ruchu, zwinięty jak embrion. Po chwili na powrót rozwinął macki i przemówił telepatycznie:

– *Zginiesz jeszcze dziś.*

Brune w pierwszej chwili zagapił się na stwora w osłupieniu. Potem przypomniał sobie, co opowiadano na temat Cagliostra – że jest nie tylko telepatą, ale też tak zwanym ślepyim medium. Że duchy, demony i bliżej nieokreślone stworzenia ze sfer przemawiają do niego, a on bezmyślnie powtarza ich słowa, nie wnikając w treść ani sens. Ta ułomność, bo trudno było to nazwać darem, częściej trafiała się wśród odmieńców niż wśród ludzi. W księgach przewijało się ostrzeżenie, by pamiętać, że choć ślepe medium działa nieświadomie, przemawiają przezeń istoty jak najbardziej realne, obdarzone rozumem i wolą.

Drgnął, gdy blizny na policzku nieoczekiwanie zakłuły bólem.

– *Zginiesz – rozbrzmiało raz jeszcze w jego umyśle. – Tak sądzimy. Szkoda... Ale ciężko jest wymazać wyrok zapisany w gwiazdach.*

Brune zastukał w szklaną ściankę.

– Cagliostro! O czym mówisz? Co widzisz?

Płyn wypełniający wnętrze słoja zafalował.

– *Błąd! Wzywasz imię tego, kogo odesłaliśmy, póki znów nie będzie potrzebny. Nie ma tu Cagliostra. Jesteśmy tylko my. Wielość.*

– Kim jesteście?

– *To nieistotne, człowieku. Istotne jest tylko jedno. Na tyle, na ile możemy ocenić, dzisiejszej nocy czeka cię śmierć.*

– W porządku, tyle zrozumiałem za pierwszym razem. W jaki sposób umrę?

– *Nie widzimy... – niegłos zająknął się. – Nie wszystko zostaje nam ukazane. I nie wszystko wolno nam powiedzieć. Coś jednak ci zdradzimy. Kilka kawałków w układance, zapamiętaj je dobrze!*

– Zamieniam się w słuch.

– *Trzy boginie. Ołtarz u ich stóp. Dziewczyna w czarnym welonie, dłonie z kamienia i oczy, które tropią...*

– Kto tropi?

– *Oczy. Oczy! Patrzą i szukają. Krąg zaciska się, pętla zadziergnięta, sieć spleciona...*

Zielony płyn zapienił się, niegłos przeszedł w chrapliwy bełkot. Dopiero teraz nadbiegła Scaraveshia. Strąciła drewnianą pokrywkę słoja i zaczęła gładzić łysą głowę Cagliostra. Dotyk siostry sprawił, że stwór uspokoił się. Jego wytrzeszczone ślepia zamknęły się, a macki rozluźniły. Spał, jak po ataku epilepsji.

– Co się stało? – spytała podejrzliwie Płosząca Ptaki, wyjmując rękę ze słoja. Wytarła palce w ścierkę leżącą na kontuarze. – Ty go tak zdenerwowałaś?

– Ja? Duchy do niego przemówiły.

– Mogłam się domyślić. – Scaraveshia z westchnieniem umieściła pokrywkę na właściwym miejscu. – I co, mówiły ciekawie? Wywieszczyły ci coś?

Powtórzył jej to, co usłyszał od głosów. Uniosła brwi.

– Umarli chyba wyjątkowo się dziś nudzą.

– Najwyraźniej.

– Ale lepiej uważaj na siebie. – Zaczęła wycierać ścierką blat najbliższego stołu. – Oni naprawdę widzą... różne rzeczy.

– Nie strasz mnie – odparł cierpko.

* * *

W podziemnych koszarach Iglendis ar Vanth ocknęła się z głębokiego transu i ujrzała, że jej kwaterę wypełnia mgła, gęsta jak mleko. Umarli przywołani przez kadzidło Myrmisa – mieszankę lulka, wawrzynu, nasion cisu oraz kości nietoperza – objawili się dziesiątkami. Kłębili się tuż poza linią pentagramu wyrysowanego na posadzce za pomocą uświęconej soli.

Wyczuła ich podniecenie. Byli niczym psy przed zbliżającym się polowaniem.

Gdy zobaczyli, że otwarła oczy, ich szepty wezbrały jak fala.

Srebrna czarodziejko, już czas.

* * *

Szła, nie patrząc, dokąd idzie.

Chór głosów wciąż krzyczał w jej głowie, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Głosy bezustannie zmieniały ton i natężenie – rozkazywały, groziły, nawoływały, pocieszały – ale nie słuchała ich już.

Oszukały ją.

Powinna była to przewidzieć. Czego innego można się spodziewać po umarłych?

Szła, obojętna na wszystko i niezaczepiana przez nikogo, przez tłum i pustkę, przez mgłę. W końcu usiadła w bramie jakiegoś domu. Patrzyła na przechodzących ludzi. Wszyscy bez wyjątku spieszyli się dokądś, mijali ją bez jednego zaciekawionego spojrzenia. W bramie paliła się latarnia, wywieszona przez właściciela kamienicy zgodnie z nakazem władz miasta; nie dawała jednak wystarczająco dużo światła, żeby komukolwiek rzuciło się w oczy, że dziewczyna w czarnym płaszczu i żałobnym welonie nie wygląda na żebraczkę.

Głosy przycichły, lecz ona nie zwróciła na to uwagi.

Tłum przechodniów stopniowo rzedł, aż wreszcie ulica opustoszała. Lorraine została sama.

Mżył deszcz. Drżała z zimna. Bandaże na dłoniach zamokły – nie wiedziała, czy to źle. Zamknęła oczy i starała się odpłynąć myślami jak najdalej od rzeczywistości. Zapomnieć.

* * *

– Trójki Reohanie ar Vithanare, podejdz, by wysłuchać rozkazów.

Wezwany opadł na jedno kolano i skłonił się, pobrzękując zbroją.

Iglendis ar Vanth dryfowała nad posadzką, nie dotykając jej stopami, otoczona aureolą sączącej się z powłóczystych szat błękitnej poświaty.

– Dowódcy mają dziś dla ciebie specjalne zadanie.

– Stworzono mnie, bym był posłuszny woli dowódców – odrzekł martwym, metalicznym tonem, powtarzając wyuczoną formułę.

– W północnej części Podziemi ma swoją kryjówkę samotny *ka-ira*. Długo umykał sprawiedliwości, lecz dzisiejszej nocy srebro zatriumfuje nad czernią. Umarli wystawią go nam jak zwierzynę łowną. Ty zorganizujesz obławę. Zwołaj Jednookich. Dostarczcie mi go przed świtem, żywego lub martwego, zadbajcie jednak, by ciało

zachować możliwie mało uszkodzone. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, o pani.

Iglendis otworzyła trzymane w dłoni srebrne puzderko i czerwoną mazią nakreśliła na hełmie golema magiczny symbol.

– Niech krew koguta i święty znak wschodzącego słońca otworzą twoje uszy. Usłysz głosy umarłych, niech prowadzą cię do celu. Teraz spójrz na mnie, najlepszy z moich żołnierzy.

Wyciągniętym palcem dotknęła jego trzeciego, pozbawionego powiek oka. Reohan zobaczył srebrzysty rozblysł, poczuł przeszywający ból.

Jej błogosławieństwo.

– Idź, Reohanie. Oby potęga prawdziwej magii wspierała cię, gdziekolwiek pójdziesz. I niech dokona się to, co ma się dokonać.

* * *

Krzyczący w Ciemności wiedział dostatecznie dużo na temat mieszkańców sfer, żeby przypuszczać, iż stał się obiektem mało wyrafinowanego żartu. Prorokowanie komuś śmierci przez duchy przemawiające głosem medium stanowiło chwyt ograny do bólu. Podejrzał, że jest tak, jak powiedziała Scaraveshia – to umarli z Podziemi postanowili się zabawić jego kosztem i teraz obserwują go, żeby sprawdzić, co zrobi. No cóż, jeśli wierzyć księgom, egzystencja w najniższych kręgach zaświatów nie obfitowała w atrakcje.

Mimo to odczuwał niepokój. Dlatego zamiast wrócić do kryjówki, wspiał się schodami aż na powierzchnię.

Na świecie panowała noc. Mżył deszcz. Aura miasta sprawiała wrażenie stabilnej – nic nie wskazywało na to, żeby lada moment miało wybuchnąć zachwianie. Żmij naciągnął kaptur na głowę.

Wsunął dłoń do kieszeni, by dotknąć niedużej gemmy ze smoczej kości. Wyrzeźbiono na niej podobiznę Eresha, Władcy Much – pana chorób, ziół i trucizn. Brune nie był przesądny; tym bardziej nie określiliby siebie jako czciciela bogów, a już zwłaszcza nie tych, którzy przed wiekami opuścili świat ludzi. Ale gemmę nosił – jako swój drugi prywatny talizman oprócz ukrytych w zawieszonym na szyi woreczku kart Błazna i Maga. Obrócił ją teraz w palcach, oddychając wolniej i głębiej, żeby oczyścić umysł, odepchnąć niejasne, przeszkadzające

przeczcucia.

– Hej, panie alchemik – usłyszał nagle z dołu. Tym, kto przemówił, był karzeł w łachmanach, wspierający się na kuli. W drugą rękę trzymał latarnię wypełnioną świeciwem. Jego twarz niknęła za zasłoną zlepionych włosów i brody. Brune znał go z widzenia – znał dużą część mieszkańców Podziemi, a oni jego.

– O co chodzi?

– Dobrze, że was spotkałem – wydyszał kuternoga. – Helshor mi kazał lecieć do Starucha, ale to kawał drogi z moją nogą, zresztą Staruch teraz na pewno śpi.

– Ale co się dzieje?

– Pod kamienicą Narrathów siedzi taka dziwna dzierlatka w żałobie, z zabandażowanymi rękami.

Brune poczuł uderzenie chłodu.

– Powiedziałeś, że w żałobie?

– Ano na to wygląda. Czarno ubrana, welon na głowie. – Karzeł zniżył głos. – Buciki jak malowanie, płaszczyk z aksamitu, fatalaszki warte czort wie ile. Dłonie ma w bandażach i siedzi na ulicy samiuteńka, pojmujecie?

– Znaczący, byłeś tam, widziałeś ją?

– Co miałem nie widzieć. Arystokratka, żeby tak zdrów był. Noc, zimno, a ona siedzi, ani drgnie. Po mojemu ma nie po kolei w głowie, ale kto ją tam wie. Chłopcy Helshora boją się ją zaczepiać. Coś tu śmierdzi, to pewne.

– Dzięki. Zainteresuję się tym.

Karzeł skinął głową i zaczął powoli schodzić schodami prowadzącymi pod ziemię. Stał niezgrabnie, oszczędzając chorą nogę. Po kilku krokach przypomniał sobie o czymś.

– Lepiej uważajcie na siebie, panie alchemik. Tylko co widziałem, jak z zejścia przy targu rybnym wychodzi cały oddział Jednookich.

Żmij, który miał już odchodzić, stanął jak wryty.

– Teraz mi o tym mówisz, durniu?! Szli na ulicę Zegarmistrzów?

– Nie. Skierowali się w drugą stronę, ku rynkowi.

Brune odtworzył w myślach topografię nowszej części miasta. Kamienica Narrathów przy ulicy Zegarmistrzów znajdowała się na tyle blisko targu rybnego, że gdyby tajemnicza dziewczyna w żałobnym stroju stanowiła zagrożenie dla Ekwilibrium, golemi

wyczułyby to i dotarłyby do niej pierwsze.

Po namyśle sięgnął do kieszeni i rzucił kuternodze monetę.

– Zmykaj na dół. Gdyby Helshor pytał, rozmawiałeś ze Staruchem, nie ze mną.

Począł, aż karzeł zniknie mu z oczu, następnie pod wpływem impulsu wyjął swoją zaczarowaną talię kart, żeby sprawdzić, co mówią.

Przetasował je trzykrotnie, bez pośpiechu przywołując moc, aż poczuł delikatne ciepło w koniuszkach palców. Pierwszą kartą, jaką wyciągnął, była Śmierć – kruk i trupia czaszka pośrodku pustkowie. Dopiero teraz naprawdę poczuł się nieswojo. Samego incydentu z Cagliostrem nie był skłonny traktować poważnie, ale ostrzeżenie kart radykalnie zmieniało postać rzeczy.

Schował talię i zamknął oczy, sięgając umysłem w przestrzeń. Początkowo poza oddalającym się karłem nie wyczuł w pobliżu nikogo więcej. Po chwili jednak w zasięgu jego zmysłów pojawiły się dwie sylwetki pozbawione charakterystycznego ciepła żywych istot, za to o aurze parzącej srebrem. Dwaj Jednoocy.

Brune cofnął się w głąb najbliższej bramy i czekał. Golemy potrafiły wyczuwać obecność ludzi, lecz z tego, co wiedział, reagowały przede wszystkim na ruch. I na strach.

Wyłonili się zza zakrętu – krępe białe sylwetki o nieproporcjonalnie małych głowach, każda z jednym krwawym okiem pośrodku czoła. Nieśli zapalone pochodnie. Ich ciała, odziane tylko w przepaski z dwóch zwisających prostokątów tkaniny, były opancerzone płytami ni to chityny, ni rogu. Na torsach, dokładnie pośrodku klatki piersiowej, błyszczał herb Elity – srebrny pentagram.

Minęli zmięli z chrzęstem pancerzy, nie zatrzymując się. Już niemal odetchnął z ulgą, gdy nagle zawrócili. Do jego uszu doleciał dziwny mechaniczny odgłos, przypominający cykanie świerszczy – ich mowa, jeśli można to było nazwać mową.

Moc wezbrała w nim jak czarna fala, niemal bez udziału woli.

Pochodnie golemów zgasły, jakby zdmuchnął je wiatr, choć przecież wiatru nie było. Gdy tuż przed nimi wyrosła sylwetka o świecących źrenicach, Jednoocy zareagowali zaskakująco szybko jak na stwory z ożywionej czarami gliny. W powietrzu świsnęły strzałki – może posmarowane trucizną, może tylko środkiem obezwładniającym – ale

brzęknęły o bruk; zakłęcie tarczy powstrzymało je przed sięgnięciem celu. Ostrze sztyletu z chrupnięciem wbiło się w szklane oko, a kopniak podcinający nogi sprawił, że ranny golem zachwiał się i runął ciężko, obalając towarzysza.

Brune sprawnie dokończył dzieła. Instynkt podpowiadał mu, które punkty magicznie ożywionych ciał dają możliwość zadania śmiertelnego ciosu – oko oraz żyła z odżywczym płynem przebiegająca wzdłuż karku, w miejscu, gdzie pancerz składał się z kilku zachodzących na siebie płytek. Trzeba było wbić ostrze pod kątem w miejscu spojenia, wtedy podobny do mleka płyn zaczynał ciec strugą, a golem przestawał wydawać dźwięki i nieruchomiał.

Ale lada chwila zjawi się ich tu więcej.

Wytań sztylet w przepaskę jednego z Jednookich, po czym podciągnął rękaw i czubkiem ostrza nakreślił na wewnętrznej stronie przedramienia dwa magiczne symbole. Jako *ka-ira* był z natury trudno widoczny dla czarów tropiących, ale uznał, że dodatkowa ochrona nie zaszkodzi. Potem ruszył w kierunku nowszej części miasta. Nie chciał marnować sił na dematerializację; miał przeczucie, że prawdziwe kłopoty dopiero się szykują.

Ulica Zegarmistrzów była szeroka, brukowana, bez błota i gnijących śmieci. Znajdowały się na niej sklepy z zamorskimi towarami, a także siedziby kilku cechów. Za dnia rozbrzmiewała zgiełkiem i turkotem powozów, lecz o tej porze panowała tam głucha cisza. Żmij przyspieszył kroku. Miał szczerą nadzieję, że przed rezydencją bogatego kupca Ingo Narratha nie zastanie nikogo.

Ktoś jednak tam był. Ktoś siedział w bramie, w cieniu ozdobnych arkad. Brune poczuł, że ogarnia go chłód.

Dziewczyna w żałobnym stroju, w czarnym welonie.

Siedziała skulona, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Podeszedłszy bliżej, zobaczył, że jej oczy są zamknięte, a dłonie spowija gruba warstwa bandaży.

* * *

Robiło się coraz zimniej. Chłód przenikał Lorraine aż do kości.

Żeby to się już skończyło – myślała. – Przecież wiem, że niczego nie da się zmienić. Przecież pogodziłam się z tą myślą.

Żeby się już skończyło.

Potrząśnięcie za ramię wyrwało ją z odrętwienia. Ktoś pochylał się nad nią, mówił do niej. Miał zachrypnięty, nieprzyjemny głos.

– Nie dotykaj mnie! – syknęła ostrzegawczo, odsuwając się. Jeszcze tego brakowało, żeby jakiś idiota się od niej zaraził.

– Nie zrobię ci krzywdy – zapewnił; nie umiała stwierdzić, czy szczerze. W mroku nie widziała jego twarzy, jedynie zarys sylwetki. Kim był, czego chciał? Nie interesowało jej to.

– Zostaw mnie w spokoju – rzuciła. Zaśmiał się sucho.

– A jeśli nie zechcę? Co wtedy?

Mogę cię zabić koniuszkiem małego palca. Zwalczyła chęć, żeby powiedzieć to na głos.

Nieznajomy ukląkł przy niej. Normalnie poczułaby strach, teraz nie.

– Co tu robisz? – spytał.

– Nie widzisz? Siedzę i czekam.

– Sama jedna, po zmierzchu? Nie wybrałaś sobie najbezpieczniejszego miejsca.

Z niewiadomego powodu zdecydowała się powiedzieć prawdę.

– Umrę o świcie. Tak powiedział medyk. – Wolała tu skłamać, bo pomyślała, że większość mieszkańców miasta, nie mając powiązań z osobami uprawiającymi tajemne sztuki, prawdopodobnie w pierwszej kolejności zwróciłaby się do lekarza. – Czy teraz wreszcie dasz mi spokój?

– Co ci jest?

– A co cię to obchodzi?

– Spójrz mi w oczy – polecił.

Przeszył ją dreszcz, gdy spostrzegła, że jego źrenice leciutko fosforyzują. Teraz mimo wszystko zrobiło się jej nieswojo.

Skazony mag... Tego tylko mi było trzeba.

– Wyczuwam po aurze, że ciąży na tobie klątwa – powiedział cicho.
– Może mógłbym ci pomóc.

Lorraine wiedziała na temat *ka-ira* dostatecznie dużo, by ogarnęło ją podejrzenie, że wyszukał ją na podobnej zasadzie, jak drapieżnik wyczuwający chorą zwierzynę. Nie miała jednak pojęcia, co robić. Gdyby spróbowała krzyczeć, prawdopodobnie uciszyłby ją szybko i sprawnie.

– Lepiej nie ryzykuj – ostrzegła. – Medyk powiedział, że mogę zarazić każdego, kogo dotknę. Jak ospą albo trądem.

Podejrzewała, że nie zrobi to na nim wrażenia, i nie pomyliła się.

– Na mnie takie rzeczy nie działają. Pozwól mi obejrzeć twoje ręce. Nie bój się.

– Tu, po ciemku?

– Nie potrzebuję światła. Jak masz na imię?

Uświadomiła sobie, że musiał zawrzeć w pytaniu ukryty rozkaz, bo odpowiedziała bez wahania.

– Lorraine. Jestem Lorraine Alexia Nevers...

Zaledwie wymówiła swoje imię, poczuła, że znów ogarnia ją obojętność, jakby świat odpływał za ścianę mgły. Już bez protestu pozwoliła, żeby *ka-ira* ujął jej ręce i ostrożnie odwinął bandaż.

Brune spokojnie ocenił stan zaawansowania klątwy. Było mniej więcej tak, jak się spodziewał. Skóra na dłoniach dziewczyny, biała jak wapno, nienaturalnie sucha, pękała i łuszczyła się płatami. Choć niektóre pęknięcia sprawiały wrażenie głębokich, nie było śladu zaczerwienienia, nie mówiąc o krwi. Najdziwniej jednak wyglądały koniuszki palców – stwardniałe i gładkie niczym marmur.

Wyczuł, że dziewczyna znowu odpłynęła w odrętwienie, zatracając kontakt z otoczeniem. Przyjrzał się jej z namysłem. Sądząc z wyglądu i aury, miała około szesnastu lat. W tym wieku wszelkie czary działają silniej, bo młody organizm jest na nie bardziej podatny.

Zabandażował jej dłonie z powrotem, potem dotknął czoła dziewczyny, szepcząc w mowie magów. Po chwili drgnęła i odetchnęła głębiej, przytomniejąc.

– Potrafisz to ze mnie zdjąć? – spytała. Wyczuł zmianę tonu i stłumił cierpki uśmiech.

Jednak chcesz żyć, co?

– Tak i nie – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Tylko ten, kto rzucił klątwę, może odwrócić jej działanie. Nie wiem, jak głęboko to świństwo siedzi w tobie. Mogę przełamać czar, ale nie umiem ocenić, czy cofnie to szkody, które wyrządził.

– To znaczy, że zdjęcie klątwy nie wyleczy moich rąk?

– Nie. To znaczy, że jeśli zdejmę klątwę, być może umrzesz.

– Nie była przeznaczona dla mnie – szepnęła dziewczyna z cieniem nadziei. – Spróbuj. Proszę.

Żmija przelotnie zastanowiło, jakim cudem chowana pod kloszem córeczka arystokratów wie takie rzeczy. Oczywiście miała rację – klątwa, która poraziła przypadkową ofiarę, powinna wniknąć płycej i uczynić mniejsze szkody.

– Dobrze – westchnął. – Spróbuję. Ale nie tutaj. Chodź.

– Dokąd?

– W bezpieczne miejsce. Bezpieczniejsze niż ta ulica. I tak za długo już tu tkwimy.

Boisz się czegoś – pomyślała Lorraine. Na samą myśl, że miałyby dokąś iść z tym przestępcą, ogarnęło ją zrezygnowanie. Ale wiedziała, że nie ma nic do stracenia.

* * *

Cisza wypełniała starożytne, kręte korytarze. Na wyższych poziomach snuł się odór palonych śmieci – w tak zimną noc bezdomni palili więcej ognisk niż zwykle.

Brune postanowił być ostrożny. Umyślnie kluczył, wybierając rzadko używane przejścia. Dwa czy trzy razy minęli podwładnych żebraczego króla, którzy pozdrawiali żmija skinieniem głowy.

Nie takich spotkań się lękał. Wciąż miał paskudne wrażenie, że jest obserwowany; czuł bystre, taksujące spojrzenia wielu par oczu.

Nie powiedział o tym dziewczynie. Lorraine szła w milczeniu, nie interesując się otoczeniem. Najwyraźniej zakłęcie trzeźwiące podziało tylko na krótki czas i klątwa znowu ją otępiła.

Gdy zeszli na czwarty poziom, gdzie lamp znajdowało się niewiele, Brune ujął dziewczynę pod ramię. Zaniepokojony jej zobojętnieniem, znów dotknął czoła Lorraine, powtarzając słowa czaru.

Gdy oprzytomniała, na jej twarzy odmalował się strach. Stali w miejscu, gdzie było prawie zupełnie ciemno – od najbliższej, zresztą słabo świecącej lampy dzieliło ich kilkadziesiąt kroków.

– Jesteśmy w Podziemiach? – spytała. Z podziwu godnym opanowaniem, choć głos trochę jej drżał.

– Tak.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś?

– Już ci mówiłem. Idziemy w bezpieczne miejsce.

– Ty sukinsynu – powiedziała z rezygnacją. – Co zamierzasz ze

mną zrobić?

– Wyleczyć cię. Tak jak obiecałem.

– Masz mnie za głupią? Potrzebne ci moje zwłoki, prawda? Żeby rozmnożyć klątwę?

Żmij zdziwił się. I to bardzo. Ciało kogoś, kto zginął wskutek klątwy, istotnie można było wykorzystać do przygotowania małym nakładem pracy kilku kolejnych – grymuary nazywały to rozmnożeniem czaru.

Ale podlotki z bogatych domów na ogół nie uczą się o takich rzeczach. Jednak nic nie powiedział. Czuł się nieswojo, gdy rozmawiali, a ich głosy, choć ciche, odbijały się echem w przestrzeni korytarza.

Pętla zadzierzgnięta, sieć spleciona. Zwalczył chęć, żeby sprawdzić, co mówią karty.

– Chodź – polecił. – Nie stójmy tu.

Po jakimś czasie dotarli do rozwidlenia, gdzie zbiegały się trzy korytarze oraz słabo oświetlony ciąg schodów. Z góry dobiegło pobrękiwanie i odgłos kroków. Lorraine spojrzała pytająco na żmija. Gestem nakazał jej milczeć.

Pobrękiwanie stało się głośniejsze i wkrótce zobaczyli sylwetkę. Z góry schodził mężczyzna w długiej kapocie, trzymający latarnię. W drugiej ręce niósł pęk jakichś metalowych przedmiotów.

Skreślił w korytarz, z którego oni przyszli. Lorraine cofnęła się pod ścianę, żeby zrobić przejście. Wstrzymała oddech, kiedy owionęła ją woń wódki, niemytego ciała i kanałów.

Jej przewodnik zamienił ze śmierzącym kilka słów w gardłowym żargonie, którego nie rozumiała, potem pociągnął ją za rękę.

– Tutaj.

W korytarzu, w który się skierowali, nie paliła się ani jedna lampa. Lorraine musiała się zdać na towarzysza, który prowadził ją ostrożnie, od czasu do czasu ostrzegając, żeby się nie potknęła o rozsypane cegły. Teraz uderzył ją szczegół, na który wcześniej nie zwróciła uwagi.

Ciebie to stać na mydło, na czystą koszulę. Ciekawe, co za interesy prowadzisz tu, na dole?

Nagle *ka-ira* zatrzymał się, a jego dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku z żelazną siłą.

– Stój i bądź cicho – syknął, zasłaniając jej usta drugą ręką. Stłumiła odruch, żeby się wyrwać, bo wyczuła w jego głosie napięcie, wręcz strach.

Czekali długą chwilę. Lorraine starała się oddychać jak najciszej. W końcu jej towarzysz zwolnił chwyt.

– Zawracamy – rozkazał szeptem.

– Co się dzieje?

– Nieważne. – Pociągnął ją z powrotem w stronę rozwidlenia. – Rusz się. Musimy zejść niżej.

Jego niepokój udzielił się i jej. Zaczęła gorączkowo wyteżać słuch, ale gdy dotarli do schodów, wokół nadal było cicho. *Ka-ira* wyraźnie się odprężył.

– Mieszkam – rzucił ni z tego, ni z owego.

– Co?

– Zastanawiałaś się, co robię tu na dole. Mieszkam.

Zaniemówiła. Chętnie rzuciłaby ciętą odpowiedź, ale zabrakło jej konceptu.

Poziom niżej schody się kończyły. W załomie muru stał słój wypełniony fosforyzującą cieczą. Obok leżały skłębione szmaty, chyba czyjeś legowisko.

Ka-ira kopnął je na bok i ukląkł przy słoju. Przesunął dłońmi po murze, jakby czegoś szukając. Tu światła nareszcie było tyle, żeby Lorraine mogła się dobrze przyjrzeć swojemu przewodnikowi.

Może nie wyglądał jak mieszkaniec rynsztoków, ale na pewno jak ktoś z półświatka. Przeciętnej postury, o ciemnych, nieporządnie związanych z tyłu włosach, ubrany specyficznie – niby ani krzykliwie, ani niechlujnie, w wyszarzałą czerń bez dziur czy łat, a jednak skojarzenie z podejrzanym towarzystwem nasuwało się natychmiast. Śniada cera i kilkudniowy zarost wzmacniały to wrażenie. Policzek nieznajomego przecinały trzy szramy, a skórę wokół nich znaczyły przebarwienia, wyglądające jak ślady po wygojonym oparzeniu czy liszaju.

Z bliska dziewczyna oczywiście widziała, że blizny to tylko blizny, nie jakaś wstrętna skórna choroba, i że pozory zaniedbania mylą. Poza tym był młody, a jego twarz mimo zeszpecenia nie odpychała – szczupła, inteligentna. Jednak Lorraine czuła mimowolny niesmak na myśl, że mieszkał w lochach.

Kanały. Szczury. Lepiej nie wiedzieć, z jakimi paskudztwami się tu stykasz.

Popatrzył na nią przeciągle, potem przeniósł wzrok na jej zabandażowane dłonie. Lorraine zrozumiała milczący komentarz i zarumieniła się ze wstydu.

Nacisnął dźwignię ukrytą pomiędzy cegłami. W ścianie z głuchym rumorem otwarło się przejście.

– Zapraszam. – Wyciągnął rękę.

* * *

Reohan ar Vithanare, nieruchomy jak rzeźba, wpatrywał się w mapę Podziemi. Umarli szeptali do niego, nie milknąc ani na chwilę. Trzecie oko golema migotało czerwono, gdy wysyłał telepatyczne rozkazy swym podwładnym i analizował ich meldunki.

4. Świątynia trzech bogiń

Znowu szli w milczeniu. Żeby Lorraine nie potykała się co chwila o gruz, Brune wyczarował światło, które teraz unosiło się nad głową dziewczyny, pokrywając otoczenie pajęczyną cieni.

Wrażenie, że jest obserwowany, towarzyszyło Żmijowi przez cały czas. *Oczy* – przypomniał sobie nagle. – *Oczy patrzą i szukają. Pętla zadziergnięta, sieć spleciona...*

Rozejrzał się uważnie, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Szeroki korytarz o gładkich ceglanych ścianach opadał łagodnie.

Było cicho. Za cicho... Krzyczący zmarszczył brwi. Instykt ostrzegał go przed czymś, co czaiło się w mroku. Żmij zatrzymał się, gestem nakazując Lorraine, by również stanęła. Ruchem dłoni zgasił zaklęty płomynek i nasłuchiwał, wstrzymując oddech.

Raptem uderzyło go palące zimno srebrnej aury, a jednocześnie do jego uszu dobiegł stłumiony chrobot oraz świergoczące cykanie.

Zrozumiał.

– Ściana, Lorraine! – syknął, chwytając dziewczynę za rękę. – Odsuń się od ściany!

Z ogłuszającym turkotem i zgrzytem kawał muru odsunął się, a wewnątrz powstałego otworu zamigotały pochodnie. Wyroiły się stamtąd krępe białe postacie. Na pancerzach golemów widniały nakreślone czarną farbą symbole – zakłęcie kamuflujące, które sprawiło, że Brune nie miał szans ich wyczuć, dopóki nie znaleźli się całkiem blisko.

Mocno ścisnął rękę dziewczyny.

– Wycofujemy się – szepnął. – Z powrotem w górę tunelu, tylko powoli...

Zaledwie po kilku krokach cykanie Jednookich przerodziło się w przeraźliwy zgiełk. Żmij zaklął.

– Dostrzegli nas! Biegnij!

Usłuchała bez zastanowienia. Kątem oka zobaczyła, jak w mroku rozkwita oślepiające światło, usłyszała mrozący krew w żyłach syk, potem łomot padających ciał.

Skręciła w pierwszy boczny korytarz, zatrzymała się, oddychając ciężko. Żmij dogonił ją niemal natychmiast.

– Powstrzymałem ich – mruknął, pocierając okaleczony policzek. – Ale pewnie nie na długo. Idziemy, szybko! Nie tamtędy. Tędy!

W dół, w dół; prowadził ją przez wąskie przejścia, na wpół zablokowane zwałami gruzu i błota. Potykała się, raz omal nie upadła. Żmij podtrzymał ją w porę.

Schody, kręte i śliskie. W dół, w dół, w dół.

W końcu przystanęli, nasłuchując. Wokół było cicho. Podjęli marsz. Ze stropu miarowo kapiała woda, pod nogami pojawiły się kałuże. Nagle Krzyczący zatrzymał się.

– Są przed nami – szepnął. – Nie ruszaj się. Może odejdą...

Wśród czerni zabłysł czerwony ognik. Przez chwilę trwał w bezruchu, potem powiększył się i znów się zatrzymał. W końcu zgasł. Żmij odetchnął, ale się nie poruszył.

– Lepiej zaczekajmy. Nie podoba mi się, że tak łatwo mnie odnajdują... O, szlag!

Czerwony ognik zapłonął ponownie, znacznie bliżej. Rósł. Podzielił się na dwa, cztery, pięć światełek. Pięcioro oczu.

Żmij wyszeptał kilka słów w mowie magów i z posadzki strzeliły w górę sine płomienie, ogarniając Jednookich. Golemy nie miały jak się wycofać – zapalając ogień, jednocześnie otoczył ich niewidzialną barierą zaklęcia tarczy.

Syk. Odblaski zatańczyły na ścianach tunelu.

Smród rozgrzanego metalu i spalonego mięsa.

– Zabiłeś ich! – szepnęła Lorraine, czując mdłości.

Wzruszył ramionami.

– Byli blisko. A ja miałem szczęście, że dali się zaskoczyć. Chodź.

Posłusznie ruszyła za nim. Poszli w dół tunelu, zostawiając za sobą poskręcane, dymiące ciała. Jeden z golemów poruszył się, wydał słaby dźwięk i znieruchomiał na powrót.

* * *

Szli długo. Zbyt długo. Krzyczący zaczynał się już zastanawiać, czy nie zmylił drogi.

Potem zobaczył blokadę. Spiętrzone deski, gruz i ziemia zagradzały tunel, wznosząc się aż pod sklepienie.

Rozejrzał się czujnie, ale w pobliżu nie było ani śladu Jednookich.

– Zawracamy, Lorraine.

Jeszcze kilkakrotnie napotykali podobne blokady, najwyraźniej wzniesione niedawno i w pośpiechu. Brune zrozumiał, że zagrodzono wszystkie korytarze przebiegające pod rzeką, uniemożliwiając zwierzyńce przemknięcie się na drugi brzeg.

Krąg zaciska się, pętla zadzierzgnięta, sieć spleciona. Niech to szlag.

Tę część lochów znał słabo, a po kilku zmianach kierunku do reszty stracił orientację. Szedł na oślep, dziwiąc się otaczającej go ciszy, w każdej chwili spodziewając się, że w mroku błysną szkarłatne ślepie i rozlegnie się złowróźbny, miarowy, cichy odgłos...

Doczekał się.

– Tym razem nie uciekniemy – powiedziała z zadziwiającym spokojem Lorraine, patrząc na zbliżające się golemy. – Nadchodzą z dwóch stron.

– Jeszcze zobaczymy – warknął żmij.

Wyciągnął przed siebie ręce, jego twarz wykrzywił skurcz. Lorraine ujrzała, że mrok naokoło zaczyna pulsować i tężeć, przybierając fantastyczne kształty. W jej skroniach zatętniła krew, zimny pot wystąpił na skórę. W zabandażowanych dłoniach zbudził się ból.

A potem wszystko pochłonął chaos.

Pojawiające się znikąd czarne kłęby oblepiły skórę, wdzierały się do nosa, do ust. Potworny strach sparaliżował ją, ścisnął za gardło, przenikał każdą cząstkę ciała... Uciekać! Uciekać! Uciekaj, Lorraine!

– Lorraine!

Powoli wracała do rzeczywistości. Kuliła się oparta o ścianę; żmij starał się ją ocucić, klepiąc delikatnie po twarzy. Nad jego głową tańczyło zaczarowane światelko.

– Przepraszam – powiedział. – Powinienem przewidzieć, że ta sztuczka podziała też na ciebie.

– Krwawisz – wykrztusiła.

– Wiem. – Wyjął z rękawa chustkę i przyłożył do nosa. – Wstań,

szybko. Droga wolna.

– A oni?

– Uciekli. – W słabym świetle jego twarz przybrała taki wyraz, że dziewczynę przeszedł dreszcz. – Nie tolerują czerni w tej dawce. Chodź, tędy.

Skreśli na rozwidleniu w lewo i przez jakiś czas szli wąskim korytarzem. Lorraine zauważyła, że *ka-ira* przesuwając końcami palców po ścianie i stłumiła strach – wiedziała, że siły magów są ograniczone, a taki zryw, jak przed chwilą, musiał go mocno zmęczyć.

– Wszystko w porządku? – spytała. Odmruknął mało uprzejmie, a w następnej chwili zatrzymał się.

– Cholera! Wiedziałem.

Korytarz kończył się ścianą. Pod kątem prostym odchodził od niego drugi, jeszcze węższy, z którego wydobywał się obrzydliwy smród. Na posadzce zalegała warstwa gnijących śmieci. Lorraine niepewnie popatrzyła na towarzysza.

– Co teraz?

– Nie wiem. Muszę pomyśleć. – Oparł się o ścianę, nadal przyciskając do nosa chustkę. Odjął ją po chwili, upewniając się, że krew przestała płynąć.

Nagle zaklął i poderwał się, ale równie szybko się uspokoił. Z cuchnącego przejścia wyłoniła się postać trzymająca latarnię pełną świecącej mazi.

– Brune?

– Rożek?!

Przybysz uniósł latarnię. Był niski i barczysty, odziany w zniszczony skórzany kaftan i bryczesy. Znad jego ramienia wystawała rękojeść broni. Lorraine wzdrygnęła się na widok kosmatej twarzy zwieńczonej zgrabnymi różkami.

– Tak mi się właśnie zdawało, że to na ciebie polują. W coś ty się wpakował? – Odmieniec podejrzliwie przyjrzał się dziewczynie. – Kim ona jest?

– Mniejsza z tym. – Brune z powątpiewaniem zajrzał w korytarz, gdzie piętrzyły się odpadki. – Tamtędy da się wyjść w jakieś sensowne rejony?

– Nie. – Rożek schylił się i podniósł klapę w posadzce, której ani zmij, ani Lorraine wcześniej nie zauważyli, bo była zasmarowana

błotem. – Złazimy. Ja poprowadzę. Pilnuj, żeby panienka się nie potknęła.

Z otworu wionęło wilgocią i zapachem pleśni. Ciasne, strome schody wiodły w ciemność. Dziewczyna zawahała się.

– Prędeż, na co czekasz? – Brune popchnął ją lekko.

* * *

Reohan ar Vithanare beznamiętnie wysłuchał kolejnego raportu.

– Świątynia trzech bogiń – powtórzył, gdy cykanie Jednookich ucichło. – A więc tam poszukał schronienia. Doskonale.

Podjął decyzję. Rozkazał, by przyniesiono jego hełm i broń. A także biały płaszcz z wyhaftowanym srebrną nicią pentagramem.

* * *

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Rożek, gdy precyzyjnie się przez drzwi u podnóża schodów, w połowie zablokowane gruzem.

Krzyczący rozejrzał się nieufnie. Krypta była obszerna, wypełniona rzędami połamanych kolumn. Aurę miała dziwną, choć nie potrafił określić, na czym ta dziwność polega. Obejrzał się – kilkadziesiąt kroków dalej znajdowało się główne wejście, zamurowane.

– Świątynia trzech bogiń – powiedział odmieniec takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. – Chodźcie.

Poprowadził ich przejściem między kolumnami. Wyszli na niedużą wolną przestrzeń, pośrodku której wznosił się ołtarz z trzema posągami. U jego podnóża stał słoiczek wypełniony świecą ciecżą i leżał uschnięty wieniec.

Marmurowe boginie, niemal nietknięte zębem czasu, obojętnie spoglądały w przestrzeń. Ich rzeźbione szaty opadały ciężkimi, prostymi fałdami. Jedna z postaci trzymała w ręku oliwną lampkę, wokół nadgarstka drugiej owijał się wąż, na ramieniu trzeciej siedział gołąb.

Araya, Leleya, Tanaya. Lub w mowie magów – Arethe, Lylithe i Tanathe. Bogini światła, bogini ziemi i bogini śmierci.

Lorraine ze zrezygnowaną miną usiadła u stóp ołtarza. Wiedziała, że ubrudzi płaszcz kurzem, ale nie miała siły, by się tym przejmować.

– Chłopczy Helshora niedawno odkryli to miejsce – wyjaśnił Rożek.
– Jednoocy nie mogą tu wejść.

– Jak to nie mogą?

– Ty się znasz na takich rzeczach lepiej niż ja. Grunt, że nie mogą, sam widziałem. Zatrzymują się u wejścia i ani kroku dalej. Poniektórzy już załapali, że można tu zostawiać łupy. – Odmieniec uśmiechnął się złośliwie, wskazując kilka pakunków leżących w kącie za ołtarzem. Z jednego wystawał fragment zrolowanego dywanu, z drugiego, zbyt luźno związanego, wysuwał się rękaw futrzanej szuby.

Brune też się uśmiechnął, bo wokół pakunków wyczuł znajome wibracje czaru przeciw kradzieży. O ile się nie mylił, pokropiono je specyfikiem znanym jako lisi olejek, który on sam regularnie sporządzał dla zebraczego króla w ramach wymiany przysług. No cóż, złodzieje też nie lubią być okradani.

Przestał się uśmiechać, gdy wyczuł w pobliżu obecność umarłych. Świątynia, w której od wielu lat nie modlono się i nie składano ofiar, nie stanowiła dla nich zakazanego terenu. Gromadzili się tuż poza granicą światła, na razie niewidzialni, ale wyraźnie słyszał ich szepty.

Chełpili się swoją rolą w wydarzeniach ostatniego dnia. Tak jak podejrzewał, to oni przemówili do Cagliostro. Oni wywabili z domu Lorraine. I oczywiście to oni poszczuli na niego srebrnych, żeby móc sobie poogłądać polowanie z nagonką. Bawili się nim jak marionetką.

Musicie się naprawdę bardzo nudzić – skomentował w myślach, wiedząc, że usłyszą.

To też – przyznali chórem. – *Ale przede wszystkim nie lubimy cię, pionku demonów.*

Brune dotknął ukrytej w kieszeni gemmy i poruszył palcami, koncentrując się. Wiedział, że może ich tylko przegnać na jakiś czas z powrotem do szarego wymiaru, nie zniszczyć, lecz pokusa dania im nauzki była silna.

Uważajcie na słowa, mogę was zaraz poczęstować czymś miłym.

Ich zwielokrotniony chichot – jak trzepot nietoperzy.

Lepiej oszczędzaj siły. Będą ci potrzebne.

Tknięty nagłym podejrzeniem, zmij sięgnął umysłem w przestrzeń, dalej i wyżej – tak daleko, jak tylko mógł. Poczuł, że ogarnia go chłód.

– Uciekaj – polecił odmiencowi. – Nic tu po tobie.

– Ale...

– Już dość nam pomogłeś. Uciekaj – powtórzył Krzyczący. – Ale nie tymi drzwiami, którymi przyszliśmy, z tamtej strony już się zbliża towarzystwo.

Rożek musiał się zorientować po tonie jego głosu, że najrozsądniej będzie usłuchać. Zabrał latarnię i pobiegł do drugiego bocznego wyjścia, mającego za kolumnami.

– Co się dzieje? – spytała przestraszona Lorraine.

– Nadchodzi jeszcze jeden myśliwy Elity. To Trójjoki, który w walce wart jest prawie tyle samo, co srebrny mag. Może Jednoocy nie są w stanie tutaj wejść, ale on na pewno będzie mógł.

– Więc na co czekasz, uciekajmy!

– Za późno. – Rysy Krzyczącego drgnęły w tiku. – Jest już na tyle blisko, że wyczuwam jego obecność, a on moją. Zaczekam tu na niego.

Lorraine potrzebowała paru sekund, żeby przyswoić tę informację. Nagle zrobiła ruch, jakby chciała się zerwać do ucieczki, ale żmij chwycił ją i zmusił, żeby usiadła z powrotem.

– O nie, chwileczkę. Ty jesteś mi potrzebna.

Zanim zdążyła zaprotestować, przycisnął dłonie do jej skroni. Czerpał oszczędnie; była osłabiona przez klątwę, nie chciał, żeby zemdlą. Dałby wiele za lepszą żyłę.

Kiedy cofnął ręce, dziewczyna z jękiem wymamrotała przekleństwo, o którego znajomość jej nie posądzał.

– Przykro mi. – Lekko dotknął jej policzka. – Tkwimy w tym bagnie razem.

Lorraine popatrzyła na niego z miną, która starczyła za cały komentarz.

– Posłuchaj – podjął spokojnie. – Elicie chodzi przede wszystkim o mnie. Jeśli teraz opuścisz świątynię, masz jeszcze szansę stąd uciec. Zabierz lampkę sprzed ołtarza i wyjdź tymi drzwiami, co Rożek. Omijaj korytarze, gdzie leży dużo gruzu, i kieruj się cały czas w górę. Prędzej czy później spotkasz ludzi albo odmieńców. Poproś, żeby cię zaprowadzili do Starucha lub do starego Veljanova, zapamiętasz? Jeśli wyjdę cało z tej historii, znajdę cię. Jeśli nie, no cóż, tu w Podziemiach możesz żyć z klątwą nawet przez długie lata. Ten czar prawie na pewno uaktywniany jest przez światło dzienne. Dopóki będziesz się trzymać lochów i wychodzić na powierzchnię tylko w nocy, zmiany na dłoniach nie będą się rozszerzały na resztę ciała.

– Nie! – Dziewczyna wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać. – Nie będę gnąć pod ziemią z żebrakami i odmieńcami! Wszystko jest lepsze niż to!

– Jak uważasz – odparł, wzruszając ramionami.

Rozejrzał się z niepokojem, bo zdał sobie sprawę, że szepty umarłych ucichły. Czekali, jak publiczność w teatrze przed mającym się rozpocząć spektaklem.

* * *

Reohan ar Vithanare zignorował biegnącego odmieńca, którego obecność wyczuł w sąsiednim korytarzu. Niech stwór ucieka, jeśli chce. Homunkulusy gończe z łatwością odnajdą jego ślad, jeśli zajdzie potrzeba. Później. W tej chwili Reohan miał na oku dużo cenniejszy łup.

Schodził, podzwaniając rynsztunkiem, a jego oczy płonęły w otworach hełmu.

Nie próbuj się wymknąć, szcurze. Dopadnę cię i tak.

* * *

Sekundy i minuty wydawały się płynąć nieubłaganie wolno. Lorraine niepewnie spojrzała na żmija.

– Czy nie lepiej byłoby...

– Sza! – Uciszył ją ruchem ręki. Nasłuchiwał w napięciu.

Tak jak się spodziewał, po chwili usłyszeli przybliżające się ciężkie kroki; mury i sklepienie wydawały się drżeć od ich zwielokrotnionego echa.

– Mamy towarzystwo. – Brune, raptem bardzo spokojny, wyjął sztylet; ostrze wydłużyło się w rapier. – Cofnij się pod ścianę, Lorraine.

Szepnął kilka słów i ciemność otuliła go jak płaszcz. Dziewczynę nagle zmroziła myśl, że może jego powierzchowność była tylko maską, pod którą kryje się potwór rodem ze snów.

Krzyżący utkwiał wzrok w klindze broni. Przed jego oczami zjawilo się to, czego potrzebował.

Popielista równina, jęczący potępieńcy, pędzeni batami.
Płonące zwłoki żebraków, a w tle zamilkły w przerażeniu tłum.
Demon wrzeszczący bezsilnie w palącej się enklawie.

Poczuł, jak czerń wzbiera w nim, podobna do gorącej fali.

* * *

U wejścia do świątyni Reohan przystanął. Skoncentrował się, oczyszczając umysł z niepotrzebnych myśli i obrazów. Opuszczając wewnętrzne bariery, pozwolił, by siła Zmroczy wezbrała w nim i rozjarzyła się, przyćmiewając wszystko inne.

Zanurzył się w mrocznym wnętrzu – olbrzym zakuty w stal. Dudnienie jego kroków budziło echo wśród połamanych kolumn.

Wróg czekał na niego u stóp ołtarza – spowita cieniem postać o rozjarzonych źrenicach. Jego aura była niczym przepaść, okno prowadzące w pustkę. Dzierżył rapier.

Reohan dobył miecza. Wypełniające umysł srebrne płomienie błyszczały coraz jaśniej.

– Poddaj się dobrowolnie, *ka-ira*. Oszczędzi ci to bólu.

Żmij patrzył na niego obojętnie. Otaczające go cienie wydawały się falować i gęstnieć.

Nagle bez ostrzeżenia skoczył naprzód. Stal szczęknęła o stal. Lorraine obserwowała ich bez tchu.

To było niczym walka dwóch demonów. I ten drobniejszy, szczupły, z pozoru słabszy – miał przewagę. Nawet nie próbował parować ciosów ciężkiego miecza; tańczył, zwijał się w unikach. I atakował, wykorzystując fakt, że zasłona hełmu ogranicza golemowi pole widzenia, a co ważniejsze – Trójoki jest zbyt powolny, by uniknąć szybkich pchnięć rapiera, i musi polegać na swoim pancerzu.

Odskoczyli od siebie, okrążali się wolno, czujnie. Z rany na udzie golema sączył się mleczny płyn.

Reohan postanowił zmienić taktykę. Wykorzystując moc wypełniającą jego wnętrze, bez ostrzeżenia cisnął lewą ręką kulę białego ognia, jedną, potem drugą. *Ka-ira* uniósł dłoń i oba pociski przyhamowały w powietrzu, potem rozsypały się w eksplozji iskier.

– Musisz się bardziej postarać. – Tik wykrzywił przeciętą szramami

twarz.

Trójjoki poczuł wzbierający gniew. Blask srebrnych płomieni w jego umyśle osiągnął apogeum; cały świat wydał się zastygać, zatrzymany w pół ruchu. Reohan nakreślił mieczem w powietrzu trzy symbole, uwalniając kaskadę mocy.

Oślepiające światło zalało świątynię. Rozległ się grzmot, wprawiający mury w drżenie. W powietrzu zmaterializował się huczący wir; nie woda, lecz srebrna magia w najczystszej postaci, skłębiona i drapieżna. Świetliste jęzory otoczyły *ka-ira* szczelnym kokonem, skrępowały ręce i nogi. Szamotał się, daremnie próbując odzyskać wolność, z każdą chwilą bliższy wchłonięcia i unicestwienia. Reohan śmiał się, obserwując wysiłki przeciwnika, coraz bardziej niezdarne i nieporadne.

Nagle śmiech zamarł mu na ustach. Jego czar słabł! Srebro traciło moc, czerniało... Ciemność pożerała od środka świetlny kokon, i wkrótce światło zgasło. Żmij wyprostował się! Odrzucił rapier! Wyciągnął rękę!

Bezgłośnie uderzenie czarnego huraganu

(kontrzakłęcie)

zwalilo Reohana z nóg.

(wirowanie)

(wirowanie wirowanie)

Nawet nie poczuł, że upada.

Nie stracił przytomności. Szarpnięciem podniesiono mu głowę. Przyłbica spadła z brzękiem. Zmasakrowane trzecie oko sklejał lepki płyn; mleczna maź płynęła z nosa, sączyła się spomiędzy rozbitych warg. Trójjoki krztusił się i jęczał.

Cienie otaczające żmija rozwiały się. Reohan popatrzył wprost w naznaczoną bliznami twarz wroga. Zajrzał w oczy tamtego – i już wiedział. Wiedział ponad wszelką wątpliwość, jak zakończy się to spotkanie.

– Koniec drogi – syknął *ka-ira*, unosząc dłoń. Reohan wrzasnął, czując, jak fala bólu przeżera mu wnętrzności.

Zakłęcie – trzy

(czern)

krótkie słowa.

(zapach siarki)

Potem otchłań, otchłań pełna ognia, kipiąca lawą. Rozwiera się w górze i w dole, przybliża się, pochłania wszystko...

* * *

Śmierć Trójkiego była niczym jaskrawy rozbłysk, który wybuchł w głowie Iglendis, na chwilę odbierając jej oddech i zdolność myślenia.

Zachwiała się, oparła o ścianę. Usiadła, ciężko oddychając. Jedynie wieloletni trening pozwolił jej teraz odepchnąć emocje, opanować się.

Wiedziała, co się stało. Wiedziała też, co musi zrobić w tej sytuacji.

Ostatnia szansa, by zmazać hańbę.

Reohan był dziełem jej rąk, a wcześniej – jej uczniem. Gdyby musiała, odnalazłaby go nawet na drugim końcu sfer.

Zacisnęła w dłoni swój srebrny medalion i skupiła się, wyrzucając z umysłu wszystko, co zbędne, cały niepotrzebny teraz chaos myśli, gniewu, przerażenia.

Jasności, bądź ze mną. Daj mi siłę.

Srebrna moc rozjarzyła się w niej jak latarnia, a pod powiekami zjawiał się obraz przywołany przez dar. I Iglendis zdematerializowała się, podążając tam – w miejsce, które widziała wewnętrznym wzrokiem. Świątynia... ołtarz... zwłoki...

Nie dotarła do celu.

Szara mgła spadła na nią znikąd, oślepiła ją i wypchnęła z przestrzeni między wymiarami. Czarodziejka zmaterializowała się tak gwałtownie, że nie zdołała ustać; usiadła ciężko na zimnym, nieprzyjemnie wilgotnym spągu. Jej ręka dotknęła czegoś miękkiego, co uciekło z piskiem.

Iglendis, oszołomiona, potrząsnęła głową. Czowała smród spalenizny. Wokół, w mdłej poświacie pękniętej lampy, piętrzyły się roztrzaskane i osmalone zwłoki golemów.

Więc już nawet nad własnym darem nie była w stanie zapanować!... To była jej pierwsza myśl. A druga, pełna lodowatej wściekłości – to umarli. Umarli ją oszukali, wykorzystali i zdradzili.

Poczuła ucisk w gardle, z trudem opanowała mdłości. Jedna błędna decyzja – i świat zawalił się wokół niej. Oszukała zwierznika... Postawiła wszystko na jedną kartę; gdyby jej się powiodło, to Demetheos wyszedłby na starego głupca, tyrana, który nie pozwala

podwładnym działać wedle uznania i rozwijać się tak, jak na to zasługują.

Teraz mogła jedynie wrócić do koszar i stawić czoła temu, co ją tam czekało.

* * *

Krzyczący w Ciemności zmusił się, żeby oddychać głęboko i równo. Uspokajał się powoli.

Zafascynowany obserwował, co dzieje się ze zwłokami Trójjokiego. W miarę, jak zanikało wiążące je zakłęcie, mięśnie, ścięgna i kości rozpadały się; proces rozkładu przyspieszony dwudziestokrotnie, stukrotnie... Trup poczerniał w oczach, kurczył się i zsychał, aż zmienił się w pokraczny ochłap. Metalowy hełm, pancerz i broń rozkruszyły się, przezarte rozkwitła nagle rdzą; biały płaszcz pożarła kłaczkowata pleśń. W końcu pozostał jedynie szarawy miał, taki sam jak kurz, który pokrywał posadzkę świątyni.

Boginie beznamyślnie spoglądały z wysokiego ołtarza. Dokonało się to, co miało się dokonać.

Nagle ciemność na powrót zgęstniała, ożyła mnóstwem nienawistnych szeptów. Umarli wyłonili się dziesiątkami ze ścian i sklepienia, w okamgnieniu wypełniając salę. Posuwali się do przodu wolno, lecz nieubłaganie.

Oddaj nam dziewczynę. Jest nasza.

Krzyczący z powrotem przywołał cień, otulił się nim; tylko jego oczy płonęły żółto.

– Chcecie walczyć?

Zawahali się, sycząc złowrogo.

– Chcecie walczyć?! – Uniósł rapier i poruszył palcami lewej ręki, szykując zakłęcie.

Nie byli gotowi na konfrontację. Cofali się i uciekali, znikając w mroku.

Żmij odwrócił się. Lorraine dygotała, skulona pod murem.

– Idziemy. – Pomógł jej wstać. – Postaraj się nie mdleć jeszcze przez chwilę.

* * *

W komnacie z kolekcją osobliwości Demetheos oderwał się z krzykiem od kryształu, przeszyty bólem, który przez sekundę wibrował we wszystkich włóknach ciała.

Obrazy unoszące się w fioletowej przestrzeni rozprysły się jak pękająca bańka mydlana.

Opiekun Miasta ciężko oparł się o mur, stopniowo odzyskując jasność myślenia. Wypchane ptaki i zwierzęta obserwowały go szklanymi oczami.

Wiedział, co się stało. Zginął Trójjoki.

Ochłonawszy, wspiął się po schodach na taras, skąd mógł łatwo ogarnąć wzrokiem niebo, a umysłem sięgnąć ku aurze miasta, którego światła błyszczały w oddali. Widząc rozjarzające się pomiędzy gwiazdami czerwone linie, na razie jeszcze cienkie jak pajęcza sieć, wydobyl z pasa srebrny sztylet. Szepcząc odpowiednie słowa, naciął przedramię na tyle głęboko, żeby popłynęła krew. Nakreślił nią na marmurowych płytach tarasu pentagram, a wokół niego zaczął szybko rysować kredą dalsze magiczne figury, powstrzymując zachwianie w zarodku, jakby gasił zarzewie pożaru.

Skończywszy, już miał się udać do komnaty na najwyższym piętrze wieży, wyposażonej w aparaturę do rozmów na odległość, żeby skontaktować się z garnizonem w Podziemiach. Przedtem jednak, tknięty nagłym podejrzeniem, zszedł z powrotem na dół i bacznie przyjrzał się gwiazdnemu kryształowi.

* * *

Kłódka otwarła się z cichym szcęknięciem.

– Wchodź – powiedział Krzyczący. – Nie bój się.

Lorraine z ociąganiem przestąpiła próg.

W pierwszej kolejności uderzył ją zapach. Dziwna, nawet przyjemna mieszanka woni dymu, kamfory, siarki oraz ziół. Dziewczyna rozejrzała się nieufnie. Pomieszczenie wyglądało jak utrzymany we względnym porządku warsztat alchemika. Na haku wbitym w mur wisiała latarnia wypełniona świecą mazią. Na stole i półkach stały naczynia o dziwnych kształtach, piętrzyły się książki, na murach widniały symbole nakreślone kredą i węglem.

W kącie znajdowało się posłanie przykryte kocami. Dotarło do niej,

że *ka-ira* zabrał ją do swego domu. Ogarnęła ją obezwładniająca pewność, że jednak nie wyjdzie żywa z tej przygody.

Przecież nie będzie ryzykował, że go wyda władzom.

Ka-ira właśnie ryglował drzwi. Lorraine spuściła głowę z lodowatą świadomością, że czarny mag może z nią teraz zrobić absolutnie wszystko, a potem ją zabić. I nikt się nigdy nie dowie.

Brune tymczasem zawahał się, niepewny, co powiedzieć. Nie przywykł do cudzej obecności w swoim prywatnym azylu.

W kryjówce było zimno jak w psiarni, więc ukląkł przy palenisku. Nauczony doświadczeniem, zawsze przed wyjściem zabezpieczał je zaklęciem tak, że żar mógł się tlić pod warstwą popiołu nawet przez dwie doby. Dołożył drewna i rozdmuchał ogień, potem ściągnął z półki butelkę winiaku.

– Chcesz?

Pokręciła przecząco głową. Brune nalał sobie kieliszek i wypił jednym haustem. Był zbyt zmęczony i rozbity, żeby się przejmować, co pomyśli arystokratka, widząc to.

Płomień liżący od spodu suche polano objął je w całości, strzelając wesoło, i kryjówka od razu wydała się przyjaźniejszym miejscem. Lorraine przykucnęła blisko paleniska. Nadal wyglądała na oszołomioną i wystraszoną.

Żmij nastawił wodę na herbatę, potem usiadł obok dziewczyny, zwabiony ciepłym ognia. Dopiero teraz uświadomił sobie, do jakiego stopnia zmęczyły go wydarzenia ostatniej nocy.

Kiedy woda zaczęła wrzeć, nasypał do kubków jednej ze swoich ziołowych mieszanek.

– Chcesz coś do jedzenia? – spytał.

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy – nie miał ochoty dociekać, czy z emocji nie czuła głodu, czy mdliło ją na myśl o przyjęciu poczęstunku od mieszkańca Podziemi. Podał jej kubek z herbatą. Wzięła z ociąganiem.

– Nie bój się. Niczym się nie zarazisz – rzucił. Odwróciła głowę i zagryzła wargi, wyraźnie powstrzymując łzy. Wsłuchawszy się w jej myśli, zrozumiał, że to, co brał za źle maskowany wstręt, tak naprawdę było tłumionym przerażeniem.

No tak, psiakrew, a czego się spodziewałeś? Jesteś czarnym magiem, straszą tobą dzieci.

Bolała go głowa, więc zdjął z półki buteleczkę z ekstraktem z lucyferii i wlał do swojego kubka porządną dawkę, nie bawiąc się w liczenie kropeł.

– Lorraine, wyjaśnijmy sobie jedno – westchnął. – Nie zrobię ci nic złego.

Czujne spojrzenie zielonych oczu.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś?

– Żeby zdjąć z ciebie tę nieszczęsną klątwę, między innymi.

– Kiedy zamierzasz to zrobić?

– Cierpliwości.

Widział, że zacisnęła zęby, ale nie odważyła się nic powiedzieć. Jakiś czas siedzieli w milczeniu; ciszę przerywało jedynie trzaskanie ognia. W kryjówce zrobiło się na tyle ciepło, że Lorraine zdjęła płaszcz. Krzywiąc się, próbowała oczyścić czarną spódnicę z pajęczyn, kurzu i śladów wyschniętego błota. W końcu Brune potarł skroń. Alkohol i lucyferia trochę pomogły, ból stał się mniej dokuczliwy.

– Pokaż ręce.

Wyciągnęła zabandażowane dłonie, pozwalając, żeby zamknął je w swoich. Skupił się, bez pośpiechu badając aurę dziewczyny oraz vibracje czaru.

– Dla kogo była przeznaczona ta klątwa, nie wiesz czasem? – spytał i wyczuł, że Lorraine zadrżała.

– Czemu pytasz? To ważne?

– Ważne. Klątwy kieruje się na imię, na przedmiot należący do ofiary albo na krew. Ta została nakierowana na krew. Musiała być przeznaczona dla kogoś, kto jest z tobą blisko spokrewniony, inaczej najprawdopodobniej nie mogłaby ci zaszkodzić. Ale to znaczy... – Zawahał się. Nie był pewny, czy powinien z nią rozmawiać o takich rzeczach. – Powiem ci tak. Klątw tego kalibru lepiej nie rzucać, nie mając po temu powodu, w przeciwnym wypadku porażą rzucającego.

Lorraine przygryzła wargę.

– Zawsze wiedziałam, że ktoś kiedyś spróbuje zabić mojego ojca – powiedziała pozornie obojętnym tonem, patrząc w dogasające płomienie. – No cóż, niech się nie zniechęca, może następnym razem się uda. Mnie wystarczy do szczęścia, jeśli nigdy do niego nie wrócę.

Nie jest powiedziane, że przyjąłby cię z powrotem – skomentował w myślach zmij. – Zwłaszcza że najprawdopodobniej musiałby zapłacić

srebrnym, i to sporo, żeby cię zostawili w spokoju.

– Czemu ktoś miałby chcieć zabijać twojego ojca?

– Gdybyś go znał, nie musiałbyś pytać. Ale ponieważ nie znasz, nie powiem ci.

Brune nie miał ochoty wdawać się w szermierkę słowną z szesnastolatką. Nadal trzymał jej dłonie w swoich, więc ponownie sięgnął ku jej umysłowi, bez trudu odczytując to, co chciał wiedzieć. Westchnął znowu.

– Cały kłopot w tym, że ciężko wymyślić, dokąd mogłabyś pójść. Rodzina będzie cię szukać, na własną rękę lub w porozumieniu ze srebrnymi.

A jeśli twój uroczy tatuś pozwoli, żeby srebrni cię przesłuchali, bardzo szybko trafią po nitce do kłębka, czyli do mnie.

– Coś wymyślę. – Dziewczyna nadal unikała jego wzroku.

– Lorraine, sprawa nie jest prosta. Naprawdę nie wiem, co ci doradzić.

– Nie musisz mi nic doradzać, magu! – wybuchnęła. – Czy prosiłam o to? Wystarczy, że mnie uzdrowisz. Jeżeli potrafisz.

Na bogów, dzieciaku. Tak, potrafię. A później będę musiał ci zmienić wygląd i zastanowić się, komu cię oddać pod opiekę. Przecież cię nie sprzedam do zamtuza.

Jakbym, cholera, nie miał dość własnych kłopotów.

Sięgnął po grymuar i wertował go, aż znalazł właściwą stronę. Wyjął sztylet i nakreślił w powietrzu nad głową Lorraine odpowiednie znaki, uważając, żeby się nie pomylić.

– Zamknij oczy – polecił.

Drgnęła, gdy przyłożył jej ręce do skroni. Skupił się na kłątwie, którą widział wewnętrznym wzrokiem jako czarną, bezkształtną masę, lgnącą do dziewczyny niczym smoła. Wypowiedział rozkaz w mowie magów i poczuł uderzenie ciepła – jak przy czerpaniu, tylko silniej, na granicy bólu – a potem euforyzujący przypływ energii.

Lorraine krzyknęła cicho. Podniosła dłonie – bandaże na jej oczach rwały się i odpadały. Z niedowierzaniem poruszyła palcami.

– Zdjąłeś kłatwę... naprawdę ją zdjąłeś!

Brune wzruszył ramionami.

– Widywałem silniejsze czary.

Gdyby zaklęcie było przeznaczone imiennie dla Lorraine, oczywiście

nie mógłby jej wyleczyć w tak prosty sposób. Istniały bardziej skomplikowane, ale dziewczyna i tak prawie na pewno zmarłaby tuż po zdjęciu klątwy.

Pozbierał strzępy bandaży; nie chciał, żeby ich dotykała po wyleczeniu. Należało je spalić, ale niekoniecznie we własnym kominku.

– A jak będzie z zapłatą? – spytała dziewczyna tonem, który w zamierzeniu miał być wyzywający, ale zdradzało ją drżenie głosu. – Przecież wiem, że wy nigdy nie pomagacie za darmo.

– Rychło w czas sobie przypomniałaś – prychnął. – Nie bój się. Wystarczy, że dostanę na przykład to. – Wskazał oprawiony w złoto medalion, który nosiła na szyi.

Lorraine w milczeniu podała mu ozdobę. Brune zawinął medalion w jedwabną chustkę i odłożył na półkę.

– A tak w ogóle – podjął, coś sobie uświadomiwszy – przez te wszystkie atrakcje chyba się nie przedstawiłem. Brune Keare. – Wyciągnął dłoń, którą dziewczyna uściśniła po chwili zawahania.

– Czy to na ciebie mówią Krzyczący w Ciemności?

Żmij, który sądził, że tej nocy już doprawdy nic go nie zdziwi, zamarł.

– Skąd wiesz? – spytał gwałtownie.

– Mój o... ojciec interesuje się skażoną magią – wyjąkała Lorraine, spuszczać wzrok. – Przychodzą do niego różni ludzie... Twoje imię obito mi się kiedyś o uszy.

– Twój ojciec jest fałszywym magiem? – Oczy żmija się zwięzły. – Nevers... Czyżby hrabia Ephrestus Dorian Nevers?

– Słyszałeś o nim?

– Coś niecoś. No cóż, zła i dobra wiadomość zarazem jest taka, że przypuszczalnie więcej go nie zobaczysz. Nie możesz wrócić do domu, bo szybko zainteresowałiby się tobą słudzy Elity.

Lorraine słuchała z otwartymi ustami, zaskoczona i przerażona.

– Posłuchaj – podjął łagodniej. – Nie wiem jeszcze, co z tobą będzie, ale nie bój się. Spróbuję znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie. Na początek zadbam o to, żeby wścibskie oczy nie mogły cię łatwo wypatrzeć.

Oczyścił róg stołu, zestawiając na podłogę kilka kolb oraz stosik szpargałów, otworzył grymuar i zaczął się rozglądać za tym, czego

potrzebował. Przechowywał w kryjówce spory zapas składników mikstur – tynktury i olejki, sproszkowane minerały, suszone zioła, grzyby i owady. Część tej prywatnej apteki skompletował na własną rękę, na łąkach nad rzeką i na wzgórzach za miastem. Inne substancje kupował, niekiedy za spore pieniądze, lub dostawał po znajomości od alchemików, z którymi współpracował.

Napełnił czysty kubek do połowy winem, odmierzył doń po dwadzieścia kropel tynktur z żarnowca i ropuszego ziela. Dodał łyżeczkę tego, co księgi nazywały morską esencją, czyli pereł rozpuszczonych w occie, szczyptę sproszkowanych ciem oraz łyżkę miodu, uwzględnioną w przepisie tylko po to, żeby poprawić smak mikstury. Zacisnął w dłoni gemmę Władcy Much i długo szeptał zaklęcia; potem podsunął kubek dziewczynie.

– Ten napój zmieni ci wygląd na tyle, żeby nie można cię było łatwo rozpoznać. Wypij i połóż się. Zaśniesz.

– Jak to zmieni mi wygląd? – Lorraine wyglądała na spłoszoną.

– Tak to. – Pokazał jej rycinę w grymuarze, która przedstawiała ludzi poddanych działaniu specyfiku. – Nic złego ci się nie stanie, nie bój się. Czar będzie się trzymał przez jakieś dwa, trzy tygodnie, później stopniowo wrócisz do własnej postaci, ale do tego czasu, mam nadzieję, przestanie to być istotne.

– Chyba oszalałeś, jeśli sądzisz, że to wypiję.

Brune stracił cierpliwość.

– Posłuchaj, królewno. – Nawet nie podniósł głosu, wystarczyło, że popatrzył jej prosto w twarz i Lorraine nagle straciła rezon. – Ty nie chcesz wracać do ojca. Ja nie chcę, żebyś się dostała w ręce srebrnych. Nie zamierzam cię postarzyć ani oszpecić, nie bój się. Czy w końcu dotrze do ciebie, że próbuję ci pomóc? A może i prościej byłoby cię zamienić w żabę, słowo daję.

Z miną kogoś, kto idzie na szafot, dziewczyna bez dalszych protestów wychyliła zawartość kubka.

* * *

W koszarach Iglendis ar Vanth patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Znała już bilans nieudanej obławy. Szesnaście golemów

uszkodzonych w stopniu wykluczającym naprawę. Ciała Reohana ar Vithanare nie udało się odzyskać.

Popełniła błąd. Wiedziała, jakie będą konsekwencje.

Mogłaby uciec. Miała dość czasu, by otworzyć portal w zaświaty; w labiryncie sfer mogliby jej poszukiwać latami. Lecz była mistrzynią Elity i duma nie pozwalała jej wybrać takiego rozwiązania.

Ucieczka w śmierć także nie wchodziła w grę. Poświęcenie własnego życia w imię wyższego celu przynosiło magowi sławę i honor; samobójstwo popełnione po to, by uniknąć konsekwencji własnych błędów, było hańbą. Tak mógł postąpić zwykły, słaby człowiek. Przywołałiby jej ducha z powrotem tylko po to, by wymierzyć karę.

Gdy wyczuła, że nadchodzą, nie poruszyła się. Była mistrzynią Elity. Strach nie przystoi srebru.

Drzwi sali otworzyły się. Najpierw wkroczyli żołnierze ze znakiem pentagramu na napierśnikach, za nimi Demetheos ar Kel i trzech akolitów. Spięci, gotowi do walki.

Wstała, patrząc im w oczy bez drgnienia. Wiedziała, co usłyszy.

– Aresztujemy cię w imieniu srebra.

5. O jeden kłopot mniej

Noc rozpościerała nad miastem zimne skrzydła. Niebo od wschodu pomału zaczynało szarzeć. Krzyczący w Ciemności z ulgą przekonał się, że nie widać żadnych oznak szykującego się zachwiania. Zniszczenie Trójjokiego przedziwnym zbiegiem okoliczności musiało się wpasować w inne zdarzenia modulujące równowagę Zmroczy – lub też srebrni zareagowali w porę, wytłumiając zaburzenie Ekwilibrium, nim doszło do jego eskalacji.

Szedł cuchnącymi zaułkami szybko i bezszelestnie, kierując się zmysłami maga, aż w pobliżu Rybiej Bramy znalazł to, czego szukał. Martwy młody człowiek patrzył w niebo szklistymi oczami. Wokół niego ciemniała rozszerzająca się kałuża krwi. Jakiś pechowy student, sądząc po odzieży. Pewnie wracał o późnej porze do bursy i napatoczył się na bandytów.

Żmij ukląkł obok leżącego. Upewniwszy się, że ten nie oddycha, wyjął sztylet. Czuł obrzydzenie, ale nie widział lepszego wyjścia. Było mało czasu.

Skończywszy, wytarł ręce i ostrze w koszulę zabitego. Potem odszedł, stanął w załomie muru i czekał.

Przez dłuższy czas w zaułku nic się nie działo. Potem w cieniu pobliskiej bramy poruszył się nieduży kształt, błysnęły ślepie. Dwa homunkulusy wyszły na otwartą przestrzeń, rozglądając się czujnie. Zaczęły obwąchiwać ciało.

Brune uznał, że widział wystarczająco dużo. Wycofał się, nie czekając na rozpoczęcie uczty.

Najbliższym zejściem wrócił do Podziemi. Przezornie otulił się iluzją, przybierając białą barwę skóry i zdeformowane rysy odmieńca. Zadał kilka pytań pierwszemu napotkanemu żebrakowi, następnie zaś zszedł na drugi poziom.

Z szynku położonego nieopodal magazynów z suknem dobiegały

pijackie wrzaski. Brune posłuchał przez chwilę, potem zdjął iluzję, usiadł w pobliskiej wnęce i czekał. Tak jak się spodziewał, zza rogu wkrótce wyłoniła się znajoma postać.

Veljanov szedł chwiejnie, roztaczając woń kanałów i gorzałki, ale na widok zmija momentalnie oprzytomniał.

– Chwała bogom, że żyjesz! Jesteś cały?!

– Tak.

– Rożek opowiadał....

– Niech Rożek lepiej nabierze wody w usta. Zresztą sam mu to zaraz powiem. Srebrni stracili Trójokiego, a niedaleko Rybiej Bramy leży trup. Gdyby kto pytał, to mój trup.

Szczurołap przez chwilę przetrawiał te informacje.

– Co na to wszystko Helshor?

– To jego problem.

– Będzie bajzel jak...

– Będzie. Nic na to nie poradzę.

– A o co chodzi z tą dziewczyną?

Zmij nawet nie mrugnął.

– Z jaką dziewczyną?

– A... Rozumiem. – Szczurołap kiwnął głową z emfazą charakterystyczną dla kogoś, kto sądzi, że jest trzeźwiejszy, niż jest. Krzyżący popatrzył na niego uważnie, upewniając się, że stary zachował przytomność na tyle, żeby rzeczywiście rozumieć wszystko, co się do niego mówi.

– Zróbcie coś dla mnie, jeśli możecie. Odszukajcie tego wyłupiastookiego zamiatacza z zejścia koło Rybiej Bramy i szepnijcie mu słówko. Niech zagada straż miejską, on ma do tego talent.

– Zrobi się. – Veljanov lekko klepnął zmija w ramię. – Uważaj na siebie.

* * *

Lorraine ocknęła się oszołomiona, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Naokoło panowały ciemności i było okropnie zimno. Zwinęła się w kłębek, naciągając przykrycie na głowę, i wtedy przypomniała sobie, czemu śpi w ubraniu, nakryta nie kołdrą, tylko kocami, które pachną dymem i piwnicą. Dotarło też do niej, że właściciel posłania śpi obok,

plecami do niej. Najpierw poczuła oburzenie, że się ośmielił; potem zadygotała na myśl o tym, co zrobiłby jej ojciec, gdyby wiedział. Ale wtedy działanie czaru znów wzięło nad nią górę i odpłynęła z powrotem w otchłań snu.

Kiedy zbudziła się na dobre, w palenisku wesoło trzaskał ogień, a Krzyczący siedział za stołem z kubkiem herbaty, przeglądając księgę. Uśmiechnął się do niej jak gdyby nigdy nic.

– Jak się czujesz?

Niepewnie dotknęła twarzy i włosów. Gdy uświadomiła sobie, że eliksir zadziałał, poczuła się nad wyraz nieswojo.

– Chcesz się przejrzeć? Trzymaj. – Brune podał jej lusterko. Starając się nie okazać, jak bardzo się boi, Lorraine popatrzyła na swoje nowe odbicie.

Oczy zostały te same, zielone jak woda; z twarzy nadal była odrobinę podobna do siebie, ale tylko odrobinę. Usta miała teraz drobniejsze, czoło niższe, nos lekko zadarty. Włosy z ciemnych stały się rudobrązowe, lśniące jak miedź, a na policzkach widniały piegi.

Przyjrzawszy się sobie pod różnymi kątami, doszła do wniosku, że dziewczyna w lusterku wygląda zupełnie znośnie, pomijając fakt, że jest potargana i zaspana.

– Więc co teraz ze mną będzie? – odważyła się spytać. Starła się nie myśleć o tym, że może skazana jest na pozostanie w lochach, wśród biedoty i umarłych.

– To pozostaje do ustalenia – odparł raźnie Brune. – Bez obaw, coś się wymyśli. Na razie masz zaproszenie na śniadanie u Starucha. Kolację, tak w zasadzie.

– Jak długo spałam? – przestraszyła się.

– Kawalek nocy i cały dzień. W tej chwili na powierzchni zmierzcha.

– Kim jest Staruch?

– Przyjacielem. Możesz wziąć latarnię i umyć się tu obok, jeśli chcesz – dodał, jakby czytając w jej myślach.

Pomieszczenie było małe i panował w nim ziąb, ale wyglądało jak zupełnie porządna zmywalnia, bez której nie może się obyć warsztat alchemika. Znajdował się tam kamienny zlew z umieszczonym wyżej pojemnikiem na wodę, beczka i wiadra. W jednym, pełnym mydlin, moczyły się szklane naczynia. Widok mydła –

białego, nie tego śmierdzącego, którego używała biedota – nastroiłby Lorraine przychylniej, gdyby nie bała się, że z zalatującego kanałem odpływu w kącie w każdej chwili może wyleźć szczur.

– Z dłońmi wszystko w porządku? – zagadnął zmij, kiedy wróciła.

– Tak.

O pożyczenie grzebienia nie zamierzała go prosić. Spróbowała przeczesać włosy palcami i nadać im za pomocą spinek przynajmniej pozory ładu. Dziwnie się czuła z tymi miedzianymi lokami; potrzebowała czasu, żeby się do nich przyzwyczaić.

Kiedy się czesała, odniosła wrażenie, że Brune zawiesił na niej wzrok, ale gdy popatrzyła na niego, uciekł spojrzeniem.

– Gotowa? To chodźmy. – Podał jej płaszcz.

* * *

– Cieszę się, że przyszliście. – Staruch uśmiechnął się. – Witam w moich skromnych progach, panienko.

Lorraine na podstawie imienia domyśliła się, że mężczyzna musi być odmieńcem, choć nie posiadał żadnych widocznych deformacji. Wyglądał po prostu jak sędziwy dziwak. Był wysoki i przeraźliwie chudy, jego zmierzwiona broda nosiła żółte ślady tabaki, a staroświeckie, wypłowiałe odzienie roztaczało intensywny zapach ziół przeciw molom.

Wchodząc do krypty, dziewczyna rozejrzała się ciekawie po pokrytych zniszczonymi freskami ścianach. Ze zdumieniem zauważyła po jednej stronie pomieszczenia pozostałości czegoś, co najwyraźniej było kiedyś ołtarzem. Okrągłe sklepienie również pokrywały resztki fresków. Zrozumiała, że Staruch mieszka w dawnej kaplicy.

Za ołtarzem, w kącie, stał prozaiczny piec kaflowy. Może nie tak do końca zwykły, bo żeby go zbudować, wykorzystano fragmenty połamanych kafli w różnych kolorach. Promieniowało odeń miłe ciepło. Pod drugą ścianą Lorraine ujrzała stół przykryty szarym płótnem. Gdy poczuła zapach potraw, przełknęła ślinkę, ale wizja tego, jak może wyglądać posiłek podany w takim miejscu, szybko zgasła jej apetyt.

– Zapraszam. – Staruch wskazał im miejsca na ławie, sam podsunął sobie krzesło.

Dziewczyna nieufnie zlustrowała stół. Z ulgą przekonała się, że nie czeka jej jedzenie ze wspólnej miski, a naczynia nie są obtłuczone czy zatłuszczone, i nagle uświadomiła sobie, jak bardzo zgłodniała.

Jedzenie było proste, ale zaskakująco smaczne – zupa z porów, wędzonka, ser z ziołami, masło oraz ciemny kwaskowaty chleb, jakiego Lorraine jeszcze nigdy nie próbowała, i ze zdziwieniem odkryła, że jest dobry. A do tego cudownie gorąca herbata z palącym posmakiem imbiru.

Starła się dzielić uwagę między swój talerz a toczącą się obok rozmowę. Staruch i żmij rozmawiali tak cicho, że ledwie mogła ich zrozumieć.

– Ciężka sprawa, synu – mruknął odmieniec po kolejnym kęsie. – Noeris wyjechała gdzieś za morze, a Śnieg wysługuje się teraz gildiom przestępczym. Pozostaje ewentualnie Jacentin...

– O nie. Do Jacentina na pewno się z tym nie zwrócę.

– No cóż, istnieje jeszcze jedna możliwość. – Staruch zniżył głos do szeptu, tak że Lorraine nie dosłyszała, co powiedział.

– Cholera. – Żmij w zadumie potarł twarz. – Stworzyła sobie nową enklawę, jak rozumiem?

– Tak.

– Nadal służy temu samemu panu?

– Nie wiem, komu służyła, i nie wiem, komu służy teraz. Nie mnie ją o to pytać – głos Starucha zabrzmiał nadspodziewanie chłodno.

– Pojmuję. – Brune milczał przez chwilę. – Masz możliwość nawiązania z nią kontaktu?

– Mam. Pytanie, czy twoim zdaniem to dobre wyjście.

– Chyba nie ma innego.

Odmieniec znowu szepnął żmijowi parę słów, a ten aż się zachnął.

– Nie, ja się nią nie zajmę. Nawet o tym nie myśl.

– Rozmawiacie o mnie? – nie wytrzymała Lorraine.

Brune ze stoickim spokojem wytarł chlebem talerz.

– Owszem. Zastanawiamy się, co z tobą począć, królewno. Jakies sugestie?

– Mogłabym... przypuszczam, że mogłabym pójść na służbę do kogoś, kto mieszka daleko stąd – powiedziała niepewnie. Miała oczywiście na myśli bycie towarzyszką jakiejś szacownej starszej damy, od baronowej wzwyż, ewentualnie opiekunką szlachetnie

urodzonych dzieci; nie uznała nawet za stosowne tego precyzować.

Żmij prychnął z cicha.

– Obawiam się, niestety, że nie mam zbyt wielu znajomych wśród szlachty, o arystokracji nie wspominając. Wolisz iść na służbę do Otchłani czy w niewolę do Nedgvaru?

– Jedno i drugie brzmi kusząco – odparła, podchwytyjąc jego ton. – Zarówno w Otchłani, jak i w Nedgvarze jest na pewno cieplej niż tu.

– Punkt dla ciebie. – Po raz pierwszy zobaczyła na jego twarzy normalny uśmiech, bez tików. – Ojciec – zwrócił się do Starucha. – Myślę, że Marshia to dobre rozwiązanie. Dogadają się.

– Tak sądzisz? – Odmieniec nie wyglądał na przekonanego, ale odsunął talerz i wstał. – Dobrze, spróbuję z nią porozmawiać, choć nie wiem, czy jest teraz u siebie w enklawie.

– Zaryzykujmy. Może uda się skontaktować przynajmniej z jej chowańcem. O co chodzi? – Brune zaniepokoił się, widząc dziwną minę Starucha.

– Zaraz, przecież ty nie...

– O czym nie wiem?

– Nieważne. – W oczach starca zamigotały podejrzenie filuterne iskierki. – Zobaczysz. Zaczekajcie.

Zniknął w bocznych drzwiach i przez dobrych kilkanaście minut nie wracał. Lorraine dla zabicia czasu wstała i podeszła do najbliższej z kilku szaf, wypełnionych zniszczonymi księgami i zwojami.

– Tylko niczego nie dotykaj – ostrzegła ją cicho żmij; drgnęła, bo nie zauważyła, kiedy podszedł i stanął za nią. – Nie wiem, co on tu ma.

– A co może mieć?

– Cholera wie.

Z bliska zwróciła uwagę, że w normalnym oświetleniu jego tęczówki wcale nie są żółte, a bure. To tylko w źrenicach pojawiał się złoty błysk, kiedy światło padało na nie pod odpowiednim kątem. Uderzyło ją też, jak niepozorny wydaje się Brune, gdy nie otacza go cień przywołanej mocy, choć aż za dobrze pamiętała, że to zwodnicze wrażenie.

Jadowite węże też nie zawsze rzucają się w oczy.

– Co zamierzacie ze mną zrobić? – spytała mimo ponurej świadomości, że niezależnie od tego, jaką odpowiedź usłyszy, nie będzie mogła zmienić biegu rzeczy.

Brune wyglądał na zakłopotanego.

– Znam damę, która być może zgodzi się tobą zaopiekować. Nazywa się Marshia Lavalle.

– To *ka-ira*?

– Tak. Ale z trochę innej gliny niż ja.

– To znaczy?

– Przekonasz się. Przy odrobinie szczęścia.

– Czemu przy odrobinie szczęścia?

– Mam nadzieję, że w ogóle zechce z nami rozmawiać – mruknął. Zapiął kurtkę i zgarnął do tyłu włosy gestem zdradzającym napięcie. Lorraine chciała zadać złośliwe pytanie, powstrzymała się jednak w obawie, że przeholuje.

Staruch wrócił do nich. Uśmiechał się.

– Zaraz tu będzie – oznajmił. – Chodźcie.

Przeszli za nim do mniejszej krypty, gdzie pod ścianą stało stare łoże z baldachimem. Jego aksamitne zasłony, niegdyś czerwone, były teraz różowawo-szare. W kącie wisiało zwierciadło w poczerniałej rzeźbionej ramie.

Staruch przyłożył dłoń do pociemniałej tafli.

– Zapraszam, pani Marshio – powiedział.

Lorraine wstrzymała oddech, widząc, że tafla zwierciadła zniknęła, rozplynęła się; w jej miejscu kłębiła się mgła.

Z mgły wyłoniła się dama w sukni z granatowego jedwabiu. Wysoka i zgrabna, o śniadej cerze i lśniących czarnych włosach. Na jej dekolcie błyszczał naszyjnik ze złota i opali.

Staruch skłonił się, Brune lekko pochylił głowę. Lorraine skuliła się mimo woli, czując się rozpaczliwie potargana i niechlujna. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie ma swojego welonu – musiała go zostawić w kryjówce zmija.

– Chodź, chodź, potworku – powiedziała przez ramię czarnowłosa. Zza jej sukni, utykając, na siedmiu pajęczych łapach wysunął się...

– ZAZEL?!

Marshia Lavalle stłumiła uśmiech na widok miny Krzyczącego.

* * *

Ujrzawszy wąsatą głowę na pajęczych nogach, Lorraine w duchu

obiecała sobie, że nic jej już nie zdziwi. Ale na widok miejsca, do którego trafili po przejściu przez zaczarowane zwierciadło, westchnęła mimo woli.

– To enklawa?... – spytała nieśmiało.

– Owszem. – Czarnowłosa zmijka obrzuciła ją bystrym, taksującym spojrzeniem. Dziewczyna pożałowała, że nie trzymała języka za zębami, jednak Marshia nie uznała za stosowne spytać, skąd nastoletnia arystokratka wie o istnieniu enklaw.

Niebo było przejrzyste, głęboko turkusowe, ze złotą smugą nad horyzontem. Sączyła się zeń przyjemna poświata, jak przez klosz wielkiej lampy. Pejzaż wyglądał tak sielankowo, że aż nieprawdzwie. Po otoczonym wierzbami stawie pływało kilka łabędzi, zaś na brzegu wznosił się elegancki pałacyk z krużgankami i wieżyczką.

Stwór na pajęczych nogach nagle podskoczył i kłapnął zębami, usiłując schwytać przelatującą muchę.

– Posiedź z panną Lorraine w altanie – rozkazała mu Marshia. – My musimy się naradzić.

– Zostań w ogrodzie – polecił Krzyczący dziewczynie. – Zazel dotrzyma ci towarzystwa. Zazel, tylko zachowuj się jak należy.

Chowaniec nadał się w udawanym oburzeniu.

– Ja, szefie? Ja się zawsze zachowuję jak należy.

– A nie wyglądasz na to – stwierdziła Lorraine, wywołując ciche parsknięcie Krzyczącego. Marshia ukryła twarz za rękawem, udając, że poprawia włosy.

* * *

Rozciągający się na tyłach pałacyku ogród wyglądał na lekko zdziczały, ale przez to jeszcze piękniejszy, zwłaszcza w złotawym, nierzeczywistym świetle enklawy. Owady sennie bzyczały wokół obsypanych kwieciem rododendronów. W oplecionej kapryfolium altanie Zazel przycupnął na ławeczce i przypatrywał się dziewczynie bystrymi ślepiami, które zadziwiająco kontrastowały z nalanym, chytrym i brzydkim jak noc obliczem.

– Posiekał Trójkokiego i zdjął z ciebie kłatwę, tak?

– Można tak powiedzieć.

Stwór poruszył wąsikami i wyszczerzył zęby – zaskakująco liczne,

trójkątne i ostre.

– Brune jest w porządku.

– Znasz go?

– No ba. Byłem kiedyś jego chowańcem.

– Ale już nie jesteś?

– Tak wyszło. – Zazel chrząknął, jakby zakłopotany. – Jakiś czas temu pewien demon próbował nas obu sprzątnąć z tego świata i ze mną prawie mu się udało, a pani Lavallo uratowała mnie od śmierci. Dlatego teraz służę jej.

– Aha. – Lorraine odgoniła motyla, który próbował usiąść na jej mankiecie. – I jaka jest, jeśli wolno spytać? Też w porządku?

– Pani Lavallo? – Chowaniec uśmiechnął się zagadkowo. – Kiedy lepiej ją poznasz, sama wyrobisz sobie zdanie.

– Myślisz, że będę miała okazję lepiej ją poznać?

– Niewykluczone. – Zazel popatrzył na nią zyczliwie. – Nie martw się. Cokolwiek oni wymyślą, wszystko będzie dobrze.

Lorraine zapatrzyła się na kwitnące krzewy i krążące wokół nich pszczoły. Zdała sobie sprawę, że na skraju świadomości nie wyczuwa obecności umarłych. To było... przyjazne miejsce, emanujące aurą spokoju. Jak oaza. Poczowała cień nadziei, że może chowaniec ma rację.

* * *

W rezydencji Krzyczący i Marshia rozmawiali, siedząc przy ozdobnym stoliku – ona na sofie, on na wyściełanym krześle. Salon, jak zauważył zmij, został urządzony z tą samą nienaganną elegancją, co salon w dawnym domu Marshii, lecz w innej, złoto-kremowo-niebieskiej kolorystyce, meble i obrazy też były inne.

Marshia, jak zawsze wyniosła i rzeczowa, traktowała go chyba z minimalnie większym respektem niż kiedyś. Może zrobiło na niej wrażenie, że nie zginął wtedy, gdy walczył z jej wrogiem w enklawie, którą postanowiła porzucić, uciekając jak z tonącego okrętu. A może tylko mu się zdawało.

– Mam ją wziąć pod opiekę? – Zmrużyła oczy, przyglądając się dziewczynie przez otwarte okno. – Nie posiada ani śladu daru.

– Ale jest medium, i to dobrym. Oraz niezłą żyłą. – Krzyczący zawahał się. – Albo możemy to potraktować jak przysługę, którą będę

ci winien. Jak wolisz, starsza siostró.

O ile na początku znajomości konsekwentnie, z zimną grzecznością tytułował Marshię panią, o tyle teraz, gdy stała się właścicielką Zazela, postanowił już zwracać się do niej uprzejmym zwrotem przyjętym między magami tej samej barwy. Tak jak się spodziewał, Marshia nie dała w żaden sposób poznać po sobie, że zauważa różnicę.

– Hm. – Złożyła razem dłonie i popatrzyła na stykające się czubki palców. – Jest medium, powiadasz?

– Słyszysz głosy umarłych.

– Kto by pomyślał? To zmienia postać rzeczy. Dobrze, Brune. Panna Lorraine zostanie z nami. Myślę, że moja enklawa spodoba się jej bardziej niż twoje lochy.

– Nie wątpię. Zatem jestem ci winien przysługę, czy tak?

– Nie. Nie jesteś mi nic winien.

Oczy Krzyczącego zwężyły się.

– Chwileczkę, czegoś mi nie mówisz. Jeśli zamierzasz jej wyrządzić krzywdę...

– Czemu miałabym jej wyrządzić krzywdę? – Marshia uśmiechnęła się. – Widzę, że masz o mnie bardzo kiepskie zdanie. Panna Lorraine, jak słusznie zauważyłeś, potrzebuje opiekuna i odpowiednich warunków życia, natomiast ja potrzebuję towarzystwa i odrobiny intelektualnej rozrywki. Nawet Zazel na dłuższą metę staje się nieco nudny.

– Skoro tak twierdzisz, starsza siostró. – Brune przypatrywał się jej z namysłem. Zastanawiał się, czy Marshia Lavallo nadal służy Otchłani. Zapewne tak, cyrograf niełatwo jest rozwiązać czy anulować.

Najchętniej porozmawiałby z Zazelem na osobności. Zdążył spostrzec, że oprócz brakującej łapy stwor dorobił się też innych blizn – na boku głowy miał duży ślad po oparzeniu, a wzdłuż ciemienia długą, nierówną, czerwoną szramę. Brune przypomniał sobie feralną walkę, kiedy kazał chowańcowi uciekać, teleportować się na ułamek sekundy przed tym, jak demon Doliny Cierni cisnął w nich zaklęciem. Marshia najprawdopodobniej odnalazła rannego stwora w sferach i uratowała mu życie, wiążąc go długim wdzięczności. Typowe dla niej.

Albo... wolał zostać z nią. Krzyczącego raptem tknęło niemiłe pytanie, czy Zazel przypadkiem nie uważa, że Brune zbyt pochopnie

uznał go za martwego.

Sam odchorowałem tamten pojedynek, a kiedy odzyskałem siły w dostatecznym stopniu, żeby wrócić w sfery – bagatela, trzy tygodnie później – trop był już zimny...

Odepchnął te rozważania. Wiedział, że Marshia prawdopodobnie wyczuwa, jak ponure stały się nagle jego myśli, ale nie dała niczego po sobie poznać.

– A ty? Co zamierzasz?

– Zobaczymy. Na razie przy Rybiej Bramie leży trup, do tej pory pewnie już nadjedzony przez homunkulusy. Jeśli srebrni dadzą się przekonać, że to mój trup, na jakiś czas mam ich z głowy.

– Połapią się. Wystarczy, że przywołają ducha tego kogoś.

Krzyczący uśmiechnął się nieładnie, samym kącikiem ust.

– Nie mając serca, wątroby ani mózgu, mogą sobie próbować do sądnego dnia.

– Ach, więc to takie buty. – Marshia, wyraźnie zaskoczona, rzuciła mu uważne spojrzenie. – Widzę, młodszy bracie, że lubisz ryzykować własną skórą, ale to twoja rzecz.

* * *

Ciało znaleźli o świcie pierwsi przechodnie. Widok nie był miły dla oka.

Przybył kryty wóz i zabrał zwłoki do kostnicy. Następnie dwaj strażnicy miejscy obeszl okoliczne bramy i zadali kilka pytań świadkom. Spełniwszy tym sposobem swój obowiązek, oddalili się, lecz podekscytowana gawieź ani myślała rozejść się do domów. Plotkarze głośno snuli domysły i przypuszczenia.

Skulona w załomie muru obdarta dziewczyna uważnie przysłuchiwała się wszystkiemu. Głowę i twarz szczelnie owinęła postrzępioną chustą, tak że widoczne były tylko błyszczące oczy, które upodabniały ją do czujnego zwierzątka.

Nikt nie mógł dostrzec, jak jej usta wykrzywia złośliwy uśmiech.

* * *

Lorraine siedziała w altanie, obejmując się ramionami, chociaż w

enklawie panowało łagodne, przyjemne ciepło.

Lekki wiatr marszczył powierzchnię stawu. Dwa łabędzie dopłynęły do brzegu i wyszły na trawę, otrząsając pióra.

Zazel przeprosił ją i zniknął w willi, a ona czekała. Nie była pewna, ile czasu minęło – miała wrażenie, że minuty dłużą się w nieskończoność. W końcu chowaniec pojawił się z powrotem. Patrzyła, jak idzie ogrodową ścieżką, kołysząc się niezgrabnie z powodu brakującej łąpy. W tym rajskim otoczeniu, wśród róż, piwonii i rododendronów, wydawał się podwójnie groteskowy i nie na miejscu.

– Pani Lavallo prosi cię do środka – oznajmił.

Lorraine poczuła chłodny ucisk w żołądku, ale niczego nie dała po sobie poznać. Wstała i ruszyła za stworem.

Wchodząc do willi, bez przekonania spróbowała znowu przygładzić włosy i otrzepać spódnice. Kiedy zobaczyła lśniąco parkiety i ozdobnie upięte zasłony w wysokich oknach, poczuła się jeszcze gorzej.

Marshia Lavallo czekała w salonie. Sama.

– Usiądź – powiedziała, wskazując fotel. Jej ton nie był nieprzyjazny, ale Lorraine nadal stała w drzwiach.

– Gdzie Brune? – spytała i natychmiast tego pożałowała, bo brwi Marshii uniosły się w ironicznym wyrazie zdziwienia.

– Wrócił do miasta. Spieszyło mu się.

Ty draniu, zostawiłeś mnie tu, i to bez pożegnania! Lorraine najpierw poczuła falę rozczarowania i złości, potem spłynął na nią paralizujący lęk.

– Nie bądź niemądra, moja droga – powiedziała spokojnie zmiyka. – Nic ci w moim domu nie grozi. Chodź tu, usiądź.

Lorraine niechętnie zajęła wskazane miejsce. Splotła dłonie na kolanach, starając się nie garbić i nie spuszczać wzroku, chociaż nie było to łatwe.

– Jak się nazywasz?

– Anavri Vaneisen – skłamała, ale głos uwiązł jej w gardle pod chłodnym spojrzeniem czarnych, podłużnych oczu. W ich głębi tlił się poblask, nie żółty jak u Brune'a, lecz purpurowy, ledwie dostrzegalny.

– Doprawdy?

Dziewczyna przygryzła wargę. Czuła, że jej policzki zaczyna barwić rumieniec, i zrobiłaby wszystko, żeby zniknął.

– Nie mam czasu bawić się z tobą w kotka i myszkę, moja panno.

Daj mi rękę.

Lorraine zawahała się, ale zmiyka bezceremonialnie ujęła jej dłoń w swoje, wypielęgnowane i zimne. Wzdrygnęła się i spochmurniała, jakby to, co wyczuła, nie spodobało się jej.

– Musisz poznać zasady panujące w mojej siedzibie – oznajmiła. – Mur wokół ogrodu jest jednocześnie granicą enklawy. Nie przekroczysz go, więc nawet nie próbuj. Nic nie może się dostać do enklawy ani wydostać z niej bez mojego pozwolenia. Po ogrodzie oczywiście możesz swobodnie chodzić, po domu też. Komnaty, do których nie masz wstępu, nie otworzą przed tobą drzwi. Odradzam ci wędrowanie na tyły, do kuchni i pomieszczeń dla służby. Nie ma tam nic ciekawego.

Lorraine zdusiła złość – kwatery służby były ostatnim miejscem, jakie chciałyby oglądać. Nie wątpiła, że Marshia doskonale o tym wie.

– Mam dwa chowańce. Biss nie posługuje się ludzką mową i reaguje tylko na moje polecenia. Zazela poznałaś. Będzie zadowolony, mogąc ci dotrzymywać towarzystwa. W enklawie nie ma zbyt wielu rozrywek, ale posiadam zupełnie przyzwoitą bibliotekę, a Zazel umie grać w szachy. Zresztą od jutra zadbam o to, żebyś się nie nudziła.

– Co ze mną będzie? – odważyła się spytać Lorraine. – Jak długo tu zostanę?

Marshia Lavallo zaśmiała się cicho.

– Przyrzekłam, że się tobą zajmę, więc tak też się stanie. Jesteś medium. Przydasz mi się. No, nie rób takiej przerażonej miny, malutka. Dostaniesz pokój na górze. Zorganizuję ci trochę ubrań i inne potrzebne rzeczy, porozmawiamy o tym później. Teraz możesz iść do ogrodu, jeśli chcesz. Zazel zawoła cię, kiedy pokój będzie gotowy.

* * *

W krypcie z freskami Staruch, nie spiesząc się, sprzątał ze stołu.

– I jak? – zagadnął na widok Krzyczącego.

– Zgodziła się.

– No proszę, kto by pomyślał. To ładnie z jej strony. A ty dokąd się wybierasz?

– Odpocząć. – Brune przygarbił się ledwie zauważalnie.

Staruch o mały włos nie upuścił imbryka.

– Zgłupiałeś? Przed chwilą był u mnie Veljanov. Szum już poszedł, straż miejska i srebrni wypytyują ludzi. Wiej z miasta, nie zastanawiaj się. Wyjeżdżaj jeszcze dziś albo pryskaj w sfery.

– Bez sensu. Tu mam warsztat, mam kontakty. Gdzie indziej musiałbym zaczynać wszystko od nowa.

– Oszalałeś?! Srebrni ci nie darują tej afery. Uciekaj, dobrze ci radzę.

– Najpierw odczekam i zobaczę, co się będzie działo. Może przyczaję się na parę dni na Krzywej Alei.

– Żebyś tylko potem nie żałował. Pomnisz moje słowa.

– Kto, ja? Ja zginąłem w pojedynku z Trójokim, aż do odwołania.

Gdy zmij wyszedł, Staruch bezsilnie opuścił ręce.

– Czasem mam wątpliwości, czy z jego głową jest wszystko w porządku – powiedział do oswojonego szczura, który siedział pomiędzy niesprząniętymi jeszcze naczyniami i zajadał plasterek wędzonki. Zwierzak popatrzył na niego współczująco.

* * *

Pewnych rzeczy należało się pozbyć. Zatrzeć ślady.

Rozpalił ognisko w zaroślach nad brzegiem rzeki, kilkadziesiąt kroków za zewnętrznym pierścieniem miejskich murów. Kiedy płomienie strzeliły wysoko, nakarmił je czarnym welonem Lorraine oraz bandażami, które opadły z jej dłoni.

Stał bez ruchu i patrzył, jak ogień trawi ofiarowane dary. Dopiero teraz uświadomił sobie, ile sił mu przybyło w wyniku całej przygody. Czern wypełniała jego żyły ciepłem, jak opium, jak lucyferia. Dotknął dwóch kart ukrytych w woreczku na szyi, potem wsunął dłoń do kieszeni, żeby musnąć palcami gemmę Eresha.

Ognisko dogasało. Zamierzał już odejść, gdy nagle poczuł charakterystyczne drgnienie aury. Był obserwowany.

W pewnej odległości, poza kręgiem światła gromadzili się umarli.

Skinieniem dłoni sprawił, że żarzące się węgle na nowo strzeliły płomieniem. Szare sylwetki pierzchły jak dym porwany wiatrem. Krzyczący w Ciemności uśmiechnął się, a blizny wykrzywiły jego twarz w zły grymas.

Bali się go.

6. Kręgi na wodzie

Mistrzu! – Sekretarz na widok Demetheosa aż się poderwał. – Mam ważne wieści. Od dowódcy straży miejskiej i od naszego źródła w Szmaragdowej Dzielnicy.

– Hm. – Opiekun Miasta zmarszczył brwi. – Dowódca straży miejskiej i tak ma się jutro u mnie stawić. Czy wysłałeś do niego gońca z rozkazami, które dyktowałem ci wcześniej?

– Odjechał przed chwilą.

– To dobrze. Teraz mów, co się stało w Szmaragdowej Dzielnicy.

– Nasze źródło twierdzi, że zaginęła córka hrabiego Nevers. Ponoć ubiegłego wieczoru wyszła samotnie z domu i nie wróciła. Ale hrabia nie zwrócił się ani do nas, ani do nikogo innego z prośbą o pomoc w poszukiwaniach.

– Ciekawe. – Demetheos w zadumie przeczesał palcami brodę. – A o czym donosi straż miejska?

– Przy wyjściu z Podziemi znaleziono zwłoki młodego mężczyzny. Dowódca straży przypuszcza, że *ka-ira*, który walczył z Trójokim, został ciężko ranny, zdołał się wydostać na powierzchnię i tam zmarł z upływu krwi, a homunkulusy zmasakrowały ciało. Nie sądzi jednak, by dało się to udowodnić. Trup nie ma twarzy, jest w takim stanie, że wątpliwe, czy da się przywołać ducha z powrotem. Nie wiadomo nawet, czy uda się określić, czy ta osoba posiadała dar, czy nie.

– Ha. – Demetheos milczał chwilę. – Dokąd zabrano zwłoki?

– Do miejskiej kostnicy. Dowódca straży zapytuje...

– Wyślij tam akolitę Amadiana, niech przetransportuje ciało portalem do laboratoriów na Wyspie Salamander. W raporcie dla arcymistrza napiszemy na razie, że podczas obławy *ka-ira* zabił Trójokiego, ale sam zmarł z ran.

– Rozumiem.

– Tymczasowe dowództwo nad garnizonem w Podziemiach

przejmuje akolita Gretius. Niech stawi się u mnie za dwie godziny, a ty przygotuj potrzebne dokumenty.

– Tak jest, mistrzu.

* * *

Dochodziło południe. Rześki wiatr znad zatoki przegonił chmury; błękit nieba odbijał się w kałużach.

W zaułku niedaleko Rybiej Bramy na ziemi wciąż jeszcze widniała ciemna plama krwi, a obok na warcie stał żołnierz ze srebrnym pentagramem na hełmie. Sprzedawczyni bułek przystanęła z wózkiem na rogu i rozmawiała z drugą staruszką, dźwigającą na ramionach kosz z gałganami. Plotki rozchodziły się szybko; cała ulica już знаła makabryczne szczegóły nocnego wydarzenia.

W tawernie sąsiadującej z barbakanem kilku strażników miejskich wymieniało ponure uwagi, siorbiąc piwną polewkę. Siedzący w kącie żebrak słyszał wszystko, co mówili, i uśmiechał się ze złośliwym rozbawieniem.

W Szmaragdowej Dzielnicy hrabia Nevers przechadzał się tam i z powrotem po swoim gabinecie. Pięć kroków w jedną stronę, pięć w drugą. Dusił go wściekłość.

Kiedy zabrzmiało ostrożne stukanie do drzwi, warknięciem nakazał służącemu wejść.

– Panie, wrócił Sabeut – wyjąkał lokaj, unikając jego wzroku. – Przyproceedził kogoś od żebraczego króla. Kazałem, by zaczekali na dole.

Nevers wyminął go bez słowa.

Sabeut, chytry szlachetka-pasożyt, czuł się równie dobrze na salonach, jak w najgorszych spelunkach portowej dzielnicy. Słyszał z zamiłowania do kart i rozpusty, ale oprócz tego znał różnych ludzi i potrafił szybko załatwiać różne rzeczy. Zgodnie z zapowiedzią czekał w sieni. Obok niego, wsparty na kuli, garbił się karzeł w łachmanach.

– Nie musiałeś tu przywlekać śmieci – wycedził hrabia. – Nie lubię ich oglądać z bliska, jeśli nie muszę.

– Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli tym razem uczynię wyjątek, wasza wielmożność – odparł Sabeut. Wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego z siebie. – Ten tu ma do opowiedzenia coś, co was na

pewno zainteresuje.

* * *

Noc rozpościerała nad miastem zimne skrzydła. Lorraine leżała na ziemi w brudnym zaułku, nieprzytomna, z rozrzuconymi rękami. Jej włosy rozsypały się w błocie.

Brune ukląkł nad nią, dobywając sztyletu. Wydawało się to jasne i logiczne.

Przesunął kciukiem po ostrzu, poczuł ból. I wtedy Lorraine otworzyła oczy. Nie krzyknęła, ale uderzenie strachu było wyraźne jak błysk.

Nie, błagam, nie...

Nie zawahał się – przejechał nożem po jej gardle. Krew, która polalała mu się na ręce, była zimna. Zimna jak morska woda w listopadowy dzień.

Szmaragdowe oczy dziewczyny, szeroko otwarte, nieruchome jak szkło.

Jak zimno.

W świadomość zmija najpierw wdarł się przenikliwy chłód, potem zapach butwiejącego drewna, dymu i jesiennego powietrza.

Gdzieś w pobliżu zapał kogut. Brune odrzucił sztywne od szronu koce i usiadł, trąc oczy. Chwilę potrwało, zanim przypomniał sobie, czemu, do cholery, wokół jest tak jasno. Nie znajdował się w Podziemiach, tylko na Krzywej Alei.

I wystawiam się na pośmiewisko, śpiąc w drewnutni. Powód był prosty – korzystanie z gościnności odmieńców nieodmiennie kończyło się zawarciem bliższej znajomości z hordami wszy, pcheł i pluskiew, które gnieździły się w ich chatach.

Przed oczami nadal miał wspomnienie snu, jednego z tych, które pamięta się właśnie dlatego, że chciałoby się o nich jak najszybciej zapomnieć. Zwalczył odruch, żeby sięgnąć po lufkę i woreczek z brunatnymi grudkami. Zamiast tego wyjął z kieszeni karty. Przetasował je, rozłożył na kocu i długo wpatrywał się w ryciny.

Nie podobało mu się to, co zapowiadały. Ale w sumie mógł się spodziewać takiego rozwoju wydarzeń.

Nagle podniósł czujnie głowę. Schował karty i wstał, chociaż dzięki darowi wiedział, że nadchodzący nie mają złych zamiarów. Do

drewutni zajrzała odmianka o płaskiej, pozbawionej nosa twarzy, z jednym okiem pośrodku czoła – małżonka starosty.

Ktoś do ciebie, pokazała na migi, po czym cofnęła się. Do szopy wszedł Rożek.

– Jest mały kłopot – oznajmił bez wstępu.

– Aha?

– Dwóch zuchów wczorajszego wieczora rozpytywało za tobą na dole. Dziś pojawili się u Scaraveshii. Grzeczni są, nie straszą. Jeszcze. Kuszą złotem.

– Wcale mnie to nie dziwi – mruknął żmij.

– Ktoś się wkurzył, co?

– Ktoś się wkurzył. – Brune przeciągnął się i spróbował rozruszać kark. Wciąż jeszcze bolały go mięśnie po starciu z Trójokim, był przemarznięty do szpiku kości i – delikatnie mówiąc – w nie najlepszym nastroju. Marzył o gorącej herbacie i porządnym śniadaniu, ale jedno i drugie musiało trochę poczekać.

Otrząsnął się, wracając do rzeczywistości, bo zdał sobie sprawę, że Rożek mówi dalej.

– Co?

– Powiedziałem, że godna podziwu szybkość reakcji. – Odmieniec uniósł krzaczastą brew. – Czyją ona była córką?

– Kto?

– A... Rozumiem. – Rożek uśmiechnął się nieznacznie, a Krzyczący przełknął narastającą złość.

Nic nie rozumiesz, przyjacielu. Ale ja ci nie będę tłumaczył.

– Trzeba przemówić do rozumu tym jegomościom – powiedział zamiast tego. – I to szybko, zanim nabroją w Podziemiach i zrobi się jeszcze większa afera.

– Przyda ci się asysta?

Brune zapiął kurtkę i przeczesał palcami włosy. Od niechcienia obrócił w dłoni sztylet.

Lorraine z poderżniętym gardłem, jej martwe, puste oczy. Jezioro krwi, czarnej w blasku księżycy. Odepchnął ten obraz.

– Poradzę sobie sam. Ale dzięki za ostrzeżenie.

– Drobiazg. – Rożek wzruszył ramionami.

* * *

Bracia Brzuchacz i Knocik zasłużenie cieszyli się złą sławą.

Brzuchacz mierzył sześć stóp i cztery cale, a ważył dobre trzysta funtów. Porośnięty brunatnym futrem, do złudzenia przypominał niedźwiedzia. Knocik był niższy, ale niemal równie szeroki w barach. Jego sierść, krótsza i kędzierzawa, miała barwę sadzy, a oczy przypominały rozżarzone węgielki.

Szli wzdłuż kanału, rozglądając się bacznie. Rzadko bywali w Podziemiach, więc musieli się pilnować, żeby nie zmylić drogi.

– Staruch nie będzie zadowolony, że się pchamy bez pytania na jego teren – zauważył w pewnej chwili Brzuchacz.

– Pies z nim tańczył. – Knocik machnął ręką. – Zanim Staruch się dowie, sprawa będzie dawno załatwiona, a zapłata w kieszeni. Hola, a to kto?

Pod murem siedział staruszek w łachmanach, dobrze zakonserwowany pod patyną brudu, zajęty cerowaniem dziurawej czapki.

– Szukacie kogoś, chłopcy? – zainteresował się, odkładając ją na bok.

– Tak – odparł Knocik, spojrzawszy na Brzuchacza, który skinął głową. – Młodego typka z trzema bliznami na twarzy.

– Naprawdę? Znam takiego – ożywił się stary. Wstał i podszedł do nich chwiejnie, powłócząc nogą. – Bywa u Scaraveshii. Chyba wiem, gdzie mieszka.

– Gadaj.

Żebrak uśmiechnął się chytrze.

– Powiem, jak dacie dyszkę.

– Ty mnie, dziadku, nie drażnij – prychnął wyższy odmieniec. – No i czego się gapisz? Wyglądam na frajera, co rozdaje jałmużnę takim jak ty?

– Nie. Zadziwia mnie, jak można urosnąć tak wielkim, mając tak mało oleju w głowie.

– Ja ci zaraz... – Knocik, który miał bliżej, zamierzył się pięścią, lecz nie trafił, bo stary, choć nawet nie drgnął, jakimś cudem stał teraz kilka kroków dalej. Nadal się uśmiechał, ale na widok tego uśmiechu sierść sama jeżyła się na karku.

Uczył ruch, jakby strzepywał z siebie kurz, i nagle zaczął młodzić w oczach. Jego włosy z siwych stały się ciemne, łachmany

przemieniły się w czarny strój. Policzek przecięły trzy szramy, a oczy zatliły się złowróźnie.

Ręka Brzuchacza, która zdążyła chwycić rękojeść rapiera, opadła bezwładnie. Żmij skinął dłonią i obaj odmieńcy poczuli, że świat zaczyna wirować wokół nich. Brzuchacz zachwiał się i osunął po murze. Jego brat już leżał na ziemi, otwierając i zamykając usta jak wyrzucona na brzeg ryba. Krzyczący przykląkł nad nimi.

– Kto was wynajął? – spytał spokojnie.

Knocik wybełkotał kilka słów resztką przytomności. Miał wrażenie, że tonie w zimnej czerni, w której jedynym źródłem światła jest para płonących, pionowych źrenic.

– W porządku, rozumiem. – Żmij końcami palców dotknął jego czoła, potem uczynił to samo z drugim bratem. – Nikt was nie wynajął. Nic nie pamiętacie. Wracajcie do domu, nic tu po was.

Wyszeptał kilka słów w mowie magów. Odmieńcy znieruchomieli. Z nozdrzy Brzuchacza sączyła się krew, skapując na spąg.

Krzyczący upewnił się na wszelki wypadek, że obaj oddychają. Potem usiadł w pobliskiej wnęce i cierpliwie czekał, aż czar obezwładniający przestanie działać.

Trwało to dość długo. W końcu Brzuchacz zajęczał, poruszył się, dźwignął na nogi. Zaczął szarpać brata, aż ten również się ocknął. Poleźli w stronę świecących w oddali lamp, zataczając się malowniczo. Brune szedł cicho ich śladem, dopóki nie upewnił się, że zmierzają na powierzchnię.

– Idioci – syknął wzgardliwie. Intrygowało go, na co liczył zleceniodawca braci; trudno, żeby spotkanie *ka-ira* z osobnikami nieposiadającymi daru skończyło się inaczej. Ale raczej nie było tu żadnej zagadki, tylko zaślepiająca pycha arystokraty – przekonanie, że ktoś mieszkający w lochach nie może być niebezpiecznym przeciwnikiem. Należałoby oczekiwać, że fałszywy mag wykaże się przynajmniej szczyptą wyobraźni, ale najwidoczniej było to błędne założenie.

Kącik ust żmija drgnął w złośliwym uśmiechu. Kusilo go, i to bardzo, żeby złożyć niezapowiedzianą wizytę w Szmaragdowej Dzielnicy.

Za kilka godzin. W nocy.

* * *

Anavri Vaneisen otworzyła oczy.

Pali się – pomyślała w panice. Pokój spowijały szare opary. Potem dotarło do niej, że nie czuje woni dymu.

Usłyszała cichy dźwięk i zamarła. Klamka drzwi poruszała się w górę i w dół. Strach spadł na Anavri jak jastrząb, wczepił się w gardło, chłodnym kłębem zatkał krtań.

Drzwi otworzyły się wolno i w progu stanął Fabien.

Jego włosy zwisały w strąkach, ubranie miał podarte i zakrwawione. Krew na rękach, na koszuli, krew na twarzy.

Lorraine nie żyje. Zabiłem ją.

Słyszała te słowa, choć nie wypowiedział ich na głos. Słyszała je wewnątrz swojej głowy.

Fabien chwiejnie postąpił do przodu. Spojrzenie miał mętne, błędne. Na jego policzku fioletował siniec.

Jesteś tym, czym ja, młodsza siostrze.

Chciała się cofnąć, ale nie mogła się poruszyć; była jak przemieniona w kamień. Fabien pochylił się powoli i dotknął jej policzka lodowatą ręką.

Jesteś moja.

Anavri poderwała się przerażona. Po chwili dotarło do niej, co się stało. Zasnęła, to wszystko. Zasnęła, siedząc w fotelu z książką, i przyśnił jej się koszmar.

Objęła się ramionami, patrząc bezsilnie w przestrzeń. To nie był pierwszy raz, kiedy śniła o bracie. Ale ostatnio te sny nawracały coraz częściej.

Bała się.

* * *

Furtka otworzyła się i zamknęła bez dźwięku. Krzyczący przekradł się przez pusty ogród, zadowolony, że po terenie willi nie biegają psy. Nie musiał się nawet kryć za iluzją, bo noc była bezgwiezdna, idealna do niecznych celów.

Gdy znalazł się tuż obok budynku, nagle poczuł, że włosy lekko mu się jeżą, a po skórze pełzają nieprzyjemne mrówki. Domu strzegły

zaklęcia rzucone przez magów Elity. Sądząc z tego, jak silne było echo czaru, złote tabliczki z wygrawerowanymi symbolami zakopano prawdopodobnie w siedmiu miejscach wokół willi, nad każdą z nich składając w ofierze jagnię. Właściciel, mimo całego zainteresowania mrocznymi sztukami, w sprawach praktycznych najwyraźniej ufał Elicie.

Brune liczył się z takim utrudnieniem i miał w zanadrzu środek zaradczy. Odkorkował fiolkę z mieszanką kilku trujących dla zwykłego człowieka olejków i wylał prawie całą zawartość na ziemię, a resztką skropił swoje ubranie, szepcząc formułę. Zaklęcie wymagało dużego wysiłku; wzdrygnął się, czując, jak uchodzi z niego energia. Ale dopiął swego, wibracje srebrnego czaru zostały stłumione na przynajmniej kwadrans. Tyle czasu powinno wystarczyć.

Wspiął się na taras, przełaząc przez balustradę, i już szykował się do otwarcia następnym zaklęciem zamkniętego na zasuwkę okna, gdy poczuł, że zaczyna go ogarniać mgiełka odrealnienia, jakby świat nagle znalazł się za szybą.

Znał to. Migawki utraconych wspomnień, wracających w najmniej odpowiednim momencie, czasem wyzwalał, jak teraz, przez zbyt duży wysiłek. W jego umyśle zawirowały obrazy.

Chwiejna wędrówka gościńcem: dreszcze, pragnienie, zawroty głowy i nieznośny ból trawiący połowę twarzy. Kropiący deszcz go nie łagodzi.

Loch, kajdany na rękach i nogach. Rany na policzku dalej palą żywym ogniem – tylko chwile, kiedy odpływasz w majaczenie, przynoszą ulgę. A poprzez mękę gorączki powoli dociera do ciebie świadomość, że zza żelaznych drzwi ktoś patrzy. Obserwuje. Ktoś o czarnej aurze – inny mag...

Noc, blask księżyca. Szczęk stali o stal, wysiłony oddech – rozpaczliwa walka o życie z ciemnowłosym mężczyzną. Z mężczyzną... który nazywał się Brune Keare...

Zakreśliło mu się w głowie, musiał oprzeć się o ścianę.

Kurwa mać, opanuj się! Wbił zęby w wierzch dłoni, trzeźwiąc się bólem, i siłą woli przywołał się do porządku. Policzył do dwudziestu, upewniając się, że chwilowe osłabienie minęło. Potem szepnął kilka

słów i okno posłusznie otwarło się pod naciskiem jego dłoni.

* * *

Hrabia Nevers ocknął się i uświadomił sobie dwie rzeczy. Że nie może się poruszyć i że nie jest sam.

Otworzył usta, ale z jego krtani wydostał się jedynie słaby, skrzeczący dźwięk. Intruz podszedł jak gdyby nigdy nic i usiadł na skraju łoża.

Upiór. Czarny zarys postaci i złote kręgi źrenic.

– Proszę zachować spokój – przemówił cichy, ochryply głos, a równocześnie Nevers poczuł na gardle zimny ucisk ostrza. – My się znamy, w każdym razie ze słyszenia. O ile się nie mylę, wynajął pan dwóch zbirów, żeby mnie przyprowadzili do pańskiej willi. Błąd, hrabio. Błąd.

Nevers usiłował wykrztusić replikę, jednak i tym razem nie zdołał wydobyć głosu.

Zabiję cię, łajdaku. Dopadnę cię i zabiję.

– Obawiam się, że nie – odparł *ka-ira* z cieniem drwiny. – Nie jest to, pochlebiam sobie, bardzo łatwe. Przejdźmy do sedna sprawy. Pańska córka żyje i jest bezpieczna, hrabio. Proszę się nie martwić o jej przyszłość, a z dalszymi poszukiwaniami dać sobie spokój. Lorraine nie życzy sobie, żeby jej szukano.

Sięgnął w zanadrze i pomiędzy jego palcami pojawił się błyszczący przedmiot, kołyszący się na łańcuszku. Medalion z miniaturą, tak dobrze znany Neversowi. Pełzały po nim zielonkawe, fosforyczne płomyki.

Ka-ira zaczął szeptać w mowie magów. *Hipnotyzuje mnie* – pomyślał arystokrata, ale nie mógł nic zrobić. Zupełnie nic.

Emanujący pełgającą, niesamowitą poświatą portret Lorraine był coraz bliżej. Powiększał się, aż przesłonił hrabiemu wszystko inne. Nevers poczuł przeszywający ból głowy, a potem ogarnęła go ciemność.

Kiedy rano się ocknął, czuł się dziwnie – oszołomiony i oglupiały. Usiłował przypomnieć sobie, co takiego mu się śniło. Bez skutku.

Jego spojrzenie padło na bilecik leżący na nocnym stoliku. Sabeut. Czemu poprzedniego dnia rozmawiał z Sabeutem?... Ach tak,

Lorraine. Poznała jakiegoś nicponia i uciekła z nim. Zostawiła list, żeby jej nie szukać. Nevers spalił go w przypiływie wściekłości.

Po zastanowieniu zaczął widzieć całą sprawę w innym świetle. Przynajmniej teraz miał dziewczynkę z głowy, nie musiał się martwić o organizację wesela i posag. Młody Ber-Haasten jakoś przeboleje, znajdzie sobie inną.

Hrabia Nevers z namysłem rozejrzał się po pokoju. Zdjął ze ściany portrecik córki i wrzucił go do szuflady biurka.

* * *

Pokój, który oddano Lorraine do użytku, mieścił się na piętrze i wyglądał tak, jak powinna wyglądać sypialnia gościnna w bogatym domu. Na łożu z baldachimem piętrzyła się wykrochmalona pościel. Na toalecie, ku radości dziewczyny, leżał grzebień. Lorraine usiadła przed lustrem, rozpuściła włosy i zaczęła je rozczesywać. Niechętnie musiała przyznać, że podoba jej się ich miedziany kolor i że będzie żałowała, kiedy z powrotem staną się ciemne i proste.

Drgnęła, gdy skrzypnęły drzwi. To wrócił Zazel.

– Pani Lavallo prosi cię do laboratorium – oznajmił.

Lorraine poczuła ukłucie niepokoju, ale spięła włosy i posłusznie zeszła za nim na dół. Zazel zaprowadził ją na parter do komnaty, której drzwi były z hebanu, bogato rzeźbione.

– Wejdz, nie bój się – polecił. Dziewczyna wzięła głęboki oddech i zastukała do drzwi. Te otwarły się powoli, bezgłośnie.

Wewnątrz panował półmrok – zasłony były zaciągnięte. Na pokrytych fioletową materią ścianach lśniły zwierciadła, a w rogach pomieszczenia stały cztery pozłacane rzeźby, co do których Lorraine nie miała pewności, czy nie są to przypadkiem golemy, czekające w bezruchu, aż rozkaz właścicielki obudzi je do życia. W lichtarzu płonęły trzy świece, a ze zwisającej z sufitu kadzielnicy sączył się dym, pachnący drzewem sandałowym, kardamonem oraz jesiennymi popołudniami, kiedy ogrodnicy grabią i palą suche liście.

Marshia Lavallo podniosła się zza nakrytego czarnym aksamitem stołu, na którym stało kilka flakonów różnej wielkości oraz szklane naczynie z wodą. W jej dłoni błysnął nożyk ze złotą rękojeścią.

– Potrzebuję odrobiny twojej krwi. Nie bój się.

Lorraine wzdrygnęła się, kiedy palce żmijki zacisnęły się na jej nadgarstku.

– Spokojnie, dziecko – rzekła z westchnieniem Marshia. – Nie zrobię ci krzywdy.

Czubkiem ostrza zadrasnęła dłoń dziewczyny, a kiedy pokazały się krople krwi, zebrała je złotą łyżeczką i przeniosła do misy. Odrobina czerwieni zniknęła bez śladu w wodzie.

Żmijka zapatrzyła się w misę. Jej czarne oczy stopniowo przybrały odległy, zamglony wyraz. Kiedy przemówiła, jej głos brzmiał inaczej niż dotąd – był cichszy, przygaszony.

– Twój ojciec to hrabia Ephrestus Dorian Nevers?

Lorraine w pierwszym odruchu chciała skłamać, ale dziwny wewnętrzny przymus uniemożliwił jej to.

– Tak – szepnęła, drżąc na całym ciele.

– Ciekawe – powiedziała Marshia Lavallo tym samym zamyślonym tonem, wciąż wpatrzona w powierzchnię wody. – Bardzo ciekawe. Anavri Vaneisen to twoja cioteczna siostra?

– Tak – wyjąkała Lorraine. Nagle pożałowała, że nie leży martwa w jakimś zaułku, przemieniona w kamienny posąg. W lodowatym przebłyску zrozumiała, że może to byłoby lepsze.

– Chodź tu – poleciła tymczasem żmijka, wstając. – Usiądź i popatrz w wodę. Przekonamy się, co jesteś warta jako medium.

Lorraine posłusznie usiadła i pochyliła się nad misą. Pomyślała z nadzieją, że może nic nie zobaczy – ostatecznie znajdowała się w sferach, daleko od materialnego świata. Nie wiedziała, czy umarli mogą wzlecieć tak wysoko, skoro ich domem był szary wymiar stykający się ze światem ludzi.

Dym z kadzielnicy przyprawiał ją o łaskotanie w gardle; kaszlnęła.

I wtedy płomyki świec rozmyły się w złote smugi. Głosy umarłych znowu wybuchły w jej głowie, wezbrały falą szeptów i mamrotów. Potem w misie zjawiły się obrazy.

Skłębiona pościel na wielkim łożu, a wśród niej ohydny, nierozpoznawalny trup, ociekający mazią o wyglądzie ropy.

Noc, księżyc w pełni. Człowiek w łachmanach pochyła się nad zwłokami innego mężczyzny, wokół których czerni się kałuża krwi. Nagle odwraca się, jakby coś usłyszał. To Brune – ale jest wychudzony

jak szkielet, ruchy ma chwiejne, patrzy nieprzytomnie. Jego prawy policzek pokrywają wstrętne strupy, a oczy przypominają dwie studnie, na dnie których pełga żółty blask.

Anavri stoi po kolana w ciemnej, brudnej wodzie, ubrana tylko w zabłoconą koszulę nocną. Jej źrenice świecą jak próchno, a twarz ma ten sam błędny, martwy wyraz.

Węże kłębią się wokół niej, wypadają z jej włosów, wypływają z ust.

Willa płonie. Jej dach zapada się, sypiąc iskrami. Marshia Lavallo leży bez ruchu na zdeptanej trawie, twarz ma zakrwawioną. Nad nią – sylwetki w białych szatach.

A wokół gęstniejąca mgła i szepty, szepty, szepty...

– Wystarczy! – Żmijka poderwała się i nakryła misę chustą, potem zamachała dłonią przed oczami dziewczyny. – Ocknij się! Słyszysz mnie?

Lorraine próbowała odpowiedzieć, ale dygotała tak, że nie była w stanie wydobyć głosu. Widząc to, Marshia odkorkowała jeden ze stojących na stole flakonów i naląła ciemnej cieczy do srebrnej czarki.

– Wypij to. No, otwórz buzię.

Gorzki smak mikstury otrzeźwił dziewczynę na tyle, że ta skierowała na Marshię przerażone, ale już przytomniejsze spojrzenie.

– Co to?

– Zioła na uspokojenie. Pij. – Żmijka dopilnowała, żeby Lorraine opróżniła czarkę. Potem wychyliła się na korytarz.

– Zazel!

Musiała krzyknąć dwa razy, zanim chowaniec przybiegł z dołu, tak szybko, jak tylko mógł na siedmiu łapach.

– Zaprowadź pannę Lorraine na górę. Przypilnuj, żeby się położyła, i siedź przy niej, dopóki nie zaśnie. – Marshia zniżyła głos do szeptu. – Gdyby zemdląca albo zaczęła bredzić, zawołaj mnie.

Kiedy została sama, usiadła przy stole, opierając głowę na rękach. Sama też z trudem była w stanie zebrać myśli. Nie z powodu wróżby – ujrzała w misie to samo, co Lorraine, lecz wiedziała, jak zdradzieckie są projekcje, do jakiego stopnia mogą stanowić odbicie ukrytych lęków czy pragnień kwerenta. Chciała jedynie sprawdzić, z ciekawości, jak silnym medium jest nowa podopieczna.

Bardzo silnym, to nie ulegało wątpliwości. Po odpowiednim

przeszkoleniu mogłaby stać się cennym narzędziem. Lecz sprawę znacząco komplikował fakt, czyją była córką.

Marshia Lavallo, *ka-ira* z Talme, którą w swoim czasie znano w Shan Vaola jako Marilyce d'Auvil, wdowę po gubernatorze Wysp Śpiewu, pamiętała hrabiego Nevers bardzo dobrze. Kiedy ona kultywowała przyjacielskie relacje z rodziną Alaina Vaneisena, podając się za jego odległą powinowatą, a potajemnie szkolila jego syna w Zakazanej Sztuce, Alain prowadził cichą wojnę ze swoim szwagrem.

O tak, Marshia dobrze pamiętała Ephrestusa Doriana Nevers. Jego ostentacyjną kurtuazję, która przy najmniejszej prowokacji przechodziła w cedzone zimno groźby. Jego czarne peleryny, ciężki krok oraz sławetne wybuchy gniewu, które w jej odczuciu zawsze trąciły wyrachowaniem i teatrem. Nevers kreował wokół siebie specyficzną atmosferę – nic nie radowało go bardziej niż świadomość, że ludzie się go boją. Krążyły plotki, że jego żona nie zmarła śmiercią naturalną, a Marshia mogłaby się założyć, iż hrabia sam przyczynia się do ich podsycania. Wiedział, że brakuje dowodów, by o cokolwiek go oskarżyć, a pogłoski budowały mu odpowiedni wizerunek.

Nie zabił swojej żony ani nie zlecił nikomu jej zabicia. Andiana Nevers zmarła z powodu choroby skrycie toczącej jej ciało od jakiegoś czasu. Marshia, która – zaintrygowana całą historią – potajemnie zdobyła medalion z portretem małżonki hrabiego i wykorzystała swoje umiejętności w zakresie magii wróżebnej, nie miała tu żadnych wątpliwości.

Zapamiętała Neversa przede wszystkim jako pozera, w gruncie rzeczy podszytego tchórzem. Nigdy nie lubiła fałszywych magów. Ale po aresztowaniu Fabiena ani ona, ani Alain nie mieli wątpliwości. Ktoś wydał chłopca srebrnym. Ktoś, kto dobrze znał rodzinę Vaneisenów.

Marshia żywiła wówczas pewne podejrzenia. Jednak nie zdążyła ich zweryfikować. Niedługo potem sama musiała się ratować ucieczką z miasta. W panicznym pośpiechu – dała się zaskoczyć, srebrni omal jej wtedy nie dopadli.

Dwa lata później zjawiała się w Shan Vaola ponownie, ale pod inną tożsamością i z konkretnego powodu – bo tak jej nakazał nowy pan, ten, z którym podpisała pakt. Nie mogła ryzykować prywatnego

śledztwa, zasady stawiane przez Charooza agentom Doliny Złota były jasne.

Teraz, mając w zasięgu ręki Lorraine, mogła wreszcie poznać odpowiedź na pytanie, czy to hrabia Nevers doprowadził do aresztowania i śmierci Fabiena. Wystarczyła krew dziewczyny, drobna ofiara dla duchów i dowolny prosty czar wróżebny. Jedno pytanie – tak lub nie.

Marshia mogła poznać prawdę. I wziąć odwet.

Jeśli jej podejrzenia się potwierdzą, będzie miała obowiązek wziąć odwet. Prawo magów.

Uśmiechnęła się gorzko, bezwiednie bawiąc się naszyjnikiem.

Obawiam się, Brune, że tego nie było w twoich planach. Chciałeś po prostu znaleźć odpowiedni dom dla młodziutkiej hrabianki, jak dla rasowego pieska.

No cóż, świat jest mały, a przeznaczenie czasem płata figle.

Na zewnątrz niebo enklawy powoli ciemniało.

7. W pobliżu dna

Akolita Gretius dla pewności raz jeszcze przeczytał doręczony dokument. Następnie sięgnął po kryształ do rozmów na odległość i uaktywnił go dotknięciem.

– Mistrzu Demetheosie, otrzymałem tajny raport z Wyspy Salamander – oznajmił, gdy w kryształe pojawiło się oblicze Opiekuna Miasta. – Bez mózgu, serca i wątroby nie mogą mieć pewności, ducha również nie udało się zawezwać z powrotem, ale wiele wskazuje, że zwłoki znalezione przy Rybiej Bramie należały do zwykłego człowieka. Innymi słowy, zabójca Trójokiego najprawdopodobniej wciąż żyje.

– Nie dziwi mnie to – mruknął stary mag.

– Co mamy robić?

– Nic. Żadnych pochopnych kroków. Nie powtórzcie błędu Iglendis. – Demetheos w zadumie przeczesał palcami pasma białej brody. – Najpierw dokładnie zbadamy sprawę. Chcę wiedzieć wszystko o tym rzekomym alchemiku. Co to za ptaszek, skąd się wziął w lochach, ile umie, komu służy. Gdy się tego dowiem, zadecyduję o dalszych działaniach.

W pamięci miał raporty szpiegów z ostatnich kilku miesięcy. Czy można było zareagować wcześniej... inaczej...? Przewidzieć, że ambicja podwładnej tak dalece ją zaślepi? Gdyby Iglendis nie zaatakowała węża, wąż być może nadal nie sprawiałby żadnych kłopotów. Ale też Demetheos nie przypuszczał, że gad jest aż tak jadowity. Sądził, że przymyka oczy na jeszcze jeden szczątkowy magiczny talent, który zręcznie się wpasował w ciemniejszą stronę miasta, działając na rzecz Ekwilibrium, a nie przeciwko niemu.

Zlekceważyłem cię, ka-ira. Mój błąd.

* * *

Smród z położonego dwa korytarze dalej śmietniska wydawał się

powlekać gardło. Veljanov splunął.

Podniósł pułapkę, wyjął z niej martwego szczura i wrzucił go do worka. Sprawdził, czy mechanizm się nie zacina, po czym założył nową porcję przynęty. Skuteczniej tępiło się szkodniki wykładając trutkę, ale stare miejskie prawo wymagało, żeby szczurołap raz w tygodniu okazał straży miejskiej odpowiednią liczbę szczurzych ogonów.

Skreślił do niedużej krypty. Tuż obok wejścia na murze widniała ciemna plama, a wokół unosiło się kilka mglistych postaci. Na widok Veljanova zaszepotały po swojemu.

– Szepczcie, szepczcie – mruknął wrogo szczurołap. – Znam ja was.

W sklepieniu krypty ział wyłom, a na posadzce zalegał gruz. Niegdyś srebrni dopadli tutaj uciekającą młodą *ka-ira*. Jedna z tych historii, które później przez lata opowiadano obcym w tawernach na pierwszym poziomie, ubarwiając je w miarę potrzeby.

Dzień wcześniej to miejsce ujrzało kolejną śmierć, ale Veljanov nie należał do przesądnych. Spokojnie zajął się kolejną pułapką. Ta miała wyjedzoną przynętę i była częściowo rozkręcona – homunkulusy musiały się do niej dobrać, złośliwe dranie.

Słyszając w górze ciche kroki, wyprostował się i drgnął, bo w czarnym otworze błysnęły żółte źrenice.

Brune podszedł do krawędzi wyłomu i zeskoczył zwinnie, omijając przyzmy gruzu. Skinął szczurołapowi głową. Dłoń miał obwiązaną kawałkiem płótna.

– A tobie co? – spytał szczurołap, patrząc na opatrunek.

– Nic. Fichtowaliśmy się z Rożkiem.

– Szczur powiedział mi kiedyś, że robisz rapierem prawie jak zawodowiec.

– Naprawdę? Mnie zawsze mówił, że walczę jak niedożywiony gryziopiórek. Skoro o Szczurze mowa, co on porabia? Nie widziałem go ostatnio.

– Wyjechał – uciał Veljanov. – Rożek nic ci nie rzekł?

– Rzekł, ale krótko i mętnie. Myślałem, że wy wiecie więcej.

– Szczur miał na pieńku ze srebrnymi za jakieś dawne sprawy. Kiedy zaczęli węszyć za tobą, uznał, że w Podziemiach robi się zbyt niespokojnie i postanowił zniknąć z miasta.

Brune spoważniał. Choć wiedział, że to nieracjonalne, poczuł

wyrzuty sumienia. Zrobiło mu się też przykro, że stary mistrz szermierki nie uznał za stosowne się z nim pożegnać.

– Co tu się stało? – zmienił temat, wskazując plamę na ścianie. Zmysłami maga wyczuwał emanujący z niej zapach krwi i śmierci. Umarli, widząc jego zainteresowanie, zamilkli i skupili się ciałniej.

Szczurołap spochmurniał.

– Nie słyszałeś? Homunkulusy wczora zagryzły tę handlarzkę od bułek. Zmyliła po pijaku drogę, wpadła w dziurę i, ot, masz.

Twarz źmija skurczyła się w tiku. Wysyczał coś paskudnie brzmiącego. Umarli pierzchli, wtapiając się w mury.

Veljanov pomyślał z obawą, że Brune zmienił się w ostatnim czasie. Jakby walka z Trójokim przełamała w nim jakąś barierę – obudziła w nim coś, co niepokoiło nawet szczurołapa, który nie należał do lękliwych, zaś źmija znał dobrze. A w każdym razie sądził, że dobrze go zna.

Krzyczący spojrział na starego, jakby wyczuwając jego myśli. W mdłym świetle latarni źrenice źmija przybrały postać złotych kręgów. Veljanov przełknął ślinę.

– Helshor przypomina się względem tamtej dostawy, co to wiesz – zmienił temat.

– Pamiętam – odparł krótko źmij. – Bywajcie.

* * *

Zmierzchało, ale na targu rybnym nadal panował harmider. Turkotały wozy, przekupnie pokrzykiwali. Zanim Brune wyszedł z podziemnego przejścia na plac, dla bezpieczeństwa otulił się iluzją mającą zniechęcać ludzi do przyglądania mu się bliżej.

Na tyłach jednego z kramów stał koślawy wózek, na którym leżały dwa wypchane worki. Obok siedział karzeł w łachmanach i gryzł połówkę rzepy. Na widok źmija poderwał się jak źgnięty szydłem.

– To przekłete żelastwo sprzedał żem już! – wybuchnął opryskliwie. – Wczoraj żem sprzedał co do gwoździa! Zaraza z wami, pijusy!

– Komu mam to przekazać? – spytał uprzejmie Brune, tłumiąc śmiech. Karzeł zacukał się.

– A, to wy, panie alchemik. Nie poznał żem was.

– Zgodnie z umową. – Żmij wyjął spod kurtki trzy butelki

zapięczętowane czerwonym woskiem i postawił na wózku. – Kłaniaj się ode mnie królowi.

Karzeł zmarszczył brwi, przyglądając się butelkom.

– Tylko trzy? Miały być cztery.

– Czwarta jutro. Alembik mi szwankuje. Jak znajdziecie gdzieś na śmietniku elegancką ołowianą rurkę, nie pogardzę.

– Rurkę, co? Jakiej wielkości?

– Długą na co najmniej piętnaście cali. I światło, o, takie. – Brune pokazał mu na dłoni.

– Może się uda przy odrobinie szczęścia. – Karzeł wytarł nos w palce, aż zatrąbiło. – Ludzie wyrzucają różne rzeczy. Raz w podwórku za tą wesołą łaźnią, co to wiecie – uśmiechnął się porozumiewawczo – całego piezzonego indyka żem zdybał. Z nadzieiem. Czekaście, to mi przypomina, że mam cosik dla was. – Jął grzebać w jednym z worków.

– Ale nie indyka, mam nadzieję?

– Nie. List! – Karzeł triumfalnie wyciągnął złożony i zapieczętowany arkusik.

– Od kogo?

– Alboż to ja wiem? Dała mi go w południe młoda dochtórka ze szpitala dla ubogich. Spytała, czy was znam, tom rzekł, że tak.

– Ze szpitala dla ubogich... – Krzyżący nagle poczuł dreszcz. Prędko rozłamał lak i przebiegł wzrokiem liniiki pisma.

* * *

Haru Savin odwiązała fartuch i umyła ręce przy kamiennym zlewie, po czym wyszła na tylny dziedziniec szpitala, o tej porze opustoszały i cichy. Nad dachami wschodził księżyc.

Zastanawiała się, czy postąpiła słusznie, prosząc zmija z lochów o pomoc. Kilka miesięcy wcześniej wyświadczył jej przysługę, sporządzając leki dla szpitala po głośnej historii z ifrytami, które tajemniczym sposobem uwolniły się w Podziemiach, siejąc ogień i śmierć, póki srebrni magowie ich nie przegnali. Nie widziała go od tamtej pory, lecz był jedynym *ka-ira*, jakiego znała, a z krótkiego spotkania zostało jej wrażenie, że nie działałby poza prawem, gdyby miał wybór – gdyby nie czarny talent, który uczynił go wyrzutkiem. Znała dostatecznie wielu przestępców złych na wskroś, żeby widzieć

różnicę. Paru skądinąd wyratowała od śmierci. Taki zawód. Była medyką, nie sędzią.

W oddali dzwon na wieży ratusza wybił godzinę. Lekarka rozejrzała się i drgnęła, widząc, że ma towarzystwo.

– Cóż, oto jestem. – Krzyczący w Ciemności skłonił głowę.

Zanim pojawił się na otwartej przestrzeni, upewnił się, że nie przygotowano na niego zasadzki. Teraz wyczuwał emocje Haru, które uspokoiły go do reszty. Niepewność, zakłopotanie z domieszką strachu, a w tle głęboki cień tego czegoś, co ją pchnęło do napisania listu. Oczami wyobraźni ujrzał ją, jak rozmawiając z Karłem – czy przyszedł tu na gorącą zupę, wydawaną w południe biedakom? – nagle każe mu zaczekać, biegnie po kartkę i kreśli kilka zdań.

– Dziękuję, że się zjawiłeś – powiedziała cicho. – Chodź.

Przekraczając próg budynku, Krzyczący jak zwykle poczuł dreszcz; wszechobecna tu aura cierpienia wydawała się oblepiać mury niczym śliska warstwa wodorostów. Haru zaprowadziła go do pozbawionej okien izdebki na parterze, wypełnionej mdłą wonią medykamentów. Stało tam tylko jedno łóżko; na podłodze przy nim tlił się kaganek. Siedząca w kącie posługaczka podniosła się i zamieniła szeptem kilka słów z lekarką, następnie zaś wyszła, nawet nie spojrzawszy na żmija, którego widocznie wzięła za jednego z wielu studentów medycyny, jacy przewijali się przez szpital.

– Podejdź tu – poleciła szeptem Haru.

Dziewczyna na łóżku przypominała ludzki szkielet. Pasma przerzedzonych włosów oblepiły twarz barwy ołowiu, z plamami wypieków. Oddychała chrapliwie, półotwarte usta z trudem łapały powietrze.

– Suchoty – wyjaśniła krótko lekarka.

– Znasz ją? – Nie zgadywał, choć i nie czytał w myślach. Wyczuwał emocje.

– Znam. – Haru objęła się ramionami i zapatrzyła na płomyk kaganka. – To córka powinowatych mojego wuja, zamożnych mieszczan. Jej ojciec był złotnikiem i trochę za dużo pił. Wuj kurował go na żołądek i wątrobę, a my przyjaźniłyśmy się od dziecka. Potem papa złotnik nagle zmarł, zaś jego żona powtórnie wyszła za mąż i wyjechała z córką na północ. Ile lat temu to było? Osiem? No, a wczoraj przywlokła się tutaj, bosa i w łachmanach. Rano była jeszcze

na tyle przytomna, żeby opowiedzieć swoją historię. Rok temu zaszła w nieślubną ciążę, ojczym wypędził ją z domu. Tułała się od wioski do wioski i od miasta do miasta, aż dotarła pod nasz dach. Widać los tak chciał.

– Co się stało z dzieckiem?

– Twierdzi, że urodziło się martwe.

Jakby usłyszawszy, o czym rozmawiają, chora otworzyła oczy i poruszyła wargami, próbując coś powiedzieć. Po chwili powieki jej opadły; odpłynęła z powrotem w malignę.

Brune wyciągnął rękę i wysiłkiem woli zatrzymał ją tuż nad czołem dziewczyny. Drżał – choroba i śmierć kusiły go obietnicą siły.

– Jesteś *ka-ira* – odezwała się lekarka. – Wy ponoć umiecie rozpoznać, czy chory będzie żył, czy umrze.

– Zgadza się. – Czarni magowie wyczuwali śmierć. Srebrni, z tego co wiedział, nie. Zresztą i tak nie robiło to różnicy, bo nawet mało znaczący adept srebra nie zniżyłby się do tego, żeby się zjawić w szpitalu dla ubogich.

– Jak oceniasz... jest dla niej jeszcze nadzieja?

– Żadnej.

– Ile czasu zostało?

– Dwa, trzy dni, nie więcej.

Zresztą, sama to wiesz. Ale widocznie łudziłaś się aż do ostatniej chwili.

Haru przygryzła wargę. Czuł, że lekarka bije się z myślą, aby prosić go o pomoc, o zrobienie czegokolwiek, co leżało w jego mocy, choć była na tyle wykształcona, żeby znać jedyną odpowiedź, jakiej mógłby udzielić. Czerń nie uzdrawia.

Odstąpił od łóżka i wyjął z kieszeni flakonik z ciemnego szkła.

– Namaść jej tym usta. Zaśnie bez cierpień.

Sam nie chciał dotykać umierającej. Mógłby wchłonąć jej ból wraz z resztkami siły życiowej; z najwyższym trudem powstrzymywał się, żeby tego nie zrobić, nie poddać się instynktowi.

Jak pies na smyczy, który wie, że nie wolno mu ruszyć mięsa leżącego na ziemi. Ohydne. Opanuj się.

– Poczekam na zewnątrz – powiedział i nie czekając na odpowiedź, wyszedł na korytarz.

Haru po chwili dołączyła do niego.

– Trzymaj. – Oddała mu flakonik. Żadne już się nie odezwało aż do krótkiego pożegnania przy tylnej bramie.

Wracając do Podziemi, Brune wzdrygnął się, gdy nagle powróciło do niego wspomnienie z wiosny. Znów zobaczył siebie wtedy, kiedy dopiero zaczynał przytomnieć po tygodniach czy miesiącach obłąkania – jakby wynurzał się z głębokiej, mętnej toni – i z narastającym przerażeniem odkrywał, gdzie jest: w nieznanym mieście, w lochach, przygarnięty przez grupę śmieciarzy. Starał się nie wracać do tego pamięcią. Wyzdrowiał przecież, radził sobie. I tylko czasem zdarzało się, że coś – widok żebraka czy chorego, jak dziś – przyprawiało go o przykre skojarzenia oraz dreszcz niesprecyzowanego lęku.

* * *

Kiedy spływała na niego paralizująca chandra, Vincent Ambers miał na nią jeden sposób: lucyferia.

Jednak zdarzały się dni, kiedy nawet lucyferia nie mogła pomóc. Wyrывała z odrętwienia, ale nie leczyła nastroju. Nie odpędzała poczucia, że jego życie to pasmo pomyłek i porażek. Gdy rodzice umierali, był z nimi skłócony, nie zdążył przeprosić ojca za słowa wykrzyczane w gniewie. Jego wiersze są sentymentalne i głupie, pisane pod publiczność. Rządcy na pewno go oszukują, bo poeci nie mają głowy do takich spraw, jak ceny zboża i wina – więc majątek stopniowo popadnie w ruinę. Imella jest z nim tylko dlatego, że ją to bawi. Nikt go nigdy tak naprawdę nie kochał poza siostrą.

W przyływach najgorszego samopoczucia Vincent lubił igrać z przeznaczeniem. Nie chciał rozstać się ze światem jako samobójca, bo to okryłoby hańbą jego nazwisko, a honor rodziny był jedną z niewielu rzeczy, na których poecie zależało. Ale przecież można stracić życie w wyniku nieszczęśliwego splotu okoliczności – na przykład zostać zabitym przez opryszków albo zarazić się od pospólstwa jakąś paskudną chorobą. Dlatego Vincentowi od czasu do czasu zdarzało się kusić los. Incognito, bez broni, w starym ubraniu jednego ze służących, udawał się do dzielnic nędzy, w okolice portu lub do Podziemi, żeby wypić coś mocniejszego w szynku i błąkać się przez kilka godzin, a czasem przez całą noc. Nigdy nie przydarzyło mu się nic złego i uważał to za znak od losu, że widocznie śmierć nie jest mu

jeszcze pisana.

Loss Fomar, wczesnym wieczorem nadal dość ruchliwe i gwarne, nie było miejscem ani ponurym, ani niebezpiecznym, nawet jeśli po zapadnięciu zmierzchu porządniejsze kramy zamykano, a wokół przybywało lokalnego towarzystwa. Większość straganów pozostawała czynna do północy, a nieliczne prawie do rana.

Na pustej przestrzeni przed kolumną z zegarem popisywało się akrobatycznymi sztuczkami dwóch odmieńców w kolorowych kostiumach – jeden kudłaty o oślich uszach, drugi mały, z pyskiem jak mops. Kramarki niestrudzenie zachwalały towar. W nosie wiercił tutejszy ciężkawy zapach, posiadający niemalże własną osobowość – woń dymu, kadzidełek, odpadków gnijących za straganami, zastarzałego potu i niepranych ubrań biedoty, wystawionych na sprzedaż wonności, przypraw i smażonych smakołyków – który tego dnia przeszkadzał Vincentowi bardziej niż zwykle. Za kilka miedziaków poeta kupił od obdartej dziewczynki zakorkowany słoiczek ze świeciwem i skręcił w pierwszy lepszy boczny korytarz.

– Hej, młodzieńcze, może skusisz się na miły kwadransik – zawołała dziwka o rudych, ufryzowanych włosach, jedna z wielu, jakie tu się kręciły. Puder nie mógł ukryć plam wysypki na jej twarzy i ramionach. Ambers wzdrygnął się i odszedł szybkim krokiem.

Minął ostatnich sprzedawców, ignorując ich jęśliwe głosy, zbiegł po stromych schodach i przeszedł po kładce nad kanałem. Odmieńcy w malowniczych łachmanach, którzy podbierakami usiłowali łowić coś w tym kanale, popatrzyli na poetę ciekawie, ale nie zaczepili go. Ambers zszedł po kolejnych schodach, prawie wdepnął w coś obrzydliwego, prawie zderzył się z cuchnącym jak gorzelnia osobnikiem o twarzy przypominającej pysk ryjówki, na rozwidleniu skręcił w lewo, bo z prawego korytarza dobiegały pijackie wrzaski, i pogrążył się w ponurym zamyśleniu.

W pewnym momencie zorientował się, że zawędrował w nieoświetlone, niezamieszkałe rejony lochów. Zawahał się, próbując ocenić, na którym poziomie się znajduje. Było tu sucho, pod nogami nie poniewierały się odpadki, nie śmierdziało ściekami. Po prawej stronie zauważył okute drzwi, być może wejście do magazynu.

Naraz zeszywniał, bo spostrzegł pod murem czarny kształt. W pierwszej chwili nie był pewien, co to takiego. Potem błysnęła

czzerwona iskierka, a równocześnie Ambers wyczuł słabą, lecz charakterystyczną kadzidlaną woń. Ktoś – zapewne bezdomny – palił opium, siedząc tu samotnie.

Nagle kształt poruszył się – postać odwróciła głowę... i zalśniły pionowe żółte źrenice. Tłumiąc jęk, Vincent zaczął się powolutku wycofywać. Wiedział, że jego strach, świetnie wyczuwalny z tak małej odległości, może dla *ka-ira* stanowić zapowiedź smakowitej rozrywki.

Czarna postać powoli wstała.

– Ambers?!

Poeta rozpoznał ten głos. Z ulgi ugięły się pod nim nogi, tak że musiał się oprzeć o mur. *Ka-ira* podszedł do niego, po drodze wystukując z lufki resztki narkotyku. Światło lampki padło na jego twarz. Minę miał taką, że Vincent skulił się mimo woli.

– Życie ci niemiłe? Możesz mi wytłumaczyć, po jaką cholere tu schodziłeś?

– Ja... – Ambers zająknął się.

Przyjrząwszy mu się uważniej, Krzyczący w Ciemności tylko pokręcił głową. Długie włosy młodzieńca były potargane, miał na sobie jakąś starą pelerynę i spodnie ubłocone prawie do kolan, jakby spędził parę ostatnich godzin, włócząc się nie po Podziemiach, tylko po najgorszych zaułkach na powierzchni. Obrazu dopełniały tygodniowy zarost i błędne spojrzenie. Żmij sięgnął umysłem w stronę poety i ku swemu zaskoczeniu przekonał się, że ten nie jest ani pijany, ani pod wpływem znaczącej dawki narkotyków. Wyczuł tylko odrobinę lucyferii, której działanie już mijało.

Ambers nie miał też roztrzęsionej aury ściganego zwierzęcia, z czego należało wnosić, że nie wpakował się w żadne kłopoty i nie usiłuje się w Podziemiach ukryć przed pościgiem. Teraz, gdy przestał się bać, jego jedynym łatwo wyczuwalnym uczuciem był tępy smutek. Żmij westchnął.

– Wierz mi, arystokrato, są lepsze sposoby na chandrę, niż poleźć pod ziemię i dać się obrabować czy zabić. No dobrze, chodź. Idziemy.

– Dokąd?

– Jak to dokąd? Odprowadzę cię do powozu.

– Nie przyjechałem powozem.

– To do domu.

– Nie trzeba. – Ambers spróbował zachować resztki dumy. – Sam

wrócę...

– O nie. Wystarczająco dużo szczęścia miałeś, docierając tutaj bez szwanku.

W odczuciu Vincenta wyjście z lochów zajęło zaskakująco niewiele czasu. Przeszli kawałek korytarzem, potem skręcili w drugi, który doprowadził ich do schodów wiodących na powierzchnię. Na górze okazało się, że są w starej części miasta i że leje deszcz. Rynsztokami płynęły strumienie wody. Krzyczący pociągnął towarzysza pod osłonę najbliższej bramy.

Tuż po przygodzie z grymuarem Liseniusa poeta był zbyt roztrzęsiony, żeby zapamiętać cokolwiek z wyglądu *ka-ira* poza ciemnym płaszczem i żółtymi źrenicami. Teraz, otrząsnąwszy się zarówno z przestachu, jak i z depresyjnego otępienia, zaczął się zmijowi uważniej przyglądać, próbując zdecydować, co jest bardziej prawdopodobne – że ten z jakichś względów wybrał się do Podziemi czy że należy do tamtego światka. Z rozczarowaniem doszedł do wniosku, że raczej to drugie.

Ka-ira tymczasem wyjął z kieszeni krede i nakreślił na bruku kilka znaków.

– Co robisz? – odważył się spytać Ambers.

– Przy takiej pogodzie jak dzisiaj echo portalu daje się wyczuć mniej więcej przez kwadrans. Myślę, że możemy zaryzykować. Nie sądzę, żeby w ciągu najbliższego kwadransa jakiś srebrny mag miał się pojawić w tej okolicy. – Żmij szepnął coś i na tle muru zamajaczył krąg pełgający niebieskawym światłem. – Chodź. Prędzej, nie ma czasu! – Szarpnął Vincenta za ramię, gdy ten się zawahał.

Na chwilę ogarnęła ich opalizująca, zimna nicość. Kiedy Ambers ochłonął, zorientował się, że stoją na ścieżce przy zbiorniku wodnym, a poniżej za drzewami majaczy znajomy zarys willi. Kropiło.

Otworzył usta, żeby podziękować i się pożegnać, ale *ka-ira* ujął go za ramię.

– Muszę z tobą porozmawiać, młodszy bracie.

– Tutaj? – zdziwił się poeta.

Kącik ust żmija drgnął w ironicznym uśmiechu.

– Jeśli nie zaprosisz mnie do domu, może być i tutaj. Chyba że przeszkadza ci deszcz.

Vincent zawahał się, tknięty obawą, że służba znowu zyska temat

do plotek. Wprawdzie zdarzało mu się przyprowadzać gości o dziwnych porach, zawsze jednak byli to ludzie z jego sfery, a nie...

Potem przypomniał sobie, jak sam jest odziany. Mogło to od biedy wyglądać tak, jakby spotkał się w mieście z przyjacielem, który również wybrał się incognito do podłych dzielnic.

– Zapraszam – powiedział.

Gdy schodzili, deszcz znowu się nasilił. W żadnym z okien willi nie paliło się światło. Musieli czekać u drzwi przez dłuższą chwilę, moknąc, zanim odgłos kołatki w końcu ściągnął kogoś na dół. Stary służący powitał swego pana z niewzruszoną miną. Ambers szepnął mu kilka słów wyjaśnienia, wziął od niego lichtarz i poprowadził żmija na piętro.

W gabinecie było ciemno i zimno – pokojówka wobec braku instrukcji nie napaliła w kominku. *Ka-ira* ukląkł, szepnął coś i ułożone w palenisku drwa zajęły się płomieniem. Poeta wzdrygnął się. Dziwnie, wręcz upiornie było patrzeć, jak ktoś używa magii ot, tak sobie.

Jego gość zdjął opończę, zawiesił ją na oparciu fotela i usiadł, wyciągając ręce w kierunku ognia. Ambers zachnął się odruchowo i natychmiast ugryzł się w język. Za późno. *Ka-ira* spojrzał na niego cierpko.

– Nie bój się, nie zapuszczę ci tu wszy.

Starając się ukryć zakłopotanie, Vincent zapalił świece stojące na okapie kominka. W lepszym świetle dotarło do niego, że błędnie ocenił gościa. Nie było obawy, że jedwabne obicie fotela ucierpi od zetknięcia z odzieniem żmija, a jego włosy okazały się raczej zmierzwione i splątane niż brudne. Pachniał opium, dymem i piwniczną wilgocią.

Ambers przysunął sobie krzesło i też usiadł. Zatrzymał spojrzenie na twarzy maga, odruchowo oceniając ją tak, jak często oceniał twarze ludzi, szukając inspiracji. Intrygowała. Przecięta bliznami, które dziwnie do niej nie pasowały. Śniada, wpadająca w ziemistość cera, ładne na swój sposób rysy, nienaznaczone piętnem podłego życia.

Żmij skierował na niego wzrok i wtedy Ambers uświadomił sobie coś, co go zmroziło. Mag wyglądał na góra trzydzieści lat, ale równie dobrze mógł ich liczyć siedemdziesiąt. Albo sto. Kontrast między jego twarzą a spojrzeniem był uderzający, budził dreszcz.

– Powiedz mi, czemu flirtujesz ze śmiercią, poeto?

– Ja... – Ambers zająknął się. Bure oczy z migoczącymi żółto żrenicami zahipnotyzowały go, nie pozwalając spuścić wzroku.

– Do czego wykorzystałbyś skażony dar, gdybyś go posiadał?

Poeta milczał. *Ka-ira* wyciągnął rękę i końcami palców dotknął jego czoła.

– Kombinujesz. – Zostało to powiedziane nadspodziewanie ciepłym tonem. – Wiesz, co ci poradzę, młodszy bracie? Miejsce twojego bólu jest na papierze.

– To znaczy?...

– Piszesz sielanki pod publiczność i dusisz w sobie małe piekło; nie tędy droga. Kto powiedział, że sztuka zawsze musi być piękna i radosna? Umieraj, zabijaj, bądź czarnym magiem, zniszcz świat, krzycz do umarłych. W wierszach.

Ambers uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Żartujesz. Wyjdzie straszny kicz.

– Nie sądzę.

– Czemu?

– Bo masz talent.

– Nie czytałeś nic mojego.

– Ale umiem oceniać takie rzeczy.

– Po aurze?

– Oczywiście.

Ambers zawahał się.

– Czytujesz poezję?

– Kiedyś czytywałem. – Brune mimo woli dotknął czoła, jak zwykle zdezorientowany tym, że pamięta wiedzę, a nie to, jak ją zdobywał. Mógłby przysiąc, że kiedyś uczęszczał na wykłady z literatury; może były obowiązkowe na początku studiów.

Młodzieniec tymczasem już przerzucił papiery leżące na ozdobnym, rzeźbionym, ale nieziemsko zabałaganionym biurku.

– Jeśli chcesz... – Nieśmiało wyciągnął w stronę zmija plik rękopisów.

– Chętnie się zapoznam. – Krzyczący w Ciemności uśmiechnąłby się, gdyby nie obawa, że tik wykrzywi mu twarz. – Mogę się nawet podzielić opinią, jeśli się nie boisz.

– Przyjdź... – Ambers zawahał się. – Przyjdź za cztery dni o zmierzchu. Uprzedzę służbę.

* * *

Anavri cicho wsunęła się do gabinetu ojca. Alain uniósł głowę znad pisanego właśnie listu. Twarz miał zasepioną, ale na widok córki uśmiechnął się blado.

– Usiądź. – Wskazał jej fotel. Z troską zmierzył ją wzrokiem. – Jak się czujesz? Mizernie wyglądasz.

– Ostatnio źle sypiam – przyznała, spuszczać oczy. Nie chciała kłamać, ale nie mogła też powiedzieć całej prawdy. Ojciec i tak miał teraz dość zmartwień.

– Jutro będzie tu doktor Kranz. Poproszę, żeby rzucił na ciebie okiem.

– Nie trzeba. – Anavri zdała sobie sprawę, że mnie w palcach koronkowy mankiet. Puściła go pospiesznie i skrzyżowała ramiona na piersi. – Po co wezwałeś doktora Kranza, ojcze?

– Muszę z nim coś skonsultować.

– Sądzisz, że wuj Nevers naprawdę postradał rozum?

Alain zaśmiał się sucho.

– Nie wydaje mi się. Kiedy z nim wczoraj rozmawiałem, bynajmniej nie sprawiał takiego wrażenia.

– Pytałeś, co się stało z Lorraine?

– Tak. Twardo trzyma się wersji, że wysłał ją do Dal Ferra, do wód.

– Nie wierzysz w to, prawda?

– Nie wierzę. Młody Loic Ber-Haasten też nie. Zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc, bo obawia się, że jego niedoszłej narzeczonej przytrafiło się coś złego. Podzielał jego niepokój.

Anavri stanęła przy oknie. Alain jak zawsze poczuł w sercu ukłucie, patrząc na jasne fale jej włosów. Gdyby upięła je w kok, wyglądałaby jak lustrzane odbicie Lydii.

– Podejrzewasz, że wuj zrobił jej krzywdę i ukrywa to? – spytała cicho.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, Anavri. Jedna rzecz mnie zastanawia. Dlaczego Lorraine zniknęła tuż po tym, jak hrabia zaaranżował jej małżeństwo?

– Myślisz, że uciekła z domu?

– A ty sądzisz, że to prawdopodobne wytłumaczenie? Widziałaś się z Lorraine w przeddzień jej zniknięcia. Czy mówiła coś... cokolwiek, co

mogłoby rzucić światło na tę sprawę? Miała powody, żeby nie chcieć tego ślubu?

– Wyraziła obawę, że ojciec chce się jej pozbyć z domu, żeby móc swobodnie zajmować się... wiesz czym.

Alain z westchnieniem pomasaował powieki kciukiem i palcem wskazującym.

– Nad wyraz słuszna obawa. Bardzo chciałbym wiedzieć, czym dokładnie nasz drogi hrabia się potajemnie zabawia. O uszy obiły mi się różne nieciekawe pogłoski; pytanie, ile w nich prawdy.

– Jakiego rodzaju pogłoski?

Alain zawahał się. Po jego minie Anavri poznała, że był o włos od udzielenia odpowiedzi, ale uznał, że prawda nie jest dla uszu córki. Poczowała rozczarowanie i złość.

Gdyby matka żyła, jej na pewno byś powiedział. Fabienowi też.

– Hrabia ma konszachty z ludźmi, którzy łamią prawo – powiedział tylko. Anavri zwalczyła chęć wykrzyczenia mu w twarz, że przecież doskonale wie, o czym mowa.

Nie jestem dzieckiem, ojcze. Przestałam nim być, kiedy srebrni zabili Fabiena, ale wygląda na to, że umknął ci ten fakt.

– Jest inna sprawa, o której chciałem z tobą porozmawiać – zmienił temat Alain. – Państwo Riese wydają za trzy tygodnie bal, żeby uczcić dwudziestą piątą rocznicę swojego ślubu. Pójdziemy tam. Nasza nieobecność za bardzo rzucałaby się w oczy. Lepiej, byśmy nie ściągali teraz na siebie uwagi.

Anavri znów pomyślała o nawiedzających ją snach i stłumiła nagły poryw strachu.

Jej ojciec uśmiechnął się nieoczekiwanie.

– Nie rób takiej smutnej miny, serce. Mam dla ciebie niespodziankę.

– Niespodziankę? – zdziwiła się.

– W gotowalni. Chodź.

W malutkim pomieszczeniu między sypialnią Anavri a dawną sypialnią jej matki znajdowały się dwie wielkie szafy oraz przykryty muślinem stolik toaletowy pod trójskrzydłowym zwierciadłem – kiedyś zastawiony kosmetykami Lydii, teraz pusty. Dziewczyna spuściła głowę, gdy ujrzała, że na krześle przed lustrem wisi balowa suknia z błękitnego jedwabiu.

- Nie chcę – powiedziała cicho. Ojciec położył jej dłoń na ramieniu.
- Nie powinni cię teraz oglądać w czerni.

8. Dwa przyjęcia

W zdjętym dopiero co z ognia kociołku dymiła ciecz o odurzającym aromacie. Krzyczący w Ciemności z aptekarską dokładnością po kolei dodawał do niej kolejne składniki, szepcząc formuły i od czasu do czasu spoglądając na klepsydrę.

Wygląd jego kryjówki nieco się zmienił na przestrzeni ostatnich miesięcy. Przybyło aparatury i przede wszystkim ksiąg; na półkach zaczynało już na nie brakować miejsca. Brune coraz częściej myślał, że należałoby się rozejrzeć za innym, pewniejszym schronieniem. Czary maskujące, jakie splótł, nie były w końcu niezawodne. Szkoda byłoby utracić to wszystko.

Wzrok źmija prześliznął się po zniszczonych tomach – większość została zakupiona za śmieszne pieniądze od handlarzy, którzy nie mieli pojęcia o prawdziwej wartości tych dzieł – i zatrzymał się na półce, gdzie w szkatułce wyłożonej czarnym jedwabiem spoczywał medalion z ukrytą wewnątrz miniaturą.

Lorraine przez długi czas nosiła go przy sobie, jej aura nałożyła się na złoto i smoczą kość, przylgnęła do nich zbyt silnie, by dało się ją usunąć zaklęciami. Można by go użyć do ustalenia, gdzie dziewczyna przebywa, do śledzenia jej z oddali. Albo do zadania jej czarami bólu, jak za pomocą tych laleczek, które lepi się z wosku, dodając kosmyk włosów czy skrawek paznokcia ofiary, a następnie przebija szpilkami lub spala. Co więcej – teraz medalion stanowił dowód na kontakt Lorraine z *ka-ira*, wystarczający, by postawić ją przed sądem.

Elegancka pamiątka.

Piasek w klepsydrze skończył się przesypywać. Brune delikatnie zamieszał miksturę, która prawie przybrała już pożądaną gęstość i jednolicie ciemną barwę. Rozglądając się po laboratorium, pomyślał po raz kolejny, jak wiele się zmieniło, odkąd pierwszy raz ocknął się w tym miejscu, słaby i oszołomiony. Odkąd właśnie tutaj wróciła do

niego część utraconych wspomnień i wiedza alchemiczna, pozwalająca w dosyć bezpieczny sposób zapewnić sobie byt.

Na jakiś czas – bo dobrze wiedział, że lochy nie będą mogły mu w nieskończoność dostarczać schronienia. Historia z Trójokim stanowiła pierwsze poważne ostrzeżenie. Wszedł z niej cało, lecz w dużej mierze dzięki szczęściu, którego następnym razem może nie mieć.

A dokąd mógłbym wyruszyć? Gdzie się osiedlić? W każdym innym mieście czeka mnie to samo. Kilka miesięcy czy rok spokoju, a potem... I tak już zawsze?

Chyba że...

Z nagłym dreszczem znów pomyślał o tym, jak przybył do Shan Vaola, jako otępiały i mamroczący szaleniec. O szarych plamach wymazanej przeszłości, której dotąd nie odzyskał. Która czasem jawiła mu się przed oczami, nieproszona, w postaci obrazów. Niekiedy przywołanych przez opium, ale nie zawsze.

Chyba że wcześniej szaleństwo znów się o mnie upomni. A wtedy to już wszystko jedno, srebrni, ludzie Helshora czy umarli... Nie, cholera – skarcił się natychmiast. – Po co o tym myśleć?

Przykrył kociołek z gotową miksturą i odstawił ją, żeby przestygła. Na stole już stały naszykowane butelki, a w miseczce czekał na stopienie czerwony воск.

* * *

– Powitać. – Kostropaty uchylił czapki. – Wino przywiozłem.

– I dobrze. – Stąpając ostrożnie ze względu na błoto, Kylja podeszła do wozu, żeby rzucić okiem na beczułki. – Oby było lepsze niż tamto świństwo, któreś mi dostarczył poprzednim razem. Sikaliście dla draki do tych beczek czy jak?

– To będzie lepsze – zapewnił pojednawczo odmieniec. – Jak się miewa nowa?

– Jakoś się miewa.

– Grzeczna i spokojna? Nie sprawia kłopotów?

– Nie. – Kylja z zagniewaną miną poprawiła na ramionach szal z lisów. – Zmniejszyłam dawki waszego specyfiku, bo inaczej się nie dało. Nawet w tym zawodzie nie leży się od rana do wieczora, idioci.

Kostropaty wyglądał na zaniepokojonego.

– Ale król tyle razy powtarzał, żeby uważać. Nie wolno dopuścić, żeby oprzytomniała i spróbowała uciec.

– Dobrze, dobrze. Mamy na nią oko we dnie i w nocy. Możesz przekazać królowi, że mateczka Kylja czuwa.

* * *

Za oknem w gęstniejącym zmierzchu wirowały płatki śniegu.

Na stoliku w wazonie pysznił się miotlasty pęk traw, wzbogacony o makówki, jarzębinę i zasuszone róże – dzieło Imelli, która lubiła suche bukiety. Wino lśniło czerwono w kieliszkach obok oplecionej słomą butelki i koszyczka z pokrojonym chlebem. Kompozycję uzupełniał drewniany talerz, na którym leżało kilka gruszek i krążek pleśniowego sera.

Ambers z ogniem w oczach streszczał poemat będący w trakcie pisania.

– Więc królowa undyn postanawia ścigać bohaterów i wysyła ich śladem wodnego smoka, który zatapia okręt. Księżę ginie, ale jego ukochana przeżywa dzięki talizmanowi...

– Ściągasz z Merloniego. Znowu.

– Wiem. Ale kiedy to napiszę, nie będzie się tak bardzo rzucało w oczy. Podobny motyw, inne wykonanie.

– Skoro tak twierdzisz.

Brune patrzył na Vincenta z sympatią. Teraz, kiedy poznał młodzieńca trochę lepiej, szczerze go polubił. Ciążący na Ambersie cień przeszłości trwale naznaczył jego psychikę i aurę – poeta mimo pozorów nie miał w sobie nic z beztroskiego, próżnego salonowca. Raczej dokładał starań, by normalnie funkcjonować, nie pogrążyć się w bagnie melancholii i cieszyć się życiem wtedy, kiedy był w stanie.

Vincent tymczasem po raz kolejny zastanawiał się, gdzie też jego przyjaciel mógł żyć i studiować, zanim obudził się w nim dar. Dzięki podróżom Ambers miał ucho wyczulone na takie niuanse, więc już dawno zwrócił uwagę, że choć Brune mówi, jakby odebrał wyższe wykształcenie, to z ledwie dostrzegalnym akcentem sugerującym, że talmeni – język, którym posługiwano się nad Zatoką Snów i w czterech z Siedmiu Krain – nie jest jego ojczystą mową. Poeta nie chciał jednakże pytać o sprawy, które dla *ka-ira* mogły być tyleż

niewygodne, co bolesne.

Usłyszeli delikatne drapanie w drzwi, które po chwili się uchyliły. Popielaty kot, który dostał się Ambersowi w transakcji związanej razem z willą i ogrodem, wsunął się do komnaty. Miauknął, wyginając grzbiet oraz wyciągając najpierw przednie, potem tylne łapy, następnie zaś podszedł do źmija, który podniósł go i umieścił sobie na kolanach. Kot usadowił się wygodnie i zaczął mrużyć.

– Byłem dziś u baronowej Mabeuf – odezwał się Vincent, zmieniając temat. – Straszne nudy. Wszyscy plotkują tylko o tym, co się stało z córką hrabiego Nevers.

– To znaczy? – Brune zapanował nad wyrazem twarzy; udało mu się sprawić, żeby pytanie brzmiało jedynie jak wyraz uprzejmego zainteresowania.

– Zniknęła bez wieści. Hrabia najpierw szedł w zaparte, że za radą lekarza wysłał ją do wód. Teraz twierdzi, że poznała tam kogoś i uciekła z nim, ale nikt w to nie wierzy. To była dziwna rodzina. Hrabia... no cóż, jest trochę postrzelony. Ma niebezpieczne zainteresowania i chodzą o nim paskudne plotki. – Zniżył głos. – Jest fałszywym magiem.

Brune cicho prychnął, poprawiając pogrzebaczem drwa.

– Niektórzy w tym mieście mają za dużo pieniędzy i wolnego czasu.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. – Vincent wziął z talerza gruszkę i zaczął ją obierać. Zapadła cisza, przerywana tylko trzaskaniem ognia oraz mrużeniem kota, który teraz demonstrował sympatię do źmija, ugniatając mu łapami kolana.

– Brune – odezwał się poeta ni z tego, ni z owego, przełknąwszy kęs gruszki. – W przyszłym tygodniu organizuję wieczorek muzyczny. Sami znajomi, cichutko, bez ostentacji. Miałbyś ochotę się pojawić?

Źmij w pierwszym odruchu miał ochotę wyjaśnić młodzieńcowi krótko i dobitnie, jak dalece nietrafiony jest to pomysł. Ale w tym samym momencie poczuł, że talia kart w jego kieszeni poruszyła się niczym małe zwierzątko, jakby błagając, żeby wziął ją do ręki i rozłożył.

* * *

Przed bramą rezydencji rodziny Riese stało kilkanaście karoc. Z

okien sączył się migotliwy złoty blask, rysując jaśniejsze prostokąty na szarej płaszczyźnie trawników.

Wysiadając z powozu, Anavri omal się nie potknęła. Wśród wystrojonych gości u wejścia mignął jej smukły, wysoki blondyn i jej serce zamarło.

Fabien. Ale kiedy chwilę później odwrócił się, żeby podać rękę towarzysze, zobaczyła jego twarz i złudzenie prysło. To był jakiś młody oficer kawalerii w paradnym mundurze, w fioletowej kurtce ze srebrnymi sznurowaniami.

– O, sędzia Quinz jednak zdecydował się pojawić. – Alain jak zwykle błyskawicznie wyławiał z tłumu znajome twarze. – Nie spodziewałem się, że go tu zobaczę. Już dawno powinnaś poznać jego syna. Jest też baronowa Mabeuf z córkami.

Anavri zmusiła się, żeby odwzajemnić jego uśmiech. Ujęła ojca pod ramię i razem skierowali się ku rzęście oświetlonemu wejściu.

* * *

Zza uchylonych drzwi na końcu korytarza dobiegały śmiechy i przytłumione dźwięki fortepianu.

– Zapraszam – powiedział, uśmiechając się Ambers, artystycznie elegancki w ciemnozielonym aksamitnym kaftanie i seledynowej, haftowanej złotem kamizelce.

Brune złowił swoje odbicie w szybie okna i chociaż wiedział, że wygląda nienagannie, nagle poczuł się nieswojo. Odruchowo wygładził czarny kaftan o dość formalnym kroju, rozsznurowany pod szyją tak, żeby było widać śnieżnobiałą koszulę z kołnierzem ozdobionym koronką.

Gdyby chciał, mógłby się zjawić wystrojony nawet według najnowszej mody. Wystarczyło dysponować odrobiną złota i znajomościami na podziemnym targowisku. Kiedy ktoś w mieście umierał na ciężką zakaźną chorobę albo z powodu klątwy, zgodnie z prawem noszoną przezeń w ostatnich dniach odzież i osobiste rzeczy należało spalić, ale mało kto przestrzegał tego prawa; ubrania potajemnie sprzedawano handlarzom z lochów. Zawsze trafiali się chętni, żeby je kupić, nie przejmując się ryzykiem zarażenia.

Wchodząc za przyjacielem do salonu, poniewczasie zaczął się

obawiać, czy jednak nie będzie się wyróżniał. Ale Ambers mówił prawdę. Artystyczne towarzystwo na spotkaniu we własnym gronie nawet w przybliżeniu nie było tym, co zmijowi mgliście zachowało się w pamięci z jakichś przyjęć wieki wcześniej, w poprzednim życiu. Żadnych brokatów, żadnych ciężkich sukien na obręczach. Dziewczęta w zwiewnych kolorowych jedwabiach, dość odważnie umalowane, o naróżowanych policzkach. Młodzieńcy w niebieskich lub czarnych kaftanach, niektórzy z długimi lokami w wystudiowanym nieładzie. Puder i pomada nie były tu w modzie, podobnie jak symbiotyczne maski.

– Imello? – Vincent skinął na młodą kobietę ustrojoną w zieloną suknię oraz naszyjnik ze złota i malachitów. Jej rude włosy zostały fantazyjnie upięte. – Pozwól, przedstawię ci kogoś. To jest... Gael Zachos, alchemik z Ri Talma, o którym ci wspominałem.

Imella lekko skinęła zmijowi głową, nie podała mu jednak dłoni do ucałowania. Brune poczuł się nieswojo, gdy dotarło do niego, jak mało wie o obyczajach panujących na salonach nad Zatoką Snów. Zasady dobrego wychowania, które on znał, mogły nijak nie przystawać do tego, co obowiązywało tutaj.

Poeta wziął dwa kieliszki z tacy stojącej na bocznym stoliku i podał jeden zmijowi. Brune upił odrobinę wina, praktycznie nie czując smaku. Choć robił wszystko, żeby tego po sobie nie pokazać, był spięty jak cholera.

Złowił zaciekawione spojrzenie rzucone przez czarnowłosą dziewczynę w czerwonej sukni ze złotymi floresami. Uciekł wzrokiem. Musiał się pilnować, żeby w blasku świec nikt nie zwrócił uwagi na jego źrenice. Elixir z szarego muchomora mógł zamaskować ich kształt, ale nie błysk, widoczny gdy światło padało pod odpowiednim kątem.

Dwaj młodzieńcy stojący przy oknie dyskutowali o astrologii. Brune chętnie włączyłby się do rozmowy, ale bał się, że wzbudzi ich podejrzenia. Tym, że strojem i sposobem mówienia jednak odrobinę się od nich różni, a co gorsza – jego czyste, eleganckie ubranie nieznacznie czuć piwniczną stęchlizną.

Imella podeszła do dyskutujących i zapytała o coś, wywołując śmiech obydwu. Ona również się roześmiała, błyskając ładnymi zębami – wyraźnie drażniła się z nimi.

Żmij przyjrzał się jej z zaciekawieniem. Nieco zbyt mocno umalowana, wyglądała na odrobinę starszą od Ambersa. Sprawiała wrażenie rasowej kochanki artystów – znał ten typ. Raczej interesująca niż idealnie ładna, ale wystylizowana w sposób robiący wrażenie, z błyskiem inteligencji w oczach i stanowczą linią ust.

– Panno Imello, buzia u panny jak miód, ale języczek jak brzytwa – zaśmiał się gruby, pięćdziesięcioletni na oko jegomość, który przysłuchiwał się wymianie zdań. Wśród młodego towarzystwa wydawał się uderzająco nie na miejscu, jak żuk wśród motyli.

– Ba, z nami tak trzeba – rzucił Vincent, obejmując kochankę w talii. – Prawda, Gael?

– Nie da się ukryć – odparł Brune, tłumiąc uśmiech. To, że ukrył blizny pod iluzją, nie znaczyło jeszcze, że zdradziecki tik w którymś momencie nie wykrzywi mu twarzy.

W rozmowę wcięły się dźwięki fortepianu, na którym zaczął grać młodzieniec z czarnym wąsikiem. Po chwili przerwał i fałszywie zanucił fragment miłosnej arii, wywołując powszechną wesołość.

Brune przypomniał sobie, że odstawił kieliszek z winem, więc podniósł go i w zamyśleniu sączył trunek. Wino, jak należało się spodziewać, było bardzo dobre.

Vincent też obracał w dłoni kieliszek, patrząc na przyjaciela.

Eleganckie ubranie odmieniło żmija nie do poznania – nagle miejsce przestępcy zajął szlachcic. Milczący, o nieco posępnej urodzie, ale szlachcic w każdym calu.

Imella również patrzyła na Brune'a. Na jej twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty.

– Zawsze twierdziłam, że masz dziwnych znajomych – szepnęła.

– Ja staram się jakoś znosić twoje paplające przyjaciółki – odparł z uśmiechem Vincent, a kiedy Imella zrobiła urażoną minę, pocałował ją w policzek. Jednak w duchu poczuł ukłucie niepokoju. Może to rzeczywiście nie był najlepszy pomysł, ściągać *ka-ira* z Podziemi w sam środek śmietanki towarzyskiej Shan Vaola.

Odganiając tę myśl, spojrzął na ścienny zegar i klasnął w ręce. Rozmowy i śmiechy przycichły.

Brune podniósł głowę. Gruby jegomość właśnie wyjmował skrzypce ze stojącego pod ścianą futerału, a dziewczyna w sukni z floresami zasiadła przy fortepianie. Oczekali jeszcze chwilę, a gdy w salonie

zapadła cisza, zaczęli grać.

Grubas był prawdziwym wirtuozem, bez dwóch zdań. Czarnowłosa akompaniowała mu pewnie, perfekcyjnie, lecz nieco mechanicznie. Później zdjęła ręce z klawiszy, a skrzypek przez jakiś czas kontynuował występ solo. Gdy skończył grać, zerwały się oklaski.

Imella podniosła się z miejsca, żeby zamienić kilka słów ze skrzypkiem. Następnie ku zaskoczeniu zmija zajęła miejsce czarnowłosej przy fortepianie.

Skrzypek oparł instrument o ramię, zagrał powoli kilka nut. Kochanka Ambersa przymknęła oczy i uderzyła pierwszy akord.

Krzyczący w Ciemności poczuł, że ogarnia go zimno. Miał wrażenie, że czas zwolnił bieg. Muzyka docierała do niego jak zza szyby.

Znam ten utwór. Bogowie, przecież ja znam ten utwór. Znam go w wersji z orkiestrą...

Przycisnął ręce do skroni. Po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że muzyka umilkła i znowu słyszeć oklaski. Oprzytomniał, gdy zorientował się, że salon pustoszeje – gwar rozmów dobiegał teraz z sąsiedniego pomieszczenia, zza otwartych oszklonych drzwi. Towarzystwo przeniosło się do drugiej komnaty, skąd napływał zapach potraw.

Na ścianach jadalni wisiało kilka landszaftów, w kryształowym świeczniku płonęły świece. Stał tam długi, przykryty białym obrusem stół, a na nim poczęstunek – elegancka kolacja na zimno. Mięsa i ryby w galarecie, pasztety, marynaty, owoce.

Wniesiono wazy z czymś parującym, chyba potrawką z drobiu. Goście jedli, rozmawiali, śmiali się. Brune zajął jedno z ostatnich wolnych miejsc przy końcu stołu i patrzył na nich, czując się jak we śnie.

Ocknął się, słysząc uprzejme pytanie służącego. Pozwolił, żeby postawiono przed nim miseczkę z pachnącą majerankiem zawartością. Potrawka była smaczna, ale jadł ją tylko po to, żeby się nie wyróżniać. Nie chciał wstawać od stołu, dopóki inni też nie wstaną.

Wreszcie posiłek dobiegł końca. Część gości została przy stole, dyskutując z ożywieniem na różne tematy, ale większość przeszła z powrotem do salonu. Brune ruszył za nimi. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Sięgnął po leżące na fortepianie nuty, przekartkował je

niecierpliwie.

Jest.

Koncert na fortepian i orkiestrę... Deuven de Ragues z Alkary.

Dotknął klawiszy. Pamiętał, jak należy ułożyć dłonie.

Delikatnie, cicho zagrał pierwsze takty. Potem zdjął ręce z klawiatury i znowu zapatrzył się na nuty.

Grałem na fortepianie. Ale raczej poprawnie niż dobrze. Nie koncertowałem. Pamiętałbym.

Z zamyślenia wyrwało go dopiero poruszenie w salonie. Mniej więcej połowa obecnych zbierała się do wyjścia. Żegnała ich Imella, bo Ambers gdzieś wsiąkł. Brune też najchętniej już opuściłby towarzystwo, ale nie chciał zniknąć bez pożegnania.

Zmroziła go nagła myśl; a jeśli Ambers... Ale nie. Nie Vincent. Poza tym Ambers nie zastawiałby przecież pułapki na przyjęciu, nie ryzykowałby życia swoich szlachetnie urodzonych znajomych.

Dla pewności zmij sięgnął umysłem ku Imelli – na odległość nie mógł odczytać jej myśli, ale emocje tak. Nie wyczuł niczego niepokojącego i uznał, że nie należy popadać w paranoję.

W jadalni krzętałi się służący. Zabrali brudne talerze i sztucce oraz większość stojących na stole półmisek. Ale spotkanie bynajmniej nie miało się ku końcowi. Na miejsce dopalających się świec zapalono nowe. Odkorkowano kolejne butelki wina, wniesiono konfitury i paterę z pokrojonym ciastem.

Brune, rozejrzawszy się, usiadł obok grupki dziewcząt, rozgadanych jak papużki i nie zwracających uwagi na otoczenie. Pozwolił, żeby nalano mu wina, i sącył je, patrząc to na karminowe błyski w kieliszku, to na wesołe, zarumienione twarze młodych ludzi. Myślał o zatęchłych korytarzach, śmierdzących kanałach, mętach, z którymi prowadzi interesy. Nagle pożałował, że nie ma przy sobie opium, choć zaraz zreflektował się, że przecież nie odważyłby się go tu zapalić.

Z zadumy wyrwał go zbyt głośny, niemal histeryczny śmiech jednej z dziewcząt. Jej towarzyszki również chichotały. Ich wesołość wydała się zmijowi nienaturalna. Przyjrzał się im uważniej, nie bez zdziwienia.

No proszę, Vincent, tego się po tobie nie spodziewałem.

Na paterach leżało kilka gatunków ciasta, ale Krzyczący szybko

wypatrzył to, które go interesowało. Ciemne, na miodzie, przełożone masą. Dyskretnie ukruszył odrobinę i posmakował. Tak jak sądził, do wypieku dodano haszysz, chyba nawet w sporej ilości.

Z nagle obudzoną zawodową ciekawością raz jeszcze przyjrzał się zawartości pater. Intrygowało go, czy wszystkie ciasta zawierają w środku jakąś niespodziankę, choć ze wszystkich znanych mu narkotyków raczej tylko konopie dobrze się łączyły z jedzeniem.

Młodzieniec z czarnym wąsikiem nachylił się ku dziewczynie w czerwonej sukni i wyszeptał jej coś na ucho. Ta karcąco uderzyła go wachlarzem, śmiejąc się.

Brune nagle poczuł się zmęczony. Nie miał ochoty dłużej przyglądać się, jak młodzi arystokraci flirtują i chichoczą, odurzeni akurat na tyle, żeby nie przekraczać granic elegancji i dobrego smaku.

Z salonu dobiegł podniesiony głos Imelli, a chwilę później w drzwiach jadalni pojawił się Ambers, wyglądający na poirytowanego. Krzyczący nie zamierzał wnikać, czemu doszło między nimi do sprzeczki. Zauważył, że oczy Vincenta podejrzenie błyszczą, a w jego ruchach i aurze daje się wyczuć nienaturalne ożywienie. Lucyferia. Ale to również była prywatna sprawa poety.

Żmij szepnął Ambersowi kilka słów wyjaśnienia i ignorując jego zdziwione spojrzenie, wyszedł drugimi drzwiami na korytarz. Upewniwszy się, że w zasięgu wzroku nikogo nie ma, zdematerializował się.

* * *

Po krótkiej przerwie, w czasie której gwar rozmów znacznie się wzmógł, orkiestra zagrała kadryla z taką werwą, że ściany zadrżały. Anavri i tym razem nie dołączyła do tańczących – uprzejmie podziękowała jakiemuś młodemu elegantowi o włosach ułożonych w loki. Ten skłonił się w odpowiedzi.

Na sali było przeraźliwie duszno, ale od jakiegoś czasu czuła dreszcze, jakby chwyciła ją przeziębienie. Otuliła ramiona kaszmirowym szalem, machinalnie układając go tak, żeby fałdy były elegancko symetryczne. Uchwyciwszy swoje odbicie w jednym z wysokich luster, odruchowo poprawiła jeszcze fryzurę. Potem rozejrzała się za ojcem, ale nie dostrzegła go w tłumie.

Gdy tak spoglądała na ludzką ciżbę, stopniowo ogarniał ją niepokój. Powódź dźwięków, blask świec, zapach perfum, kwiatów, pomady i rozgrzanego wosku – wszystko to przytłaczało ją, oszołamiało. Miała ochotę zasłonić oczy i schować się w jakimś ciemnym kącie.

Jak kret wywleczony na światło dzienne. Ale przecież to tylko bal, co się ze mną dzieje?

Zmusiła się, żeby zachować spokój. *To od gorąca, wyjdź na chwilę na powietrze, odetchnij.*

Zerknęła w stronę drzwi na taras, ale stało tam kilku dandysów o znudzonym wyglądzie, do których nie miała ochoty podchodzić, bo natychmiast zapragnęliby nawiązać z nią rozmowę, pytając, czemu nie tańczy, proponując wino i szepcząc dwuznaczne komplementy. Narastało w niej postanowienie, żeby znaleźć ojca i uprosić go, by wyszli wcześniej. Miała dość tego balu. Ogłuszającej muzyki, wesołości, której nie podzielała. I spojrzeń, które od czasu do czasu wyczuwała – jak muśnięcia czegoś zimnego i paskudnego.

Córka Vaneisena. Siostra tego...

Z przyklepionym uśmiechem odkloniła się dwóm starszym damom, dalekim krewnym Alaina, które pozdrowiły ją drżącymi głosami, unosząc szklaneczki z ponczem.

Rozglądając się w nadziei, że zobaczy gdzieś ojca, weszła po schodach na galerię, gdzie stały stoły uginające się pod ciężarem potraw. Właśnie wniesiono zupę żółwiową – służba ustawiała parujące wazy pomiędzy półmiskami pełnymi eleganckich przekąsek. Korpulentny jegomość głośno polecał komuś kluseczki w winnym sosie z truflami. Anavri mimo woli zatrzymała wzrok na zdobiących najbliższy stół dekoracjach z kwiatów i owoców, bo nie sposób było nie poświęcić chwili na docenienie kunsztu, z jakim je ułożono.

I właśnie wtedy ujrzała węże.

Wypełzały z pękatej wazy, w której tkwiła srebrna chochla. Jeden za drugim zsuwały się po obrusie i pełzły po wypolerowanym parkiecie. Mimo gwaru wyraźnie słyszała ich syk, podobny do odgłosu pary umykającej z samowara.

Zaczerpnęła tchu, ale krzyk zamarł jej na ustach. Kilka głów odwróciło się, czyjeś zaskoczone pytanie zawisło w próżni. Piętro niżej muzyka grała dalej. Tańczono.

Węże pełzły ku niej. Anavri, oniemiała z przerażenia, zdołała

wreszcie przełamać paraliż, który ją ogarnął. Rzuciła się do ucieczki.

W połowie schodów cudem nie zderzyła się ze służącym niosącym tacę ciastek z kremem. Za jej plecami odezwały się przestraszone okrzyki, lecz nie oglądała się. Na ostatnim stopniu potknęła się o suknię, ale złapała równowagę. Orkiestra grała nadal – odwrócony plecami dyrygent niczego nie zauważył, a muzycy byli skupieni na nim. Anavri pobiegła wprost przez salę balową, roztrącając zaskoczone pary. Naokoło widziała już tylko kolorowe plamy; świat wirował, rozmywał się.

Wypadła na taras i zatrzymała się, dysząc, gdy otrzeźwiło ją wilgotne, jesienne powietrze. Oparła się ciężko o poręcz – nagle poczuła się porażająco słaba, kolana uginały się pod nią. Jak przez mgłę zdała sobie sprawę, że na taras zaczynają wybiegać przerażeni ludzie. Ich głosy docierały do niej jak zza szyby.

– Co się dzieje? Na bogów, co się stało tej dziewczynie?

– Panienko Vaneisen! Co panience?

– Anavri!

Potem cichy, stanowczy głos ojca.

– Anavri, chodź. Idziemy stąd.

Pozwoliła, żeby ujął ją za ramię i sprowadził z tarasu do ogrodu. Nie miała świadomości, że z jej nosa cieknie krew, spływając na usta i podbródek, ale zarejestrowała szepty, wzbierające za ich plecami jak złowroga fala.

Na dole Alain wyjął z rękawa batystową chustkę i delikatnie wytarł córce twarz. Potem narzucił jej na ramiona swój płaszcz i poprowadził ją wokół budynku na dziedziniec, gdzie czekał ich powóz.

– Co się stało? – spytał, gdy już siedzieli w środku, a stangret zaciął konie.

Anavri milczała, patrząc w przestrzeń. Alain stłumił niepokój, który szarpnął jego serce jak napiętą strunę.

* * *

Dni mijały, tak podobne do siebie, że zlewały się w jeden ciąg.

Rzeczywistość rozmywała się jak oglądana przez grubą szybę. Ciało bez imion. Rytm powtórzeń, znany na pamięć. Czasem obelgi, uderzenia.

I czarny, słodkawo-gorzki kordiał, który ją znieczulał. Płynęła przez
to wszystko, senna i obojętna. Bezmyślna.
Dni mijały.

9. Kaprysy losu

Jak się czujesz, serce? Doktor Kranz twierdzi, że jesteś zdrowa.

– Bo jestem.

Alain Vaneisen patrzył z troską na córkę. Rzuciło mu się w oczy, jak bardzo jest blada.

Nie chciał jej po raz kolejny pytać, co właściwie stało się na przyjęciu. Przyjął, że wszystko trzeba złożyć na karb szoku, jaki dziewczyna przeżyła w związku z zaginięciem kuzynki. Diagnoza Kranza wydawała się to potwierdzać. Lekarz uznał, że stany lękowe i zaburzenia snu to po prostu objawy lekkiego podrażnienia nerwów. Anavri zawsze była delikatna – jak jej matka.

– Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć? Coś cię niepokoi?

– Nie, ojcze.

Rozmawiali w saloniku na piętrze. Patrząc na zasunięte zasłony, Anavri przypomniała sobie ostatnie spotkanie z Lorraine i stłumiła dreszcz.

– Anavri. – Alain wyciągnął rękę, zawahał się. – Chodź do mnie.

Podeszła i pozwoliła, żeby pogładził jej włosy. Pożałował, że dawno już wyrosła z wieku, w którym dziewczynki siadają ojcom na kolanach.

– Martwię się o ciebie. Pij lekarstwo, które przepisał ci doktor Kranz.

– Dobrze. – Anavri, mówiąc to, spuściła oczy, żeby ojciec nie widział jej miny.

Wiedziała, co przepisał jej Kranz. Waleriana i coś nasennego. Łagodne środki na uspokojenie dla wrażliwej panienci.

Gratuluje bystrości, doktorze. To tak, jakbyś chciał leczyć ospę bielidłem i różem.

Miała wrażenie, że na skraju świadomości słyszy drwiący chichot. Umarli?...

– Muszę jechać. Powóz już czeka. – Alain wstał z westchnieniem. –
Pozwól, przytulę cię.

Anavri poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Zdusiła je.

– Szczęśliwej drogi – powiedziała i głos jakimś cudem jej nie
zadrżał.

* * *

Marshia Lavallo potarła oczy, które piekły od aromatycznego dymu,
i pochyliła się nad szklaną misą pełną wody. Obok na złotej tacce leżał
kosmyk rudych włosów. Wysłannik Charooza, pomniejszy demon o
łuskach koloru miedzi, unosił się nad stołem w nie całkiem
materialnej, półprzezroczystej postaci.

– Księżycowy Lis odmawia podjęcia się intratnego zlecenia –
oznajmił. – Czy ma jakieś powody, których nie chce zdradzić swojemu
panu?

Marshia zamglonym wzrokiem wpatrywała się w wodę.

– Podejmie się, tylko nie za takie pieniądze – odrzekła po chwili. –
Czeka, aż zaproponujecie mu dwa razy większą sumę.

– Robi się bezczelny – mruknął demon.

– Po ostatniej niemiłej przygodzie zaczął się wyżej cenić. Nie dziwię
mu się.

Księżycowy Lis, *ka-ira* znany jej tylko z pseudonimu, rozgrywał dla
Doliny Złota krwawe karty w yadhmarskim świątku przestępczym i w
ciągu dwóch lat zdobył prawie sto dusz. Kiedy kilka miesięcy
wcześniej został ciężko ranny i do Charooza dotarła wieść o jego
śmierci, Marshię o włos ominęło wysłanie do Yadhmaru na jego
miejsce.

– Jego Ognistość zapytuje także, co mówią gwiazdy w kwestii
sojuszu z Doliną Popiołów.

Marshia wręczyła wysłannikowi pergamin pokryty wykresami i
symbolami.

– Oto horoskop polityczny dla Jego Ognistości na najbliższe
miesiące. Słońce wchodzi w znak Korony, Melegeris jest w znaku
Kozłat, co oznacza, że należy unikać gwałtownych zmian i
impulsywnych posunięć. Zalecam podtrzymywać sojusz, chyba że
Dolina Popiołów zerwie go pierwsza. Jeśli jednak wierzyć gwiazdom,

nie zanosi się na to.

– Zrozumiałem – odparł demon. Skłonił się i zniknął z trzaskiem, pozostawiając po sobie zapach piżma i smoły.

Marshia zawahała się, patrząc na naszykowane na stole przyrządy. Tak sprzyjające warunki do uprawiania magii wróżebnej, jak tego wieczoru, trafiały się rzadko – konieczny był odpowiedni układ prądów Zmroczy oraz ciał niebieskich.

Magia wróżebna, trudna i pełna zagadek dziedzina, stanowiła specjalność Marshii, która trzy czwarte życia poświęciła na zgłębianie jej tajników. Mimo to zmijka aż nazbyt boleśnie zdawała sobie sprawę ze swoich ograniczeń. Siłą Marshii – paradoksalnie, bo nieczęsto obierano przy wrózeniu taką strategię – była precyzyjna kalkulacja, dedukcja na podstawie znanych faktów. Najlepiej wychodziło jej odpowiadanie na pytania, które dotyczyły terażniejszości bądź niedalekiej przyszłości; odpowiadała krótko i konkretnie.

Potrafiła przywoływać wizje przeszłych i przyszłych zdarzeń, ale nie lubiła tego. Wizje z samej swojej natury były chaotyczne, niejasne, zafałszowane subiektywnymi uwarunkowaniami patrzącego. Nie dawały się kontrolować, a przez to budziły w niej niechęć, co z kolei tworzyło psychiczną blokadę i ograniczało. Dlatego właśnie Lorraine mogła okazać się tak przydatna – jako narzędzie do patrzenia tam, gdzie Marshia nie lubiła, nie potrafiła czy wręcz bała się spoglądać.

Jednak w powietrzu wciąż wisiał zasadniczy problem, który należało rozstrzygnąć.

Marshia schowała włosy Księżycowego Lisa z powrotem do hebanowej szkatułki. Dosypała do kadzielnicy garstkę ciemnych bryłek, a gdy rozszedł się słodki aromat, zaczerpnęła tchu, koncentrując się.

Przez chwilę wpatrywała się w powierzchnię wody w naczyniu, potem zadała pytanie.

– Czy hrabia Ephrestus Dorian Nevers winien jest śmierci mojego ucznia, Fabiena Vaneisena?

Woda w misie wolno, lecz nieubłaganie zabarwiła się na czarno.

* * *

Etel zastukała do sypialni hrabiego, najpierw cicho, potem głośniej.

Gdy nadal nie było odpowiedzi, ostrożnie otworzyła drzwi.

I zaczęła krzyczeć.

Kilka ulic dalej Anavri Vaneisen zbudziła się zrana, dysząc. Przed oczami nadal miała upiorny widok – nieruchome, spuchnięte, ociekające żółtą mazią ciało wśród skłębionej pościeli – a w jej uszach wibrowało echo wrzasku. Z całej siły przygryzła przedramię, aż ból ją otrzeźwił.

Tylko sen. Głupia, to był tylko sen.

* * *

Jacantin Bross odkorkował buteleczkę i w fachowy sposób powąchał zawartość, wachlując dłonią, żeby nagnać ku sobie woń. Było to ze wszech miar rozsądne, bo nalewka z koziego ziela śmierdziała tak, że łzy stawały w oczach.

– Ostatni raz szykuje dla ciebie ten specjal – skrzywił się Krzyczący. – Aż strach pytać, do jakich perfum zamierzasz go wykorzystać.

– Specjalna mieszanka dla pewnej damy.

– Nie będę wnikał w szczegóły.

– I słusznie. – Perfumiarz sięgnął po sakiewkę i odliczył zapłatę, a po namyśle dołożył dodatkową złotą monetę. – To za kłopot.

Krzyczący skinął głową, chowając pieniądze do kieszeni. Wiedział, ile mniej więcej będzie kosztować finalny produkt, i nieodmiennie zadziwiało go, że ludzie są w stanie tyle zapłacić za fiolet zapachu, nawet taką, która kryje obietnicę spełnienia marzeń. Ale też nie miał wyrzutów sumienia, że przyczynia się do podwyższenia ceny.

Jacantin zdjął z półki talerz pełen pasztecików z kruchego ciasta.

– Częstuj się. Moja żona sama piekła.

Brune zagapił się na niego, zbity na moment z tropu. Nie miał pojęcia, że perfumiarz jest żonaty. A w sumie było to logiczne; w końcu oficjalnie Jacantin Bross uchodził za szanowanego, zamożnego obywatela. Było też oczywiste, że czuje się względnie bezpiecznie, mimo że przez cały czas igrał z ogniem, destylując swoje esencje urody, bogactwa, pożądania i czego tam jeszcze. Wprawdzie jego dar był słaby, tak słaby, że właściwie Jacantin nie całkiem zasługiwał na miano *ka-ira*, ale wystarczyłoby krótkie przeszukanie warsztatu i

sklepu, aby go wysłać na galery, jeśli nie do Domu Godnego Odejścia. Może hojnie płacił srebrnym, może chroniła go znajomość z kimś wysoko postawionym. A najprędzej jedno i drugie.

Paszteciki były świeże i dobre, choć unoszący się w warsztacie piekielny konglomerat woni sprawiał, że nie smakowały całkiem tak, jak powinny.

– Słyszałeś, co się stało? – zagadnął Jacentin, strzepując okruchy z brody.

– Nie.

– Hrabia Nevers nie żyje.

– Kto?

Perfumiarz przymrużył oczy, w których uwidoczniła się jak na dłoni chytra kalkulacja, a Krzyczący poczuł doń nagły wstręt.

– Nic ci nie mówi to nazwisko? Miał córkę, która – jak wieść niesie – niedawno zaginęła w Podziemiach.

– Arystokratka w Podziemiach? Skąd miałyby się tam wziąć?

– No właśnie. Przyznasz, że to dziwne.

Ton i aura Jacentina zdradzały, że ten ma świadomość wkraczania – być może – na bardzo niebezpieczny grunt, parł jednak dalej.

– Hrabia zginął od klątwy ropienia. Paskudna śmierć. Znalazła go służąca. Ponoć wszystkie sprzęty z jego sypialni nadają się już tylko do tego, żeby je spalić.

– Ciekawe, czy ściągnięto tam kogoś, kto umiał odpowiednio zabezpieczyć ciało i zdjąć miazmat z tych, którzy się z nim stykali – skomentował cierpko Krzyczący. – Czy też niezadługo parę osób paskudnie się rozchoruje. Służąca, lekarz, bo pewnie wezwano lekarza...

Jacentin znowu zmierzył go chytrym spojrzeniem.

– Och, wszystkim od razu zajęli się srebrni. Wszczęli śledztwo. Wygląda na to, że zaginięcie córki hrabiego i jego śmierć są ze sobą powiązane. Pachnie to starannie zaplanowaną zemstą. Hrabia miał wrogów. Mówi się nieoficjalnie, że ktoś wynajął *ka-ira*, najpierw do porwania córki Neversa, żeby dać mu przedsmak, zapowiedź tego, co ma nastąpić, a potem rzucenia klątwy...

– Brzmi sensownie. Jeśli napiszesz na podstawie tej historii sztukę, może jakiś teatr zechce ją zakupić – skwitował Krzyczący.

Aluzje rzucające z głupia frant najpierw go zirytowały, a później

zastanowiły. Jacentin, cokolwiek by o nim mówić, nie był tępy. Posiadał zmysły maga – wprawdzie w śladowym stopniu, ale jednak – więc musiał już wiedzieć, że strzela do złej tarczy. Może chciał się upewnić, że tak właśnie jest. Może wręcz na czyjeś zlecenie.

Pchnięty impulsem, Brune nakreślił dłonią w powietrzu dwa symbole. Jacentin zamarł z rozdziawionymi ustami. Unieruchomiony przez czar, przypominał brzuchatą porcelanową figurę, jakie często stały na kominkach w bogatych domach.

– Kto ci zapłacił za przeprowadzenie ze mną tej rozmowy?

Perfumiarz przełknął z wysiłkiem, wpatrzony w migoczące złotem oczy, które jeszcze przed sekundą były po prostu bure.

– Dopiero zastanawiasz się, komu sprzedać informację, że ta klątwa bynajmniej nie była mojego autorstwa? Kiepsko, bracie. – Krzyczący uśmiechnął się złośliwie. – W zasadzie mógłbym dać ci zarobić, ale nie będę popierał podłego donosicielstwa. Mag na maga?

– Nigdy... – wydyszał Jacentin. – Przecież wiesz... Chciałem właśnie... dementować... gdyby Helshor... gdyby ktoś...

Krzyczący uniósł dłoń, jakby szykując się do rzucenia kolejnego zaklęcia. Strach przepajający aurę Jacentina stał się niemal namacalny, niczym lepka mgła. Brune odczekał kilka sekund, po czym opuścił rękę i wstał.

– Trzymaj swój perfumiarzski nos z dala od moich spraw – powiedział takim tonem, jakby żegnał się po zwykłej wizycie, ograniczonej do oddania buteleczki i odebrania zapłaty. Brodacz oklapł jak przekłuty rybi pęcherz.

* * *

– Powinnam ją zabić, Zazel.

Chowaniec milczał. Przycupnął na sofie i patrzył na swoją panią wzrokiem, w którym można było odczytać przede wszystkim troskę.

– Powinnam ją zabić – powtórzyła Marshia. – Takie jest prawo magów. Oko za oko, krew za krew, życie za życie.

– Prawa zostawiają w takich wypadkach pewną swobodę interpretującemu – zauważył Zazel.

– Wiem, że ty jesteś moralnym relatywistą, stworze, ale z mojego doświadczenia wynika, że swobodne interpretowanie praw zazwyczaj

źle się kończy. Alternatywą byłoby zabicie samego zdrajcy, tyle że ktoś mnie ubiegł. Nevers miał wielu wrogów. A jego córka przebywa teraz pod moim dachem. Co, powinnam ją może potraktować jak zadośćuczynienie od losu?

– To miła dziewczyna. I naprawdę jest dobrym medium. Poza tym dałaś, pani, słowo maga.

– Tak – mruknęła Marshia. – Nie da się ukryć, dałam słowo.

Zazel poruszył się z miną zdradzającą zakłopotanie. Nie umiał jednak, jak to on, utrzymać języka za zębami.

– Jeśli wolno spytać, pani, czemu nie rzuciłaś tego czaru wcześniej? Na przykład dwa lata temu?

Żmijka znów popatrzyła na niego koso.

– To nie twoja rzecz.

Ponieważ obawiałam się, że Fabiena wydał kto inny... A dwa lata temu nie wiedziałam, czy będę w stanie znieść prawdę.

– I rzekł Eresh, ten, który osądza dusze w podziemnej krainie: wielka jest siła w mieczu, lecz większa jeszcze w sercu sprawiedliwego – odezwał się ni w pięć, ni w dziewięć Zazel.

Marshia wyjęła zza dekoltu oprawioną w złoto miniaturę z portretem jasnowłosego młodzieńca i wpatrywała się w nią.

– Idź już – poleciła, nie podnosząc wzroku.

Chowaniec posłusznie zeskoczył z sofy. W drzwiach odwrócił się.

– Brune powiedziałyby, że do niektórych spraw wygodniej jest podchodzić pragmatycznie niż dogmatycznie.

– Idź – powtórzyła Marshia, ale bez złości.

Jeszcze przez chwilę siedziała bez ruchu, potem schowała miniaturę, wstała i wyjrzała przez okno. Wśród rododendronów dostrzegła siedzącą na trawie postać w czarnej sukni.

Zeszła do ogrodu. Lorraine na jej widok wstała, odkładając księgę. Zmierzyła żmijkę spojrzeniem zielonych oczu.

– Mój ojciec nie żyje, prawda?

– Skąd wiesz?

– Umarli mi powiedzieli.

Marshia drgnęła. *No tak.*

– Nie żyje – potwierdziła. Lorraine skłoniła głowę.

Żmijka przypatrywała się jej z namysłem. Opanowanie dziewczyny nie zaskoczyło jej. Musiała wytworzyć sobie grubą skorupę, żeby

przetrwać życie pod jednym dachem z takim ojcem jak hrabia Nevers. Nie dziwił również brak wyczuwalnego smutku.

– Co teraz będzie ze mną? – spytała panna Nevers po chwili milczenia.

– Nic. Zostajesz tu pod moją opieką, tak jak było ustalone. – Żmijka zawahała się. – Od dziś nazywasz się Lorraine Lavallo.

Dziewczyna patrzyła na nią bez drgnienia – emocje, które teraz pojawiły się w jej aurze, też nie znalazły żadnego odbicia w nieruchomej twarzy. Marshia dotknęła jej policzka.

– Wracaj do swoich zajęć. Wieczorem przepytam cię z konstelacji zimowych i letnich.

* * *

Anavri cicho zamknęła za sobą drzwi sypialni. Wiszący na ścianie portret Fabiena świdrował ją wzrokiem. Zwinęła się na łóżku, naciągając kołdrę na głowę.

Było coraz gorzej. Od ostatniej nocy czuła się jak uwięziona wewnątrz koszmaru – jednego z tych, które wykrzywiają rzeczywistość, czyniąc ją podobną do maski, pod którą czają się ciemność i zło. Świat tracił znajome formy – stawał się dziwny, obcy, wrogi. Twarze służących wydawały jej się brzydkie, zniekształcone. Z zamkniętej na klucz sypialni matki wionęło zimnem kostnicy.

W obecności służby i ojca Anavri starała się zachowywać normalnie, lecz wiedziała, że nie będzie w stanie w nieskończoność udawać. W jej głowie kołatała się jedna myśl.

Ojcze, co zrobisz, gdy się zorientujesz?

10. Jusepe Haberra

Noc była mroźna. Warstewka świeżo spadłego śniegu przykryła zmarzniętą breję, która powstała podczas krótkiej odwilży. Z nieba prószyło drobno, jakby cukrem.

Uliczki Szmaragdowej Dzielnicy jak zwykle o tej porze trwały w ciszy. Mimo to Krzyczący czuł nieuchwytny niepokój. W pewnej chwili rozejrzał się, schronił w cieniu pod murem najbliższej rezydencji i wyjął karty. Zmarszczył brwi – nie podobało mu się to, co zapowiadały. Ale gdyby zawrócił, równie dobrze mogło się okazać, że pułapka szykowana przez los czyha na niego w Podziemiach. I to właśnie był cały kłopot z przeczuciami tudzież wróżbami.

Zdecydował się nie zawracać. Niech los pokaże, co tym razem ma w zanadru.

Drzwi willi nie otworzył służący, ale Vincent Ambers we własnej osobie. Spięty i podenerwowany, choć robił wszystko, żeby tego po sobie nie pokazać.

– Dobrze, że jesteś. – Gestem zaprosił Krzyczącego do wnętrza. – Słuchaj... Jest taka sprawa... Mam dzisiaj gościa, który jest... tak jakby z twojej bajki.

– Nie tak jakby, tylko siedzi u ciebie jakiś *ka-ira*, tak? – Brune nawet nie musiał pytać; zmysły maga mówiły mu, kto znajduje się wewnątrz willi. No cóż, w każdym razie nie był to oddział sług srebra. – Vincent, do cholery...

– Nie patrz tak na mnie! Poprosił mnie o pomoc, nie mogłem odmówić... Wszystkiego się zaraz dowiesz.

– Kto to właściwie jest?

– Ktoś, kto mi kiedyś wyświadczył przysługę. Jestem mu winien wzajemność... Proszę, wchodź.

Brune zaraz za progiem pracowni zatrzymał się mimo woli, uderzony pełną czerni aurą, jakby to była woń padliny. Dopiero po

chwili ochłonął na tyle, żeby popatrzeć na człowieka, który na ich widok podniósł się zza stołu. Jego źrenice lśniły bursztynowo w blasku świateł.

– Witaj, starszy bracie – przemówił z wahaniem. – Jusepe Haberra, do usług.

Brune podejrzliwie zmierzył go wzrokiem. Szczupły, smagły, ostrzyżony po żołniersku, gość Vincenta od pierwszej chwili wydał mu się słabszy, niż sugerowały pozory. Może z powodu odniesionych nie tak dawno ran – zagoiły się, lecz ich echo pozostało w aurze – a może czegoś jeszcze. Ubrany jak szlachcic, z tą samą niedbałą elegancją, która cechowała Ambersa, był młody również wiekiem, nie tylko wyglądem – mógł liczyć dwadzieścia pięć lat, góra dwadzieścia siedem. Nie zawsze dawało się to poznać po aurze, ale w tym przypadku tak.

– Miło mi. – Krzyczący w Ciemności uśmiechnął się kąciakiem ust. On z kolei miał świadomość, że Haberra wpatruje się w jego blizny. – Jestem Brune Keare. Oficjalnie alchemik, a nieoficjalnie, no cóż... – Wyciągnął rękę; tamten uścisnął ją po sekundzie zawahania. – To jaką sprawę masz do mnie, młodszy bracie?

Bez trudu wychwytywał emocje tamtego – napięcie i skrępowanie kogoś, kto nie jest przyzwyczajony do proszenia obcych o pomoc. Czuł, że Haberra zdaje sobie z tego sprawę i że umyślnie nie postawił blokady. Może miał nadzieję, że Krzyczący wyczyta z jego myśli wszystko, co było do odczytania, oszczędzając konieczności wyjaśniania tego na głos.

– Wolisz sam opowiedzieć, czy ja mam mówić? – wmieszał się Vincent.

– Jeśli łaska, wolę wszystko usłyszeć z pierwszej ręki – zastrzegł Krzyczący.

Jusepe Haberra dopił wino ze stojącego na stole kieliszka, odchrząknął. Długo ważył słowa, zanim w końcu przemówił.

– Do niedawna mieszkałem w Tay. Byłem przybocznym pewnej... wysoko postawionej osoby w tamtejszej gildii przestępczej.

– Nazwisko nie jest nam do niczego potrzebne, co? – wszedł mu w słowo Krzyczący. Jusepe wytrzymał jego spojrzenie.

– Nazwisko nie jest nam do niczego potrzebne. Służyłem gildii wiernie przez pięć lat, ale trzy miesiące temu... coś się wydarzyło.

Pozwoliłem sobie na nieposłuszeństwo, a gdy to wyszło na jaw, postanowiono mnie ukarać.

– Szczegóły też nie są potrzebne?

– Nie. – Jusepe spuścił wzrok. – A zresztą... Niech to Otchłań porwie, chodziło o wykonanie wyroku na pewnych osobach, które zdradziły gildię. Imiona nic ci nie powiedzą, starszy bracie.

– W porządku. Kontynuuj.

– Prawo gildii mówi, że oprócz zdrajcy musi zginąć też jego rodzina. Wobec syna jednego z tych ludzi miałem wcześniejszy dług.

– Dług życia?

– Tak.

– Ten syn należał do gildii?

– Tak.

– Był wam wierny?

– Tak.

– I gildia mimo to wydała na niego wyrok z powodu zdrady ojca?

– Tak. Czemu pytasz?

– Z czystej ciekawości. Kontynuuj. Domyślam się dalszego ciągu. Odmawiając złamania prawa magów, naraziłeś się gildii. Jak cię ukarano?

– Porwano jego żonę – odezwał się Vincent, zanim Haberra zdążył otworzyć usta. Jusepe skinał głową.

– Wiedzieliśmy, że trzeba uciekać co tchu, jeszcze tego samego dnia zabrałem ją z Tay portalem. Chcieliśmy się ukryć gdzieś daleko, jak najdalej, może aż w Yadhmarze... Ale wysledzono nas. Gildia ma na swych usługach kilku zmijów. W pośpiechu mogłem nie zatrzeć śladów wystarczająco dobrze... Mój błąd. Wiedziałem, że ruszą za nami szybko, ale nie sądziłem, że na tyle szybko, aby móc wytropić i uaktywnić nasz portal.

Krzyczący w Ciemności potrząsnął głową.

– Portale łatwo się śledzi, gdy się wie, kto nimi podróżował. Jeśli w dodatku masz do dyspozycji coś, co należało do poszukiwanego, nie dają złamanego grosza za powodzenie ucieczki. Chyba że poszukiwany ma w małym palcu czary maskujące na poziomie potrójnego pentagramu z Kyth.

– Tak, no... – Haberra poczerwieniał, a Brune pożałował, że nie ugryzł się w język. Tamtemu mogło brakować nie tyle talentu, co

doświadczenia, a zapewne również ksiąg, z których mógłby się uczyć.

– Dopadli was zatem – zmienił temat. – Ciebie ranili i zostawili nieprzytomnego, a ją uprowadzili. Tak?

– Mniej więcej. – Jusepe przesunął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. – To wszystko działo się miesiąc temu. Gdy tylko byłem w stanie, podjąłem poszukiwania...

– Zaczekaj, po kolei. Gildia wie, że żyjesz? To znaczy – przypuszczasz, że chcieli cię zabić i im nie wyszło, czy też nie mieli nic przeciwko temu, żebyś przeżył?

– Och, wiedzą, że żyję – odparł natychmiast Haberra. – Nie zabija się *ka-ira* paroma pchnięciami noża i zaklęciem snu. Chodziło im o Celeste. Nie chcę nawet myśleć, co mogli z nią zrobić. Obawiam się, że kara dla mnie miała być pokazowa, taka, o jakiej będzie się opowiadać jeszcze długo. – Przy ostatnich słowach głos mu zadrżał.

Brune przemilczał to, co mu przyszło na myśl – że jeśli dziewczyna była atrakcyjna, może ktoś z gildii po prostu uznał za stosowne upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Choć rzeczywiście wówczas byłoby prościej zabić jej męża.

– Nie zostawili nic? Żadnego listu?

– Nie.

– A gdy odzyskałeś siły, rozpocząłeś poszukiwania. Twoja Celeste jest *ka-ira*?

– Nie.

– Ma jakąś rodzinę?

– Jest sierotą. Z krewnymi nie kontaktowaliśmy się od lat. – Haberra poruszył się z irytacją. – Czemu pytasz?

– Chcę mieć pełny obraz sytuacji. Dobrze, wróćmy do poszukiwań. Co udało ci się ustalić?

Jusepe wyprostował się na krześle.

– Przede wszystkim mam pewność, że Celeste żyje. Pozostałe informacje, które udało mi się zdobyć, to raczej poszlaki. Zaklęcia tropiące nie działają, wygląda na to, że dołożono starań, aby zmylić ślad. Z niezbyt wiarygodnego źródła zdobyłem informację, że Celeste wywieziono do Shan Vaola. Nie mając wyboru, podążyłem tym tropem. Gdy tylko przybyłem do waszego miasta, wyczułem, że informator nie kłamał. Dar mówi mi, że ona gdzieś tu jest. Ale nie wiem, gdzie. – Zgarbił się na powrót. – Nie umiem odnaleźć śladu.

Trop prowadził do ludzi zebraczego króla, a to zamknięty świątek, do którego trudno przeniknąć. Dyskretnie przepytalem kilku, ale okazali się płótkami, nic nie wiedzieli. – Bursztynowe źrenice poszukały oczu Krzyczącego. – Starszy bracie, muszę znaleźć Celeste. Ja... poprzysiągłem kiedyś, że będę ją chronił bez względu na wszystko. Złożyłem przysięgę maga. Pomóż mi bronić mojego honoru.

Na chwilę zapadło milczenie, które przerwał Brune.

– Masz ze sobą coś, co do niej należało?

– Zanim wróciłem do zdrowia, doniesiono mi, że nasz dom w Tay został spalony, prawie wszystkie rzeczy przepadły. Ale mam jedną z jej koszul... I naszyjnik, który lubiła nosić.

– Naszyjnik będzie lepszy. Biżuteria dobrze chłonie aurę. – Krzyczący w Ciemności odwrócił się do Ambersa. – Vincent, masz tu świece mroku?

– Mam! – Poeta poderwał się z krzesła. Brune pokręcił głową.

– Czyli jesteś niepoprawny i źle, że Imella o tym nie wie, ale tym razem nie będę ci prawił morałów. Postaw na stole trzy i zapal. A ty, młodszy bracie, daj mi ten naszyjnik.

Jusepe wyjął z wewnętrznej kieszeni kaftana misterną obrózkę ze złota i pereł. Vincent tymczasem ustawił na stole świecznik z trzema czarnymi świecami i zapalił je. Dymiły intensywnie – pracownię wypełnił ciężki, specyficzny zapach mirry i żabiej paproci.

Brune zamknął oczy, przesuwając naszyjnik między palcami. Opary dymu zgęstniały wokół jego sylwetki, jakby ściągane niewidzialną siłą. Poruszył wargami, szepcząc formułę. Haberra i Ambers obserwowali go w napięciu.

– Co za sukin... – Głos Krzyczącego ochrypl z wysiłku. – Faktycznie dopilnowali, żeby trudno było złapać trop. Jakiś twój kolega z gildii się postarał. Teraz zobaczmy...

Powiódł dłonią w powietrzu, jakby chwycił nitki niewidocznej pajęczyny. Nagle strzepnął palcami i syknął z bólu, a świece na moment zamigotały czerwienią.

– Poszło!... To powinno przełamać czar, który myli zaklęcia tropiące. – Spojrzał na Haberrę. Teraz jego oczy płonęły żółto. – Jusepe, mam ślad. Idziemy po nią, zanim się zorientują.

– To ja z wami! – podchwycił ochoczo Ambers, ale Brune zgasił go jednym spojrzeniem.

– Może kiedy indziej.

Haberra wyglądał na oszołomionego – krótki pokaz czarnej sztuki najwidoczniej zrobił na nim wrażenie.

– Starszy bracie, znam prawo magów. Spłacę dług, gdy będę mógł...

– O długach i spłatach pogadamy później. Teraz posłuchaj. Możliwe, że chcieli, abyś ją w końcu odnalazł. Niewykluczone, że wpakujemy się w zasadzkę.

– Żywcem mnie nie wezmą. – Haberra obrócił na serdecznym palcu srebrny pierścień z granatem. Krzyżący pomyślał o ciemnym flakoniku w kieszeni, a zaraz potem o pogłoskach, co do których nie wiedział, czy są prawdziwe: że przed srebrnymi nie da się tak łatwo uciec w śmierć. Odepchnął tę myśl.

– Daję ci tylko do zrozumienia, żebyś miał oczy i uszy otwarte. Czekał. – Dotknął czoła tamtego, szepcząc zaklęcie ochronne. – Teraz weź to. – Podał młodszemu zmijowi naszyjnik. – Daj mi drugą rękę i zwizualizuj Celeste.

Zdematerializowali się równocześnie, tak gładko, jakby ćwiczyli to przedtem. Chaos barw w przestrzeni między wymiarami po sekundzie wyostrzył się w linie murów i dachów pod czarnym niebem.

Uliczka w prószącym śniegu. I dom. Dom z żółtym szyldem. Mimo późnej pory okna na parterze były oświetlone i pootwierane, a z wnętrza dolatywał gwar przemieszany z muzyką skrzypiec i brzękiem sztuców. Przyjęcie.

Więc to tu.

Haberra odwrócił się, poblady. Może wyczuł myśli Krzyżącego, a może sam odgadł prawdę.

– Gdzie jesteśmy? Co to za dom?!

– Spokojnie! – Brune chwycił go za ramię. – Bez pochopnych ruchów!

Ale Jusepe wyrwał się i wbiegł po schodkach. W drzwiach drogę zastąpił mu barczysty odźwierny.

– Hej! Wy tu czego? Dziś wieczór wstęp tylko dla zaproszonych gości!

– Gdzie jest Celeste?

– Kto?... – Odźwierny musiał spostrzec źrenice przybyszy, bo zamarł z rozdziawionymi ustami. Brune prędko skinął dłonią przed jego twarzą.

Nie widzisz nas. Jakiś pijak stukał do drzwi, przepędziłeś go.

Odźwierny cofnął się, mrugając głupkowato. Nie zareagował, gdy go minęli.

Zza uchylonych drzwi salonu słyhać było, że goście dobrze się bawią. Jakaś kobieta śmiała się piskliwie i tak głośno, że zagłuszała nawet muzykę. Haberra obrzucił wzrokiem ryciny na ścianach przedpokoju, przedstawiające wesole pary w ciekawych konfiguracjach. Spojrzenie miał coraz bardziej dzikie, jak łasica w pułapce.

– Spokojnie – powtórzył Krzyczący. – Zaczekaj! Daj mi to i chwyć mnie za rękę – to mówiąc, wyjął naszyjnik z dłoni Haberry i zamknął oczy, by się skoncentrować.

Ponownie ogarnął ich wir kolorów, a gdy się rozproszył, znajdowali się w izdebce na poddaszu. W stojącym na podłodze lichtarzyku dopalała się świeczka. Obok leżała rzucona byle jak suknia i pantofelki.

Wśród skłębionej pościeli na łóżku siedziała dziewczyna w pantalonach i rozsznurowanym gorseciku. Róż i szminka na jej twarzy zdążyły się już rozmazać, a włosy rozfryzować. Kiwała się miarowo, szepcząc do siebie. Jusepe przetarł oczy, nie dowierzając.

– Celeste?...

Skierowała na nich błędny, szklisty wzrok. Pod Krzyczącym ugięły się nogi, bo rozpoznał to spojrzenie oraz zapach unoszący się w pomieszczeniu, zmieszany z wonią perfum, pudru i potu.

Butelki pieczętowane czerwonym woskiem... Los czasem tasuje karty wredniej niż zawodowy szuler.

– Jusepe... Sądziłam, że nie żyjesz... – Dziewczyna uśmiechnęła się nieprzytomnie. Próbowwała wstać, ale chwiała się jak pijana. – Zabierz mnie stąd.

Młody żmij przez długą chwilę stał jak wmurowany. W końcu postąpił naprzód.

– Celeste... – Delikatnie dotknął włosów żony, potem jej czoła.

Brune po sekundzie uświadomił sobie, co tamten robi. Za późno. Celeste Haberra z westchnieniem osunęła się na łóżko, a jej aura zgasła jak zdmuchnięta świeca. Nie żyła już, zanim on zdołał przełamać niedowierzanie i szok.

– Jusepe!

Młody żmij przyłożył dłoń do ust i nagle on także zachwiał się, tracąc równowagę. Krzyczący w Ciemności odruchowo podtrzymał go, pomógł usiąść pod ścianą. Haberra zakaszał dziwnie, zakrztusił się. Wargi miał już sine. Brune poczuł zapach gorzkich migdałów.

Ujął dłoń tamtego i obrócił ją ku światłu. Tak jak przypuszczał, do pierścienia przylgnęło kilka ziarenek białego proszku. Jedna z niewielu trucizn, które skutecznie działały na *ka-ira*, choć wolniej – normalny człowiek już by nie żył.

Potrząsnął głową w oszołomieniu. Czuł się tak, jakby wepchnięto go na deski sceny, wprost w tani melodramat. Tyle tylko, że po opuszczeniu kurtyny zabici aktorzy nie wstaną.

– Czemu?... – szepnął bardziej do siebie niż do Haberry. Ale Jusepe usłyszał. Zaczerpnął tchu, jego wargi poruszyły się.

– Ona by tego chciała, gdyby... była w stanie jasno myśleć. Ocaliłem... jej honor... i mój.

– Nieszczęsny głupcze – syknął Brune. Nie sądził, że przyjdzie mu kiedyś tłumić impuls, żeby spoliczkować umierającego.

On wprawdzie nie znał dziewczyny wcześniej, ale czuł jej emocje w ciągu tych kilku sekund, gdy Haberra do niej podszedł. Nadzieja i radość – potem niedowierzanie – wreszcie mrozące uderzenie strachu, gdy dotarło do niej, jakie wyjście wybrał.

– Głupcze – powtórzył bezsilnie, czując, że dławi go w gardle.

Ale Jusepe westchnął i nagle znieruchomiał, jakby zapadając się w sobie. Zastygł tak, przechylony, z czołem opartym o ścianę.

Skrzypnęły drzwi. Brune uniósł głowę i napotkał spojrzenie pary oczu przekrwionych od alkoholu, ale już wytrzeźwiałych pod wpływem widoku, jaki Kylja ujrzała.

Zanim zdążyła krzyknąć, sięgnął ku niej telepatycznie, gasząc jej przerażenie. *Coś ci się przywidziało. Dziewczyna zabawia dwóch klientów. Wyjdź.*

Oszołomiony winem umysł Kylji łatwo poddał się łagodnej sugestii. Wyszła chwiejnie.

Brune podszedł do łóżka. Przez chwilę patrzył na nieruchome ciało Celeste, po czym wziął ją na ręce. Wyniszczona narkotykiem, nie ważyła wiele.

Zamknął oczy i skupił się, przywołując obraz pewnego miejsca w sferach. Po chwili już płynął przez wielokolorową przestrzeń między

wymiarami.

Niech inni się martwią o to, jak wytłumaczyć obecność zwłok Jusepe Haberry w domu z żółtym szyldem.

* * *

Istnieli magowie obu barw, którzy więcej czasu spędzali w przestrzeniach astralnych niż na ziemi.

Brune rzadko wyprawiał się w sfery – nie miał tam czego szukać, a podróże bez określonego celu uznał po paru niemiłych doświadczeniach za zabawę dla znudzonych poszukiwaczy ryzyka. Znał jednak miejsce, które odpowiadało jego intencjom, usytuowane na obrzeżach górzystego, nieprzyjaznego dominium gnomów.

Milcząca kotlina pod ołowianym niebem, o zboczach porośniętych dziwną niebieskawą trawą, nad którą bezgłośnie szybowały olbrzymie ważki. Skaliste szczyty okalały staw o tafli niczym czarne szkło.

Żmij ostrożnie złożył na ziemi ciało Celeste. Odmówił krótką formułę, potem skinął dłonią i siny ogień objął zwłoki. Gdy zgasł, pozostały tylko rozsypujące się kłaczki popiołu, które momentalnie rozmiótł wiatr.

Brune przetarł rękawem twarz, czując wzbierające w oczach łzy. Cisza przytłoczyła go.

Przywołał moc, szykując się do powrotu. Gdy po raz ostatni spojrział za siebie, odniósł wrażenie, że ponad taflą stawu zawisł niewyraźny zarys postaci. Szczupła sylwetka w sukni. Ale równie dobrze mogło to być złudzenie.

A potem była już tylko szarość.

Szarość i szepty umarłych, ściągające go ku ziemi.

* * *

Deszcz bębnił o zamknięte okiennice.

Kot wskoczył na komodę i otarł się pyszczkiem o posążek z czarnego kamienia przedstawiający nagą, pólleżącą kobietę. Statuetka, zakupiona od kupców z południa, była wizerunkiem jakiegoś yadhmarskiego bóstwa. Ambers miał do niej sentyment.

Skrzypnęły drzwi. Brune cicho wszedł do gabinetu, przynosząc ze

sobą zapach świeżo wypalonego opium. Poruszał się powoli, jak we śnie.

Przysunął krzesło do kominka, usiadł i zgarbił się, patrząc w ogień. Splątane włosy zasłoniły mu twarz, ale nie odgarniał ich.

Ambers chrząknął i bez wstępu zadał pytanie, które go dręczyło.

– Jak się skończyła ta historia? Uratowaliście ją?

– Tak. – Krzyczący w Ciemności zapanował nad głosem, ale nie podniósł wzroku, bo bał się, że poeta wyczyta prawdę z jego twarzy.

– To... dobrze. – Vincent też zapatrzył się w tańczące płomienie. Brune wyczuł jego nagły smutek i zrozumiał, że Ambersa nie tak łatwo oszukać.

Obaj milczeli przez dłuższą chwilę. Kot oparł przednie łapy o ściankę komody i ostrożnie zeskoczył, po czym przysiadł przed kominkiem i zaczął się wylizywać.

– Jak znajdujesz moją pracownię? – zmienił temat poeta. – Może miałbyś ochotę częściej z niej korzystać?

– Nie – odparł krótko żmij, ale Vincent nie dał tak łatwo za wygraną.

– Za tydzień księżyc będzie w pełni, idealne warunki do wycieczek astralnych. Może pokazałbyś mi kawałek sfer?

– Nawet o tym nie myśl – uciał zimno Krzyczący. Poeta spojrzał na niego z urazą.

– Ej, tylko żartowałem! A ty od razu...

– To nie temat do żartów. – Brune westchnął. Opium wytłumiało emocje; złość, która go ogarnęła, przygasła jak ogień w zetknięciu z mokrym drewnem. Teraz czuł tylko niemrawą rezygnację. – Tak naprawdę w ogóle nie powinienem się tu zjawiać. Wiesz o tym. Prędzej czy później wpakuję cię w kłopoty.

– Nie mów tak. W końcu... – Ambers zawahał się – od czego są przyjaciele, czyż nie?

Brune wyjął karty i tasował je w zamyśleniu. Tknięty impulsem, w duchu zadał pytanie. Spojrzał na wyciągniętą kartę, potem na Vincenta, potem znów na kartę, czując chłód.

Dziesiątka mieczy – kolejne nieszczęścia przynoszone przez bezlitosny los.

Jutro, za tydzień, za rok... Jeśli ci powiem, Vincent, czy to coś zmieni? Ostatecznie to tylko przepowiednia, która... być może się nie

spełni. Być może.

Złożył karty z powrotem i wsunął je do kieszeni, zmuszając się do uśmiechu.

– Od tego, Vincent.

11. Młodsza siostra

Na dworze szumiała ulewa, splukując resztki brudnego śniegu.

Porcelanowe lalki na półce obojętnie wytrzeszczały oczy. Anavri zwinęła się w kłębek na łóżku, przełykając łzy.

– Jesteś moja, siostrzyczko – powiedział cicho portret jej brata. – Płacisz, ponieważ mnie zabito. Krew za krew, ból za ból, czerń za czerń.

Nie – chciała odpowiedzieć, ale nie była w stanie wykrztusić tego słowa.

Tego ranka lustro powiedziało jej prawdę. Już nie mogła się ucześcić nadziei, że jakimś cudem się pomyliła, źle zinterpretowała objawy.

Jej źrenice stały się pionowe, a w ich głębi pełgał siny blask.

Jestem potworem. Takich jak ja torturuje się na śmierć, aby ocalić ich dusze.

Ojczy, co zrobisz, kiedy srebrni mnie dopadną i zabiją tak jak Fabiena?

Po raz kolejny z rozpaczą pomyślała, że może lepiej dla wszystkich byłoby, gdyby wzięła brzytwę i cicho, dyskretnie podcięła sobie żyły w nocy... ale wówczas ojciec, nie znając prawdy, oszalałby ze zgryzoty. Po śmierci żony i syna miał już tylko ją.

Okrutna ironia tego faktu sprawiła, że Anavri znowu zadygotała od tłumionego szlochu, nienawidząc siebie za słabość, bezsilność, za to, że w ogóle istnieje.

Szelest za plecami kazał się jej odwrócić. Wstrzymała oddech.

W fotelu pod oknem ktoś siedział. Śniady, chudy jak szkielec mężczyzna z żółtym błyskiem w źrenicach – ten *ka-ira*, którego spotkała ongiś na grobie brata. Wyglądał teraz tak, jakby od miesięcy sypiał na ulicy. Jego włosy zwisały w strąkach, odzienie było sztywne od brudu. Policzek pokrywały obrzydliwe strupy.

– Chodź, zabiorę cię do krainy szczurów. Tam jest miejsce takich

jak my.

Anavri wtuliła rozpaloną twarz w poduszkę. Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim usłyszała głos służącej.

– Panienko? Wszystko w porządku?

Podniosła wzrok. Fotel pod oknem był pusty, a w drzwiach stała pokojówka. Zamiast głowy miała gnijący koński łeb; w oczodołach roily się mrówki. Anavri rozpaczliwym wysiłkiem woli powstrzymała się od krzyku.

– Źle się czuję – szepnęła. – Proszę, zostaw mnie.

Raptem chwyciły ją dreszcze, świat wydawał się rozmywać jak oglądany przez mokrą szybę. Skuliła się, szcękając zębami.

Mglisto dotarło do niej, że służąca woła kogoś, odwracając się ku drzwiom.

* * *

Sylwetki umarłych unoszą się nad bagnami. Ich szepty mieszają się z odgłosami wiatru, który zawodzi w gałęziach olch.

Anavri stoi po kolana w ciemnej wodzie, ubrana tylko w ubłoconą nocną koszulę. Jej źrenice jarzą się jak błędne ogniki, z ust płynie krew.

Za nią stoi postać w białej, upiornej masce. Trzyma Anavri za włosy i śmieje się. Anavri wyciąga ręce w niemej prośbie.

Umieram, Lorraine.

– Lorraine!

Dziewczyna otworzyła oczy i zobaczyła, że pochyła się nad nią Marshia Lavallo w nocnej koszuli, z włosami splecionymi w warkocz. Nad jej głową tańczyło czarodziejskie światełko.

– Co się dzieje, dziewczyno? Krzyczałaś przez sen.

* * *

Alain Vaneisen stał przed obrazem w złotych ramach. Dobrze znał legendę, którą zilustrował malarz.

Wiele wieków wcześniej, gdy dziewięcioro bogów walczyło z Wrogiem, to Eresh, pan podziemnego świata, zadał mu śmiertelny cios zatrutą włócznią. Lecz umierający Wróg przepowiedział, że

nadejdzie czas, kiedy potomstwo Eresha sprowadzi zagładę na świat ludzi. I na rozkaz Harana, władcy bogów, Eresh tego samego dnia zabił swoich siedmiu synów.

Na obrazie Wróg został przedstawiony pod postacią wielobarwnego, ziejącego błękitnym ogniem smoka. Eresh, bez zbroi, odziany w powiewające czarne szaty, przebijał jego gardziel włócznią trzymaną w sinej, martwej dłoni.

W tle, w pomniejszonej skali przedstawione było to, co nastąpiło później. Siedmiu młodzieńców umierających na zarazę na oczach swojego ojca.

Vaneisen długo, bardzo długo wpatrywał się w obraz. Potem usiadł przy biurku i ukrył twarz w dłoniach.

Po jakimś czasie wstał, już spokojny. Zdecydowany.

* * *

Ogień w kominku ledwie się tlił. Płomienie niechętnie lizały kawał twardej deski z widocznymi jeszcze śladami politory – fragment jakiegoś starego mebla, przerobionego przez śmieciarzy na opał. Brune nieobecny wzrokiem wpatrywał się w zniszczone nuty, które nazajutrz po przyjęciu u Vincenta nabył w antykwariacie.

Opera, z tych bardziej znanych. Banalna historia o dworskiej miłości. Nie mógł wybrzydzać, bo wybór w sklepiku nie był duży. Antykwariusz zapytany o twórczość Deuvena de Ragues tylko rozłożył ręce.

Nuty wystarczyły w każdym razie do celu, o który Krzyczącemu chodziło. Wystarczyło, że zapatrzył się na nie i przed jego oczami, jak tylekroć wcześniej, pojawiły się obrazy. Pojedyncze karty ze zniszczonej księgi.

Zamek wśród ciemnych od lasu gór, ponad doliną, w której błyszczy wstęga rzeki. Przez dziedziniec biegnie jasnowłosa dziewczyna, wiatr szarpie jej suknią.

Przez uchylone okienko na poddaszu widać zachmurzone niebo i morze dachów. W wypełnionych księgami pokoiku ktoś gra na flecie.

Błyskające ostrza rapierów, szczęk stali, czyjś krzyk.

Opuchnięte, sine oblicze mężczyzny miotającego się wśród pościeli,

wyciągającego ręce, z których skóra odpada szerniałymi płatami...

Szpital... Chorzy leżą pokotem na prowizorycznych pościeliach; jedni wyglądają jak martwi, inni jęczą. Ich oczy są białawe, mętne, jakby powleczone błoną.

Jasnowłosa dziewczyna umiera, krzycząc, na jej twarzy – plamy wybrosznych.

Potężna, zakuta w zbroję postać śmieje się, wiatr niesie echo tego śmiechu po spopielonej równinie, nad którą kłębią się chmury.

Ogłuszający huk gromu i ogień... tyle ognia...

Brune ocknął się, ciężko oddychając. Wzdrygnął się, słysząc ostry, metaliczny brzęk. Ozdobne mosiężne puzderko na półce podskakiwało w górę i w dół. Zdjął je, postawił na stole i otworzył.

– Brune – przemówiło puzderko zniekształconym głosem Jacentina.
– Jesteś u siebie?

– A gdzie mam być? O co chodzi?

– Zjawił się u mnie arystokrata, który prosi o pomoc. Mówi, że w jego córce obudził się dar.

Krzyczący przetarł twarz, starając się oprzytomnieć i skupić. Bezczelność perfumiarza była tak niewiarygodna, że w pierwszej chwili nawet nie poczuł złości.

– Jacentin, a znasz takie słowo jak „prowokacja”? No to wyobraź sobie, że srebrni też.

– Dam sobie rękę uciąć, że nie w tym przypadku. – W głosie Jacentina dało się słyszeć gorączkową, błagalną nutę. – Jego syn był *ka-ira* i zginął zabity przez srebrnych. Brune, na bogów, musisz coś zrobić!

– Ja? Czemu sam się tym nie zajmiesz?

– Przecież wiesz, że nie dałbym sobie rady – jęknął perfumiarz. – Brune, znasz prawo magów... Obowiązek i tak dalej. Proszę cię...

Nie panując dłużej nad sobą, Krzyczący zatrzasnął puzderko.

– Tchórz – warknął w przestrzeń. Dorzucił plugawe przekleństwo z repertuaru Veljanova i przez chwilę siedział bez ruchu. Potem ściągnął z półki jeden z grymuarów. Sprawdził spis treści, a kiedy odnalazł właściwy rozdział, przebiegł wzrokiem kluczowe fragmenty, następnie zatrzasnął księgę i wsunął ją do torby. Zdjął z półki skrzynkę ze swoim osobistym zapasem różnych środków, przejrzał

znajdujące się w niej buteleczki, a potem wybrał kilka.

* * *

Mirja się bała.

Dom trwał w ciszy. Reszta służby już udała się na spoczynek, a poza tym zostało przykazane, żeby nikt więcej nie zbliżał się do sypialni panienki.

Panienska jest chora na tyfus. Tylko Mirja знаła prawdę. Gdyby Alain nie mógł jej zaufać, nie mógłby zaufać nikomu.

Dwadzieścia siedem lat wcześniej Mirja weszła do rodziny Vaneisenów wraz ze swoją panią i rówieśniczką, młodziutką wtedy Lydią. Ona ubierała Lydię do ślubu, niańczyła jej dzieci, patrzyła, jak rosna, drżała, ilekroć chorowały. Dwoje pierwszych, które zmarły w niemowlęctwie, potem Fabien, wymodlony, wychuchany, wypieszczony jak książątko, a po nim Anavri, oczko w głowie ojca i brata.

Nie kto inny, a Mirja pielęgnowała Lydię podczas kolejnych zaostrzeń ciągnącej się latami, wyniszczającej płucnej choroby. Była przy niej też w ostatnią noc – czuwali we dwoje, ona i Alain. A dwa lata później, tamtego straszego dnia, kiedy z katowni srebrnych przywieziono zwłoki Fabiena, to Mirja umyła go i ubrała do trumny.

Skaza. Przekleństwo. Potwór. Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, co piszą srebrni w swoich mądrych księgach. Ona znała jasnowłosego chłopca, właściwie już młodzieńca – wiecznie milczącego, o zamysłonych oczach. Odkąd zmarła mu matka, nigdy się nie uśmiechał.

Pamiętała wzrok, jakim patrzył na siostrę, wtedy jeszcze nieśmiałego podlotka. Chyba nawet Alain nie troszczył się o Anavri tak, jak jej starszy brat.

Och, Mirja wiedziała od swojego chlebodawcy, co napisano w uzasadnieniu wyroku. Że Fabien umiał siłą woli przenosić przedmioty, zapalać ogień. Opuścić swoje ciało i wędrować po odległych wymiarach, rozmawiać z duchami. I że z czasem pod wpływem czarnej mocy stałby się potworem, mordercą. Że zlikwidowano go jak wściekłe zwierzę.

Kompres na czole Anavri zdążył już przeschnąć. Mirja wymieniła

go na świeżo zmoczony w zimnej wodzie. Dziewczyna jęknęła.

– Cicho, kotku – szepnęła uspokajająco służąca, głaszcząc jej włosy.
– Jestem tu.

Z drzeniem przypomniała sobie, co opowiadano – że srebrni są w stanie z odległości wyczuć budzący się dar.

Jak na zawołanie, piętro niżej w salonie stary zegar zaczął wybijać dziesiątą. Minęło sześć godzin, a jej chlebowca nie wracał.

Dźwięki zegara zaniepokoiły Anavri, która poruszyła się i przewróciła na bok, strącając kompres. Mamrocząc powiodła dłonią w powietrzu, jakby chwytając niewidzialne pajęczyny.

Zasłony zafalowały, chociaż nie było przeciągu. Malowana waza spadła z gzymsu kominka i rozprysła się na kawałki. Mirja przycisnęła dłonie do ust, szepcząc modlitwę.

Haranie, królu nasz, strzeż sprawiedliwych, chroń słabych. Arayo, która zrodziłaś anioły, zachowaj nas od złego.

Stolik przy łóżku przewrócił się z hukiem i brzękiem tłuczonej porcelany. Jakby przytomniejąc, dziewczyna skuliła się i zaczęła płakać. Przełamując strach, służąca znów pogładziła jej włosy, dotknęła rozpalonego policzka.

– Sza, panienko.

Przed oczami stanęła jej siedmioletnia Anavri bawiąca się na huśtawce w ogrodzie, wśród krzewów białych róż. Anavri i Fabien w wiejskiej posiadłości, biegający po starym sadzie – ich śmiech dolatujący zza omszałego muru. Fabien tulący zapłakaną siostrę po śmierci matki, sam poważny, opanowany jak jego ojciec.

– Cicho, cicho, dziecko. Cicho, maleńka.

Mirja znów spojrzała na zegar nad kominkiem. Za oknem przeciągle, głucho zaświstał wiatr.

I wtedy na dole rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Anavri usiadła gwałtownie, a służąca dopiero teraz naprawdę się przeraziła. Czy dziewczyny jarzyły się sino i wyzierało z nich szaleństwo.

* * *

Zaledwie weszli do willi, Brune zeszywniał.

– Cholera!

Nie marnując czasu na przeprosiny, skoczył ku schodom. Nie

musiał pytać o drogę, dar sam go prowadził. Zresztą sekundę później zza drzwi jednej z komnat na piętrze dobiegł przeraźliwy kobiecy krzyk.

Żmij wpadł do środka i zatrzymał się jak wryty. Gruby, wzorzysty nedgvarski dywan ruszał się. Pełzały po nim węże, łąziły olbrzymie pająki i stonogi, a kolejne materializowały się z powietrza, spadając na podłogę z głuchym stukiem.

Żrenice Krzyczącego zapłonęły. Najpierw sięgnął umysłem ku dziewczynie na łóżku, emanującej dziką, rozhuśtaną czernią – ogłupiona gorączką, była teraz równie niebezpieczna co spanikowane zwierzę. Siłą woli przytłumił bijącą od niej moc, wymusił uspokojenie. Potem ruchem ręki posłał całe plugastwo w niebyt. Na szczęście nie razem z dywanem, choć dopiero po chwili ochłonął na tyle, żeby spojrzeć i sprawdzić.

Za sobą usłyszał głos Vaneisena.

– Mirjo?... Już dobrze.

Żmij z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że w komnacie znajduje się jeszcze jedna osoba – kobieta w średnim wieku, o wyglądzie służącej. Patrzyła na nich oniemiała, jeszcze widać nie ochłonąwszy z szoku. Brune wbił wzrok w jej oczy.

Panienska choruje na tyfus. Pan Vaneisen przyprowadził lekarza.

– Usiądź, Mirjo – powiedział cicho Alain. Służąca osunęła się na stojący przy łóżku fotel, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Pochylając się nad dziewczyną, Krzyczący dostrzegł odbicie komnaty w lustrze i aż drgnął, tak uderzył go ten obraz. Ściany pokryte białą tkaniną w złote wzory, błękitny atlasowy baldachim oraz zasłony przy łóżku, bibeloty, lalki, a wśród tego wszystkiego on w swym czarnym odzieniu – zły duch, który przybył tu z krainy mrocznych korytarzy, szczurów i pokraccznych stworzeń.

Dziewczyna jęknęła nieprzytomnie. Położył rękę na jej czole. Było rozpalone, lepkie od potu.

Nie patrzył na arystokratę, ale i tak wyczuł jego nagłe napięcie – tłumiony siłą woli strach, że

(ten KTOS)

dotyka jego córki.

– Jest źle – powiedział, prostując się. Spojrzał na służącą. – Potrzebuję trochę wody i wina. Muszę jej dać środek na zbicie

gorączki.

Kobieta zniknęła za drzwiami, a po chwili zjawiała się, niosąc tacę, na której stały dwie karafki i pucharek. Patrzyła, jak żmij rozpuszcza w winie łyżeczkę proszku, potem rozcieńcza płyn wodą.

– Jeśli można, panie, ja jej podam – zaproponowała nieśmiało.

Wręczył jej pucharek. Po jej zachowaniu poznał, że nieraz już poila lekarstwami dzieci swojego pana.

Anavri bez protestu wypila gorzki płyn, potem opadła na poduszki i zamknęła oczy. Wyglądało na to, że spowodowany strachem zryw wyczerpał jej siły i teraz zaczyna spływać na nią otępienie.

– Będę musiał spleść zaklęcia ochronne, stworzyć osłony wokół komnaty – powiedział żmij. – Inaczej srebrni wyczują, co tu się dzieje.

– Co zamierzasz, magu? – wszedł mu w słowo Vaneisen. Jego suchy ton nie do końca maskował napięcie. Arystokrata był opanowanym człowiekiem, ale emocje aż kłębiły się w nim pod maską zimnego spokoju. Krzyczący rozumiał to i czuł się paskudnie w związku z rolą, jaka mu przypadła. Tym paskudniej, że wcale nie był pewien, czy sobie poradzi.

– Jedyne, co mogę zrobić na tym etapie. Przeprowadzić ją przez kryzys. Już za późno, żeby próbować wygaszania daru, zresztą i tak nie jest powiedziane, że to by się udało.

– Za późno? – Vaneisen nerwowo przeszedł kilka kroków, zawrócił. – Jak to możliwe? Zachorowała dzisiaj!

Żmij potrząsnął głową.

– Pierwsze objawy przemiany zaczęły się prawdopodobnie kilka tygodni temu. Myślę, że za wszelką cenę starała się je ukryć.

– Anavri... – Służąca, która dotąd słuchała w milczeniu, zaszlochała. – Och, Anavri.

* * *

Zegar wybił północ.

Brune skończył szeptać formułę i otarł pot z czoła. Otoczył sypialnię dziewczyny najsilniejszymi barierami, jakie mógł napędce stworzyć, minimalizując prawdopodobieństwo, że słudzy Elity wyczują ją z oddali i wytropią. Nie był pewien, jak duże jest zagrożenie – na obszarze tak gęsto zaludnionym jak miasto nawet budzący się czarny

talent miał szansę zniknąć w chaosie nakładających się aur, emocji i zdarzeń – ale też na pewno nie małe. Srebrni czuwali. Musieli wiedzieć z doświadczenia, że przeklętych najsprawniej likwiduje się na etapie, gdy ci są jeszcze bezradni jak nieopierzone ptaki.

Kryzys był przełomowym momentem stawania się *ka-ira*. Budzący się dar sprawdzał człowieka. Sprawdzał naczynie. Albo mag, albo czerń. Odrzuceni umierali, zapadali w śpiączkę albo tracili zmysły na resztę życia.

Brune wiedział z ksiąg, jak silna emanacja czerni towarzyszy temu zjawisku, ale nie do końca umiał to przełożyć na praktykę, dopóki sam nie poczuł aury Anavri. A kryzys w jej przypadku dopiero się rozkręcał. Gorączkowała od kilkunastu godzin – ostra faza miała szansę potrwać przynajmniej drugie tyle.

Najgorsze, co odkrył żmij, patrząc na leżącą bez ruchu dziewczynę, było uczucie bezsilności. Bo tak naprawdę mógł niewiele. Podać lekarstwo przeciw gorączce, która stanowiła tu w zasadzie objaw uboczny – poza tym czekać. Pilnować, żeby Anavri nie zrobiła krzywdy sobie ani innym, a przede wszystkim osłaniać, zgłuszać, maskować – aby srebrni nie wyczuli i nie przybyli, żeby rozwiązać problem ich sposobem. W sam rozgrywający się proces nie wolno mu było ingerować. To czerń miała dokonać wyboru.

Jego palce powędrowały ku schowanej w kieszeni gemmie z wizerunkiem Eresha. Wypowiedział w myślach kilka zdań modlitwy do Władcy Much – pana wszystkich chorób, więc i tej także.

Dziewczyna poruszyła się i zamamrotała błagalnie. Brune wyczuł narastającą w niej moc i, skupiając się, powstrzymał to coś, cokolwiek usiłowała w malignie zrobić – czy raczej to, co dar usiłował zrobić wbrew jej woli.

Anavri zamamrotała znowu i nagle targnęła głową, jakby chciała się uchylić. W powietrzu nad nią zmaterializowało się kilka róż. Białych róż. Spadły na przykrycie i leżały tam.

Dziewczyna znieruchomiała, jakby zapadając się w siebie, odpłynęła. Krzyżący sprawdził jej puls i przygryzł wargę – gorączka po chwilowym spadku znowu wzrosła.

Patrząc na rozpłomienioną wypiekami twarz Anavri, pomyślał nagle, że skądś ją zna, a po chwili przypomniał sobie skąd.

Zachwianie z czerwonym księżycem, stary cmentarz. Arystokratka

w żałobie, która użyczyła mu swojej siły. Wspominała coś o bracie, który zginął z rąk srebrnych.

Był pewien, że się nie pomylił, choć mało brakowało, a nie poznałby jej; wtedy nieskazitelnie elegancka w czarnych jedwabiach i koronkach, teraz wyglądała jak chore, bezbronne dziecko.

Odgłos za plecami sprawił, że żmij drgnął. Ale to tylko Alain Vaneisen wstał i podszedł do okna.

Arystokrata już wcześniej odesłał służącą, nakazując jej udać się na spoczynek. Sam od trzech godzin siedział z kamienną twarzą w kącie, obserwując każdy ruch Krzyczącego, a ten nie zaprotestował, choć normalnie nie lubił, kiedy patrzono mu na rękę. Rozumiał.

Teraz Vaneisen otworzył okno i wyjrzał, potem cofnął się, wyraźnie poruszony.

– Magu, chodź tu – powiedział. – Spójrz.

Po niebie pełzły świetlne smugi we wszystkich kolorach tęczy. Zachwianie.

Brune zaklął w myślach. Obawiał się tego, ale nie mógł podjąć z wyprzedzeniem żadnych kroków, bo po prostu nie miał dostatecznej wiedzy. Nie potrafił przewidzieć, w jaki sposób nagłe wahnięcie magicznych prądów ostatecznie wpłynie na ich równowagę w większej skali.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to żeby potraktować arystokratę hipnozą, otworzyć portal i zabrać dziewczynę gdzieś daleko, jak najdalej. Jednakże odrzucił tę myśl. W obecnym stanie Anavri nie nadawała się do transportu przez wymiary. Równie dobrze mogłby tam holować kogoś krwawiącego z otwartych ran.

Jeśli nie zwabi srebrnych, zwabi umarłych albo demony.

Dalszych rozterek oszczędziło mu wydarzenie całkowicie niespodziewane. Drzwi komnaty otworzyły się, a w progu stanęła...

– Marilyce! – Alain Vaneisen zachwiał się, jakby ujrzał zjawę.

Marshia Lavallo dwoma krokami przebyła dzielącą ich odległość. Chwyła go za ramię i szepnęła coś, czego Krzyczący nie dosłyszał. Vaneisen odetchnął i jakby się odprężył, a żmij w pierwszym odruchu zaniemówił.

Oni się znają, ale skąd? I skąd, na bogów, ona wie?

Przez próg komnaty przepęzło, a raczej przepłynęło czarne stworzenie o wielu mackach – Biss, drugi chowaniec Marshii.

Warknął cicho. Żmijka pokazała mu coś na migi. Biss wskoczył na parapet otwartego okna, a stamtąd wzleciał w powietrze, falując mackami jak meduza. Bezgłośnie poszybował w noc.

– Mamy mało czasu – powiedziała Marshia, która oczywiście nie uznała za stosowne powitać Krzyczącego. – Panienska zdążyła już zaburzyć Ekwilibrium wokół miasta, tylko patrzeć, jak zaburzy je bardziej. Biss podejmie kroki, żeby zmniejszyć rodzące się zachwianie. Przy odrobinie szczęścia srebrni nie zdołają nas wyśledzić.

– Jak się dowiedziałas, co tu się dzieje, starsza siostrze?

– Umarli powiedzieli Lorraine, a Lorraine mi. Przepuść mnie!

Ujęła Anavri za nadgarstek, żeby zmierzyć jej puls. Zmarszczyła brwi.

– Co jej podałeś?

– Ogniste ziele przeciw gorączce.

– Masz ze sobą jakieś środki na delirium?

– Tylko aranję. Myślisz, żeby jej podać? – Powstrzymał się od komentarza, że zasadniczo byłoby to wbrew prawu magów. Może tak słabe leki jak aranja nie liczyły się.

Marshia myślała chwilę, zasepiona.

– Nie ma sensu – oceniła w końcu. – Zaczyna się przesilenie.

– Tak szybko? Jesteś pewna? Gorączkuje niecałą dobę.

– Zdarzają się szybkie kryzysy. To tak jak z porodem, nigdy nic nie wiadomo. – Żmijka położyła dłoń na czole Anavri, potem delikatnie powiodła palcem wzdłuż jej policzka. – Myślę, że wyjdzie z tego. Szybki kryzys dobrze wróży.

– Co zamierzasz?

– Jak to co? Zabiorę ją do mojej enklawy. Tu nie ma warunków, żeby się nią zająć. – Marshia spojrzała na ojca dziewczyny. – Musisz mi ją oddać pod opiekę, Alain.

Krzyczący wyczuł napięcie arystokraty, moment przeraźliwie bolesnej rozterki. Zobaczył też, jak żmijka kładzie dłoń na ramieniu mężczyzny z delikatnością, o jaką Brune nigdy by jej nie posądzał.

– Zaufaj mi. Nie popełnijmy tego błędu, co przy Fabienie.

Arystokrata zawahał się. Marshia znowu zniżyła głos i zaczęła szeptać mu do ucha. Alain w pewnym momencie drgnął i spojrzał na Krzyczącego, a ten z trudem powstrzymał się od wyrażenia na głos irytacji.

Powiedziała mu o Lorraine? Po cholere?

– Dobrze – oświadczył ku zdumieniu żmija Vaneisen. – Pod warunkiem, że będę wam towarzyszył.

Krzyczący spojrział pytająco na Marshię. Był pewien, że ta odmówi, ona jednak skinęła głową.

– Dobrze.

Brune pomyślał cierpko, że los doprawdy czasem płata figle. Dziewczyna trafi pod opiekę mistrzyni, która wprawdzie zaprzedała duszę demonom, ale pod względem kunsztu mało kto mógł się z nią równać. Z punktu widzenia magii i praw wszystko było dobrze.

Zresztą – nie jemu ingerować. Nie czułby się na siłach szkolić Anavri, nawet gdyby taka opcja wchodziła w grę.

Za ich plecami coś zaszumiało, zatrzeszczało dziwnie. To Biss wrócił. Zmaterializował się na parapecie okna i energicznie zagestykułował mackami.

– Jesteśmy chwilowo bezpieczni, nigdzie w pobliżu nie ma srebrnych – powiedziała Marshia. – Otworzę portal.

– Stąd? – odważył się spytać Krzyczący. Wydało mu się to ryzykowne z punktu widzenia mieszkańców willi. Z tego, co wiedział z ksiąg, portale dawało się wysledzić, odszukać i uaktywnić nawet po dwóch dobach. Ale Marshia tylko wydeła usta.

– Mojego portalu, Brune, nie wykryje byle sługa srebra, nie mówiąc o ponownym otwieraniu.

Wyjęła kredę i nakreśliła na podłodze dwa symbole. Biss podpełzł, wlokąc za sobą macki. Marshia szepnęła mu coś, potem skinęła dłonią i na tle ściany zamajaczył świetlisty krąg pełen wirujących kolorów, zmieniających się w tempie przyprawiającym o zawrót głowy.

– Chodźcie – rozkazała żmijka. – Brune, ty jako ostatni. Biss dołączy do nas później.

Wkroczyli kolejno w portal – Marshia, potem Alain niosący Anavri owiniętą w koce, na końcu Krzyczący. Biss został w komnacie. Obejrzawszy się, Brune zdążył jeszcze zobaczyć, jak chowaniec starannie zaciera ogonem wyrysowane znaki.

* * *

– Benoit, przygotowaliście drugą sypialnię na piętrze? Świetnie.

Niech w kuchni zaparzą biały dereń, a ty przynieś mi skrzynkę z przyborami, wiesz którą.

– Ona się budzi. Dziecko, słyszysz mnie?

– Nie rozumie, co się dzieje. Anavri, zamknij oczy. Jesteś bezpieczna.

– Alain, mów do niej, ale cicho. Tak, żeby się nie bała.

– Anavri, spokojnie. Wszystko jest dobrze. Śpij, serce.

– Panie Vaneisen? Pomóc panu na schodach?

– Ostrożnie!...

– Zazel, a niech cię! Nie płacz się pod nogami, stworze!

Chowaniec wywinął się, cudem unikając przydeptania. Kulejąc i przeklinając brakującą łapę, co sił w nogach pognął do ogrodu. Za nim w pałacyku trwał ruch spowodowany zjawieniem się przybyszy. Marshia, jak zawsze opanowana, wydawała służbie polecenia.

Zazel wbiegł do altany. Chwilę później Lorraine z hukiem upuściła traktat o historii sztuki wróżbiarskiej.

– Anavri i wuj Alain? Tutaj?!

* * *

Inkrustowane masą perłową cacko ze wskazówkami, stojące na półce nad kominkiem w otoczeniu innych kosztownych bibelotów, zachrobotało nagle, zadygotało i chrupnęło, po czym dźwięcznie wydzwoniło dziesiątą. Dziesiątą rano, choć w Shan Vaola zapewne była czwarta albo piąta. Przez okna pałacyku wlewała się złota poświata.

Alain Vaneisen popatrzył na Krzyczącego z niemym pytaniem w oczach.

– Spokojnie – powiedział cicho zmij. – Gdyby działo się coś złego, dowiedzielibyśmy się.

Arystokrata sięgnął po filizankę z herbatą. Dłonie trzęsły mu się tak, że z trudem doniósł ją do ust.

Siedzieli w małym saloniku na piętrze, wpatrując się w zamknięte drzwi sypialni, w której Marshia ulokowała nową podopieczną. Towarzyszyła im Lorraine – już znowu w swojej prawdziwej postaci, ciemnowłosa. W milczeniu przewracała karty książki, chociaż Krzyczący miał wrażenie, że dziewczyna nie tyle czyta, co stara się

uspokoić, skupiając na literach i słowach.

Dowiedziawszy się, że Lorraine jest krewną Vaneisenów, Brune nawet się nie zdziwił.

Świat jest mały, a już zwłaszcza świątek śmietanki. Bardziej zaskoczyło go opanowane powitanie dziewczyny i jej wuja – dygnięcie, skinienie głową, zupełnie jakby spotkali się w gościnie u wspólnej znajomej. Widać wpojone konwenanse działały nawet w tak niezwykłych okolicznościach.

Marshia ze spokojną stanowczością oznajmiła, że dopóki kryzys nie minie, ona będzie czuwać przy Anavri razem z chowańcami, a oni mają czekać na zewnątrz. Więc czekali.

Służąca chwilę wcześniej przyniosła im tacę z poczęstunkiem. Brune, z którego napięcie zdążyło już opaść, niewyspany i zmęczony zaklęciami, które splótł w willi Vaneisenów, jako jedyny ożywił się wobec perspektywy śniadania, choć dla niego było raczej późną kolacją.

Czuł się niezręcznie, jedząc w obecności wciąż rozdygotanego Alaina, ale wiedział, że musi wzmocnić siły. Znał zresztą Marshię na tyle, żeby się domyślić, że pewnie kazała podać posiłek dokładnie z tą myślą.

Odsunął właśnie talerz i sięgał po imbryk, kiedy drzwi się otwały. Wyśliznął się zza nich Zazel, a za nim w progu pojawiła się jego pani. Vaneisen poderwał się.

Marshia nie trzymała się tak sztywno jak zwykle. Wyglądała na znużoną.

– Nie teraz. – Uniosła dłoń, zanim arystokrata zdążył zadać pytanie. – Ona śpi. Ty też powinieneś odpocząć, Alain.

– Marilyce...

– Chociaż godzinę. Połóż się...

– Chcę ją zobaczyć...

–...w salonie na dole. Nikt cię tam nie będzie niepokoił.

– Marilyce...

– Połóż się, Alain. Proszę. Ledwie trzymasz się na nogach.

Krzyczący w Ciemności obserwował ich oboje zza przymrużonych powiek. Wyczuwał emocje – po obu stronach – których interpretacja nie nastrecała trudności, ale tym bardziej nie mógł uwierzyć własnym oczom, czy raczej zmysłom maga.

Coś ich kiedyś łączyło? Dziwniej i dziwniej.

– Chodź, wuju – włączyła się Lorraine, odkładając księgę. – Zaprowadzę cię.

Korzystając z tego, że nikt na niego nie patrzy, Zazel dobrał się tymczasem do jedzenia, które pozostało na tacy. Kiedy Vaneisen i Lorraine wyszli, Marshia spojrzała na zmija.

– Brune, pozwól. Potrzebujemy cię.

Zasłony w sypialni były zaciągnięte. W nogach łóżka przywarował Biss. Anavri leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami, oddychając płytko.

– Powinna już odzyskać przytomność, co się stało? Czy... – Brune chciał zapytać, czy kryzys jednak przybrał niepomyślny obrót, ale pytanie nie chciało mu przejść przez gardło.

– Och, przemiana już się dokonała. Gorączka spadła godzinę temu. – Marshia mówiła ciszej i szybciej niż zwykle; Krzyczący z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że nie jest bynajmniej przestraszona, tylko wściekła. – Dar zaakceptował panienkę, tyle że panienka ma pewne kłopoty z zaakceptowaniem daru. Wpadła w pułapkę swoich lęków i nie raczy nawet podjąć próby walczenia z nimi.

Brune wyciągnął dłoń i z niedowierzaniem zatrzymał ją nad twarzą Anavri.

– Ależ ona naprawdę śpi...?

– Tak, śpi. – Oczy Marshii niemal ciskały błyskawice. – Już ja z nią porozmawiam na temat panowania nad tym, co ma w głowie, jak tylko się ocknie. Kiedy się ocknie, bo chwilowo jest z tym mały problem.

– To znaczy?

– Przecież widzisz. Śni koszmar zrodzony z daru. Dopóki sama się z niego nie uwolni, nie da się jej obudzić. Spróbuj do niej dotrzeć i otrzeźwić ją.

– Ja?

– Ja już próbowałam. Nie umiem się do niej przebić. Może tobie się uda.

Dziewczyna jęknęła przez sen. Jej aurę rzeczywiście przepęłniał strach; była jak zwierzątko kulące się w norze, zbyt przerażone, żeby się poruszyć.

– Oj, Anavri. – Brune pokręcił głową. Położył dłoń na czole dziewczyny, zamknął oczy i skupił się.

Wizja uderzyła go jak obuchem. Stał po kolana w ciemnej, brudnej wodzie, gdzieś na mokradłach, gdzie mgła snuła się wokół olch.

Anavri opierała się o pień jednego z drzew, mokra i umorusana – włosy oblepiły jej twarz, a koszula ciało. Sylwetki umarłych otaczały ją, wyciągały ręce, sycząc nienawistnie.

W pokręcony sposób, tak jak jest to możliwe tylko w snach, Brune widział samego siebie jej oczami. Wyglądał jak wtedy, kiedy po raz pierwszy ocknął się w Podziemiach, albo i gorzej – wynędzniały degenerat, wywleczony z samego dna. Jątrzące się rany na policzku, łachmany i błędne spojrzenie. Wzdrygnął się, gdy w jego głowie nagle zjawilo się wspomnienie, jedno z tych, które czasem wracały w przebłyskach – może najgorsze z nich wszystkich – mroczna cela, gdzie leżał skuty kajdanami, gorączkując i majacząc, a ból trawił połowę jego twarzy...

Całą siłą woli odepchnął ten obraz. Skupił się, przywołał moc i strząsnął, zdarł tkaninę snu z siebie oraz Anavri, tak jak setki razy zdejmował iluzje.

Sceneria zmieniła się, posłuszna jego rozkazowi – stali teraz na skalistym pustkowiu, wśród szarości i szeptów. On przebrany za szlachcica, jak na przyjęciu u Vincenta, Anavri w czarnej sukni z koronkami.

Znów widział całą scenę jakby z zewnątrz. Jej twarz i własną. Dwie pary kocich źrenic – żółte i niebieskawe. I mgłę wokół, pełną głosów mamroczących o śmierci, rozpadzie i gniciu.

Popatrzył na dziewczynę. Zagryzła usta, dygocząc od powstrzymywanego płaczu, lecz nie cofnęła się, kiedy Brune ujął ją za rękę.

Kłamią, nie słuchaj ich. To cienie, przegrani. Nienawidzą cię za twoją siłę.

Przyjmij to, co los ci ofiarował, młodsza siostró. Dumnie, z podniesioną głową.

Łzy płynęły po twarzy Anavri, ale uniosła dłoń. Nad rozpostartymi palcami zalśniła nieduża kula światła, rzucając wokół długie cienie. I, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, głosy umarłych ucichły.

Krzyczący otrząsnął się, oddychając ciężko. Czoło miał mokre od potu. Zdał sobie sprawę, że zaciska w dłoni gemmę Eresha, choć nie pamiętał, kiedy po nią sięgnął.

Panna Vaneisen szlochała cicho, rozpaczliwie, z twarzą wciśniętą w poduszkę.

– Uspokój się – rozkazała Marshia, ale nie tym cierpkim, tnącym jak bicz tonem, którego Brune się spodziewał. – Uspokój się, dziewczyno. Nie trzeba płakać. Jesteś bezpieczna.

Anavri opanowała się w końcu, siąkając nosem. Na widok obcej komnaty gwałtowniej chwyciła oddech. Gdy spojrzała na Marshię, strach i dezorientacja malujące się na jej twarzy ustąpiły miejsca tępemu zrezygowaniu.

– Pani d’Auvil?... – spytała cicho. – Gdzie ja jestem?

Brune stłumił pełen goryczy uśmiech, który cisnął mu się na usta.

W domu, dziecino. I znam takich, co trafiali gorzej.

Nagle zakręciło mu się w głowie, musiał się oprzeć o ścianę. Poczł, że z nosa spływa mu ciepła strużka; półprzytomnie przeciągnął ręką po twarzy, zobaczył na dłoni czerwoną smugę. Czym prędzej wyjął z rękawa chustkę, ale chwilę potrwało, zanim zdołał zatamować krwotok.

– Przepraszam – mruknął, patrząc na ślady na parkiecie.

– Zostaw – powiedziała szybko Marshia. – Służąca sprzątnie.

12. Zbierające się chmury

Choć w materialnym świecie był styczeń, w enklawie jak zwykle pachniało sennym czerwcem. Zazel siedział na trawie i zajadał kulebiak z pikantnym nadzieniem, śledząc wzrokiem motyle trzepoczące wokół obsypanych kwieciami jaśminów.

Drgnienie aury sprawiło, że odwrócił się czujnie. Nad brzegiem stawu zamigotał portal, z którego wyłonił się Krzyczący w Ciemności. Zazel przełknął ostatni kęs kulebiaka.

– W mieście odwilż? – zagadnął.

– Odwilż. – Żmij wytarł zabłocone buty o trawę i zmierzył chowańca wzrokiem. – Przytyłeś, stworze.

– No ba. – Zazel nadał się dumnie.

– Twoja pani jest w domu?

– Tak sądzę. Wezwała cię?

– Umówiliśmy się, że przekażę jej coś, co przyda się przy szkoleniu Anavri. – Krzyczący wyjął z kieszeni zakorkowaną fiolkę, na dnie której spoczywało kilka białych kryształków. – Jak ona się miewa? Wróciła do siebie? Rozmawiałeś z nią?

– Rozmawiałem. Po mojemu wszystko będzie dobrze. Już nie gorączkuje.

– Ma jakieś utrzymujące się objawy? Kłopoty z mówieniem, z pamięcią? Niedowład?

– Nic z tych rzeczy. Jest trochę zdezorientowana, to wszystko.

– Pogodziła się z sytuacją?

– No cóż, nie do końca. – Zazel spochmurniał. – Myślę, że potrzebuje czasu.

Brune spojrzał na ścieżkę prowadzącą do willi, ale ta była pusta. Zniżył głos.

– Jak jej ojciec rozwiązał problem zniknięcia córki?

– A co miał zrobić? Upozorował jej śmierć. Wystarał się po cichu o

zwłoki młodej żebraczki, która zmarła na tyfus czy ospę. Pamiętasz szpital dla ubogich? Nawet trudno mieć im taką transakcję za złe. Jakiejś nieszczęśnicy trafił się pochówek z szykanami zamiast zbiorowego grobu.

– Zamilcz, stworze – odezwała się karcąco Marshia, wyłaniając się zza krzewów. – Kłapiesz tą paszczą bez odrobiny pomysłu. Idź lepiej i zobacz, czy Anavri czegoś nie potrzeba.

Zazel skłonił się i potruchtał w stronę willi. Brune po słowach powitania wręczył Marshii fiolkę z kryształkami.

– Muszę się z tobą rozmówić – oznajmiła zmijka.

– Wedle życzenia. – Schylił głowę.

Czując czyjś wzrok, obejrzał się przez ramię. Lorraine, ubrana w elegancką suknię z bufiastymi rękawami, oczywiście czarną. Niosła kilka zwojów pergaminu. Uśmiechnęła się do niego, po czym zniknęła wśród rododendronów.

– Usiądźmy. – Marshia wskazała ławeczkę nad stawem.

Brune zapatrzył się na odbite w spokojnej toni trzciny i drzewa. Turkusowe niebo jak zwykle emanowało łagodną poświatą. W materialnym świecie czuł dyskomfort, ilekroć promienie słońca padały na jego twarz, ale dziwne oświetlenie enklawy nie przeszkadzało mu.

– Kiedyś proponowałam ci współpracę – odezwała się Marshia. – Chcę ponowić propozycję.

– Myślę, że wiesz, jaka będzie moja odpowiedź – odparł spokojnie, chociaż w głębi ducha poczuł złość. Sądził, że dawno już zamknęli ten temat.

– Marnujesz swoje zdolności. To wstyd dla maga.

– A ty, starsza siostró, służysz Otchłani. Równie dobrze ja mógłbym cię namawiać do zerwania cyrografu, tylko po co? Zostańmy przy swoich opiniach, w ten sposób zaoszczędzimy sobie dyskusji prowadzących donikąd. Pojutrze dostarczę ci drugą porcję nedgvarskiego śniegu dla Anavri.

– A właśnie, Anavri. – Marshia zmierzyła go cierpkim wzrokiem. – Ty pierwszy udzieliłeś jej pomocy, więc gdyby chcieć się trzymać litery praw, to ty powinieneś się nią opiekować i wychować na maga. Co byś zrobił, gdyby nie ja? Nie masz nawet warunków na to, żeby przyjąć ucznia.

– Takie rzeczy można zmienić, gdyby zaistniała konieczność.

Ponieważ nie zaistniała, nie widzę powodu, żeby się tym martwić.

Marshia nieoczekiwanie zmieniła linię natarcia.

– Brune, znamy się od jakiegoś czasu. Jeśli masz... problemy, mogę ci pomóc w ich rozwiązaniu.

– To znaczy?

– Wiesz równie dobrze jak ja, że czerń niesie ze sobą skutki uboczne. Twój dar jest bardzo silny, umiejętności niemałe, a żyjesz wyrzucony na margines. Bez urazy, wnioski nasuwają się same.

Z rozmysłem starała się go ugodzić w czuły punkt, ale Krzyczący tylko uniósł brew.

– Co mi proponujesz, starsza siostrze?

– Mogę ci pomóc rzucić opium. Na początek.

Uśmiechnął się.

– Wyglądam na kogoś, kto sobie nie radzi?

Tak i nie, Brune. Rzeczywiście w niczym nie przypominał żalonych ofiar maku, które miasto wypływało do rynsztoków i kostnic. Przytomny, zadbany. Na to starczyło mu silnej woli. Ale na odbicie się od dna już nie. I Marshia domyślała się dlaczego.

– Wiem, czemu uciekasz w narkotyki – ciągnęła.

– Doprawdy?

– Brune, siła maga jest tym większa, im lepiej mag zna samego siebie. Ty jesteś słabszy, niż mógłbyś być. Dryfujesz, rozmieniasz się na drobne. Myślisz, że nie wiem dlaczego? Straciłeś wspomnienia. Mogę ci pomóc je odzyskać.

Drgnął.

– Staruch ci powiedział?

– Umarli.

– Umarli kłamią.

– Nie w tej sprawie. Naprawdę sądzisz, że nie potrafię zweryfikować takich rzeczy? Nie znasz nawet swojego prawdziwego imienia. Mogę ci pomóc to zmienić.

– Ty także nie posługujesz się swoim prawdziwym imieniem – powiedział powoli Krzyczący.

– Ale ja wiem, jak ono brzmi. A kim naprawdę jest Brune Keare, młodszy bracie? – Patrzyła na niego z miną świadcząca, że zna odpowiedź. – Połatałeś sobie tożsamość, stworzyłeś maskę, za którą możesz się kryć, ale to nie wystarczy. Nie w przypadku maga. Dzięki

mnie mógłbyś odzyskać to, co straciłeś. Wystarczy, że powiesz słowo.

Milczał. Marshia musiała wyczuć jego wahanie, bo uśmiechnęła się w sposób, który dziwnie przypominał kotkę czającą się na wróble.

– Jeśli nawet podróżowałaś w przeszłości po Siedmiu Krainach, pewnie niczego nie pamiętasz, ale uwierz mi, jest kilka sugestywnych... szczegółów. Fakt, że tak świetnie znasz mowę magów... Niektóre twoje przyzwyczajenia, maniery... Płynnie mówisz po talmeńsku, ale twój akcent... A twoje blizny to jeszcze insza inszość. Naprawdę nie chcesz dowiedzieć się więcej?

Brune już chciał odpowiedzieć, lecz powstrzymał się. Jego dłoń dotknęła dwóch kart ukrytych w woreczku na szyi. Przed oczami stanęło mu spokojne oblicze Maga, a potem uśmiechnięta twarz Błazna.

Mag i Błazen, balansujący na krawędzi szaleństwa...

Wiem o sobie wszystko, co muszę wiedzieć, starsza siostró.

– Nie chcę. – Potrząsnął głową. – Na pewno nie od ciebie, dopóki pracujesz dla demonów.

– Ty pracujesz dla przestępców. Na tym etapie powinieneś już wiedzieć, że zło i dobro to bardzo względne pojęcia.

– Zostawmy filozofię filozofom, jeśli łaska. – Krzyczący wstał. – Wracam do miasta. Powiadom mnie, gdyby coś niepokojącego działo się z Anavri.

– Anavri czuje się lepiej. Niedługo wróci do zdrowia i będzie mogła zacząć naukę.

– Słyszałem.

Marshia nagle jakby straciła część pewności siebie.

– Brune, muszę cię o coś poprosić. Zajrzyj do niej.

– Czemu?

– Prosiła o to.

* * *

Anavri siedziała na krześle wystawionym na taras, otulona kocem. Ubrana nie w nocną koszulę i szlafrok, tylko w suknię, z zaplecionymi i ułożonymi włosami. Brune pomyślał, że arystokratki znad Zatoki Snów najwyraźniej wychowywano tak, żeby miały odruch podtrzymywania fasady – zawsze i w każdych okolicznościach. Tym

bardziej uderzyło go, jak źle dziewczyna wygląda. Wychudła, oczy miała podkrążone. Przypominała cień dawnej siebie.

Na stoliku obok stała taca, na niej karafka i pucharki. Za krzesłem przycupnął Zazel, wyraźnie starając się udawać, że go nie ma.

– Witaj – powiedziała cicho panna Vaneisen. – Napijesz się wina? Zazel przyniósł.

– Chętnie.

Nalał sobie, jej i chowańcowi. Chwilę siedzieli w milczeniu. Brune czuł, że wzrok dziewczyny prześlizguje się po jego ubraniu i twarzy. Zupełnie jakby chciała się upewnić

(że z tą chorobą można żyć)

Nie był pewien, w jakim stopniu wychwytyje jej myśli, a w jakim nadinterpretuje.

– Lorraine opowiedziała mi o tobie – odezwała się Anavri. – Mieszkasz w Shan Vaola, w lochach.

– Owszem.

– Uratowałeś jej życie.

– Tak wyszło.

Wpatrywała się w jego blizny. Wiedział czemu. Teraz, tuż po wyzdrowieniu z gorączki wywołanej przez dar, musiała być nadzwyczaj wyczulona na wszystko, co emanowało czernią.

Ich spojrzenia spotkały się i oboje nagle wiedzieli, że czytają sobie w myślach.

– Mogę ich dotknąć?... – spytała cicho.

Pochylił głowę, pozwalając, żeby chłodne palce musnęły jego policzek. Raptem uderzył go lodowaty rozbłysk.

Kiedyś miałem siostrę. Siostrę o jasnych włosach.

Anavri cofnęła dłoń, mierząc go wzrokiem, w którym dało się odczytać strach. Brune z goryczą pomyślał, że wie, co się stało. Za bliski kontakt – wyczuła czern z całą siłą, a resztę dopowiedziały lęki i halucynacje, które dręczyły ją od tygodni.

– Nie bój się – powiedział, z wysiłkiem odganiając wspomnienia. Później będzie się nad nimi zastanawiał. – Zmysły maga cię łudzą, wyolbrzymiają wszystko, czego się obawiasz. Z czasem nauczysz się nad tym panować.

I nie, nie jestem monstrum ukrywającym się pod maską człowieka. Wbrew pozorom.

Ujrzał, że oczy dziewczyny wypełniają się łzami. Zwalczył odruch, żeby łagodnie dotknąć jej ręki.

– Co się stało?

– Kiedy Fabien... Kiedy Fabien stał się *ka-ira*, nie zdawałam sobie sprawy, co to znaczy.

Jak ohydne jest to, co nosi w sobie czarny mag. Usłyszał to zdanie w jej myślach, chociaż nie wypowiedziała go na głos.

– Twój brat był w stanie żyć z darem. To nie choroba, Anavri. Dar... to dar.

Dziewczyna nagle ukryła twarz w dłoniach, a jej ramiona zadrżały od szlochu.

– Trzymaj. – Podał jej chustkę. Anavri wzięła głęboki oddech, wytarła oczy i nos.

– Brune, pozwolisz, że zapytam cię o coś – powiedziała urywanym głosem. – Widziałeś kiedyś na gościńcu trędownatych?

– Owszem.

– Jedni są w stanie z czymś takim żyć. Inni biorą sznur i robią z niego elegancką pętlę. Co uważasz za bardziej sensowny wybór?

Krzyczący w pierwszym odruchu zaniemówił. Pod wpływem impulsu wyciągnął dłoń i sprawił, że z góry posypał się deszcz kwiatów, które nad ziemią rozwiały się jak dym.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby tak postrzegać dar – rzucił ostrzej, niż zamierzał. – Ale to kwestia podejścia.

Anavri odwróciła głowę. Patrzyła na staw, podobny do turkusowego klejnotu w obramowaniu trzciny i krzewów.

– Żegnaj – powiedziała sztywno. – Wybacz, że zabrałam ci czas.

Zazel wskoczył na stolik i trącił zmija w łokieć.

– Ja z nią porozmawiam – szepnął. – Idź.

* * *

Kiedy zmija zniknął z pola widzenia, Anavri z roztargnieniem dopiła wino. Popatrzyła na chowańca z nagłą złością.

– A ty czemu nadal tu siedzisz?

– Martwię się o ciebie – odparł Zazel. Zabrzmiało to tak szczerze, że dziewczyna powstrzymała się od rozgoryczonej odpowiedzi, którą miała na końcu języka. – Czemu dar aż tak cię przeraża?

– Kpisz sobie ze mnie, stworze? – wybuchnęła.

Jeszcze niedawno miałam ojca i dom, teraz jestem wyrzutkiem. Jeszcze niedawno byłam normalna, a teraz widzę w ciemnościach, wyczuwam aury, siłę żywych stworzeń. Mogę przesuwać przedmioty siłą woli, manipulować ogniem, zrobić komuś krzywdę samą myślą.

Patrząc na blizny, czuję echo bólu. Ból mnie kusi, jak zapach jedzenia.

Jestem potworem. I chcę mnie uczyć, jak z tym żyć, tylko po to, żeby srebrni prędzej czy później dopadli mnie i zamęczyli. Nawet jeśli dostaną moje martwe ciało, wskrzeszą je tylko po to, żeby zadrzeć mnie tak, jak tego wymaga rytuał. A jeśli pożyję dostatecznie długo, oszaleję.

Musiała przygryźć wargę, żeby znowu się nie rozplakać.

– Wiesz, Anavri – odezwał się z namysłem Zazel – chętnie opowiedziałbym ci pewną historię.

– To znaczy?

Chowaniec spojrział na nią chytrze.

– Dolej mi wina. Jak zacznę gadać, zaschnie mi w gardle.

Spełniła jego prośbę. Zazel pociągnął łyk i zamlaskał z aprobatą, potem chrząknął.

– Opowiem ci, jak to naprawdę było ze skażeniem czarnej magii.

Kwadrans później dziewczyna popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Pojedynek magów, klątwa rzucona sto pięćdziesiąt lat temu?... Skąd wiesz o tym wszystkim?

– Jestem chowańcem, kochanie. Powiedzmy, że wiem dużo na różne tematy.

– Ale skoro źródło czarnej magii zostało zatrute, to znaczy, że przynajmniej część z tego, co mówią srebrni, musi być prawdą. – Anavri zawahała się. – Zazel, jakby ci to... Nie chcę pewnego dnia oszaleć i mordować ludzi.

Ścisnęło ją w gardle, gdy przypomniała sobie, jak ukradkiem obserwowała Fabiena, czy brat nie zaczyna się zmieniać pod wpływem daru, czy nie zdradza oznak budzącego się szaleństwa. Ten strach, co się z nim stanie za kilka lat.

Chowaniec wydał lekceważąco wargi.

– Nie sądzę, by ci to groziło. Owszem, w ciągu paru miesięcy od rzucenia klątwy kilkudziesięciu czarnych magów postradało rozum, siali zniszczenie i śmierć, póki Elita nie rozprawiła się z nimi. Ale przyjrzyj się mojej pani, wygląda raczej na dość zrównoważoną, nieprawdaż? A Brune, sprawia wrażenie potwora?

– No nie, ale...

– Cokolwiek spowodowała ta klątwa, prawdopodobnie skutki jej działania szybko osłabły. Owszem, dzięki skazie możesz wyczuwać cierpienie i czerpać z niego siłę, ale to nie musi się zaraz przekładać na chorobę umysłu. Myślę, że dzisiaj *ka-ira*, jeśli przeżyją przemianę i jakimś cudem trafią pod skrzydła kompetentnego nauczyciela, wcale nie popadają w szaleństwo dużo częściej niż w czasach przed klątwą.

– Dobrze, a Ekwilibrium? Sądziłam, że srebrni likwidują nas, bo stanowimy zagrożenie dla równowagi świata.

– Propaganda – prychnął z obrzydzeniem Zazel. – Elicie chodzi po prostu o to, żeby pójść za ciosem i wyniszczyć konkurencję. A skoro nie wszyscy *ka-ira* to wariaci i mordercy, ba, w sprzyjających warunkach nadal można z nimi prowadzić interesy, zaprzyjaźniać się i prosić ich o pomoc w sprawach, w których srebrny nie pomoże, trzeba zwykłych obywateli nastraszyć jakimś dodatkowym argumentem. Zagrożenie dla Ekwilibrium; to przemawia do wyobraźni, bo każde dziecko wie, czym grozi zachwianie.

Dziewczyna zamyśliła się.

– I z dnia na dzień Elicie udało się wmówić ludziom, że z tym Ekwilibrium to prawda? Skoro twierdzisz, że wcześniej przez kilkaset lat nie było o czymś podobnym mowy?

– Przeceniasz wiedzę przeciętnego człowieka o tych sprawach, to raz. Dwa, weź pod uwagę, że następstwa klątwy rzeczywiście były takie, jakie były. Kto wtedy oszalał, ten oszalał, palił i mordował. Kiedy wieść gminna jeszcze nieco ubarwiła te wydarzenia... rozumiesz sama. Poza tym srebrni zmienili tekst Świętej Księgi. Dodali cały traktat o skażonej magii i zagrożeniach, które się z nią wiążą.

– To podpada chyba pod świętokradztwo.

– Jak wiesz, bogowie dawno temu opuścili nasz świat, więc nie poznamy ich opinii w tej sprawie.

– Co za historia. – Anavri pokręciła głową z niedowierzaniem.

Zazel dotknął nosem jej dłoni w sposób, który skojarzył jej się z psem; Fabien miał kiedyś pięknego, bardzo przyjaznego ludziom charta.

– A ty o nic się nie martw. Jesteś w dobrych rękach.

* * *

W skalnej pieczarze wypełnionej stertami kosztowności władca Doliny Złota toczył rozmowę z Marshią Lavallo, obecną jako niematerialny cień – zmiyka stała pośrodku pentagramu w pracowni, a do Otchłani trafiał jedynie obraz jej postaci.

– Zatem wiesz już na pewno, że to agent Spalonego Władcy?

– Zasadniczo miałam pewność już wcześniej, Wasza Ognistość. Ale zaklęcie wróżebne rzucone w oparciu o jego krew stanowi niezbitą i ostateczną dowód.

– I powiadasz, że on o niczym nie wie?

– Nie wie. Nie sądzę, by potrafił tak przekonująco grać.

– Niezmiernie rzadko się zdarza, żeby agent nie był świadom swojej roli.

– Myślę, że gdyby był jej świadom, uczyniłby wszystko, żeby się uwolnić.

– Hm. – Sploty smoczego cielska zafalowały. – Zaiste nietypowa sytuacja. Ciekawi mnie, co kierowało Spalonym Władcą.

– Mnie również, Wasza Ognistość. Może to kwestia kaprysu. Albo zemsty. Usidlić czyjegoś syna, czyjegoś męża... Bezsprzecznie zresztą korzystając na tym, bo *ka-ira* przyciąga kłopoty, zawsze będzie dobrym agentem, choćby miał nim być tylko przez jakiś czas.

– Hm. Powiedz mi, moja piękna, nie węższą wokół niego słudzy Doliny Cierni? W końcu kilka miesięcy temu pokonał jednego z nich.

– Dolina Cierni, mój panie, przestała się nim interesować. Uznali, że zginął w walce, i nie drążyli głębiej tej sprawy.

Ślepią Charooza zwięziły się.

– Miałaś z tym coś wspólnego?

– Tak i nie, Wasza Ognistość. Odrobina dezinformacji w odpowiednim momencie, nic więcej.

– Nie przypominam sobie, żebym ci wydał taki rozkaz. – W głos

demona wkradł się niepokojący pomruk, lecz Marshii nawet nie drgnęła powieka.

– Zgodnie z prawami magów obowiązuje mnie solidarność względem brata w darze. Ale szalę przechylił fakt, że jesteśmy teraz w sojuszu z Doliną Popiołów.

– Dobrze już, dobrze. – Charooz poruszył niecierpliwie ogonem. – Mniejsza z tym. Interesuje mnie co innego. Z tego, co mówisz, twój przyjaciel jest naprawdę dobry. Moglibyśmy spróbować go przejąć. Podkupić albo...

– Nie wydaje mi się, żeby było warto, Wasza Ognistość. Pozostawmy go naszej bratniej Dolinie.

– Dlaczegoż to?

– Naprzód dlatego, że jesteśmy z nimi w sojuszu. To już jeden ważny powód.

– Bacz, co mówisz. – Z nozdrzy Charooza strzeliły strużki dymu. – Ośmielasz się dworować ze swojego władcy?

– Nigdy, Wasza Ognistość. – Marshia złożyła głęboki, pełen szacunku ukłon. – Są inne, bardzo konkretne argumenty. Nie podejmuję się go przekonać, by nam służył z własnej woli, zaś wmanewrowany podstępem będzie nieobliczalny. Gra niewarta świeczki. Poza tym, pomijając już wszystko inne, zbyt duże jest ryzyko, że wkrótce zginie.

– Tak sądzisz? Cóż tam takiego wyczytałaś w swoich konstelacjach i tabelach?

– Splata się wokół niego węzeł złego losu. Krew i śmierć.

– Hm. – Charooz przez chwilę trwał w bezruchu, przetrawiając tę informację. – No cóż, ty trzymaj się od tego z daleka. Niech Spalony Władca sam się martwi o swoich ludzi.

– Rozkaz.

* * *

Zmierzchało. Ze wzgórza widać było migoczące światełka Tay.

Chata pod lasem wyglądała jak najzwyklejsze, nędzne chłopskie domostwo, otoczone rozwalającym się płotem. Gdyby jednak ktoś podkradł się do uchylonego okienka, zdziwiłby się, widząc w świetle łożówki sylwetki o bynajmniej nie chłopskim wyglądzie.

Przy stole toczyła się narada.

– Zainteresowało mnie to. – Velhard, na co dzień szanowany kupiec, a potajemnie jeden z przywódców gildii przestępczej w Tay, uniósł butelkę z czerwoną pieczęcią. – Przeprowadziłem małe dochodzenie. Moi drodzy, ciekawe obyczaje zapanowały w Shan Vaola. Żebraczy król ma do dyspozycji *ka-ira* wartego, z opisu sądząc, całkiem sporo. Może sam nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Helshor nie jest głupcem – zauważył miecznik Berdoni, prawa ręka Velharda w gildii. – Wprost przeciwnie, to stary, szczwany lis. Kto jak kto, ale on na pewno wie, kogo ma na usługach. Dziwiłbym się raczej temu *ka-ira*.

– A może facet jest... – Kerrou, skrytobójca, wymownie dotknął skroni. – No wiecie. Czarny dar niektórym robi... krzywdę. Wiecie, jakie są Podziemia. Może żyje tam, bo nie poradziłby sobie na powierzchni. Może jest jak ten poprzedni żmij Helshora, ten pijak, jak on się...

– Sabadius.

– Właśnie, Sabadius.

– Mało prawdopodobne, skoro warzy takie cuda – zachrypiął garbaty lichwiarz Burck, skarbnik gildii.

– A co to właściwie jest? – spytał Fyshke, drugi skrytobójca.

– Wschodni eliksir – wyjaśnił Berdoni. – W Yadhmarze wytwarzają go kapłani jakiegoś ichniego bóstwa, a receptura jest tajna. Bez magii jego produkcja trwa bite siedem lat.

– Rozważacie namówienie tego asa, żeby się pożegnał z Shan Vaola i przystał do nas? – spytała obcesowo mistrzyni złodziejska Agota, opierając się łokciami na stole.

– Zastanowię się. – Velhard potarł przystrzyżoną w szpic brodę. – Bez dwóch zdań, trzeba to przemyśleć.

13. Niebezpieczeństwa i sny

Pod koniec stycznia do Shan Vaola wróciła zima.

Śnieg sypał w zapadającym zmierzchu. Na rynku pachniało grzany winem, naleśnikami i plackami z kapustą. Brune podał zziębniętej nastoletniej handlareczce monetę.

– Z wiśniówką – poprosił. – Zatrzymaj resztę.

Podziękowała uśmiechem. Żmij zagłębił się między kramy, rozglądając się od niechcienia i sącząc zaprawione korzeniami wino. Zmieszane z kieliszkiem wiśniówki przyjemnie rozgrzewało.

Zawrócił, żeby oddać kufel, po czym wyszedł z targowiska na główną ulicę. Miasto tętniło życiem pomimo zimy i stosunkowo późnej pory. Główną ulicą sunęły powozy i karoce – ich koła co chwila turkotały na moście prowadzącym ku Szmaragdowej Dzielnicy, migoczącej światłami we mgle po drugiej stronie rzeki.

Brune się zawahał. W podbitym futrem płaszczu póki co nie czuł mrozu i nie miał ochoty jeszcze wracać pod ziemię.

Po namyśle skręcił w uliczkę zaczynającą się za budynkiem starej mennicy. Minęło go trzech zataczających się młodzieńców. Jeden zaczął donośnie śpiewać o córce szewca, co za srebrne pieniądze dwa każdemu da.

Trzasnęła okiennica, z góry coś chlusnęło. Śpiew urwał się, zabrzmiały przekleństwa. Brune zaśmiał się w duchu.

Zagłębił się w zaułek, gdzie po jednej stronie wznosiły się kamienice, po drugiej zaś stał parterowy budynek otoczony obszernym podwórzem i parkanem. Z komina dymiło.

Mieściła się tam łaźnia o specyficznym charakterze. W mieście było ich kilka, ale ta cieszyła się sławą najlepszej.

Żmij zawahał się. Nie wiedział, czy dobrze zrobił, przychodząc tu. Rozsądniej byłoby się wybrać – jak zwykle – na stary cmentarz, pod dawną salę tortur w Podziemiach czy w jakieś inne miejsce obdarzone

czarną aurą. W końcu jednak usiadł na schodkach jednej z kamienic. Miejsce wydawało się w porządku, na śniegu nie widniały ślady wylanych pomyj. Na wszelki wypadek sprawdził jeszcze, czy nad jego głową nie ma okien.

Gdzieś w pobliżu rozlegało się tęskne, zawodzące miauczenie. Jakiejś kociej pannie nie chciało się czekać do marca.

Rozejrzawszy się, czy nikt nie idzie, Brune wyjął lufkę i woreczek z opium. Naszykował działkę i ostrożnie przywołał płomyczek, żeby ogrzać szkło. Westchnął mimo woli, gdy zaczęło go ogarniać znajome, przyjemne uczucie.

Z uchylonych drzwi łaźni buchnął kłęb pary. Naga dziewczyna wybiegła z wiadrem i zaczęła nagarniać do niego śnieg. Podpity męski głos krzyknął coś z wnętrza, potem gruchnął chóralny śmiech.

Istniały łaźnie... i łaźnie.

Brune sięgnął umysłem ku budynkowi. Za swojej pamięci nie był nigdy w takim przybytku – połączenie gorącej wody i wesołych pań, skądinąd logiczne, jakoś go nie kusilo.

Z krzywym uśmiezkiem zreflektował się, że minęły miesiące od jego ostatniej wizyty w jakiegokolwiek łaźni. A potem uderzyło go, że to wcale nie jest zabawne. Na każdym kroku trafiały się sprawy, z których ostrożność od jakiegoś czasu kazała rezygnować. Co z tego, że wciąż jeszcze sobie radził, wyglądał bez zarzutu i wtapiał się w tłum. Jak żył?

Ciągłe pilnowanie się i oglądanie przez ramię. Upokarzająca konieczność ukrywania twarzy. Ciągły, spychany na krawędź świadomości niepokój...

Machinalnie wystukał lufkę i schował ją. Opium nie mogło stłumić goryczy, która go ogarnęła. Wyczuwał bez trudu, co dzieje się wewnątrz łaźni, a wyobraźnia dopowiadała mu brakujące szczegóły.

Wesołe, mieszane towarzystwo. Wino, pewnie też fajki z haszyszem. I gorąca woda w dużej ilości. W sam raz na zimowy wieczór.

Tam bawią się normalni ludzie, w niewybrednym stylu, ale przynajmniej im to odpowiada. A on siedzi na dworze w padającym śniegu.

Na tyłach budynku znajdowały się pokoje. Nawet z tej odległości potrafił do nich zajrzeć, wyczuć może nie konkretne osoby, ale ogólną atmosferę doznań. Śledzenie ich było trochę jak zdrapywanie strupa z

rany – wiedział, że robi sobie krzywdę, ale nie mógł przestać.

Powinien wreszcie zapomnieć, jakie to uczucie – tęsknić za ciepłem. Dotykem. Bliskością. Za pocałunkiem, dłonią głaszczącą po policzku. Bo dar tłumił podobne pragnienia, sprawiając, że wydawały się śmiesznie mało istotne, a czego dar nie stłumił, dusiło opium...

Zwalczył chęć, żeby zapalić kolejną lufkę. Wiedział już, że popełnił błąd, przychodząc tu.

Miauczenie odezwało się raz jeszcze, tuż za parkanem, potem uliczką przebiegł truchtem pręgowany kot. Łapy zapadały mu się w śniegu. Brune odruchowo popatrzył w ślad za nim i zamarł. Od strony wylotu zaułka zbliżała się postać.

Młoda kobieta, ubrana tak, jakby wyszła z przyjęcia czy teatru – w szubce, futrzanym szalu i eleganckiej szarej sukni. W cieniu kaptura – znajome rysy.

– Chodź – powiedziała.

Wstał bez słowa i poszedł za nią. Przy końcu zaułka odwróciła się. Już wiedział, że śni, dlatego bez sprzeciwu pozwolił, żeby położyła mu ręce na ramionach. Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

Zmizerniałeś. Wyczuł, że to pomyślała, a zarazem wychwycił ulgę, że wszystko jest w porządku, nie stoczył się, opium jeszcze nim nie rządzi. Odgarnęła mu spadające włosy; przytulił twarz do jej twarzy.

Tak trudno było uwierzyć, że nie jest rzeczywista. Zaróżowione od zimna policzki, miękkie futro szala, perfumy... Pachniała brzoskwiniami i kwiatem pomarańczy.

Ilekcóż śnił ten sen, wszystko wydawało się jasne i logiczne. Była. Przychodziła, kiedy jej potrzebował.

– Dlaczego?... – szepnął w przestrzeń. Odpowiedzią był pocałunek.

Ponieważ tęsknisz.

Czemu nie pamiętam, jak masz na imię? Czemu przychodzisz do mnie tylko w snach?

W jego umyśle zjawiała się wizja, od której coś ścisnęło go za gardło.

Pochylasz się nade mną, naga i gibka, ozłocona blaskiem świece. Kiedy to było... czy wtedy też tylko śniłem?

Cofnął się, żeby popatrzeć w jej oczy i zadać pytanie, na które już właściwie znał odpowiedź.

– Nie żyjesz, prawda? Jesteś kimś z mojej przeszłości...

Jej nagły smutek. *Nie trzeba było pytać.*

Wiatr dmuchnął mu w twarz śniegiem, porywając dalsze pytania, które zmij i tak bałby się zadać. Brune bezsilnie wyciągnął ręce, ale napotkał powietrze. Stał sam jeden w zaułku pomiędzy milczącymi domami. Został tylko zapach brzoskwiń unoszący się wśród zimowej nocy, jak na drwinę. Z góry sypały się płatki białych róż... czy popiołu?

Wrzeszczący potępienicy, pędzeni batami. Świat się rozpada... Po twarzy spływa gorąca krew.

Wstaję z klęczek, pozostawiając na ziemi zwłoki, wokół których rozlewa się coraz szerzej kałuża, czarna w blasku księżyca.

Daleko na horyzoncie – miasto, nad którym snują się dymy...

Szarość i niekończące się szepty, szepty umarłych.

Raptem ktoś potrząsnął go za ramię.

– Zgłupiałeś? Uświerknąć chcesz? Psiakrew, nie mógł sobie innego miejsca znaleźć. No, łachudro, rusz się!

Brune otworzył oczy. Dotarło do niego, że siedzi nadal na schodkach, zziębnięty i zdrętwiały. Kaptur i płaszcz miał całe w śniegu.

Zbył milczeniem gniewnego dozorcę, który obdarzył go jeszcze kilkoma epitetami przeznaczonymi dla osobników, którzy zasypiają pod drzwiami cudzych kamienic. Wstając, zachwiał się lekko i kichnął.

* * *

W topniejącym śniegu pod progiem szynku leżał pijak. Nieopodal kilku uliczników grzebało w stercie śmieci, nie zwracając uwagi na siąpiący deszcz.

Wszedłszy do ciemnego wnętrza, Brune skinął głową szynkarzowi, walcząc z odruchem, żeby wyjąć z kieszeni olejek kamforowy. Cuchnęło tu niemiłosiernie – czuł to mimo lekkiego kataru. Po incydencie przed łaźnią przestraszył się, oddał cały swój zapas opium Rożkowi na przechowanie, a teraz czuł się tak, jakby złapał przeziębienie. Ale *ka-ira* w normalnych warunkach nie chorują – dopadły go po prostu objawy głodu. Niezbyt nasilone, ale tylko dlatego, że wiedział, kiedy się ich spodziewać i czym je wytłumić.

Chudy typek, który w kącie bębnił palcami po blacie stołu, na widok żmija wyszczerzył w uśmiechu popsute zęby.

– Powitać. Już myślałem, że się nie zjawicie.

– To źle myślałeś – uciał Krzyczący. – Nasz przyjaciel czeka na tyłach?

– A jakże.

Żmij przeszedł do pustej, pogrążonej w mroku tylnej części sali i odchylił zasłonę, za którą znajdował się korytarzyk. U jego krańca wisiało stare pęknięte lustro. Po naciśnięciu ramy w odpowiednim miejscu fragment ściany ze skrzypieniem odwrócił się na ukrytych zawiasach. Brune zeskoczył do pomieszczenia, w którym piętrzyły się zakurzone worki oraz rozmaite graty. Skinieniem dłoni sprawił, że ściana, zgrzytając, zasunęła się z powrotem.

Na skrzyni jarzyła się latarnia wypełniona świeciwem, a obok siedział barczysty, wąsaty mężczyzna. Nieźle ubrany, w kaftanie o modnych, bufiastych rękawach.

Jego aura była odpychająca niczym posadzka w rzeźni. Nie *ka-ira*, ale zdecydowanie ktoś, kto niejedno ma na sumieniu. Na widok żmija wstał z uśmiechem i lekko się skłonił.

– Jestem Lyves. Z Tay. – Dyskretnie wskazał złoty pierścień na małym palcu lewej ręki.

Krzyczący zrewanżował się równie oszczędnym ukłonem. Uśmiechu nie odwzajemnił.

– Miło mi poznać – skłamał.

Gildia przestępcza z Tay. Tego się obawiał. Ciekaw był, czy wiedzą coś na temat jego udziału w historii nieszczęsnego Jusepe Haberry i jego żony, czy też po prostu zaczynał się cieszyć większą sławą, niżby chciał. Z emocji rozmówcy nie dawało się niczego wywnioskować – Lyves był niczym glaz, niemożliwy do odczytania. Zawodowiec.

– Mamy zlecenie – kontynuował tymczasem przyjezdny. – Wymagające finezji i dyskrecji.

– Domyślam się. Jakie konkretnie?

– Bankier Sardi. Mam ze sobą kosmyk jego włosów oraz trzysta leri.

– Brzmi ciekawie. Co ma spotkać pana Sardi?

– Niech zachoruje. Ciężko. Ale nie śmiertelnie. To ma być ostrzeżenie, nie wyrok.

– Obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Nie zajmuję się takimi rzeczami.

– Rozumiem. – Przez twarz tamtego znów przewinął się uśmiech, niemiły, fałszywy. – Czterysta. Ale ani grosza więcej.

– Panie Lyves. – Głos zmija był cichy, ale zabarwiony groźbą. – Nie lubię powtarzać dwa razy. Polecam swoje usługi w dziedzinie alchemii, zaklęć ochronnych, zdejmowania klątw i uroków oraz przepędzania demonów. Na tym koniec.

– Popełniasz błąd, magu – stwierdził wściz, kręcąc głową. – No cóż, skoro tak...

Urwał, bo w tej samej chwili Krzyczący wpatrzył się w niego źrenicami, które upodobniły się do żółtych ogników. Lyves westchnął dziwnie, jego spojrzenie zmętniało. Zachwiał się i osunął nieprzytomny, a ostrze, po które ukradkiem sięgał, wysliznęło mu się z palców i upadło na podłogę.

Żmij podniósł upuszczony sztylet i zadrasnął nim dłoń leżącego. Rozległ się syk, znad rany uniosło się pasmo dymu, a ciało wokół niej zaczęło czernieć w oczach. Lyves konwulsyjnie zadygotał i znieruchomiał. Jego ręka wyglądała teraz jak spalona na węgiel.

– Nie trzeba było zatruwać noża – powiedział zimno Krzyczący. – Zostawiłbym cię przy życiu.

Zaraz potem poczuł dreszcz, gdy dotarło do niego, że mimo woli chłonie aurę zwłok, jakby grzał się przy piecu.

Wyjął z kieszeni nieodłączną kredę, nakreślił wokół martwego przestępcy odpowiednie znaki i wypowiedział zaklęcie. Ciało natychmiast zaczęło ciemnieć i kurczyć się; działanie trucizny, wzmocnione czarem, stopniowo niszczyło wszystkie tkanki. Potem odzienie trupa również poczerniało i rozpadło się. Cały proces bardzo przypominał to, co działo się po śmierci ze zwłokami Trójokiego, tyle że trwał dużo dłużej. Żmij czekał, zaciskając zęby. Nie mógł użyć ognia w pomieszczeniu o drewnianej podłodze, pełnym palnych rupieci.

W końcu zyskał pewność, że zabitego nie da się już zidentyfikować, chyba żeby zajęli się tym srebrni magowie – a wątpił, by miało do tego dojść. Przesunął zwłoki w kąt i nakrył je płachtą ściągniętą ze sterty worków, następnie zaś zdematerializował się.

Ale kłopoty, jak to często bywa, dopiero miały się zacząć.

* * *

Mieszcząca się w pobliżu rynku gospoda Pod Byczą Głową była z tych porządnych, męty nie miały tam czego szukać. Wejścia pilnował odmieniec o potężnych barach oraz wyjątkowo brzydkim pysku, ni to psim, ni nietoperzym. Obrzucił żmija wzrokiem i skinął przyzwalająco głową.

Zanim Brune wszedł do środka, zerknął na niebo. Księżyc właśnie pojawił się nad krawędzią dachów – w poprzek ulicy kładły się ostre cienie. Pełnia. Pora, kiedy srebro ma największą moc.

Niedobra pora na spotkania na powierzchni, ale nie on ustalał termin. Odnotował w pamięci, żeby następnym razem zwrócić na to uwagę.

W głównej sali płonęły świece, było tłoczno i gwarno. Na lewo od wejścia grupa czeladników opijała chyba czyjś egzamin mistrzowski. Przy drugim stole rozsiedli się kupcy i głośno wymieniali niepochlebne opinie o cenach na sukno. Z kąta dobiegły dźwięki mandoliny, ktoś zaintonował frywolną piosenkę o rybce. Słuchacze natychmiast zaczęli klaskać do rytmu. Krzyczący skierował się w stronę szynkwasu, prześlizgując się wzrokiem po twarzach gości.

– Wy w sprawie zapłaty za medykamenty? – usłyszał nagle. Od stołu, gdzie siedzieli kupcy, podniósł się nijaki człeczyna o przylizanych włosach i rozbieganych oczach.

– Zgadza się.

– Zapraszam na górę – oznajmił człowieczek, rozglądając się lękliwie.

– Czemu?

– Za dużo tu ludzi.

Wzruszając ramionami, żmij poszedł za nim na pierwsze piętro. Człowieczek wyjął z sakiewki klucz i otworzył drzwi jednego z pokoi.

Dopiero tu, z dala od tłumu, Krzyczący zorientował się, że z aurą typka jest coś nie tak. Gdy tylko przekroczyli próg, szybkim ruchem przygwoździł tamtego do ściany, przykładając mu sztylet do gardła.

Człeczyna syknął zaklęcie i iluzja osypała się z niego jak kurz. Brune stłumił przekleństwo, widząc, kto się spod niej wyłonił. Młoda kobieta o długich, rozwichrzonych białych włosach, którym zawdzięczała przezwisko.

Shial Manesseria, zwana Śnieg. Znał ją tylko ze słyszenia – dzięki Staruchowi.

W męskiej odzieży wydawała się uderzająco krucha – niewysoka i szczupła, o twarzy nastolatki. Jej źrenice jarzyły się czerwono.

– Puść mnie, bo pożałujesz – ostrzegła.

Puścił ją i skłonił się, z pozoru nonszalancki, w rzeczywistości gotów do odparcia w każdej chwili ataku.

– Witaj, siostrze w talencie. Czemu zawdzięczam przyjemność tego spotkania?

– Bankier Sardi, bracie. Mówi ci coś to nazwisko? Od trzech dni leży sparaliżowany, nie może ruszyć ręką ani nogą.

– Przykre. Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Sardi pracował dla kogoś, kto nie wybacza ataków na swoich ludzi. Pójdiesz ze mną, Brune. Nie stawiaj oporu, proszę.

Krzyczący westchnął.

– Kto opowiada takie bzdury? Tydzień temu próbowano mnie wynająć do ataku na tego bankiera. Odmówiłem.

Śnieg zaśmiała się sucho.

– Spodziewasz się, że ci uwierzę?

– Nie mam w zwyczaju kłamać. Twoja sprawa, komu zechcesz dać wiarę.

Musiała wyczuć, że mówi prawdę, bo cofnęła się, a jej źrenice przygasły.

– Próbowano cię wynająć, powiadasz. Kto?

– Niejaki Lyves. Z Tay. Tak się w każdym razie przedstawił.

Śnieg milczała, wyraźnie się wahając. Krzyczący wyzywająco obrócił w dłoni sztylet. Nie chciał z nią walczyć, ale gdyby przyszło co do czego, on był silniejszy. Wiedział, że Shial zdaje sobie z tego sprawę. Wystarczyło, żeby porównała jego aurę z własną.

Przenigdy nie powinni jej wysłać samej. Cóż, nie docenili go najwidoczniej.

W dłoni Śnieg też coś błysnęło. Talizman w kształcie smoka. Barbarzyńska robota z południa – złoto, turkusy i masa perłowa. Brune wyczuł drzemiacą w tym czymś czarną moc i jego pewność siebie nieco zmalęła. Ale tylko trochę.

– Powinam cię zabrać do mojego mocodawcy – mruknęła Śnieg. – Otrzymałam jasne rozkazy.

Krzyczący uśmiechnął się kąciakiem ust. Twarz drgnęła mu w tiku.

– Spróbuj.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę. Shial pierwsza spuściła wzrok.

– Pat, siostró w talencie – podsumował chłodno Brune. – Wracaj do twojego mocodawcy i przekaz mu, żeby na drugi raz dokładniej sprawdzał informacje, które do niego trafiają.

Shial nagle uniosła czujnie głowę, jak zwierzę, które wietrzy zagrożenie.

– Słudzy srebra – rzuciła. – Niech to szlag!

Brune także poczuł zawirowanie aury, od którego przeszedł go dreszcz. Na ulicy przed tawerną otworzył się portal, z którego wysypywali się srebrni, cały oddział.

Śnieg popatrzyła na niego, potrząsnęła głową i zdematerializowała się bez słowa. Na dole trzasnęły drzwi, rozległ się łomot kroków, krzyki. Wybuchło zamieszanie.

Brune zamknął oczy, ale było za późno – spleciona przez srebrnych bariera już nabrała mocy, uniemożliwiając mu dematerializację. Wybiegł na korytarz, przesadził balustradę, lądując piętro niżej, przetoczył się po podłodze, żeby zamortyzować upadek. W głównej sali trwała kotłowanina i to go uratowało.

Wszystkie wyjścia z budynku zostały obstawione, ale z kuchni prowadził na górę dodatkowy ciąg schodów, o którym dowódca oddziału nie wiedział, a przez dowolne okno na drugiej kondygnacji umiarkowanie zręczny wspinacz mógł się wydostać na dach. Na tyłach sąsiedniego domu dogodnie usytuowana rynna stwarzała możliwość zejścia na zarośnięte pokrzywami podwórko.

Zmysł maga ostrzegł zmija zawczasu, że przy furtce prowadzącej na ulicę stoi dwóch żołnierzy – ludzi, nie Jednookich. Na szczęście patrzyli w odwrotnym kierunku, pochłonięci tym, co działo się przed głównym wejściem. Brune nasunął kaptur na twarz i skulił się w gąszczu chwastów.

Mieli latarnię, ale rzucała niewiele światła, a noc była mglista. Dopóki trwał w bezruchu, nie mogli go dostrzec. Ale też nie miał którejdy się przemknąć na ulicę.

Z braku lepszego pomysłu postanowił poczekać, aż zamęt w tawernie przycichnie, a żołnierze i golemi wyniosą się, zabierając

aresztowanych. Trwało to piekielnie długo. Zdążył skostnieć z zimna, zanim wreszcie spostrzegł, że ci z latarnią odchodzą. Usłyszał gardłową komendę, potem odgłosy formowania szyku i w końcu oddalający się łomot kroków.

Z bijącym sercem odczekał jeszcze trochę, zanim odważył się wyjść. I ledwie znalazł się na ulicy, natknął się na tych dwóch. Zostali, chytrusy; może sami coś przeczuwali, a może mieli niegłupiego dowódcę.

– Stój! – zawołał jeden; drugi już unosił kuszę do ramienia...

Spięty jak sprężyna żmij zareagował instynktownie, nie myśląc. Zdążyli ujrzeć rozjarzone żółto źrenice, nim pochłonęła ich zasłona sinego ognia.

I wtedy ponad ulicą zabłysł portal, z którego wyłoniła się postać w białej szacie oraz srebrnej masce. Brune rzucił się w bok, na ziemię, o włos unikając ciśniętych błyskawic, które pozostawiły na murze kamienicy wypalony ślad. Poderwał się już ze sztyletem w ręku, osłaniając się czarem tarczy, po którym z sykiem spłynęły dwa kolejne wyładowania.

– Poddaj się! – zawołał ten w masce młodzieńczym głosem. Akolita, nie mistrz. Krzyczący błyskawicznie podjął decyzję – skoczył ku niemu, kreśląc sztyletem znaki w powietrzu.

Ulica zniknęła. Zawisli w nieokreślonej mrocznej przestrzeni i przez pełną napięcia chwilę siłowali się na moc.

– Niech cię Otchłań pochłonie – wyszeptał akolita, gdy dotarło do niego, kto ma przewagę w tym pojedynku woli. Sekundę później zawył; jego szata buchnęła płomieniem, a pod nogami otwarła się bezdenne pustka. Runął w nią jak meteor. Jego krzyk przepadł w oddali.

– I nawzajem – syknął Brune. Zamknął oczy, pozwalając, by wchłonął go wir wymiarów.

Zmaterializował się na nadbrzeżu, o tej porze pustym i cichym. Dopiero teraz poczuł, jak straszliwie zmęczyło go to krótkie starcie. Kolana uginały się pod nim, dygotał od dreszczy, jakby wynurzył się z lodowatej wody.

Mimo to nie odważył się wrócić od razu do kryjówki. Kluczył portowymi alejkami, a później podziemnymi przejściami, żeby nabrać pewności, że nikt go nie ściga. Zawrócił dopiero wtedy, kiedy dotarło

do niego, że może wkrótce zasłabnąć, stracić przytomność, a wtedy będzie po nim.

Z trudem dotarł do swojej siedziby. Ledwie zamknął drzwi i nakreślił na nich kredą ochronny znak, uaktywniając zabezpieczenia kryjówki, resztki energii wyparowały z niego. Zdjął buty i padł na posłanie tak, jak stał.

Spał kilka godzin i zgodnie ze swoimi przewidywaniami obudził się chory.

Ciężkie wyczerpanie sił życiowych potrafiło się objawiać rozmaicie u różnych ludzi. Najwrażliwsi przypłacali je objawami ze strony układu nerwowego – drgawkami, a nawet śpiączką. O szczęściu mogli mówić ci, u których skończyło się na dreszczach, bólu głowy, dotkliwym uczuciu zmęczenia. Brune dostał gorączki i osłabł tak, że ledwie trzymał się na nogach. Szukanie teraz żyły nie wchodziło w rachubę, zbyt duże ryzyko, ale istniało inne remedium.

Zdjął z półki buteleczkę z ciemnego szkła. Trzęsły mu się ręce, z trudem odmierzył do kubka z wodą dwadzieścia kropel. Miał nadzieję, że dobrze pamięta dawkę.

Płyn był gorzki jak sama śmierć. Żmij zmusił się, żeby wypić go do końca. Potem osunął się na posłanie i leżał, wstrząsany dreszczami, stopniowo zatracając poczucie czasu. Na skraju świadomości słyszał mamrotanie umarłych, którzy gromadzili się wokół jego kryjówki, zwabieni zapachem choroby. Jak sępy...

Mikstura sprowadziła w końcu upragniony sen. Lecz wówczas Krzyczący w Ciemności zaczął mieć wizje.

Stał na balkonie jednej z kamienic przy głównym rynku. W dole kłębił się tłum, słyhać było podekscytowane okrzyki. Publicznie palono dobytek księgarza przyłapanego na sprzedaży zakazanych dzieł. Skuty kajdanami staruszek obojętnie patrzył, jak płomienie ogarniają meble, pościel i odzież, ale rozplakał się, kiedy wykonujący wyrok żołnierze zaczęli wrzucać do ognia cenne woluminy. Zgromadzeni wokół gapie śmiali się i klaskali.

Nagle wznoszący się znad stosu dym zgęstniał, rozlał się ciemną chmurą. Znikło wszystko – ciżba, zbrojni, skazaniec – tylko gdzieś w dole wciąż jeszcze pełgał czerwony blask. Z jakiegoś powodu, zamiast odejść od balustrady, żmij wyjął z kieszeni karty. Nie tasując, wyciągnął jedną.

Siódemka kielichów.

I ujrzał, jak wyłaniają się z dymu – siedem złotych pucharów, jakich kapłani używali niegdyś przy składaniu ofiar. W pierwszym migotały kosztowności, w drugim widać było miniaturową warownię na szczycie stromej góry, w trzecim zielenił się wawrzynowy wieniec, z czwartego wychylał się demon o nietoperzych skrzydłach i jaszczurczym pysku. Z głębi piątego naczynia uśmiechała się twarz młodej kobiety, nad szóstym unosiła się zakapturzona postać, promieniejąca światłem. Z siódmego wypełzał wąż...

– Nad czym się zastanawiasz, chłopcze? – zabrzmiało w jego głowie.
– Już kiedyś kazałem ci wybierać, pamiętasz? I wybrałeś...

Ból, znieściska kąsający policzek, wydaje się sięgać aż do serca...

Brune ocknął się, dygocząc. Zwinięta kurtka, która służyła mu za poduszkę, była zaplamiona krwią; twarz paliła jak po uderzeniu batem. Nie musiał dotykać blizn, by wiedzieć, co się stało. Choć wciąż jeszcze otumaniony miksturą, poczuł chłodne dotknięcie strachu.

* * *

Wzdłuż kanału na przedostatnim z zamieszkanym poziomów Podziemi szło czterech żołnierzy oraz akolita w białych szatach, z twarzą pokrytą błękitnym tatuażem. Przed nimi biegły dwa homunkulusy gończe w nabijanych kolcami obrożach – większe i o masywniejszej budowie niż ich zdziczali krewniacy, dobrze wykarmione surowym mięsem, bydlęcą krwią i tłustym mlekiem. Ich ślepie czujnie przepatrywały mrok, a uszy unosiły się w odpowiedzi na najlżejszy szelest.

Skręcili w ślepo zakończony korytarz, gdzie na ścianach widniały plamy wilgoci oraz świecącego mchu. Homunkulusy, posłuszne krótkiemu poleceniu, zaczęły obwąchiwać mur przy końcu zaułka. Jeden niepewnie zaskamlał. Akolita przycisnął dłonie do ściany i zamknął oczy.

– Nic z tego – oznajmił po dłuższej chwili. Wyjął chustkę i osuszył czoło, zwilgotniałe od potu, choć wokół panował piwniczny chłód. – Zaklęcia ochronne są zbyt silne. Bariery Sartoriana, potrójny pentagram z Kyth, do tego kamuflaż astralny... Nasz ptaszek nie jest głupi.

Żołnierze poruszyli się niespokojnie. Zdążyli się nasłuchać pogłosek i nie podobało im się, że zostali wysłani na zwiad w tak małej grupie.

– Ale stoimy we właściwym miejscu? – spytał jeden. – Jego kryjówka jest tutaj?

– Może tutaj. Może w sąsiednim korytarzu. Może poziom wyżej albo poziom niżej. Nie ma sposobu, by to stwierdzić. Musielibyśmy rozebrać pięć poziomów, cegła po cegle. – Akolita gwizdnięciem przywołał homunkulusy. – Wracamy do koszar.

Jego podwładni ukradkiem odetchnęli.

* * *

Gdy Brune ochłonął, uznał, że widocznie mikstura źle na niego podziałała. Może za każdym razem należało ją świeżo sporządzać, nie przechowywać. Wylał to, co zostało w buteleczce, i uznał, że jest po sprawie.

Miał inne, bardziej palące zmartwienia. Gdy tylko wyszedł na korytarz, wyczuł poziom niżej niedawną obecność nieproszonych gości. Srebrni węszyli.

Nadeszła pora, żeby podjąć pewne kroki. Cóż, od dawna miał to wkalkulowane w plany.

Tymczasem jednak wyszło na jaw, że sprawy snów wcale nie można uznać za zamkniętą.

Dzień później, wychodząc o zmierzchu z Podziemi, Brune prawie potknął się na schodach o ciało żebraka. Nieszczęśnik musiał umrzeć dosłownie kilka chwil wcześniej. Miał pianę na ustach, rysy zniekształcone męką konania. Jedną z tych niemających nazwy chorób, które zabijały w ciągu paru godzin. Może napił się wody z kanału, do którego spłynęły ścieki ze srebrnego laboratorium...

Trzy kolejne dni przyniosły trzy kolejne sny, których zmij po przebudzeniu nie potrafił odtworzyć. Pamiętał tylko towarzyszące im emocje. Rozpacz, przerażenie, ból.

Rozzłościł się. Nie, to mało powiedziane. Zdjęła go zimna furia. Kogo jak kogo, ale jego nie miały prawa dręczyć żadne mary.

Do symboli, które już zdobiły mury jego kryjówki, dodał kolejne. Zapalił kadzidło i rozlał kilka kropel wina na symboliczną ofiarę dla dowolnych duchów, jakie mógł przypadkiem obrazić. Uprzejmie, lecz

stanowczo zażądał w mowie magów, żeby mu dały spokój.

Przez tydzień żył w przekonaniu, że te zabiegi odniosły skutek.

A potem zdarzył się incydent z prostytutką, która zaczepiła go na powierzchni, w ponurym zaułku niedaleko szpitala dla ubogich. Siąpił deszcz, było zimno jak w psiarni, zaś ona, sądząc z tego, jak wyglądała, spędziła na dworze chyba całą noc. Przemoknięta suknia straciła fason, brudne falbanki smętnie ciągnęły się po bruku. Na pozlepianych w strączki włosach bieleły gdzieniegdzie resztki pudru.

W pierwszym odruchu chciał ją minąć, zatrzymał się jednak. To nie była jakaś podstarzała zdzira, tylko dziewczyna o świeżej cerze, jeszcze niezniszczonej przez bielidła i szminki. W mokrych, żalonych szmatkach wydawała się bezbronna jak dziecko.

Zachęcona jego spojrzeniem, podeszła z uśmiechem. Widocznie nie spostrzegła źrenic; a może było jej wszystko jedno. Klient to klient, zwłaszcza jeśli tej nocy nie dopisywało jej szczęście.

Brune zawahał się. Mimo deszczu czuł zapach jej perfum i przez moment miał wielką ochotę pozwolić się jej skusić.

Chodź ze mną... Stwórz mi złudzenie, że nie jestem sam. Chociaż na chwilę.

Otrząsnął się. Była dziwką. Brzydził się dziwek.

Odepchnął ją gwałtownie i odszedł, nie oglądając się.

Tego samego dnia miał kolejny sen.

Szedł przez pogorzelsko, ciągnące się od horyzontu po horyzont. Mijał kikuty drzew, szczątki zagród ze sterczącymi w niebo zwęglonymi belkami...

Nagle zza zakrętu drogi wyłoniła się postać, idąca mu naprzeciw. Z daleka wyglądała niczym posępny upiór w czerni, ale gdy znalazła się blisko, ujrzał, że to tylko dziewczyna o ostrzyżonych jak po chorobie włosach, w żalobnym przyodziewku. Ona.

Zawołała go po imieniu, a gdy się zawahał, wyciągnęła rękę.

Stanął przed nią, nagle zdając sobie sprawę, że ubranie ma brudne od sadzy, śmierdzące spalenizną. Niezrażona tym objęła go i przytuliła, szepcząc kojące słowa.

Spalony krajobraz zniknął. Dryfowali w nieokreślonej przestrzeni pełnej szarych, falujących draperii, spowitej dymem wonnych świec. Czuł zapach kadzidła, brzoskwiń i kwiatu pomarańczy.

I przez cały czas w głębi duszy miał świadomość, że to wszystko

złudzenie, miraż, który za chwilę musi prysnąć...

Ocknął się tak przeraźliwie zmęczony, jakby dopiero co posłużył za żyłę. Znów z pokrwawioną twarzą. Ze śladami łez w kącikach oczu.

I uświadomił sobie, że nadeszła pora, by zwrócić się z tą sprawą do kogoś.

* * *

Akolici Amadian i Astael, niedawno mianowany kolejnym tymczasowym dowódcą podziemnego garnizonu, słuchali cierpkiej tyrady Opiekuna Miasta. Starali się przy tym nie spoglądać w stronę stojącego w rogu komnaty pojemnika wypełnionego zieloną cieczą. Unosiła się w nim postać, ledwie widoczna przez grube szkło.

Tego ranka to oni dwaj znaleźli ciężko rannego Gretiusa w korytarzu niedaleko podziemnych koszar, gdzie jakimś cudem zdołał się zmaterializować po dziesięciu dniach dryfowania przez sfery. Ich szybka reakcja uratowała mu życie. Demetheos kazał przetransportować rannego do swojej siedziby, by móc się osobiście zająć jego leczeniem.

– Niech to będzie dla was lekcja, panowie – zakończył stary mag. – Wielokrotnie ostrzegałem, i zapamiętajcie to dobrze: nigdy nie należy zakładać, że przeklęty, który nie popełnia malowniczych zbrodni, jest słabym magiem i łatwą zdobyczą. Mieliśmy samotnego *ka-ira*, który nikomu nie szkodził, żył spokojnie w swojej norze w lochach, udając alchemika. Co mamy teraz? Aresztowana Mistrzynie Elity, czekająca na proces. Straty w Jednookich. Martwy Trójoki. Dwóch martwych żołnierzy. Okaleczony na całe życie akolita. Do tego szerzące się plotki, naruszające autorytet srebra. – Opiekun Miasta przeniósł spojrzenie na młodzieńca z błękitnym tatuażem. – Amadianie, czy udało ci się ustalić coś nowego?

Amadian chrząknął zakłopotany.

– To bardzo trudna sprawa, mistrzu. Grube mury, do tego aura krypt pochówkowych, która dezorientuje homunkulusy...

– Rozumiem. Nie udało wam się.

– Nie. Mogę określić przybliżoną lokalizację jego kryjówki, ale na tym koniec.

Demetheos zaśmiał się bez wesołości.

– Cóż, jedno jest pewne. Obławy nie mają sensu. Szkoda golemów i ludzi. – Przez chwilę przechadzał się tam i z powrotem po komnacie, potem odwrócił się do podwładnych. – Amadianie, jutro wracasz do swoich zwykłych obowiązków.

– Przerwywamy poszukiwania? – zdziwił się wytatuowany akolita.

– Zawieszamy je. Powiadomię radę miasta, żeby wdrożyli te same kroki, co w przypadku każdego innego niebezpiecznego przestępcy. Nagroda będzie częściowo z naszych środków, możliwie jak najwyższa.

– Czy to coś da? – zapytał sceptycznie Astael.

– Przysporzy mu kłopotów, a to paradoksalnie może wystarczyć do rozwiązania sprawy. Ten ptaszek jest trochę zbyt zdolny, żeby opłacało się na niego polować dużym nakładem naszych sił, ryzykując destabilizację Ekwilibrium. Ale jeśli wystarczająco obrzydzimy mu życie, wyniesie się z miasta i będziemy go mieć z głowy.

Akolici popatrzyli na siebie. Tym razem to Amadian odważył się wyrazić wątpliwość.

– Jeśli nie wyniósł się do tej pory...

– Panowie, nie każcie mi wątpić w waszą inteligencję – uciał Demetheos. – *Ka-ira* musi z czegoś żyć. Gdy za samą rozmowę z tobą grozi kara, tracisz klientów, bo się boją ryzykować. Gdy za twoją głowę wyznaczono bajeczną nagrodę, nigdy nie wiadomo, kto się może na nią skusić. Przestajesz ufać przyjaciółom, stale oglądasz się przez ramię. Pomnicie moje słowa; szybko dotrze do niego, że powinien się ze swym szczerzym procederem zabrać gdzie indziej. A nie jest też wykluczone, że mafia załatwi sprawę; w takim wypadku dostarczą nam jego zwłoki.

Akolici milczeli zakłopotani. Istniała alternatywa, o której niepolitycznie byłoby wspomnieć na głos. Demetheos mógłby osobiście zaangażować się w poszukiwania. Lecz najwidoczniej uznał ryzyko za zbyt duże. Wróg już dwukrotnie zaskoczył ich siłą, a przy tym informacje uzyskane od szpiegów potwierdzały, że nie stanowił zagrożenia dla cywilnej populacji. Złapanie go nie było warte życia i zdrowia Opiekuna Miasta.

Demetheos musiał odczytać myśli podwładnych, bo patrzył na nich z irytacją.

– Oczywiście, że wolałbym go własnoręcznie zamknąć w Domu Godnego Odejścia. Ale czasem nie można mieć wszystkiego. – Stuknął

palcem w księgę rozłożoną na stole, zawierającą wykaz nazwisk wykaligrafowanych czerwonym atramentem. Przy każdym z nich widniała data wraz z krótką notatką. – Pragnę wam przypomnieć, że tylko w ostatnim miesiącu nasi słudzy wytropili i unieszkodliwili w rejonie Shan Vaola troje młodych ludzi, w których świeżo obudził się czarny dar. Oto, na co trzeba kłaść największy nacisk. Prewencja, panowie, i jeszcze raz prewencja.

* * *

– Chłopcze drogi, coś ty ze sobą zrobił? Wyglądasz, jakby cię kotu z gardła wywlekli – stwierdził w proggu Staruch, jak zwykle nie przebierając w słowach. – Znowu palisz? Ile?

– Tyle, ile muszę, żeby nie zwariować – odciął się Brune. Nie po raz pierwszy miał ochotę odpowiedzieć Staruchowi, żeby pilnował własnego nosa. Ale skoro przyszedł po radę, nie wypadało pyskować.

Sędziwy odmieniec wzruszył ramionami.

– Chcesz się potem trząść na głodzie, twoja wola. Co cię sprowadza?

– Potrzebuję porady.

– Tak myślałem. Chcesz herbaty?

– Mogę chcieć. Zimno tu, cholera. Zimniej niż u mnie, na dole.

– Bo tam, na najniższych poziomach, czort wie, co w murach siedzi. Różne uwięzione paskudztwa z zaświatów, pilnujące krypt. Lepiej nie wiedzieć ani nie zgadywać jakie. Herbata zaraz się zrobi, a ty siadaj i mów, co ci leży na wątrobie.

Żmij zawahał się, nie wiedząc, jak zacząć. Miał wrażenie, że wyblakłe postacie z fresków przypatrują mu się złośliwie. Wziął głęboki oddech.

– Od jakiegoś czasu prześladują mnie... sny.

– Jakie sny? Złe? Prorocze?

– Nie. Po przebudzeniu w ogóle ich nie pamiętam.

– No to w czym problem?

– Właśnie w tym, że nie mogę ich sobie przypomnieć, a wiem, że są ważne. Ważne dlatego, że dotyczą mnie. Jakby zawierały przekaz, wiadomość, której nie umiem odczytać. I jest jeszcze jedna rzecz. – Brune odruchowo ściszył głos. – Zdarza się, że po przebudzeniu mam krew na twarzy. Może coś mnie próbuje opętać... cholera wie... Może

umarli nasłali na mnie kogoś, jakiegoś pomniejszego demona, choć karty twierdzą, że to niemożliwe. Co mam z tym zrobić?

Staruch nie odpowiedział od razu, zajęty odmierzaniem do kubków pachnącego imbirem specjału – herbaty z paroma domieszkami, których sekretu próżno byłoby dociekać niewtajemniczonym. Zamknął puszkę, odstawił ją na miejsce i chrząknął.

– Powiadasz, że nie wiesz, o co tu chodzi?

– Też pytanie! Przecież gdybym wiedział, co się dzieje, nie zawracałbym ci głowy.

Odmieniec bez pośpiechu sięgnął po szczypcę, zdjął czajnik znad żaru i napełnił kubki wrzątkiem. Potem rozsiadł się wygodnie, narzucając na ramiona wytarty serdak z kocich skórek. Złożył palce w wieżyczkę i popatrzył na zmija trochę z troską, a trochę z irytacją.

– Brune, znam cię nie od wczoraj, więc nie opowiadaj mi tu, za przeproszeniem, bajek. Synu, toż ty wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Ręce ci dygoczą. Jesteś na najlepszej drodze do załatwienia się opium na cacy i próbujesz mi wmówić, że to wszystko z powodu jakichś mglistych przeczuć, snów, których nie pamiętasz czy nie rozumiesz? Do diaska, albo jesteś ze mną szczery, albo nie.

Zmij nic nie odrzekł. Wpatrywał się w posadzkę. Staruch otworzył puszczykę z cukrem trzcinowym, wrzucił kilka kawałków do swojego kubka, zamieszał. Odczekawszy chwilę, upił łyk parującego płynu. Cisza przedłużała się. Z westchnieniem postanowił spróbować inaczej.

– Przyznaj się, tracisz kontrolę nad czernią? Śniesz o torturach, zabijaniu? Boisz się, że skończysz jako świr duszący niewinne panienki? Idź na Loss Fomar do tej skośnookiej pigularki, jak jej tam, i poproś o leki wytłumiające dar. Opium doraźnie znosi objawy, a tu trzeba usunąć przyczynę, nie patyczkować się. Lepiej być słabszym, ale kontrolującym się *ka-ira* niż...

Zamilkł, widząc, że źrenice rozmówcy zaczynają się jarzyć żółto.

– Za kogo mnie uważasz? Za skończonego durnia?! – warknął Krzyczący. – Kiedy poczuję, że mi się dar wymyka spod kontroli, będę wiedział, co z tym zrobić. Tyle oleju w głowie jeszcze mam. Mówię ci, coś lub ktoś mi zsyla te sny. Podejrzewałem umarłych...

– Umarli nie mają takiej mocy.

– Mogli zawrzeć z kimś układ. Z *ka-ira* albo nawet z jakimś pomniejszym demonem Otchłani, wcale bym się nie zdziwił.

– To możliwe wytłumaczenie, oczywiście. Ale nie jedyne. – Staruch zamyślił się, kręcąc w palcach koniuszek wąsa. – Wiesz, ze snami różnie bywa. Mogą być zesłane z zewnątrz, a mogą też odzwierciedlać to, co się akurat kotłuje w podświadomości. Niespełnione pragnienia, dla przykładu, albo ukryte lęki. Zresztą, co ja się będę wymądrzał, sam znasz się na tym wszystkim lepiej ode mnie. Słuchaj, jeśli chcesz, dam ci jeden taki sprytny drobiazg. Amulet, który chroni umysł przed wpływami z zewnątrz. Ponosisz go przez trzy dni, a potem wrócisz do mnie i opowiesz, co ci się śniło przez ten czas.

– Nie chcę. Nie ufam amuletom.

Staruch zachichotał krótko; zabrzmiało to, jakby kichał kot.

– Boisz się poznać prawdę, co? A przecież jest jeszcze sprawa twoich utraconych wspomnień. Może tu kryje się odpowiedź: twoja przeszłość powraca w postaci snów. Słyszałem o takich przypadkach.

– Nie.

– Czemu z góry zakładasz, że nie? A jeśli się mylisz?

Brune tylko potrząsnął głową.

Bo przeszłość wraca do mnie na jawie, w przebłyskach, które rozpoznaję. A te sny to... sny. Tylko i aż.

Odpędził wspomnienie Anavri uwięzionej w koszmarze. Anavri była młodziutka, niemądra i bała się czerni. A on?... Przecież panował nad darem. Co jak co, ale z tym problemów nie miał.

Albo to złudzenie, a tak naprawdę nad niczym nie panuję. Cholera. Nagle zdał sobie sprawę, że chociaż tego dnia dwukrotnie palił już opium, bezwiednie sięgnął do kieszeni i obraca w palcach lufkę. Puścił ją czym prędzej.

– Znasz może jakiegoś *ka-ira*, który interesuje się oneiromancją? – zmienił temat. – Jacentin to nieuk, wie na ten temat jeszcze mniej niż ja, do Marshii wolę z tym nie iść, a Śnieg...

– Sisara – mruknął Staruch po kolejnym długim namyśle. – Tak... Mógłbyś się zwrócić do Sisary ar Enne.

– Skądś znam to imię.

– Całkiem możliwe, że obilo ci się o uszy. Była czarodziejką Elity, jedną z najzdolniejszych w swoim pokoleniu. Specjalizowała się w interpretowaniu snów.

– Miałbym prosić srebrną o pomoc? – prychnął żmij. – Dziękuję, ojczy, nie jestem samobójcą.

– Dwieście lat temu relacje między srebrem a czernią wyglądały trochę inaczej. A zresztą Sisara zawsze miała do tego wszystkiego dystans. Interesowała ją wiedza, nie konflikt między barwami.

– Skąd wiesz? Znałeś ją?

– Czy znałem? – Staruch tajemniczo się uśmiechnął. – Przez dziesięć lat byłem jej chowańcem, źródłem mocy i przyjacielem. Śmiem twierdzić, że gdybyś ją odnalazł i powołał się na mnie, nie potraktowałaby cię jak wroga. Czy zgodziłaby się pomóc, nie wiem. Ale zawsze to jakaś szansa.

– Nie umiem wywoływać duchów srebrnych magów.

– Nie przybyłaby na twoje wezwanie. To ty musisz jej poszukać.

– Pomiedzy umarłymi? Wolne żarty.

– Och, Sisara bynajmniej nie umarła, nie dosłownie. Kiedy poczuła, że jej czas się zbliża, odeszła z tego świata, by zamieszkać w innej sferze.

– Z całym szacunkiem, nie starczyłoby mi życia na szukanie we wszystkich sferach – zniecierpliwił się zmij. Pokrętny tok wypowiedzi Starucha zaczynał mu działać na nerwy.

– Powoli, powoli! Dlaczego wy, młodzi, jesteście zawsze w gorącej wodzie kąpani? Nie bój się, ja wiem, dokąd się udała. Niech tylko się zastanowię... – Odmieniec przymknął oczy. – Do pioruna, ciężko spałmętać te poetyckie nazwy... Wybrzeże Kolibrów? Wybrzeże Bogactw?... Nie, psiamac, inaczej to szło... nie kosztowności, nie skarbów... Mam! – Klasnął w ręce. – Wybrzeże Klejnotów i Kości! Słyszałeś kiedyś o nim?

– Nie. Ale zainteresuję się tym. Dzięki. – Brune dopił herbatę, rozkoszując się rozgrzewającym działaniem imbiru.

Drzwi krypty uchyliły się i do środka wśliznął się mały odmieniec o nosie przypominającym trąbkę – siostrzeniec Starucha. Wspinając się na palce, wyszeptał coś wujowi do ucha. Staruch popatrzył na Krzyczącego, wstrząśnięty.

– Synu, w coś ty się wpakował? Bogowie! I nic nie mówisz?!

– Srebrni?... – Brune uśmiechnął się dziwnie. – To teraz bez znaczenia. Ale dziękuję za troskę, ojczu. I za herbatę. Wszystkiego dobrego, na wypadek, gdybyśmy się już nie spotkali.

Wyszedł, na odchodnym zmierzwiwszy czuprynę małego. Patrząc w ślad za nim, Staruch pomyślał, że stało się – opium i dar jednak

pozbawiły ciemnowłosego żmija piątej klepki.

* * *

Wezbrany po deszczach smrodliwy nurt niósł zgniłe warzywa, martwe szczury i przeróżne wypłukane z rynsztoków odpadki. Odmieniec o obliczu pokrytym sinymi guzami włókł się wzdłuż kanału, zgięty pod ciężarem kosza wypełnionego tym, co udało mu się od rana wyłowić.

Na widok dwóch mężczyzn siedzących we wnęce przyspieszył kroku, a mijając ich, skłonił się lekko. Nils i jednooki Riakin, ludzie zebraczego króla, w ogóle nie zwrócili na niego uwagi. Rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Widziałeś, co wisi na targowisku?

– Widziałem. Dograł się w końcu. – Riakin pociągnął z butelki. – Jak go złapią, nie będę płakał.

– Myślisz, że złapią?

– Ba. Kwestia czasu.

– Ale Helshor...

– Helshor nic. My się w to mieszać nie będziem. To szczupak nie na nasze sieci. Ale znajdą się inni. Prędzej czy później. Myślisz, że nikomu nie zapachnie złoto? Zresztą na przeklętych są sposoby. Jak na każdego. Trza aby pomysłu mieć.

– Może i racja. – Nagle Nils ożywił się. – Patrz no, staremu Fjellowi ktoś znowu spuścił manto.

Zza rogu wyłonił się wynędzniały brodacz we włosiennicy, kuśtykający o kulach. Na głowie miał brudny opatrunek, zasłaniający oko i część policzka. Widząc ich, zwolnił kroku i dramatycznie uniósł ramiona.

– Módlcie się i pokutujcie! Koniec świata nadchodzi!

– Wiemy, wiemy. – Riakin, krzywiąc się, wychylił resztkę gorzałki i splunął do kanału.

* * *

Wszóstym dominium astralnym, które niegdyś wchodziło w skład włości Sabela, pana snów, mieszczą się nieliczne enklawy magów,

jednakże po większej części jest to ziemia niczyja, na której króluje chaos. Umarli i larwy na ogół nie docierają tak wysoko, lecz w zamian nie brak tam innych niebezpieczeństw. Za szczególnie groźne uchodzą jadowite stworzenia powietrzne, mogące przybierać różne postacie – krewniacy ziemskich kręcieli i volantes (patrz Rozdział Piąty, Mieszkańcy sfer). Zagrożeniem jest też bliskość Otchłani, która wchłonęła dużą część siódmego dominium i zaburza aurę szóstego, powodując powstawanie wirów, szczelin oraz fałszywych portali, co dla nieostrożnego podróżnika może mieć fatalne konsekwencje (patrz Rozdział Ósmy, Trudności i niebezpieczeństwa w magii teleportacyjnej). Makariusz ar Enne zaleca, by podróżować przez tamte obszary wyłącznie portalami do enklaw i z enklaw. Trasę portalu wytyczać należy, biorąc za punkty odniesienia najjaśniejsze gwiazdy w konstelacjach Łuczniczki, Sierpa i Ryby.

Dopalające się w kominku polano przygasło do mrugającego żaru. Brune, który swoim zwyczajem czytał zwinięty w ubraniu pod kocami, niechętnie wstał, żeby dołożyć kolejną szczapę. Potem wrócił do studiowania księgi Helwarda z Aoth. Od czasu do czasu przerzucał karty grymuaru Liseniusa, żeby porównać fragmenty, albo zaznaczał coś na rozłożonej mapie nieba.

* * *

Veljanov szedł długimi krokami przez targowisko z taką miną, że ludzie usuwali mu się z drogi.

Delilah na widok szczurołapa zerwała się na równe nogi. Ona też wyglądała na wstrząśniętą.

– Widzieliście? – zagadnęła z cierpkim uśmiechem, wskazując list gończy, który zdobił otaczające stragany oraz słup zegara. – Rozlepili to dziś o świcie. Władze miasta poszukują żywego lub martwego... i tak dalej. Ładną sumkę obiecali.

– Widziałem – potwierdził ponuro Veljanov. Czytać wprawdzie nie potrafił, lecz cyfry znał. Kwota nagrody robiła wrażenie.

– Myślicie, że już wie? – odezwała się Delilah.

* * *

Nad enklawą trwała noc. Cykady ogłuszająco koncertowały w ogrodzie.

W laboratorium Marshia Lavallo uniosła głowę znad pergaminów, czując drgnienie aury. Chwilę później do komnaty wsunął się Zazel.

– Pani, zjawił się Brune. Chce się z tobą widzieć.

– O tej porze? – zdziwiła się.

Gdyby go ścigano, enklawa by go nie wpuściła – pomyślała ze wzruszeniem ramion. Zamknęła tomiszcze, oznaczywszy stronę zakładką.

– Niech tu przyjdzie – poleciła.

Krzyczący zjawił się po niedługim czasie. Marshia przyjrzała mu się uważnie. Złapała się na tym, że kolejny raz próbuje ocenić po jego wyglądzie, czy krucha stabilizacja, którą udało mu się zbudować w podziemnym światku, już nieodwracalnie się rozsypała, czy jeszcze nie.

– Podobno masz kłopoty.

Machnął ręką.

– Należało się tego spodziewać, prędzej czy później.

– Po co przybyłeś?

– Potrzebuję ksiąg. Instrukcji. Konkretnych. Nie mam skąd ich zdobyć, a wiem, że ty je masz. Musisz mieć.

– Zapłacisz? – Marshia uniosła brew. Krzyczący zbył obojętnością jej lekko drwiący ton.

– Złotem akurat mógłbym, ale ty przecież nie potrzebujesz złota.

– Zgadza się. Więc...?

– Prędzej czy później przyjdzie taki dzień, kiedy ty będziesz potrzebowała pomocy, starsza siostrze. Ty... lub twoje podopieczne.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Chcesz znowu zaciągnąć u mnie dług, braciszku?

Żrenice Krzyczącego, jak odnotowała z niechęcią, były zwężone w kreseczki od narkotyku, lecz jego spojrzenie, twarz i aura wyrażały to samo – ponurą determinację.

– Nie mam wyboru. Kiedyś go spłacę.

* * *

Vincent Ambers, uprzedzony krótkim listem, czekał w gabinecie.

Choć rozglądał się czujnie, jak zwykle przegapił sam moment pojawienia się gościa. Gdy zegar wybił godzinę, poeta stłumił okrzyk zaskoczenia, widząc, że ma towarzystwo.

– Obawiam się, że będzie mi potrzebna twoja pomoc, młodszy bracie – oznajmił Brune.

Vincent uśmiechnął się łobuzersko.

– Wiesz, że ja zawsze chętnie.

14. Pułapka na węża

Będzie z dziesięć dni, odkąd go widziałam – mruknęła Scaraveshia, wręczając Rożkowi kubek grzanego wina. Zniżyła głos jeszcze bardziej. – Chyba że był tu w przebraniu i nie poznałam go. Ale nie sądzę.

– Niedobrze – mruknął wojownik. Łyknął wina, krzywiąc się, choć nie było złe w smaku.

Przy drugim końcu szynkwasu stało kilku brudnych, ubłoconych typów, obwieszonych bronią. Bił od nich smród ścieków i piwska. Wszyscy ostentacyjnie nosili przytroczone u pasa pęki zasuszonych białych łapek. Łowcy homunkulusów.

– Hej ty, rogaty! – zawołał bełkotliwie jeden z nich. – Wór sobie nasadź na łeb, nie będziesz ludzi straszył!

Rożek zignorował zaczepkę. Kumple uciszyli podbitego żartownisia, widząc, że ten gotów wpakować się w kłopoty.

Jeden z trzeźwiej wyglądających w grupce, młodzian z poszarpaną blizną biegnącą przez policzek i obie wargi, wyciągnął zza pazuchy pomięty list gończy.

– Znacie tego tu? – spytał, pokazując Scaraveshii drzeworyt. Z powodu zniekształconych ust mówił równie niewyraźnie, co niektórzy odmieńcy.

– A co, złociutki, zapachniała ci nagroda?

– Tak tylko pytam.

Uwadze Rożka nie uszło, że siedzący pod ścianą człowieczek w czarnym płaszczu z kapturem przysłuchuje się tej wymianie zdań.

Odmianka uśmiechnęła się pobłażliwie, co przy jej małych rysach dało efekt jedyny w swoim rodzaju.

– A czemu srebrni nie zgarną go sami? W końcu oni najlepiej się znają na likwidowaniu skażonych talentów, czyż nie? Zaoszczędziliby ładny grosz.

– No... – Zeszpecony wyglądał jak ktoś, kto po raz pierwszy spojrzał na sprawę z innej perspektywy i chwilowo odebrało mu mowę.

– Paru śmiałkom pachnie owo złoto, synku, nie myśl sobie – dorzuciła Scaraveshia, opierając się łokciami o szynkwasy. – Krążą po lochach, zaglądają w dziury. Jednego już pono zadusili umarli, a drugiego coś dopadło na przedostatnim poziomie, ludzie Helshora znaleźli z niego aby kadłub nadjedzony, bez odzienia. Pomnisz moje słowa, nieprędko srebrni wyplacą tę nagrodę.

Rożek przeszedł w kąt sali, gdzie Veljanov właśnie kończył jeść zupę. Szczurołap miał minę ponurą jak grób.

– Co tam? – spytał mrukliwie, kiedy odmieniec usiadł.

– Rozmawiałem ze Staruchem – powiedział cicho Rożek.

– I?

– Staruch mówi, że trzeba go przekonać, aby wyjechał. Stanowi zagrożenie, już mniejsza z tym, że dla Ekwilibrium, ale dla nas wszystkich, dla Podziemi.

Veljanov odsunął pustą miskę i westchnął ciężko, przygryzając wąsa. Odmieniec zawahał się.

– Widzieliście go ostatnio?

– Nie.

Ton, jakim Veljanov to oznajmił, wydawał się sugerować, że rozmowa jest zakończona. Ale Rożek, który dobrze znał starego, nie wstał. Po dłuższej chwili szczurołap spojrzał na niego, mieląc w ustach przekleństwo.

– Dziś lepiej nie łązić, gdzie nie trza. Za dużo golemów żem widział od rana.

– A jutro?

– Jutro się zobaczy.

* * *

Nad Shan Vaola gęstniał wieczór, paskudny jak oddech gruźlika. Domy ginęły za całunem mgły. Śnieg zaraz po zetknięciu się z ziemią topniał, ulice pokrywało grząskie błoto.

Haru Savin wyszła na pustą o tej porze dziedziniec szpitala, zapinając płaszcz narzucony naprędce na lekarską szatę. Marszcząc brwi, raz jeszcze rzuciła okiem na list, który godzinę wcześniej

wręczył jej żebrak z jątrzącymi się wrzodami na kikutach nóg.

Podeszła do tylnej bramy, po drodze odnotowując, że leniwe posługaczki znowu wysypują kuchenne odpadki nie tam, gdzie trzeba, i że wypadaloby komuś porządnie natrzeć za to uszu.

Jej serce zabiło szybciej, kiedy spostrzegła tuż za ogrodzeniem postać w ciemnym odzieniu. Zaraz potem spięła się – to nie był Brune, ale ktoś obcy.

– Haru Savin? – spytał nieznajomy.

Potwierdziła, mrużąc oczy. Chciała się cofnąć, nagle nieufna, ale w tym momencie chwyciły ją silne ręce, a do ust i nosa przyciśnięto jej szmatę zwilżoną płynem o mdlącym zapachu. Daremnie próbowała się szamotać. Po sekundzie jej mięśnie zwiotczały, straciła przytomność.

W chwilę później w zaułku za szpitalem zabrzmiał oddalający się turkot powozu.

* * *

Brune w ogóle nie wybrałby się tego dnia do miasta, gdyby nie to, że pilnie potrzebował kilku ingrediencji, które można było nabyć tylko w dużej aptece przy rynku.

Załatwiwszy kwestię sprawunków, miał już wracać pod ziemię, gdy tknęło go niedobre przeczucie. Schował się w najbliższej bramie, wyjął i przetasował karty, a rozłożywszy je, zaklął półgłosem. Namyslał się chwilę. W końcu przesunął dłońmi po twarzy i ubraniu, nakładając iluzję, potem wyszedł na ulicę, powłócząc nogami. Dla postronnego obserwatora był teraz śmieciem wyniszczonym przez pijaństwo, niewartym drugiego spojrzenia.

Udając, że wlecze się ze spuszczoną głową, w rzeczywistości rozglądał się czujnie. Gdzieś w labiryncie ulic czyhało na niego niebezpieczeństwo. Krążyło jak jastrzęb, czekając na odpowiedni moment. Może golem, może magowie, a może ktoś inny, kogo skusiła nagroda obiecana w liście gończym.

Był wściekły na siebie. Godzinę wcześniej wypalił pół działki opium, teraz już nie dla uspokojenia, ale po to, by móc normalnie funkcjonować – żeby nie rozpraszały go dreszcze, złe samopoczucie, dygot rąk. Wiedział, że teraz w razie niebezpieczeństwa będzie reagował wolniej, niż powinien. Jak ostatni dureń wpadł w pułapkę

uzależnienia i poniewczasie zastanawiał się, jak drogo przyjdzie mu za to zapłacić.

Raptem zwolnił kroku, widząc przed sobą ciżbę. Na zbitym z desek podeście trwało przedstawienie. Człowiek w czarnym stroju i białej, upiornej masce miotał się pomiędzy postaciami przebranymi za potwory, dzierzącymi zapalone pochodnie.

– To historia Adriena de Vere – odezwał się przemądrzały głos obok zmija. Niemłody mężczyzna o wyglądzie bakałarza wpatrywał się w scenę, mrużąc krótkowzroczne oczy. Jego towarzyska, modnie ubrana panna z jasnym warkoczem, sprawiała wrażenie niezadowolonej, że przystanęli wśród tłumu. – Wiesz, on żył naprawdę.

– Kto to był?

– *Ka-ira*, a do tego genialny muzyk. Zaprzedał duszę demonom, zaś one oszpeciły go, sprawiły, że oszalał i stał się mordercą. Niektórzy twierdzą, że zabił ponad czterdzieści kobiet.

– Okropne. – Panna z warkoczem się skrzywiła.

Aktor w czarnym stroju wyjął tymczasem flet i grał melancholijną, lecz dziwnie porywającą melodię. Otaczające go monstra cofnęły się, przypadły do ziemi, zmarły.

Brune wzdrygnął się, przetarł oczy. Czuł się dziwnie, nierealnie – nie wiedział, czy to opium mu zaszkodziło, czy też muzyka za chwilę sprowadzi na niego eksplozję wizji. *Proszę, nie tutaj, nie wśród ludzi.*

Chwiejnie cofnął się pod ścianę najbliższej kamienicy, oparł o zimny mur, walcząc z zawrotami głowy. Panna z warkoczem wycodziła do swojego towarzysza coś o degeneratach, których miejsce jest w więzieniu albo na galerach.

Aktor w czarnym stroju odgrywał teraz pantomimę wyrażającą cierpienie, a miejsce tańczących wokół niego poczwara zajęły sylwetki w białych szatach. Krzyczący w Ciemności w końcu opanował słabość i odwrócił się. Nie był pewien, co się stało, ale wiedział jedno – nie powinien dłużej oglądać spektaklu.

Skierował się ku wylotowi uliczki, nadal spięty i czujny, choć na razie odbierał tylko pełne niechęci spojrzenia mijanych ludzi. I nagle poczuł muśnięcie czerni, jak gorący oddech na karku.

Śnieg. Tym razem rozpoznał ją w okamgnieniu, choć była spowita iluzją podobnie jak on. Stała nieopodal, w bramie pod szyldem

warsztatu szewskiego. Dla postronnych wyglądała jak młody ulicznik w łachmanach. Skinęła dłonią, by podszedł bliżej.

– Mało brakowało, a nie poznałabym cię – rzuciła. – Potraktuj to jak komplement.

– Nie omieszkam. Czego tym razem chce ode mnie twój mocodawca, młodsza siostrze?

– Widzę, że jesteś domyślny, starszy bracie. Mój mocodawca uprzejmie zaprasza cię do Tay na rozmowę. Pragnie ci coś zaproponować.

– A skąd pomyślił, że będę zainteresowany?

– Mam argument nie do zbicia – odrzekła Śnieg z uśmiechem, który źle wróżył.

– Czyżby? Jakież to?

– Takież. – Wyjęła z kieszeni coś zawiniętego w płótno i podała mu. Rozmotawszy zawiniątko, Brune poczuł lodowaty dreszcz.

Pasmo ciemnych włosów. Nie musiał rzucać żadnych zaklęć, by rozpoznać, do kogo należały – wciąż jeszcze dawało się na nich wyczuć aurę szpitala.

– To jak? – zagadnęła Shial, zadowolona z wrażenia, jakie udało jej się wywołać. – Będziesz grzeczny i pójdziesz ze mną?

– Tak.

– Mądry chłopiec.

Cofnęła się o krok, taksując go wzrokiem.

– Sztylety – rzuciła. – Oddaj mi je.

Spełnił jej polecenie, klnąc w myślach. Opium uparcie nie chciało mu wywietrzeć z głowy, a może tylko z powodu napięcia miał takie wrażenie.

Był niemal pewien, że mafia z Tay połakomiła się na nagrodę za niego, ale nie mógł zostawić Haru na pastwę przestępców i wiedział, że tamci na to właśnie liczą. Z goryczą pomyślał, że ktoś pewnie się pomylił, źle interpretując plotki i sądząc, że z lekarką łączy go coś więcej niż tylko luźna współpraca, bo przecież nawet nie przyjaźń. Gdyby znali prawdę, raczej nie liczyliby na to, że *ka-ira* da się zaszantażować porwaniem tak mało dlań znaczącej osoby.

Masz, psiakrew, ironię losu.

Śnieg zaprowadziła go na jakieś podwórze, za szopy. Pozwolił, żeby ujęła jego dłoń. Zdematerializowali się równocześnie; Brune zdał się

na Shial, która wiedziała, dokąd chce go zabrać.

Gdy ochłonął po podróży przez wymiary, zobaczył, że stoją na wzgórzu pod lasem. W dali dostrzegł niewyraźne światełka miasta, bliżej zaś – ubogą, chylącą się ku ziemi chatę, otoczoną rozwalającym się płotem. Wewnątrz wyczuł obecność ludzi.

W tym... Haru. Czego się spodziewał, ale i tak świadomość tego zmroziła go.

– Czekają na nas – wyjaśniła Śnieg, która wróciła już do swojej prawdziwej postaci. Spojrzała na niego kątem oka, wyraźnie oczekując, że on też zdejmie iluzję. Brune tknięty nagłą myślą przesunął dłońmi po twarzy, usuwając pozory starości i pijaństwa, ale zostawił całą resztę; pozlepiane włosy i zarost, patynę brudu. Blizny natomiast odsłonił; niech będzie od razu wiadomo, kim jest.

A nuż się uda. Ludzka psychika jest tak skonstruowana, że ciężko jej ignorować to, co mówią zmysły, nawet wbrew logice. Bardzo chciał, żeby przeciwnicy go zlekceważyli.

Śnieg zmierzyła go spojrzeniem, wyraźnie zbита z tropu. Czuł jej wahanie, w końcu jednak powstrzymała się od komentarza.

– Chodź – powiedziała.

Ledwie Brune wszedł do chaty, wyczuł bariery uniemożliwiające dematerializację. Fachowo splecione, nie do przerwania. Na ścianach, belkach powały i na polepie widniały wyrysowane kredą znaki.

Wokół stołu, na którym paliła się latarnia, stali w pozornie niedbałych pozach czterej mężczyźni. Trzech rasowych zbirów i grubawy jegomość w szubie obszytej lisami, który wyglądałby jak kwintesencja kupieckości, gdyby nie to, że jego twarz kryła złota symbiotyczna maska.

Na krześle w kącie siedziała Haru. Nie była związana, ale tuż za nią czuwał z założonymi rękoma i pewną siebie miną czwarty zbir.

Kiedy lekarka spostrzegła Krzyczącego, ten momentalnie wyczuł płynącą od niej falę emocji, w których dominowały zaskoczenie i strach. Zastanawiał się, ile rozumiała z tego, co się działo, ile jej powiedziano – i czy w razie czego będzie miał w niej sojusznika.

– Jeśli nie spróbujesz żadnych sztuczek, twojej przyjaciółce nic się nie stanie – przemówił mężczyzna w złotej masce. – Krzyczący w Ciemności, co? Podejdź tu bliżej.

Spełnił polecenie. Odnotował, że nie sprawdzono, czy ma przy sobie

broń; widać ufali Shial w tej kwestii.

Mężczyzna w złotej masce nieufnie przypatrywał się Krzyczącemu, ale jego emocji nie sposób było odczytać.

– Nazywam się Velhard – odezwał się w końcu. – Shial pracuje dla mnie. Chcę i tobie zaproponować posadę. Trzeba ci wiedzieć, przyjacielu, że obserwujemy cię już od jakiegoś czasu. Helshor to kiepski pan dla kogoś takiego jak ty.

– Ja nie potrafię sporządzać yadhmarskiego eliksiru – wtrąciła nonszalancko Śnieg. – A historii z tym nieszczęsnym Haberrą nie mamy ci za złe.

– Zaintrygowałeś nas, chłopcze – kontynuował Velhard. – Postanowiliśmy cię sprawdzić, więc za radą Shial przeprowadziliśmy trzy próby. Wiemy, że niechętnie szkodzisz ludziom za opłatą, ale za to umiesz przeżyć konfrontację z zabójcą i uciec z obławy zorganizowanej przez srebrnych.

Krzyczący popatrzył na niego, nie próbując kryć zaskoczenia.

A więc Lyves... i obława też? Ryzykowałicie życie Śnieg, żeby mnie wypróbować?

Na moment zwątpił, czy rzeczywiście chodzi im o nagrodę. Postanowił jeszcze przez chwilę grać na zwłokę.

– Czy Lyves wiedział? – spytał.

– Lyves... powiedzmy, że kwalifikował się do odstrzału. – Śnieg się uśmiechnęła. – Z twojego punktu widzenia to nieistotne.

– A srebrni dostali donos, co?

– Jakżeby inaczej.

– Jeśli zgodzisz się pracować dla nas, mogę zaoferować dobre warunki – podjął Velhard. – Shial potwierdzi. Płacę stałą kwotę co miesiąc, jej wysokość możemy przenegocjować, a do tego...

Krzyczący przestał go słuchać, skupiając się na uważnym analizowaniu tego, co mówiły mu zmysły maga. Doszedł do wniosku, że oferta stanowi tylko zasłonę dymną. Planowali go sprzedać srebrnym. Śnieg była enigmą, jej uczuć nie potrafił odczytać, a Velhard miał chyba jakiś amulet tłumiący aurę, ale wystarczyło sięgnąć umysłem w stronę jego przybocznych. Jeden z nich, brodaty, oszpecony śladami po ospie, ukrywał w rękawie kaftana coś, co mogło być zatrutym nożem albo...

Oczy zmija zwęziły się. Musi uważać na brodatego.

– Dobrze – odrzekł powoli, patrząc na Velharda. – Zgadzam się na współpracę z gildią. Załatwimy to tradycyjnie przez podpisanie umowy czy wystarczy moje słowo?

Velhard sięgnął po leżący na stole dokument i stojący obok kałamarz.

– Podpisz tu. – Popchnął pergamin w stronę zmija, drugą ręką podając mu pióro.

Brune zauważył ruch brodatego i zareagował na wpół instynktownie – rzucił się w bok, przetoczył po ziemi. Ostrze, które miało go zranić, utkwilo w ramie okna. Przypadł do ściany za stojącym w kącie kufrem i spowił się czarem niewidzialności.

Haru, która obserwowała wszystko, wstrzymała oddech.

– Łapcie go! – wrzasnął Velhard. – Shial!

Śnieg nie zareagowała. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w sterczący z okiennej ramy sztylet o srebrnej klindze, z mlecznym kryształem w pozbawionej jelca rękojeści.

Choć nikt nawet jej nie dotknął, lampa spadła na podłogę i rozbiła się z brzękiem. Płomień zgasł, wchłonięty przez ciemność, która nagle zgęstniała, jakby ożywając.

– Shial! – ryknął Velhard. – Za co ci płacę!

– Oszukałeś mnie! Nie tak miało być! – krzyknęła Śnieg.

Haru poczuła, że wokół narasta i tężeje coś wzbudzającego dreszcz. Sekundę później chałupa ożyła trzeszczącym sinym ogniem. Rozszedł się smród palonej siarki i włosów. Coś przewróciło się z hukiem, jeden z przybocznych Velharda przeraźliwie wrzasnął i wrzeszczał tak, aż jego głos przeszedł w rżenie. Lekarka schyliła głowę, walcząc z falą mdłości. W chacie trwała kotłowanina – czyjś miecz z głuchym stukiem wbił się w drewnianą ścianę, czyjeś ciało potoczyło się po polepie. Czarodziejski ogień zgasł, a powietrze wypełnił duszący dym. Potem rozległ się syk, mlaśnięcie i coś z głuchym odgłosem upadło tuż koło jej stóp. Urwana dłoń, wciąż jeszcze ściskająca nóż. Haru, która w normalnych okolicznościach bez drgnienia powieki operowała chorych, zszywała rany i składała otwarte złamania, zdążyła tylko usłyszeć dzwonięcie w uszach i straciła przytomność.

* * *

Brune odsunął przygniatające go zwłoki brodatego i podniósł się, klnąc. Potłukł się, upadając, ale dzięki zakłęciu tarczy nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Wzdrygnął się, patrząc na srebrny sztylet, nadal tkwiący w okiennej ramie. Takich noży używali myśliwi Elity polujący na skażone talenty. Zranienie pokrytym symbolami ostrzem przejściowo paraliżowało dar.

Obrzucił wzrokiem pobojowisko. Velhard leżał w kącie, za przewróconym stołem. Jego symbiotyczna maska, poczerniała i nadtopiona, wzdęła się w groteskowe bąble. Charczał.

– Okłamałeś mnie – powiedziała stojąca nad nim Śnieg. – Nie okłamuje się magów.

Ciało Velharda wyprężyło się w przedśmiertnych drgawkach. Charczenie ustało. Śnieg splunęła na niego i odwróciła się.

– Shial?! – Brune nie był w stanie zachować milczenia.

– Lojalność wobec zwierzchnika to jedno, a lojalność wobec brata w darze to drugie. – Widząc, że Krzyczący stoi nadal w pozycji obronnej, uniosła dłoń. – Spokojnie, Brune. Z mojej strony nic ci nie grozi. Proszę, oto twoje sztylety. – Położyła broń na stole.

– Mam wobec ciebie dług życia, czy tak?

– Nie. Nie mylmy pojęć. Pomogłam cię w to wpakować. – Śnieg zawahała się. – Sądziłam, że Velhard chce cię po prostu za wszelką cenę wciągnąć do organizacji.

Krzyczący zmierzył ją spojrzeniem, unosząc brew.

– Co innego nakłonić brata szantażem do współpracy, co innego sprzedać go srebrnym?

Nie spuściła wzroku.

– Zgadza się. Słuchaj, lepiej zajmij się tą lekareczką. Zdaje się, że zemdląca.

– Za chwilę. Shial...

– Mnie już tu nie ma – uprzedziła jego pytanie. – Martwcie się sami o siebie. Nie, braciszku, nie wydam was, ale nie liczcie już na moją pomoc. Nie znamy się, nigdy się nie widzieliśmy, nie było mnie tu, pojmujesz? I nawzajem, rzecz jasna.

– Wedle woli. – Brune skłonił głowę. – Dziękuję tak czy inaczej.

Shial Manesseria uniosła dłoń w geście, który można było odczytać jako salut, i wycofała się z chaty. Sekundę potem do Krzyczącego

dotarło echo dematerializacji.

Z opóźnieniem uświadomił sobie, co przez cały czas wyczuwał ze strony Śnieg. Strach. Starannie ukrywany pod pozorną pewnością siebie, ale aura nie kłamała.

Tak bardzo bałaś się... mnie?

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Ukląkł przy leżącej bez ruchu Haru, odpychając od siebie obawę, że mimo wszystko stało się najgorsze.

* * *

Najpierw wróciły wrażenia dostarczane przez dotyk i węch. Twarde, zimne podłoże, swąd spalenizny. Potem usłyszała głos.

– Haru? Haru, obudź się. Żyjesz?

Z jękiem otworzyła oczy i spojrzała wprost w jarzące się źrenice żmija. Nad jego głową tańczyło czarodziejskie światełko.

– Nic ci nie jest? – spytał z obawą. – Dasz radę wstać?

Kiedy przytaknęła, podał jej rękę. Podniosła się chwiejnie.

– Co to było? – spytała, patrząc na powalonych bandytów. – Piorun z jasnego nieba?

– Mniej więcej. Na nasze szczęście Śnieg w ostatniej chwili postanowiła zmienić strony. Nie wiem, czy poradziłbym sobie z nimi wszystkimi naraz. Jak się czujesz?

– Bywało lepiej. – Haru rozejrzała się po izbie. Jej wzrok padł na martwego Velharda.

– Nie patrz tam – powiedział szybko Brune, ale było za późno. Tak jak się obawiał, lekarka podeszła do zwłok przestępcy i przyjrzała się im z profesjonalnym zainteresowaniem.

– Co mu zrobiłeś?

– Nie ja – mruknął. – Śnieg. Spytaj ją przy najbliższej okazji. Chodźmy, nic tu po nas.

Gdy wyszli na podwórze, żmij zaklął przez zęby.

– Co?

Wskazał niebo, na którym drgały fioletowe i niebieskie pasma.

– Ekwilibrium.

– Zachwianie?

– Niewielkie. Może się samo wyrówna. To i tak nie nasz główny

kłopot.

– A co jest głównym kłopotem, jeśli wolno spytać?

– Mamy mało czasu – stwierdził ponuro Krzyczący. – Wkrótce zjawią się tu albo zmije z gildii, albo srebrni. Pytanie, jakie układy mają srebrni z tutejszą gildią przestępczą. Pół biedy, jeśli wolą się nie mieszać do jej spraw.

Sięgnął zmysłami maga tak daleko, jak mógł, lecz nigdzie w pobliżu nie wyczuwał obecności ludzi. Jeszcze. Wyjął z kieszeni kredę i zlustrował ścianę chaty, szukając odpowiedniego, w miarę zasłoniętego zaroślami miejsca, żeby nakreślić znaki.

– Co robisz? – spytała Haru.

– Muszę otworzyć portal. Zabiorę cię stąd. – Zdawał sobie sprawę z ryzykowności takiego rozwiązania, ale nie widział innego wyjścia.

– Zgłupiałeś? Zostaw mnie i zdematerializuj się!

Brune popatrzył na nią w osłupieniu.

– Od kiedy na studiach medycznych uczą takich rzeczy?

– Słyszałam, jak tamci się naradzali. Portal można wysledzić i ponownie uaktywnić, a iść za echem dematerializacji da się tylko w ciągu paru minut od jej dokonania. Dobrze mówię?

– No, zasadniczo... – Żmij niepewnie obrócił w palcach kredę, ale Haru nie dała za wygraną.

– Nie ma się nad czym zastanawiać! Zostaw mnie i uciekaj!

– Dobrze, a co z tobą?

– Jak to co? Zejdę piechotą do miasta. Znam mistrzów z tutejszego cechu medyków. Pomogą mi.

– Haru, dużo ryzykujesz. Jeśli wpadniesz w ręce srebrnych...

– Poradzę sobie.

– Jesteś pewna?...

– Uciekaj! – prawie krzyknęła.

Brune zawahał się. Zostawienie Haru było sprzeczne z jego poczuciem honoru. Nagle jednak uderzyło go coś, o czym wcześniej nie pomyślał, a o czym ona – być może – pamiętała przez cały czas. Jeśli srebrni schwytają ich oboje razem, wtedy już niczyje wstawiennictwo nie będzie w stanie jej pomóc.

– Nie zostawiłaś tam niczego? – spytał, wskazując chatę. – Płaszcz? Rękawiczek? Nie jesteś ranna?

Potrząsnęła głową, a Brune poczuł się trochę lepiej. Skoro ani jej

krę, ani żadna należąca do niej rzecz nie pozostała w domostwie... Z tego, co wiedział, srebrni prawie nigdy nie korzystali z czarów wróżebnych, stanowiących domenę czerni. Zresztą medium próbujące odtworzyć niedawne wydarzenia ujrzałoby w pierwszej kolejności jego, Velharda i Śnieg; prawie na pewno nie Haru, która była bierną uczestniczką zajścia.

Teraz miał jeszcze do wyboru zaufać lekarce lub nie. Przez chwilę rozważał to pierwsze, ale ostrożność zwyciężyła.

– Spójrz na mnie – polecił.

Dotknął jej czoła i wyszeptał zaklęcie zapomnienia. Kiedy cofnął rękę, Haru patrzyła na niego z przestachem – widziała w nim teraz jednego ze zbirów z Tay.

– Uciekaj – powiedział. Odwróciła się i odeszła spieszenie, garbiąc ramiona jakby w oczekiwaniu na cios.

Żmij stłumił wyrzuty sumienia, że nie jest w stanie zrobić dla niej nic więcej. Oddalił się w przeciwną stronę na tyle, żeby stracić z oczu chatę, i zdematerializował się.

* * *

Rożek i Veljanov szli wilgotnym, cuchnącym korytarzem, który odchodził od podziemnego wysypiska. Szczury smyrgały im spod stóp.

– Myślicie, że uda się go przekonać? – zagadnął odmieniec. Szczurołap popatrzył na niego posepnie. Zrazu zdawało się, że nie odpowie.

– To rozsądny chłopak – powiedział w końcu. – A przynajmniej zawsze był. Pójdziecie, cholery! Bodaj was!

Okrzyk skierowany był do dwóch homunkulusów, które wychyliły się zza zwałonej kolumny. Veljanov zamachnął się groźnie kijem i tupnął. Stwory pierzchły.

Przeszli po kładce nad wartkim podziemnym strumieniem, po czym skręcili w węższy korytarz. Tu już nie śmierdziało, a spąg był suchy. Potem po stromych schodkach wspięli się poziom wyżej.

– Bacz, gdzie stąpasz – uprzedził Veljanov, przestępując miejsce, w którym na wapiennej skale wymalowany był czerwoną farbą skomplikowany symbol. – Brune umieścił w tym korytarzu parę niespodzianek.

– Wiem. A to było tu już wcześniej? – Rożek wskazał leżącą pod ścianą kupkę szmat i kości. Czaszka z wgniecioną kością czołową szczyrzyła zęby w blasku latarni.

– Nie nasza rzecz.

– Też prawda.

Przed nimi wkrótce zaczerniała wnęka, w której znajdowały się okute drzwi. Veljanov spojrział na odmieńca.

– Coś się nie zgadza – powiedział z napięciem. – Byłeś tu kiedy?

– Byłem. Wszystko się zgadza, to tylne wejście – odparł Rożek z równie zaniepokojoną miną. – Ale poprzednio było skryte za iluzją. Niech to szlag...

Veljanov szarpnął ciężką kołatkę.

– Hej, Brune! Jesteś tam? – zawołał. Gdy nie było odpowiedzi, pchnął drzwi. Otworzyły się ze skrzypieniem.

– Nie może być! – krzyknął Rożek. Szczurołap, bardziej opanowany, tylko zaklął przez zęby.

Kryjówka była pusta. Wewnątrz poniewierały się śmieci i szmaty, a wszystko pokrywała gruba, nienaruszona warstwa kurzu, jakby od miesięcy nikt tam nie mieszkał.

* * *

Ka-ira, którym grunt zaczyna się palić pod nogami, mają do wyboru kilka wyjść. Kiedy w mieście pojawiły się listy gończe, Krzyczący w Ciemności uczynił coś, o czym jeszcze pół roku wcześniej nie mógłby marzyć. Kierując się wskazówkami z grymuaru Liseniusa oraz ksiąg pożyczonych od Marshii, stworzył sobie enklawę.

Usytuował ją głęboko w dominium gnomów, nad górskim jeziorem; nieopodal miejsca, gdzie niegdyś spalił zwłoki Celeste Haberry.

Sporządzenie projektu zajęło mu trzy tygodnie, wykonanie – drugie tyle. Enklawa – sama w sobie nieduża, o prostej konstrukcji – została opleciona zabezpieczeniami, do których osłony kryjówki w lochach miały się tak jak drewniany częstokół do potężnego kamiennego muru.

Kiedy stało się poza granicą enklawy, górski pejzaż wyglądał jak przedtem, pozbawiony wszelkich śladów obecności człowieka. Dopiero po przekroczeniu niewidzialnej bariery można było ujrzyć, że na

porośniętym kosodrzewiną pagórku nad zwierciadłem wody stoi dom. Stara myśliwska chatka z wiejskiej posiadłości Vincenta Ambersa. W jej wnętrzu przechowało się jeszcze odległe echo czerni, ślad tragedii sprzed lat – to tutaj zmarła siostra poety, krótko po tym, jak przyniesiono ją pod dach po niefortunnym upadku z konia podczas polowania. Vincent był aż nadto szczęśliwy, mogąc się pozbyć popadającego w ruinę domku, który budził w nim bolesne wspomnienia.

Brune nie znał się na stolarce, więc żeby doprowadzić nową siedzibę do przyzwoitego stanu, uczynił wyjątek od zasady mówiącej, że nie wykorzystuje się magii do spraw przyziemnych.

Domek był malutki, mieścił sień, kuchnię i dwie izby. W obu wciąż jeszcze panował przeprowadzkowy chaos. Rozmieszczenie i uporządkowanie swojej skromnej majątności zmij odłożył na niesprecyzowane później.

Z obrzydzeniem popatrzył na zawartość kubka, potem dopił gorzki płyn i wytarł łzawiące oczy. Łamało go w kościach i pocił się mimo chłodu. Tym razem objawy głodu były zdecydowanie bardziej nieprzyjemne, choć wywar z chalkiryjskich ziół i tak w znacznym stopniu je łagodził.

Krzyczący w Ciemności kochał opium. Niebezpieczną miłością kogoś, kto wie, że igra z ogniem, ale zna swoje możliwości i tylko czasem omsknie się w rachubach. Jednak teraz miał w planach ryzykowną podróż, więc nie mógł sobie pozwolić na obciążenie w postaci nałogu. Dlatego zacisnął zęby i odchorowywał swoje, przysięgając w duchu, że na przyszłość będzie się bardziej pilnował.

Fatalne samopoczucie po trosze osładzała mu świadomość, że wyszedł obronną ręką z trudnej rozgrywki, a teraz ma do dyspozycji bezpieczny azyl. I wyprawę w planach.

Ponieważ w enklawie nie posiadał jeszcze pracowni z prawdziwego zdarzenia, nie bez wyrzutów sumienia zamierzał znowu wykorzystać przyjaźń z Vincentem. Już po raz ostatni.

15. Sisara ar Enne

Wiadomość nadeszła o świcie. Vincent Ambers bawił się jeszcze w najlepsze na przyjęciu u margrabiego Lan-Kamen, gdy przybiegł do niego zdyszany służący z listem. Dziesięć minut później poeta siedział w powozie, a woźnica popędział konie.

Gdy zajechali przed willę, było już zupełnie jasno. Poeta miał ochotę zbiec od razu do pracowni, ale postanowił, że wcześniej zajrzy jeszcze do Imelli. Istniało niebezpieczeństwo, że w przeciwnym razie poczułaby się urażona, a nie miał ochoty przez cały dzień znosić jej fumów.

W sypialni zasłony z wiśniowego aksamitu były szczelnie zaciągnięte. Powietrze wypełniał zapach pudru i perfum z dominującą nutą konwalii. Tłący się w kominku żar wydobywał z mroku kontury łoża z baldachimem. Wśród skłębionej pościeli siedziała rudowłosa muza Ambersa, która z przyjęcia u margrabiego wyszła przed północą, obraziwszy się na kogoś z błahego powodu.

Była w koronkowej koszuli nocnej, ale nie zadała sobie trudu, żeby zmyć ciemny makijaż, nadający jej twarzy drapieżny wyraz. Palila fajkę wodną z haszyszem, nonszalancko wydmuchując dym.

– Wróciłeś? – Ziewnęła bez zainteresowania. – Czemu tak wcześniej? Stęskniłeś się za mną?

Vincent pocałował kochankę w upudrowane czółko, zabrał ze stołu świecę i wyszedł na korytarz. Upewniwszy się, że w zasięgu wzroku nikogo nie ma, nacisnął dźwignię ukrytą za jednym z wielu starych portretów. Fragment boazerii odsunął się, z otworu powiało stęchlizną i chłodem. Ambers zszedł krętymi schodkami do tajnej komnaty.

Wiedział mniej więcej, czego się spodziewać, ale i tak poczuł dreszcz, przestąpiwszy próg. Kamienną posadzkę pokrywała płatanina symboli, nakreślonych za pomocą kredy, węgla oraz różnokolorowego piasku. W zastępującym palenisko przenośnym

piecyku płonął ogień. Na stole stały świece, fiolki z miksturami oraz kilka dziwnych przyrządów niewiadomego przeznaczenia. Centralne miejsce zajmowała szklana misa z wodą.

W kącie na otomanie leżało coś przypominającego stosik szmat nakryty połatanym płaszczem. Ambers uniósł jego rąbek, odsłaniając kędzierzawą czuprynę. Dziewczynka, może trzynastoletnia, chuda i obdarta. Jedną rękę trzymała sztywno wyprostowaną; w zgięciu łokcia widniały świeże ślady nakłuć. W pierwszej chwili przeraził się, że jest martwa. Potem spostrzegł, że mała oddycha, a jej policzki barwi lekki rumieniec. Ostrożnie przykrył ją z powrotem.

O mało nie podskoczył, słysząc za plecami lekko drwiący głos.

– Żyje, nie bój się. Nie mam w zwyczaju krzywdzić żył.

Ambers odwrócił się. Za nim stał autor listu, uśmiechając się we właściwy sobie, lekko niesamowity sposób.

– Dobrze, że jesteś, Vincent. Zaczynałem podejrzewać, że zapiłeś i nie wrócisz na czas.

– Ja? W żadnym wypadku. To nie w moim stylu.

Wymienili uścisk dłoni, po czym Krzyżący podszedł do stołu. Znad wody w misie zaczynały się wzbijać migotliwe smużki – ni to dym, ni para.

– Ile czasu zostało? – spytał poeta.

– Już praktycznie wszystko gotowe. Czekałem tylko na ciebie. Zostaniesz, żeby popatrzeć?

– Pewnie.

Żmij klasnął w ręce i świece zapaliły się; pomieszczenie ożyło plątaniną cieni. Dziewczynka poruszyła się, westchnęła przez sen, ale się nie zbudziła.

– Zamierzasz pozwolić, żeby ona też została? – odezwał się z powątpiewaniem Ambers.

Krzyżący potrząsnął małą za ramię. Usiadła i ziewnęła szeroko. Krzywiąc się, potarła ślady po nakłuciach. Żmij pogłaskał ją po kędzierzawych włosach i wsunął monetę do ręki, szepcząc coś. Skinęła posłusznie główką.

– Mogłeś jej po prostu przyłożyć ręce do skroni – zauważył poeta, gdy zostali sami.

– Mogłem. Ale młoda krew... ma coś w sobie.

Ambers nie skomentował, choć uderzyło go, że takie podejście do

żył niezbyt pasuje do Krzyczącego, jakiego dotąd znał. Potem zwrócił uwagę, jak źle wygląda Brune, wymizerowany i z podkrążonymi oczami, i przypomniał sobie, w jakich okolicznościach krew sprawdza się lepiej od czerpania – kiedy *ka-ira* musi zaleczyć rany czy chorobę. Chciał zapytać, czy wszystko w porządku, ale powstrzymał się, wiedząc, że w najlepszym razie otrzyma wymijającą odpowiedź.

– Więc postanowiłeś się definitywnie wynieść z Shan Vaola – zagaił zamiast tego. – I słusznie.

– To nie ucieczka – zaprzeczył żywo zmij. – Potrzebuję nowych doświadczeń. Wiedzy, której tu nie zdobędę. Można rzec, że zamykam pewien rozdział.

– Jak zwał, tak zwał. W każdym razie znikasz stąd na długo.

– Nie będę cię oszukiwał. Być może na wiele lat.

– Ale kiedyś wrócisz.

– Może. Tak czy inaczej jestem twoim dłużnikiem, Vincent. Za udostępnienie pracowni. I za wszystko inne.

– Drobiazg. – Poeta machnął ręką.

– No, nie tak do końca. Dużo ryzykujesz, pomagając mi.

– Nie gadaj głupstw. To ja wciąż jeszcze mam dług względem ciebie.

– Ambers uśmiechnął się łobuzersko. – Kłania się pierwszy werset z grymuaru Liseniusa.

Krzyczący też uśmiechnął się na to wspomnienie, ale zaraz spoważniał.

– Vincent, skoro mowa o wersetach i grymuarach, przyrzeknij mi jedno. Że nie będziesz już próbował na własną rękę bawić się w żadne czary. Wódka, prochy, kobiety, czemu nie. Ale od Zakazanej Sztuki trzymaj się z daleka. To nie rozrywka dla znudzonych życiem artystów. Najlepiej zlikwiduj pracownię, zniszcz parafernalia, księgi oddaj antykwariuszowi albo spal. Aura zostanie, ale na podstawie samej aury nikt ci nie wytoczy procesu.

– Nie ma strachu. Kupiłem tę willę raptem pół roku temu, w razie czego wszystko można zwalić na poprzedniego właściciela – zażartował poeta, a w następnej chwili zachnął się, widząc pełną dezaprobaty minę zmija. – Co z tobą, Brune? Psiakrew, nagle zebrało ci się na pouczenia?

– Wiem, co mówię, bo znam cię jak zły szeląg. Korci cię, żeby igrać z siłami, nad którymi nie sposób zapanować, nie mając daru. Dasz sobie

z tym spokój raz na zawsze. Przymknij mi to.

– Dobrze już, dobrze. Skoro nalegasz, tak zrobię. Przymknę – to ostatnie słowo poeta dorzucił z wyraźną niechęcią.

– No. I żebyś się nie ważył nie dotrzymać słowa. A teraz podejdź. Jesteś mi potrzebny.

Zawartość misy zaczęła tymczasem promieniować zimnym, błękitnym światłem. Żmij szepnął coś i brzegi naczynia ożyły mnóstwem pełzających iskier. Wyglądało to efektownie, a zarazem trochę niepokojąco.

– Co mam robić? – spytał ochoczo Ambers.

– Zanurz rękę w wodzie.

Poeta w pierwszej chwili zawahał się, ale usłuchał. Wzdrygnął się, gdy przez całą długość ramienia przebiegły lodowate mrówki, lecz po sekundzie nieprzyjemne wrażenie zniknęło.

– Teraz wyjmij i pokaż mi, co w niej trzymasz.

– Jak to, przecież misa była pu... – Głos zamarł Ambersowi na ustach, gdy poeta poczuł, że rzeczywiście ma coś w dłoni. Okazało się, że jest to mały sztylet, z gatunku tych, które dama może swobodnie ukryć za dekoltem lub we włosach. Rękojeść wieńczył pojedynczy szafir.

– Daj. – Żmij wziął sztylet, otarł starannie i wsunął do rękawa. – Jeśli będziesz kiedyś potrzebował pomocy, ten nóż zardzewieje, a ja postaram się przybyć albo przysłać kogoś... Nie, nie dziękuj. Nie ma za co, przecież jest możliwość, że przeze mnie wkrótce wpadniesz w kłopoty.

Jeden z wyrysowanych na posadzce symboli zatlił się nagle, zajarzył czerwienią.

– Już czas. – Oczy żmija błysnęły. – Czar dopełnia się. Żegnaj, Vincent.

– Uważaj na siebie – rzucił Ambers, nie wiedząc, co innego mógłby powiedzieć.

– Ty też, młodszy bracie. Ucałuj ode mnie Imellę.

Nie było nic do dodania. Uścisnęli sobie ręce, po czym żmij wyszedł na środek pracowni, by stanąć wewnątrz narysowanego węglem kręgu.

Świece zgasły, jedna po drugiej.

Ambers spodziewał się czegoś spektakularnego – błysku, huku,

otwierających się ognistych wrót. Czekał go zawód. Na dobrą sprawę nie było się czemu przypatrywać. Tam, gdzie przed sekundą stał człowiek w czarnym stroju, rozwiewały się strzępy mgły.

* * *

Podróż przez przestrzeń między światami bywała opisywana w księgach jako wspaniałe mistyczne przeżycie.

Krzyżującemu zawsze bardziej kojarzyła się ze stanem po przedawkowaniu prochów. Odetchnął z ulgą, kiedy poczuł, że stoi znowu na twardym gruncie.

Otworzywszy oczy zaklął cicho. Naokoło rozciągała się falująca łagodnie równina, pokryta kobiercem wrzosów. Słońce stało wysoko na zamglonym niebie, podobne do lampy z mlecznego szkła.

Był pewien, że nie pomylił się w zaklęciach, prawidłowo wytyczył współrzędne. Ale to nie było miejsce, którego szukał.

Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić, księgi tego nie precyzowały. Wybrał kierunek na chybił-trafił. Szedł długo – przysiągłby, że przez wiele godzin. Słońce nie zniżyło się nawet o cal.

W labiryncie sfer z ciałem działy się dziwne rzeczy. Ból był nadal bólem, a zmęczenie zmęczeniem, ale nie czuło się zimna, głodu ani pragnienia. Z wcześniejszych wizyt pamiętał, że gdyby zabrał z sobą ziemskie pożywienie, po przekroczeniu granicy między światami zmieniłoby się w jakieś zgniłe paskudztwo. Z ksiąg wiedział, że i inne obiekty potrafiły podlegać niewytłumaczalnym przemianom – diamenty rozsypywały się w popiół, nowe monety pokrywały się śniedzią, pergamin pleśniał. Żelazo na szczęście pozostawało bez zmian.

Niby w walce z reguły polegał raczej na magii, ale i tak świadomość, że jest uzbrojony, dodawała mu otuchy. Miał swoje dwa sztylety oraz trzeci, ten z szafirem, którego zamierzał używać tylko w ostateczności. Każdy z nich mógł w potrzebie przemienić w rapier.

Inna sprawa, że w sferach istniało duże prawdopodobieństwo napotkania takich wrogów, których nie sposób pokonać ani zaklęciem, ani ostrzem. Na razie jednak równina była pusta i cicha, nawet wiatr nie poruszał wrzosami.

Zaczynało go nużyć to wędrowanie bez celu. Zastanawiał się

właśnie, czy nie zaryzykować i nie spróbować znowu się przenieść – obojętnie dokąd – gdy nagle dostrzegł coś bielejącego pomiędzy krzewinkami.

Czaszka. Raczej nie ludzka – a jeśli, to paskudnie zniekształcona. Odmieńca? W pierwszym odruchu chciał ją podnieść i uważnie obejrzeć. Powściągnął jednak ciekawość, bo przypomniał sobie opowieść o księciu ukąszonym przez żmiję, która wypełzła z czaszki jego wierzchowca. Odmówił więc po prostu modlitwę za zmarłych i ruszył dalej.

Ledwie stracił czaszkę z oczu, nadciągające znad horyzontu chmury przesłoniły słońce. Powiało chłodem.

Żmij odwrócił się, tknięty impulsem. Spod ziemi wypływała mgła; rozsnuwała się coraz szerzej, przesłaniając wrzosowisko. To ona była źródłem zimna przyprawiającego o gęsią skórkę.

Otworzyły się wrota między światami. Co pewien czas następowało to spontanicznie; sfery były w ciągłym ruchu, stale też przemieszczały się między nimi różne istoty. Umarli, demony, larwy, egregory, żywiołaki. Nie zastanawiał się długo. Wziął głęboki oddech i wstąpił w wirującą szarość.

Prawie natychmiast wyczuł, że nie jest sam. Skoncentrował się, przywołując moc.

Z szarości wyroiły się zwiewne, opalizujące sylwetki o motylich skrzydłach. Miały twarzyczki dzieci, lecz kły wampirów. Bez dźwięku, w okamgnieniu opadły go ze wszystkich stron. W rozpaczliwym odruchu wyrzucił przed siebie ręce, nadając zakłębieniu kształt samą intencją, bez słów. Czerwony jęzor płomienia rozdarł mgłę. Zjawy rozpierzchły się równie szybko, jak zaatakowały.

Mgła zafalowała pod nagłym podmuchem wiatru i rozstała się, tworząc portal, w którym zamajaczył skrawek plaży pod wygwieżdżonym nocnym niebem. Żmij skoczył w tamtą stronę, ogarnięty jedną myślą – skorzystać z przejścia, zanim znów się zamknie, nie wiadomo na jak długo.

Był prawie przy portalu, gdy dopadły go znowu; kilka par widmowych rąk wczepiło się w jego płaszcz. Zaciskając zęby, uwolnił moc, otaczając się na chwilę kręgiem płomieni. Usłyszał syk, skwierczenie i przeraźliwe wycie, ale nie zatrzymał się.

Żeby przejść przez portal, musiał jednak wygasić ogień. Jak się

okazało, jednej ze zjaw starczyło sprytu, by zaczekać na ten właśnie moment.

W momencie gdy przekraczał granicę szarości, ujrzał nagle, że coś przerażająco zwinnego pikuje na niego z góry. W ostatniej chwili zasłonił się ręką i poczuł palący ból; kły wpiły się w przedramię.

Wyszli czy raczej wypadli z mgły razem, by runąć z – niewielkiej na szczęście – wysokości na twarde podłoże. Żmij przetoczył się, chcąc złagodzić impet upadku, i zerwał czym prędzej na równe nogi. Widmowe stworzenie zawyło, miotając się jak ćma ogarnięta płomieniem. Poza swoją macierzystą sferą było skazane na zgubę. Upadło, rozsypując się w proch.

Portal zniknął, mgła się rozwiewała. Naokoło panowała cisza, nic nie wskazywało na to, by w pobliżu mieli się czaić wrogowie. Brune zmusił się, żeby przystanąć i oddychać głęboko. Uspokoić się.

Ranka krwawiła, ale niezbyt silnie. Przewiązał ją chustką. Gdy zaczął się rozglądać, szybko zapomniał o bólu.

Stał na szerokiej bezludnej plaży pod usianym gwiazdami niebem. W pewnej odległości widniały kredowe urwiska, oddzielone od wody wąskim piaszczystym pasem. Od morza biła słaba poświata. W ciszy rozlegał się ledwie słyszalny chlupot fali liżącej brzeg.

Drobny piasek o przedziwnej błękitnej barwie przemieszany był z błyszczącymi łuseczkami miki. Tu i ówdzie leżały większe kamienie. Bynajmniej nie takie, jakie na ogół napotyka się na plażach. Żmij nie pałał szczególnym sentymentem do kosztowności, ale nawet jemu serce zabiło szybciej. Naokoło pyszniły się klejnoty wszelkich rozmiarów i rodzajów – szmaragdy, rubiny, szafiry, diamenty, perły... Fosforyczny poblask zapalał w nich setki ogników. Gdzieś można było też dostrzec monety i inne przedmioty z drogocennych kruszców.

Rzecz jasna, tylko głupiec zatrzymałby się, żeby je oglądać, nie mówiąc o zbieraniu. Raz, że w sferach trzeba było się pilnować; kradzież zawsze ściągała nieszczęście. Dwa, po przekroczeniu granicy między światami prawdopodobnie zmieniłyby się w śmieci.

Nie tracił czasu na rozważanie tej kwestii, lecz ruszył w drogę, kierując się ku klifom, bo stanowiły dobry punkt orientacji. Konstelacje w górze ani trochę nie przypominały tych, które znał, więc nie mógł na ich podstawie ustalić stron świata. Podejrzewał jednak, że

kierunek nie jest ważny, że liczy się sama intencja znalezienia. Tak to bywało w sferach.

Przy samym urwisku natrafił na szkielet ptaka, z zachowanymi na skrzydłach piórami. Kawałek dalej z piasku wystawały wręgi żeber jakiegoś dużego zwierzęcia.

Wybrzeże Klejnotów i Kości. Jak widać, nazwa nie została nadana bez podstaw.

Nie uszedł daleko. Ukąszenie, chociaż niewielkie, dokuczało coraz bardziej. Czuł, że zaczyna mu rosnać gorączka. Rozwiązał opatrunek i zaklął przez zęby. Ręka napuchła i zsiniała, pod skórą pojawiły się wybroczyzny.

Trucizna.

Był magiem, więc mógł przebywać w sferach jako materialny byt. Obrażenia odniesione w świecie zjaw były dlań tak samo realne, jak odniesione na ziemi. Nie rokowało to najlepiej.

Zaciskając zęby, ruszył znów przed siebie, zdrową ręką trzymając się skalnej ściany. Czuł się coraz gorzej – słabł, w głowie szumiało jak od alkoholu. Już prawie dawał za wygraną, kiedy usłyszał dodający otuchy dźwięk – plusk wody. Jeszcze kilkanaście kroków i w kredowym masywie zaczęła się szczelina. Z jej wnętrza ciurkał strumyczek, by kawałek dalej zniknąć wśród kamieni.

Szczelina okazała się wejściem do obszernej pieczary, wypełnionej lasem stalagmitów. Blisko wejścia leżał szkielet płaza, może wielkiej ropuchy.

Nie ciesz się tak. Może strumień jest zatruty. Ale ledwie zmij to pomyślał, ogarnęła go niewytłumaczalna pewność, że nie, że woda jest bezpieczna.

Obmył zranione miejsce; zimno odrobinę złagodziło ból. Następnie zadrasnął sztyletem zdrową dłoń i zanurzył ją w wodzie. Symboliczna ofiara z krwi w zamian za pomoc.

– Undyno, najczystszy z duchów, zabierz ode mnie truciznę – szepnął, po czym napił się ze strumienia.

Nie poczuł się ani trochę lepiej. Kiedy wstał, na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami. W tym stanie wyjście na zewnątrz nie wchodziło w grę. Zwinął się w kłębek w kącie pieczary, zbyt otępiały, by się przejmować tym, że jest zimno, twardo i niewygodnie.

Ledwie zamknął oczy, znowu zaczął śnić.

Stał w przedsionku w tanim domu publicznym; jednym z tych, w których meble i dywany pochodzą ewidentnie z drugiej ręki, zaś suknie kobiet są równie nieświeże, jak ich oddechy. W pierwszym odruchu Brune chciał odwrócić się i wyjść, lecz tajemnicza siła rządząca jego snem nie pozwoliła na to. Zamiast na ulicy znalazł się w salonie, w którym – sądząc po ilości i stanie naczyń znajdujących się na stole – kilka godzin wcześniej odbyła się suto zakrapiana kolacja. Żółty obrus pociemniał od plam sosów i wina. Otyły młodzian, ubrany tylko w pantalonek i rozchełstaną koronkową koszulę, chrapał na kanapie pod oknem. Z sąsiedniego pomieszczenia, zza zasłony z koralików nawleczonych na sznurki, dobiegały dźwięki szpinetu. Ich melodyjność wydawała się rażąco nie na miejscu w tej ordynarnej budzie.

Kiedy żmij przeszedł przez zasłonę, koraliki nawet nie stuknęły. Tamten, nieświadom czyjejś obecności w pobliżu, spokojnie grał dalej. Brune rozpoznał melodię – dzieło jednego z mniej znanych kompozytorów poprzedniego stulecia. Z ulgą skonstatował, że nie patrzy na swojego sobowtóra. Muzyk miał okrągłą, nieco zniewieściałą twarz i rude włosy. Wyglądał na straszego gogusia. Ale grał naprawdę bardzo dobrze.

Koraliki zagrzechotały.

– Grasz naprawdę bardzo dobrze – powiedział tłuścioch. Wspierał się ramieniem na kobiecie odzianej w gorset i czarne pończochy. Druga, szczupła i całkiem naga, tuliła się do niego niczym bluszcz. – Co to za utwór?

– Mój własny.

– Pragniesz, by stał się sławny?

Muzyk zdjął ręce z klawiatury.

– Ty wiesz, panie, że oddałbym wszystko, by zyskać nieśmiertelną sławę... – Jego głos zadrżał.

– Byłbyś gotów zaprzedać... duszę?

Dziwki rozchichotały się, jakby usłyszały kapitalny żart.

– Tak – odparł bez namysłu rudowłosy.

Żmij wstrzymał oddech. Już wiedział, co za chwilę nastąpi. Co musi nastąpić.

Tłuścioch wyciąga z zanadrza arkusz pergaminu, rozkłada na stoliku. Z uśmiechem wręcza muzykowi gęsie pióro.

– Podpisz tu. Jak w baśniach, krwią. Jestem przywiązany do tradycji.

Kropla czerwieni z serdecznego palca. Zamaszysty podpis...

Tłuścioch i dziewczyny znikają w przeraźliwie jasnym rozbłysku. Trzask gromu.

Muzyk przeraźliwie krzyczy, chwytając się za twarz, nagle pokrytą ranami...

Nie wiadomo skąd pojawia się dym; jest go coraz więcej. Przesłania cierpiącą postać. Z dymu wyłania się kobieta od stóp do głów owinięta w szare łachmany. W szparze woalu błyszczą błękitne oczy, lekko szkliste, jak od odurzającej substancji.

– Nie idź dalej – jej szept. – Za głęboko drążysz. Sprawiasz sobie ból, a prawdy i tak nie poznasz. Nie na darmo nazywają nas Władcami Kłamstw...

– Kim jesteś?! – pozbawiony sensu krzyk, wołanie w pustkę. Woal i szaty opadają; za nimi nie ma nic. Echo przynosi z oddali cichnący śmiech, a może szelest osypującego się popiołu...

Ocknął się. Na zewnątrz zmierzchało. Podniósł się powoli, klnąc; od leżenia na twardym podłożu zeszywniały mu wszystkie mięśnie.

Ręka już nie bolała. Podciągnął rękaw. Opuchlizna zesza, po ukąszeniu pozostał jedynie biały ślad.

Przed odejściem zmij ukląkł jeszcze przy strumieniu, żeby podziękować undynie. Wydało mu się, że szmer wody na ułamek sekundy zmienił ton, jakby pobrzmiwał w nim przyjazny kobiecy głos. Ale może było to tylko złudzenie.

Urwisko się skończyło. Szedł dalej brzegiem morza, aż zobaczył przed sobą światełko. Wkrótce w półmroku zamajaczyła sklecona z kości chatynka. Wewnątrz palił się ogień, przeświecając czerwono przez ściany. Wejście zasłaniała płachta. Brune odgarnął ją.

W ubogim wnętrzu wszystko – podłoga, meble, naczynia – było kościane. Obok paleniska siedziała zgarbiona postać w białej szacie. Gdy wszedł, nie czekając na zaproszenie, uniosła głowę. Płomienie oświetliły twarz podobną do oblicza mumii.

– Wielu przekracza granice sfer, lecz tylko nieliczni trafiają do mnie. Czego tu szukasz, młody gadzie? Bogactwa czekają na zewnątrz. Morze wyrzuca kosztowności i trupy. – Jej śmiech przypominał skrzypienie spróchniałego drzewa.

– Przybyłem tu w poszukiwaniu srebrnej czarodziejki Sisary ar Enne, ale widzę, że jej nie znalazłem. – Odwrócił się, zamierzając wyjść. Jej głos osadził go w miejscu.

– Za siedmioma górami, za siedmioma morzami leży zaklęta forteca Kar-Sevhern. W tej fortecy mieszka ślepy i głuchy starzec o skórze twardszej niżli kamień, o brodzie tak długiej, że mógłby opasać się nią siedemdziesiąt siedem razy...

– To on przed wiekami stworzył pierwsze zaklęcie świata, które dziś znamy jako Wszchedziałanie – zmij bez zająknięcia dokończył cytat ze Świętej Księgi. Skłonił się nisko, z czcią. – Wybacz, pani.

Sisara zbyła kwestię machnięciem ręki.

– Odróżnianie prawdy od pozorów to trudna sztuka, z czasem ją sobie przyswoisz. Powiedz mi, jakim cudem tu dotarłeś.

– Dzięki księgom. W „Opisaniu sfer” Helwarda z Aoth były dokładne wskazówki...

– Nie to mam na myśli. Jak udało ci się uchronić przed widmami?

– Widocznie mam niesmaczną krew.

Czarodziejka zmarszczyła brwi, jakby żart nie przypadł jej do gustu.

– Nawet nie wiesz, jak wiele ryzykowałeś, wkraczając do labiryntu. Ścieżki między światami nie są już tak bezpieczne jak kiedyś. Grasują na nich istoty wyklute z mroku, o których w księgach nie ma wzmianek. Otchłań rozrasta się, stopniowo pochłaniając sfery... Do rzeczy. Co cię tu sprowadza?

– Znasz się, pani, na oneiromancji. Wiem to od twojego dawnego chowańca. Postanowiłem cię odszukać i poprosić o radę, ponieważ prześladują mnie sny. Wybacz śmiałość – dodał sztywno.

Sisara pokiwała głową; po jej zwiędłych ustach błąkał się dziwny uśmiezek.

– Tylko sny? Czy coś jeszcze?

– Czemu miałyby być coś jeszcze? – Bez drgnienia odwzajemnił spojrzenie ciemnych, przenikliwych oczu, które obserwowały go niczym rzadkiego owada.

– Bo pewnego razu ocknąłeś się w mrocznym miejscu wśród zapleśniałych murów, obdarty, wyniszczony i słaby. Naznaczony ranami, o których nadal nie wiesz, skąd się wzięły. Z szarą plamą w miejscu wspomnień. Nie pamiętałeś nawet swojego imienia... Lecz

miałeś moc. Tę jadowitą, znienawidzoną moc, która utrzymała cię przy życiu. Nieraz ją przeklinałeś, prawda?

– Masz bystry wzrok, pani, jeśli wyczytałaś mi to wszystko z oczu. – Z trudem się opanowałem, nie okazałem strachu. Czarodziejka wzruszyła ramionami.

– Zdziwiłbyś się, jak często ta historia się powtarza, ilu podobnych tobie już widziałam. Oczywiście pogodziłeś się z przeznaczeniem; moc, choćby i skażona, to potężna pokusa. Ale kim byłeś przedtem? Zanim stałeś się tym, czym jesteś teraz? To pytanie nie przestaje dręczyć, co?

– Zeżmienie nie zawsze zabiera wspomnienia – poczułem się w obowiązku skorygować.

– Ależ oczywiście, że nie zawsze. Powiedziałabym wręcz, że rzadko kiedy. No, gadzie, zastanów się. Myślę, że w głębi serca wiesz, co cię tak naprawdę prześladowuje.

Krzyczący zawahał się. Jak na srebrną czarodziejkę Sisara ar Enne zachowywała się co najmniej dziwnie. Ale ostatecznie od dwustu lat żyła tu jak pustelnica. I jej zachowanie pasowało do tego, co mówił Staruch – że wiedza jest dla niej ważniejsza od konfliktu barw.

– Zgadza się, nie pamiętam mojej przeszłości – odrzekł powoli. – Nie wiem, czy sny mają z nią jakiś związek. Boję się ich.

– Czemu?

– Bo są kłamliwe.

– Skąd wiesz?

– Tylko podejrzewam. Mam wrażenie, że ktoś się ze mną bawi. Takie przeczucie. A na jawie zwykle potrafię poznać, kiedy jestem okłamywany. Dar mnie ostrzega. Dlatego sędzę...

Sisara miała sceptyczną minę.

– Nie sądz, jeszcze nie pora na to. Opowiedz mi swoje sny. Wtedy wspólnie zastanowimy się, jakie niosą implikacje.

– Nie mogę. Na jawie nie pamiętam, o czym śnię.

Czarodziejka zmarszczyła brwi. Po namyśle wręczyła mu miseczkę sporządzoną, jak się zdawało, z górnej części ludzkiej czaszki.

– Zaczepnij wody z morza i wróć tu.

Spełnił polecenie. Kazała mu postawić naczynie na stole i usiąść.

– Niech woda posłuży ci za lustro. Gdy się wygładzi, ujrzysz w niej swój strach.

Projekcja? Tak to i ja potrafię, ty przemądrzała wiedźmo – miał

ochotę parsknąć. – *Myślisz, że tego nie próbowałem w pierwszej kolejności? Ale przypomniał sobie, że przecież znajduje się w sferach, gdzie magia działa trochę inaczej niż w materialnym świecie. Może rzeczywiście zobaczy coś ciekawego.*

Posłusznie wpatrzył się w wodę. Była przezroczysta i nieruchoma. Na dnie miseczki osiadło parę ziarenek piasku.

– Dalej, gadzie, powiedz mi, co widzisz – zachęciła Sisara.

W pierwszej chwili nie zobaczył nic. Potem pojawiły się obrazy. Żmij wstrzymał oddech. Patrzył, a jednocześnie przeżywał to, co widzi, słyszał dźwięki, czuł zapachy. Był tam.

Jak we śnie.

– Co widzisz? – ponagliła go czarodziejka.

– Wzburzone fale – szepnął z wysiłkiem. – Pochmurne niebo, po którym kołują mewy...

– Co jeszcze? Mów!

– Brzeg... kamienie... – Urwał; nie był w stanie wyartykułować na głos nadmiaru wrażeń.

Huk przewalających się bałwanów; każde załamane fale rozpyła mgiełkę kropel. Czarne głązy sterczą z kipieli, podobne do wyszczerzonych kłów. Rozpruły niejeden statek; kamienistą plażę zaścielają resztki, które wypluło morze – połamane i przegniłe deski, liny, strzępy żagli. A także kości. Bardzo wiele kości, wylizanych przez fale do gładziutkiej bieli. I to nie są ludzkie kości. Idę brzegiem plaży, deptając szczątki odmieńców, homunkulusów i golemów.

Nagle widzę przed sobą leżącą postać. To Trójjoki. Najdoskonalszy z wytworów srebrnej magii – idealne połączenie ludzkiego ciała i maszyny. Porusza się niemrawo, cały okryty ranami, z których sączy się mleczna substancja. Jego pancerz jest powgniatany, przezarty rdzą. Pasma wodorostów oblepiły hełm. Kiedy podchodzę całkiem blisko, on przestaje się ruszać. Ostrożnie unoszę przyłbicę i widzę... siebie. Swoją twarz. Bez blizn, z zaszytymi powiekami i z trzecim, krwawym okiem pośrodku czoła. Potem jego ciało obraca się w proch...

Potrząśnięcie za ramię przywróciło go do rzeczywistości. Podniósł głowę, oddychając ciężko.

– Na Otchłań! O co w tym chodzi?!

Sisara wyjęła mu z rąk miseczkę. Dmuchnęła w wodę i sama przez chwilę przypatrywała się obrazom.

– Zadziwiające... – wymamrotała po długiej chwili. – Z tego by wynikało, że... mogłeś być srebrnym?! Nie, to niemożliwe...

Krzyczący wpatrzył się w nią rozszerzonymi nagle oczami.

– Bynajmniej! Już po tym, jak zyskałem dar, dano mi możliwość... wyboru po raz drugi. Srebro albo czerń...

– To niemożliwe. Kłamiesz. Zmroczka nie pozwala na coś takiego.

– Nie, przysięgam. Było tak, jak mówię. Nie pamiętam, jak to wyglądało, tylko sam moment udzielenia odpowiedzi. Właśnie od tamtej pory mam ślady na twarzy.

– Czemu odrzuciłeś srebro?

– Cholera wie. – Wzruszył ramionami. – Powiedzmy, że nie chciałem być niewolnikiem czystości i piękna. Czy to ważne? Mnie bardziej interesuje, kto mi zaofiarował wybór. I dlaczego? Jaki miał cel?

Sisara położyła palec na ustach.

– Nie potrafię ci zwrócić spopielonych wspomnień. Być może sam zdołałbyś je odnaleźć... ale musiałbyś tu zostać na dłużej. Mogłabym ci na to pozwolić. Zaciekawileś mnie, gadzie. Nie przypominam sobie drugiego takiego przypadku jak twój. Zaczekaj chwilę.

Wyszła w noc, by zaraz wrócić, niosąc zielony, niebiesko żyłkowany kamień. Pstryknięciem palców zmieniła go w kubek z parującą zawartością.

– Wypij. Śmiało, to cię nie uspi, tylko lekko oszołomi. Projekcja projekcją, ale muszę na własne oczy zobaczyć, co się kryje w twojej głowie.

Kubek był złoty, wysadzany turkusami. Godny królewskiego skarbcza. Napój pachniał jaśminem i czymś jeszcze, czymś odurzającym, zdradliwym; sam zapach uderzał do głowy jak wino. Krzyczący postanowił być ostrożny. Za dobrze się znał na różnych miksturach i jadach. Udał, że pije; tak naprawdę nawet nie umoczył ust.

Sisara przyklękła obok paleniska, poprawiając ogień. Posypała drwa szczyptą proszku z kościanego pudzeczka. Zadymilo, rozeszła się słodka woń kadzidła.

Żmij zmarszczył brwi. Coś przestało mu się zgadzać. Teraz widział,

że wcale nie była stara. Jak mógł się tak pomylić? Miała siwe włosy, owszem, ale twarz bez zmarszczek. Piękne dłonie, nieskazitelne, jakby wyrzeźbione z lodu.

Zanuciła melodię brzmiącą jak kołysanka. Zamrugał, walcząc z ogarniającą go falą senności. Coraz silniej czuł, że instynkt przed czymś go ostrzega. Że pod żadnym pozorem nie wolno mu zamknąć oczu.

Pochylił głowę, pozwalając, żeby włosy opadły na twarz. Chciał, żeby uwierzyła, że napój i pieśń zrobili swoje. Podziałało, Sisara przestała śpiewać.

Wstając z klęczek, niechcący zahaczyła szatą o występ ściany. Tkanina rozchyliła się, odsłaniając nogę kościotrupa, od której dawno odpadło całe ciało.

Zrywając się, żmij wychlusnęła jaśminowe paskudztwo do ogniska. Rozległ się syk, strzeliła para. Cisnął kubek. Błogosławiąc wrodzoną nieufność, dobył sztyletów i skrzyżował je przed sobą w znak broniący przystępu złym siłom.

– Kim jesteś?! – Pytanie godne durnia; ale odpowiedziała.

– Dawno temu byłam srebrna, lecz srebro, pogrzebane, czernieje... Jeszcze nie rozumiesz?! – wykrzyknęła nagle z rozpaczą, załamując ręce, których palce stały się palcami szkieletu. – Uwięziono mnie tu!

Jej włosy przemieniły się w skołtuniony, brudny kłęb, a biała szata w zbutwiały łach. Krzyczący obserwował to wszystko, kompletnie osłupiały.

– Jak... czemu...

– Pragnienie wiedzy stało się moją zgubą. – Jej głos był teraz charkotem, z trudem formułowanym przez pozbawione warg usta. – Dałam się zniewolić Otchłani, a demony uwięziły mnie tutaj, bym zwabiała zabłąkane w sferach dusze. Tych, którzy do mnie przyjdą, pozeram! Gdy zgubię tysiąc i jeden dusz, będę wolna...

Żmij z jakąś chorą fascynacją patrzył, jak jej ciało stopniowo zsyca się i deformuje. Głowa Sisary była teraz trupa czaszką; w oczodołach wiły się robaki.

– Twoja czarna dusza starczyłaby za dziesięć zwykłych... Szkoda, że okazałeś się zbyt sprytny. Lecz tak czy owak czeka cię marny koniec!

– Zakład? – Uśmiechnął się wrednie. – Nic mi nie zrobisz. Nie boję

się upiorów.

Wydała coś na kształt śmiechu.

– Nieszczęsny głupcze! To, że opuścisz moją chatę żywy, w niczym ci nie pomoże. Stąd nie można uciec. Stoisz między piekłem a głęboką wodą... Głupców, którzy zabawią w sferach zbyt długo, czeka zguba. Strzeż się tego, co podąża twoim śladem we mgle! Strzeż się cienia, który cię odnajdzie w ciemnościach!

Nagle Sisara zgięła się w pół; było oczywiste, że nawet w upiornej postaci cierpi ludzki ból. Z trudem chwyciła oddech, ale nienawiść w jej głosie nie osłabła.

– Idź, idź! Przenigdy nie odnajdziesz powrotnej drogi. Jesteś stracony, jak ja. A prędzej czy później Otchłań pochłonie twój świat!

Stawy jej nóg załamały się z trzaskiem. Upadła prawie u stóp zmija; ten cofnął się ze wstrętem. Cuchnęła zgnilizną, grobem. Z jej ust pociekł brunatny płyn.

– Dalej, pchnij! – zawyła, patrząc na ostrza sztyletów. – Wybaw mnie!

Brune zawahał się, rozdarty między litością a obrzydzeniem. I nagle z zaskakującą siłą ożył w nim instynkt *ka-ira*, głód budzący się w kontakcie z cierpiącymi.

Żmij przywołał moc i zgasił namiastkę życia, która kołatała się w okaleczonym ciele czarodziejki, jakby zadeptywał pochodnię. Wbrew oczekiwaniom nie poczuł ciepła jak przy czerpaniu – czymkolwiek demony uczyniły Sisarę, nie zdołał z niej wchłonąć nawet odrobiny sił.

Wyszedł, nadal mając w uszach echo jej przekleństw.

Na zewnątrz trwała noc. Nie było widać gwiazd, niebo zasnuły chmury. Za to bijąca od morza błękitnawa poświata wyraźnie przybrała na sile.

Gdy obejrzał się za siebie, chata płonęła. Ogień buchał wysoko, powietrze wokół drgało od żaru. *Niemożliwe* – pomyślał trzeźwo żmij. – *To złudzenie. Przecież kości nie płoną.*

Z trzaskiem zapadł się dach, siejąc iskrami. Dmuchnął wiatr; fale wzburzyły się, zapieniły.

Ignorując to wszystko, Krzyczący zamknął oczy. Chciał jak najprędzej opuścić przekłete wybrzeże, ale wyglądało na to, że nie pójdzie mu łatwo. Aura była tu spójna, z przewagą srebra. Prawie nie sposób otworzyć przejścia w czymś takim bez długich przygotowań.

Mimo wszystko spróbował. Początkowo bez efektu, jednak po chwili nad wodą zamajaczył krąg wirującej szarości.

Zanim zmij weń wstąpił, obejrzał się raz jeszcze. Na horyzoncie migotały błyskawice. W miejscu, gdzie wcześniej stała kościana chata, dogasały zgliszcza.

* * *

Po drugiej stronie portalu nie było mgły, lecz ciemność, której nawet oczy *ka-ira* nie były w stanie przebić.

Zatrzymał się, zdezorientowany. Zamrugał – nie pomogło. Skupił się i spróbował wyczarować światło.

Bez skutku. Z przywołaniem mocy nie miał kłopotu, ale światło nie chciało zapłonąć. Spróbował raz jeszcze. Efekt był taki sam, czyli żaden. Zaklął przez zęby. Pozostało mu tylko jedno – przenieść się po raz kolejny. Źle, że marnował na to energię, której nie miał jak uzupełnić, ale nie było wyboru.

Nie udało się. Czar nie podziałał i już. Zmija ogarnął chłód.

Pułapka.

Spróbował po omacku ruszyć przed siebie. Po trzech krokach natrafił na ścianę. Sześć kroków w przeciwną stronę – też ściana. Zaczynał czuć się coraz bardziej nieswojo. Położył na ziemi chustkę i ruszył przed siebie wzdłuż muru. Po kilkunastu krokach dotarł z powrotem w to samo miejsce.

Zamknięta przestrzeń. Sucha, pusta studnia; żadnych drzwi, otworów czy choćby występów w murze.

Spokojnie – rozkazał sobie zimno. – *Tylko nie panikuj.*

Naraz zeszytywniał. Owionął go zapach perfum. Słodko-gorzka nuta brzoskwiń i kwiatu pomarańczy.

Chłodne palce dotknęły jego dłoni. Wyrwał się, odwrócił, dobywając ostrza.

– Nie groź mi – powiedziała. – Nie boję się stali.

Na jego oczach zajaśniała w mroku – fosforyzująca postać w zwiewnych szatach; niebieskawy blask sączył się przez nie jak przez warstwy pajęczyn. Twarzy nie sposób było rozróżnić.

Jedna z umarłych? Na pewno nie. Demon? Nie wyglądała na to.

Anioł?... Mało prawdopodobne. W Świętej Księdze zapisano, że

wszystkie anioły umarły.

Nie, raczej nie należy ci ufać. Otchłań ma wiele kręgów i wiele obliczy...

– Nie obawiaj się – dorzuciła, jakby czytając mu w myślach. – Jestem tu po to, by ci pomóc. Przyjmij z powrotem kawałek swojej przeszłości. – Wyciągnęła dłoń, chcąc mu coś wręczyć. Cofnął się nieufnie.

– Nie wygłupiaj się – parsknęła. – Aż tak groźnie to wygląda?

Kamień. Z błękitnej plaży? Nie przypominał klejnotu, lecz zwykłą bryłkę granitu.

– A cóż to takiego?

– Spójrz jeszcze raz – poleciała, i Krzyczący nagle ujrzał, że zamiast kamienia trzyma flet. – Zagraj, a muzyka otworzy ci drogę.

– Nie umiem grać! – zaprotestował.

– Kiedyś byłeś muzykiem. Nie mogłeś wszystkiego zapomnieć.

To było jak sen. Patrzył na instrument i nagle uświadomił sobie, że... rzeczywiście umie. Zdjął rękawiczki i zagrał na próbę kilka nut.

Trzasnęło. W murze pojawiła się rysa; za nią jarzyła się ponura czerwień. Nagle ogarnięty niepokojem, Krzyczący w Ciemności popatrzył na zjawę.

– Co jest za murem?

Zbyła pytanie niecierpliwym machnięciem ręki.

– Graj. Chcesz się stąd wydostać czy nie?

– Łatwo ci mówić. Nie pamiętam żadnych utworów.

– To zagraj cokolwiek. Gameę.

Zagrał po kolei cztery najprostsze gamy. Najpierw z potknięciami, potem już gładko. Czuł się coraz swobodniej, w miarę, jak wracały dawno zapomniane ruchy i układy palców. Rys w ścianie przybywało, czerwonego światła również.

Pasaż; jeden, drugi. Mur kruszył się, rozpadał; wielkie bryły odpadały z niego i, nie sięgnąwszy ziemi, rozsypywały się w proch, w nicość. W górze ukazało się nocne niebo.

Stał na pustynnej równinie, zalanej łuną, jakby tuż za horyzontem szalał pożar. Światło nieznanego istoty zgasło; przypominała smugę dymu.

– Co teraz?... – Spojrzał na nią pytająco.

– Graj dalej. Krąg się zamyka. Masz szansę wrócić tam, skąd

przybyłeś.

– Nie pójdziesz ze mną?

– Myślę, że od tego miejsca poradysz sobie sam. Pamiętaj, nie wolno ci się zatrzymywać ani oglądać za siebie. Nie słuchaj nikogo, kto wołałby do ciebie z oddali. Jeśli trafisz nad świetliste morze, uciekaj. Śpiew spod fal oznacza śmierć.

– A co z fletem?

– Flet zatrzymasz, ale zapomnisz, skąd go masz. Tak będzie dla ciebie najlepiej.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Miał coraz silniejsze wrażenie nierealności, jakby stał na scenie w otoczeniu teatralnych dekoracji. Jakby cała sytuacja była ukartowana z góry.

Nieznajoma, z każdą chwilą bledsza i bardziej przezroczysta, końcami palców dotknęła jego czoła.

– O mnie też zapomnisz, Brune. I przestaniesz martwić się snami. Nie są ważne.

– Snami... – Nagle poczuł ukłucie niepokoju. W głębi umysłu zakiełkowało złe przeczucie, jeszcze zbyt nieokreślone, by je ująć w słowa.

– Idź – ponagliła go zjawa, już ledwie widoczna. – Spiesz się! Inaczej na zawsze zostaniesz w królestwie larw!

– Zaczekaj! – wybuchnął. – Czemu mi pomogłeś? O co tu chodzi? Kim jesteś?!

– Idź... – jej cichnący szept, zanim rozwiała się zupełnie.

Łuna powoli gasła. Zaczął grać.

* * *

Zapadła ciemność. I w ciszy usłyszał szum fal. Zapachniało solą i wodorostami.

Tylko nie to – pomyślał zrezygnowany. – Z powrotem do punktu wyjścia? Oszukałaś mnie?

W czerni pojawiło się światło, niewyraźne, lecz przybywało go z każdą chwilą. Najpierw zobaczył zarysy głazów i przybrzeżne pasemko białej piany. Stopniowo ujawniły się szczegóły rozległego pejzażu. Zmij odetchnął. Gdzie jak gdzie, ale na Wybrzeżu Klejnotów i Kości nie znajdował się na pewno.

Plażę pokrywał żwir. Przy brzegu z wody sterczały oblepione muszlami skałki. Morze dorównywało czernią bezgwiezdnyemu niebu, lecz w jego głębi jarzyła się odległa jasność, przeświecając przez fale jak przez szkło.

Widok, choć posepny, zarazem pełen był piękna. Brune poczuł żal, że nie może tu zostać dłużej. Z rezygnacją pomyślał o nieznanym liczbie miejsc, jakie będzie jeszcze musiał odwiedzić, zanim kapryśne mechanizmy rządzące sferami pozwolą mu wrócić do domu.

Zadrzał, gdy podmuch wiatru przejął go zimnem. I zamarł, bo wraz z wiatrem od strony fal przypląnęły dźwięki. Kryształowo czysty śpiew wielu głosów. Melancholijny, lecz słodki, hipnotyzujący. Chciałoby się go słuchać w nieskończoność.

Co ty wyprawiasz? Zatkaj uszy, głupcze, i zabieraj się stąd czym prędzej! Nie pamiętasz, przed czym cię ostrzegano?

Ale nie był w stanie się poruszyć.

Pieśń rozbrzmiewała coraz głośniejsze. Wydawała się wypełniać cały świat, wprawiając w drżenie powietrze, wodę i skały. Żmij poczuł narastającą, przemożną tęsknotę. Ogarnęło go pragnienie, by podążać śladem muzyki, odnaleźć tych, którzy śpiewają, i dołączyć do nich. Na wieczność.

Nie! Oszalałeś? Nie wolno ci! Uciekaj stąd! Śpiew spod fal oznacza śmierć!

Zdusił w sobie te myśli. Muzyka była ważniejsza.

Teraz był w stanie rozróżnić słowa pieśni. Serce zabiło mu szybciej, gdy pojął, że jest skierowana do niego. Głosy wabiły, przyzywały.

Wyrzeknij się czerni, flecisto. Chodź do nas.

Woda zmywa grzechy. Oczyszcimy cię. Ocalimy od zguby.

Kłamliwa pokusa? Znał opowieści o syrenach, które mają śpiewem marynarzy, a potem wciągają ich w głębinę. Nigdy nie chciało mu się wierzyć, by śpiew mógł posiadać taką moc.

Aż do teraz.

Głosy przestały śpiewać; zamiast tego wołały go po imieniu. Pomyślał tępo, że jeśli nie usłucha, pęknie mu serce. Wsunął flet w zanadrze i zaczął iść w kierunku światłości, brodząc w pogłębiającej się wodzie.

Ledwie zanurzył się po pas, fale zaczęły się rozstępować. Być może coś wyłoniło się spod nich; żmij nie zobaczył co.

Miał wrażenie, że w twarz buchnął mu oddech zmieszany z ogniem. Wszystko utonęło w jasności i porażającym bólu.

Nie wiedział, jakim sposobem znalazł się z powrotem na brzegu. Na wpół oślepiony, w panice uniósł ręce, żeby sprawdzić...

Pomału docierało do niego, że nic się nie stało. Nie było żadnego ognia. To bijąca od morza jasność sprawiła, że blizny zaczęły tak potwornie piec.

Mglista postać znów pojawiła się znikąd. Zbliżyła się, wyciągając rękę. Normalnie zareagowałby jak na zagrożenie; cofnąłby się albo przynajmniej zrobił unik. Ale teraz był zbyt oszołomiony i pochłonięty bólem, żeby odruchy paranoika działały.

Pogładziła go lekko po policzku i palenie zelżało.

– Ostrzegałam cię przed głosami, które wabią naiwnych. Nie słuchaj ich, chcą twojej zguby. Chodź. Wyprowadzę cię stąd.

Chociaż jeszcze przed chwilą każdą cząstką jaźni pragnął podążać ku światłu, teraz uległ. Pozwolił, żeby poprowadziła go w przeciwnym kierunku, przez gęstniejącą mgłę. Śpiewy cichły w oddali, aż w końcu zastąpiła je cisza.

Wszystko wokół ciemniało. Już nie widział postaci, ale czuł dotyk i perfumy. Potem został sam zapach, a właściwie – cień zapachu. I trudna do wytłumaczenia pewność, że ona przez cały czas trzyma się w pobliżu. Opiekunka i przewodniczka.

Piasek ustąpił miejsca twardemu podłożu. Szli długim i wąskim korytarzem wykutym w skale; odgłos kroków rozbrzmiewał echem w zamkniętej przestrzeni. Żmij w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że jego ubranie jest znowu suche, jakby nigdy nie wchodził do morza. Wrażenie czyjeś obecności obok stawało się coraz bardziej ulotne. W końcu chłodny prąd powietrza szarpnął jego płaszczem, zmierzwił włosy.

– Jesteśmy z powrotem w twoim świecie, Brune – usłyszał, albo tylko mu się zdawało. – Otwórz oczy!

Zamrugał jak przebudzony.

Stał na kolejnej plaży u stóp kredowego klifu. Piasek pod nogami nie był błękitny, lecz szary, pokryty smugami wodorostów. Niebo na zachodzie płonęło zorzą, za zakrętem wybrzeża ciemniała ściana lasu.

Nie znał tego miejsca. Prądy Zmroczy nie były tu zbyt silne. Ale gwiazdy w górze – znajome.

Kawałek dalej fale wyrzuciły na brzeg spuchnięte ścierwo owcy, pozbawione wełny i sporej części skóry. W oczodołach poruszały się morskie żyjątka. Mimo że słońce już zaszło, nad zewłokiem krążyło, bzycząc, kilka much. Brune zmarszczył brwi. Czy mu się zdawało, czy też odór rozkładu zawierał domieszkę słodocy, przywodzącej na myśl jaśmin i kadzidło? Na wszelki wypadek ominął truchło szerokim łukiem.

Kiedy w chwilę później spojrzął wstecz, owca zniknęła, jakby fale zabrały ją z powrotem w głębinę, choć przecież morze było spokojne jak oliwa.

Usiadł na piasku, zamierzając trochę odpocząć przed powrotem do enklawy. Nagle przypomniał sobie, że w zanadrzu wciąż ma flet. Wyjął go, obrócił w dłoniach. Dmuchnął na próbę. Instrument odpowiedział czystym dźwiękiem.

Brune zaczął grać prostą melodię, zasłyszana nie wiadomo gdzie; najpierw powoli i niepewnie, ale z każdą nutą szło mu lepiej.

* * *

W podziemnych koszarach panowała cisza. Musztrę dawno zakończono, nocne patrole wyszły na miasto, a żołnierze niebędący na służbie spali. Piece w laboratoriach były wygaszone; siny blask wypełnionych świeciwem lamp padał na puste stoły i poustawiane schludnie szklane naczynia. W największej z sal laboratoryjnych trwały w bezruchu dwa szeregi golemów służebnych, jak co wieczór uśpione zaklęciem.

W refektarzu u krańca jednego z długich stołów stała latarenka pełna świecącej mazi. Dwaj akolici, którzy dopiero przed półgodziną zakończyli swoje obowiązki, w ponurych nastrojach dojadali spóźniony posiłek.

– Słyszałem, że Wysoka Rada wydała wyrok na Iglendis ar Vanth – mruknął Amadian, z niesmakiem wydłubując spomiędzy zębów resztki źle przyrządzonego mięsa. – Uwięziono ją w kokonie. Pierwszy tak surowy wyrok od czasu Zaihosa Zdrajcy.

– Dziwisz się?

– Nie. – Wytatuowany akolita wybrał z tacy jabłko i zaczął je obierać z tą samą metodyczną precyzją, z jaką regulował mechanizmy

golemów. – A tego całego *ka-ira* nadal nie złapano. Myślisz, że stary zamierza to tak zostawić?

– Myślę, że nie. Dziś rano przyszło pismo od arcymistrza.

– Skąd wiesz? – ożywił się Amadian.

– Z pewnego źródła. Arcymistrz jest niezadowolony. Naciska na starego, żeby podjął bardziej zdecydowane kroki, zamiast zdawać się na mafię i łowców nagród.

– I co, sądzisz, że stary posłucha?

– Musi, jeśli chce zachować stanowisko. – Astael dolał sobie wina. – Mam tylko nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy wysłać w sfery oddziały moich najlepszych golemów.

– Myślisz, że drań prysnął w sfery?

Tymczasowy dowódca podziemnego garnizonu spojrział na wytatuowanego kolegę z niejakim pobłażaniem.

– Jest to niemal tak pewne, jak to, że smoki wymarły. Ten przeklęty to niegłupia sztuka. Gdyby był głupi, już by zdychał w godnej umieralni.

– A stary...

– Stary coś wymyśli – uciał Astael. – Od tego w końcu jest.

* * *

Jedwab i brokat cicho szeleściły, gdy Demetheos ar Kel szedł korytarzami podziemnego kompleksu. Jego ceremonialne szaty, ciężkie od haftów, mieniły się w zimnym blasku lamp.

Obojętnie minął komnatę, zza okutych drzwi której dobiegało echo cierpienia, jak nieustający, mrozący aż do kości wrzask.

Prawo Elity jest bezlitosne, jeśli chodzi o karanie niekompetencji. Iglendis ar Vanth tkwiła w kadzi, uwięziona w kokonie z symbiontów. Niezdolna się poruszyć, odcięta od prądów Zmroczy, lecz przytomna. Z czasem, jak wiedział Demetheos, osunie się w szaleństwo, lecz nie stanie się to prędko; ciało i umysł maga są odporne.

Czas. Opiekun Miasta popatrzył na zamknięte odrzwia. Dostała go dość, by przemyśleć swój błąd.

Poszedł dalej, mijając laboratoria, gdzie cicho syczała aparatura i unosiły się wonie, jedne mdlące, inne ostre. Kadzidla, surowego mięsa, płynu odżywczego, którym karmiły się symbionty, octu, zgnilizny,

witriolu, kamfory, siarki, rozpalonego metalu, śmierci i życia.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi pokryte symbolami wymalowanymi czerwoną farbą. Demetheos otworzył je.

Niewielkie pomieszczenie oświetlała pojedyncza lampa. Za stołem czekał mężczyzna w błękitnej szacie – do niedawna akolita w szeregach Elity. Na widok sędziwego mistrza wstał niezgrabnie i skłonił ogoloną głowę, pokrytą różowymi plackami blizn.

Dziesięć dni dryfowania przez sfery – zbyt długo, by rany Gretiusa dało się w pełni wyleczyć, choć uzdrowiciele Elity mieli do dyspozycji zaklęcia, symbionty i kosztowne zamorskie medykamenty. Wyzdrowiał, lecz pozostał naznaczony; stracił oko, ucho i kilka palców.

Srebro to doskonałość. Fizyczna skaza w każdym wypadku zdyskwalifikowałaby go z grona magów, lecz podwójnie przytłaczające było to, że nosił trwały znak hańby – pokonany i okaleczony przez przestępcę z rynsztoków.

Dano mu wybór. Mógł wypić napój zabijający dar i pozostać w szeregach Elity jako pogardzany sługa w błękitnie. Lub poświęcić życie, by odzyskać honor.

Przed nim na blacie czekały głęboka szklana misa i nóż o srebrnym ostrzu.

– Już czas – powiedział niegłośnie Demetheos. – Zmroczą sprzyja. Za godzinę zaczynamy ceremonię.

Gretius przytaknął.

Wydawał się spokojny, lecz aura nigdy nie kłamała. Wbrew wieloletniemu szkoleniu płonął oczywistym, ludzkim pragnieniem zemsty. Bardzo dobrze. Jego krew i siła życiowa posłużą do nadania temu pragnieniu fizycznej postaci.

16. Srebrny myśliwy

Noc była pogodna, nad wieżą Opiekuna Miasta lśniły gwiazdy. Od czasu do czasu między konstelacjami migotliwie zarysowywały się tęczowe nitki, układające się w skomplikowaną sieć. Była to tak zwana Pajęczyna Kar-Isaath, rzadko spotykany fenomen; znak, że stan Ekwilibrium nie tylko dopuszczał ryzykowne magiczne obrzędy, ale im sprzyjał.

Na dziedzińcu wieży trwały przygotowania do jednego z najtrudniejszych rytuałów, jakie znała srebrna sztuka. W siedmiu świecznikach płonęło łącznie czterdzieści dziewięć białych świec. Demetheos ar Kel kończył rysować ostatni ze skomplikowanych symboli, a asystujący mu akolita Amadian kołysał kadzielnicą, odmawiając inwokację do duchów powietrza.

Rytuał był nie tylko trudny, ale też skrajnie wyczerpujący, dlatego Opiekun Miasta nie zaryzykowałby go z własnej inicjatywy. Jednakże rozkazy arcyministra nie pozostawiły mu wyboru.

Pośrodku jednego z kręgów stała misa wypełniona krwią akolity Gretiusa. Sędziwy mag nabrał w dłoń piasku zmieszanego z solą i nakreślił nim na płytach dziedzińca ostatnią linię.

– Pas mocy – polecił Amadianowi. Ten ostrożnie wyjął z hebanowej szkatuły żądany przedmiot, sporządzony z lamparciej skóry, złota i rubinów. Przepasał nim szatę mistrza, po czym skłonił się i wycofał na bezpieczną odległość.

Demetheos stanął w kręgu i skupił się, pozwalając, by jego umysł wypełniła srebrna pieśń. Wzniósł ręce ku niebu, szepcząc formuły.

* * *

Przez ciszę, która trwała nad górskim jeziorem w enklawie, przesączały się dźwięki fletu.

Brune siedział na kamieniu nad wodą. Przed sobą rozłożył kupione

w antykwariacie nuty. Ostrożnie rozczytywał jedną z prostszych melodii, a przez jego głowę znów przepływały obrazy.

Zamek wśród gór, biegnąca przez dziedziniec dziewczyna o jasnych włosach. Dziewczyna w żałobnej sukni wśród spopielonego pejzażu. Człowiek w czarnym stroju i białej masce.

Wybieraj, flecisto. Srebro albo...

Sprawiasz sobie ból, a prawdy i tak nie poznasz. Nie na darmo nazywają nas Władcami Kłamstw...

Tohistoria Adriena de Vere.

Maski, imiona, miraże. Szepty umarłych. I szarość, czekająca na końcu każdej ścieżki.

Żmij przerwał grę w połowie taktu i opuścił flet, przytłoczony bezsilnością – rozdarty między pragnieniem poszukiwania prawdy a poczuciem, że nie ma to sensu.

I nagle przyszła mu do głowy myśl. Aż pstryknął palcami, olśniony. Imię.

* * *

Miasto tonęło w błocie i we mgle. Po Podziemiach niósł się dym z ognisk, przy których kulili się bezdomni. Umarli mamrotali zazdrośnie, gromadząc się tuż poza granicą światła, złaknieni ciepła, którego nigdy już nie będzie im dane poczuć.

Krzywą Aleję spowijał mleczny opar; chylące się ku ruinie domy majaczyły w nim niczym sylwetki przygarbionych kalek. W chacie Gorczyca pachniało ziołami i rozgrzanym gęsim tłuszczem. Staruszka cierpliwie ucierała w garnuszku maść. Zima zawsze była trudną porą dla jej pobratymców; chorowali wskutek zimna, wilgoci, kiepskiego jedzenia. Jednym mogła pomóc, innym nie.

Mamrocząc formułę, wlała do ostro pachnącej mazi nieco oleju z nasion wyszczerbieńca i wznowiła ucieranie. Na mądrość Harana, na moc Eresha, siedem razy w prawo, siedem razy w lewo, na światło Arayi, na dłonie Leleyi, siedem razy w prawo....

Naraz z cieni pod ścianą ukształtował się ciemniejszy kształt o oczach jarzących się żółto. Gorczyca nawet nie drgnęła.

– Chodź i ogrzej się – powiedziała, robiąc mu miejsce przy ogniu. – Wróciłeś, wężu? Nie powinieneś się tu zjawiać. Tropią cię, wężą.

– Wiem.

W blasku płomieni żmij zatracił pozory demoniczności, jego źrenice przygasły. Gorczyca zauważyła, że płaszcz i buty ma suche, bez śladów błota.

Przypomniała sobie, jak zjawił się u niej po raz pierwszy – obdarty i brudny, patrzący nieprzytomnie. Dziwiła się później, że tak szybko wyzdrowiał, powrócił do normalności, że nie miał nawrotów obłąkania. *Szczęściarz* – myślała nieraz. Może nawet nie zdawał sobie sprawy, jak cienka granica oddziela go od ponownego osunięcia się w chorobę. Umysł, który czarownica pomogła uzdrowić, przypominał naprawione porcelanowe naczynie; już zawsze będzie nieco słabszy, ze śladami rys.

– Po co przybyłeś?

– Muszę o coś spytać, matko.

– Pytaj – westchnęła.

– Kiedy zjawiłem się w Shan Vaola, nie pamiętałem o sobie nic poza tym, że nazywam się Brune Keare. Ty nadałaś mi nowe imię, mówiąc, że ukradłem to, które noszę. – Krzyczący w Ciemności zawahał się. – Zakazana Sztuka zna rytuał, w którym przejmuje się imię zabitego przeciwnika wraz z jego mocą.

– Kilka takich rytuałów, jeśli chodzi o ścisłość – poprawiła go Gorczyca. – Można w ten sposób uwolnić się od klątwy lub uciec przed przeznaczeniem, choć jak każdy fortel, i ten nie zawsze się udaje. Czemu nagle zaczęło cię to ciekawić?

– Jeśli zabrałem komuś imię, czy można sprawdzić, kiedy i jak to się stało?

– A po co ci to?

– Bo chcę wiedzieć, kim byłem wcześniej. Muszę poznać swoją przeszłość, matko. Inaczej w końcu mnie to zniszczy. – Jego twarz wykrzywiła się w tiku; przykrył policzek dłonią. – Jeśli zabiłem kogoś, żeby zdobyć nową tożsamość, chcę wiedzieć, kto to był i co mną kierowało. Przed czym musiałem uciekać.

– Nierozsądnie, wężu. – Gorczyca cmoknęła. – Próbowałeś już zgłębić zagadkę swoich wspomnień, snów czy czego tam jeszcze, i nic dobrego z tego nie wynikło.

Oczy żmija zwęziły się.

– Rozmawiałaś ze Staruchem?

– Rozmawiałam.
– I cóż takiego ci powiedział?
– Że szukałeś odpowiedzi w sferach. I że ich nie znalazłeś.
– Staruch ma za długi język – mruknął Krzyczący. – Ale mniejsza z tym. Nie znalazłem odpowiedzi, bo widać źle szukałem. Teraz chcę zacząć od nowa. Proszę, pomóż mi.
– Nie ma mowy – ucięła czarownica.
– Czemu?
– Przeszłość minęła, wężu. Niczego nie zmienisz. Nie draż tego. Żyj.
– To nie takie proste – odparł z goryczą.
– Wiem – odrzekła Gorczyca. Westchnęła znowu. – Nic nie jest proste, wężu. Ani życie, ani śmierć, ani czerni, ani srebro. Nic na to nie poradzimy, ani ty, ani ja. Jesteś magiem, masz swoją drogę, podążaj nią. Wszystko inne jest jak śnieg, który pada i topnieje. Czy ktokolwiek jest w stanie powstrzymać nadejście zimy? Wiosny?

Czuła, że nie zrozumiał. Że będzie dalej prowadził poszukiwania – bez względu na cenę i ryzyko. Ale to była jego droga i jego wybory.

– Żegnaj, matko – powiedział cicho. Kontury jego postaci już się zamazywały, a po chwili rozpląnął się w powietrzu. Odmianka tylko westchnęła.

Roztarła odrobinę maści na dłoni i cmoknęła z aprobatą, czując w tym miejscu gorące mrowienie. Obwiązała garnuszek płótnem, po czym sięgnęła po płaszcz i kostur, by zanieść lek chorym dzieciom starosty Scypuła.

* * *

Na Wybrzeżu Klejnotów i Kości, nieopodal ruin spalonej chaty, w morskiej pianie pławiła się undyna z rybim ogonem. Echo czerni emanujące z pogorzelniska nie niepokoiło jej – sprawy śmiertelników, choćby i magów, nie były jej sprawami. Śpiewała cicho, czesząc zielonawe włosy. Kilka płazopodobnych stworków, jej dzieci, zabawiało się rzucając w siebie rubinami i perłami.

Nagle rozbiegły się spłoszone, gdy padł na nie cień. W górze przemknął biały kształt.

Wysłannik leciał jak wypuszczona z łuku strzała.

* * *

Na stole paliła się świeczka, oświetlając cztery buteleczki oraz kieliszek z resztką przezroczystego, pachnącego liliami eliksiru. Krzyczący w Ciemności nieobecny wzrokiem wpatrywał się w nuty. Zaczynały mu się rozmywać przed oczami, przemieniając się w wizje – kolejną wariację na tle motywów, które znał.

Miasto spowite dymem, ogarnięte zarazą – stosy płonące na ulicach, pod ścianami domów trupy i jęczący chorzy.

Dziewczyna w żałobnej sukni obcina włosy, ich pasma spadają na ziemię.

W świetle księżyca ciemnowłosy mężczyzna wije się w mękach, przygwożdżony ostrzem rapiera. Wokół niego rozlewa się czarna kałuża.

– Zabiłeś mnie i ukradłeś moje imię! Przez ciebie cierpię w Otchłani, pionku demonów!

Wiatr wzbija kłęby pyłu znad spalonego pustkowia. Popiół w oczach i ustach... Tylko popiół...

Brune ocknął się, oddychając ciężko. Przetarł ręką twarz.

Kłamstwa, same kłamstwa, majaki... Gorczyca miała rację. Dureń ze mnie.

Świeca kopciła; zdmuchnął ją i przez chwilę siedział bez ruchu. Uświadomił sobie, co wyrwało go z transu – napięcie i niepokój, niemające nic wspólnego z ujrzaną wizją. Wyteżył zmysły maga, sięgając w przestrzeń. Nie wyczuł niczego konkretnego, ale coś wyraźnie było nie tak. Zmroczła go ostrzegąca.

Założył kurtkę, pospiesznie sprawdził, czy sztylety są na swoim miejscu, czy ma w kieszeniach najpotrzebniejsze magiczne akcesoria, i wyszedł z domu. Gwiazdy odbijały się w nieruchomej powierzchni stawu.

Patrząc na milczące kształty gór, zmij nagle poczuł dreszcz – mdlącą pewnością.

Coś zbliżało się do enklawy.

* * *

Wysłannik leciał jak wypuszczona z łuku strzała. Skupiony na celu, beznamiętny.

W dole przesuwały się skaliste szczyty i doliny. Gdzieś tam wśród gór kryła się jego ofiara, przyobiecany łup.

Ślepią barwy rtęci zwęziły się nagle; stwór zwinął skrzydła i zanurkował ostro. W locie rozmył się i znikł jak porwana wiatrem mgła, przekraczając granicę wymiarów.

Zwierzyna uciekała.

* * *

Brune zmaterializował się na kamienistym zboczu gdzieś na rubieżach dominium gnomów. Nie chciał marnować sił na daremną ucieczkę. Cokolwiek go ścigało, i tak odnajdzie ślad, skoro wytropiło zmija w jego własnym azylu. Miał nadzieję, że zdążył się stamtąd teleportować dostatecznie szybko, by ścigający podążył za nim i nie starał się łamać zabezpieczeń enklawy.

Tam dopadłby mnie tak czy owak, a jeśli przeżyję walkę, będzie miło mieć jeszcze dom, do którego można wrócić.

Nie zdążył zażyć niczego, co zniwelowałoby działanie esencji snów, ale samo napięcie podziało na niego jak lodowata woda, przeganiając resztki odurzenia.

A jeśli zareaguję za wolno, najwyżej będzie to ostatnia pomyłka w moim życiu.

Rzutem oka ocenił otoczenie. Stał u wylotu żlebu; kawałek wyżej wznosiły się skalne ściany, a kilkanaście kroków dalej zbocze urywało się jak ucięte nożem, przechodząc w przepaść – stąd nie mógł ocenić, jak głęboką. Niedobrze. Ale było już za późno, żeby uciekać dalej. Ostrzem sztyletu pospiesznie nakreślił na przedramionach ochronne znaki i przykląkł za najbliższym głazem.

Ponad piargami zmaterializowało się stworzenie – nie golem, nie odmieniec i nie demon. Zawisło na niedużej wysokości, bijąc nietoperzymi skrzydłami, pełne przerażającej gracji, jaka cechowała najbardziej wyrafinowane dzieła srebrnych. Tułów miało lwi z kształtu, lecz o sierści barwy śniegu; osadzony na długiej szyi pysk, ni to koci, ni jaszczurczy, jeżył się kłami, zaś giętki ogon uzbrojony był w kolec jak u skorpiona.

Za sprawiedliwość! Za srebro! Telepatyczny okrzyk rozbrzmiał w umyśle Krzyczącego niczym głuchy dzwon. W następnej chwili zmija załaga jasność – porażająca oczy biel.

Chciał jęknąć, ale nie był w stanie nawet zaczerpnąć tchu. Fala srebrnej mocy pochłaniała go, wymazywała jego świadomość. *Umieram*. Myśl ta nie wzbudziła w nim lęku, raczej ulgę.

Ostatnim wysiłkiem poszukał w kieszeni gemmy z wizerunkiem Władcy Much i zacisnął na niej palce. Oprzytomnienie było nagłe niczym trzaśnięcie biczem. Odskoczył, w ostatniej chwili unikając szponów, kłów i śmigającego ogona. Kamienie pod jego nogami zgrzytnęły ostrzegawczo, trochę żwiru posypało się w dół. Gemma wypadła mu z dłoni, potoczyła się po skałach i zniknęła w jakiejś szczelinie.

Przypadł do ziemi, osłaniając się zaklęciem tarczy. W ręku miał już rapier.

Nie mogę się cofać – przypomniał sobie z dreszczem. – *Przepaść*.

– Chodź – szepnął, mrużąc oczy, które rozjarzyły się żółto.

Wysłannik się zawahał. Jego natura nie знаła takiego uczucia jak lęk, lecz w zwojach jego prostego mózgu musiała zakiełkować niepewność.

Brune zaatakował jak błyskawica – odruchy wyćwiczone podczas lekcji ze Szczurem i Rozkiem znowu się przydały. Przywołana moc płonęła w jego żyłach; już bez trudu balansował na nierównym podłożu. Gdy żadne z pchnięć nie sięgnęło celu, lewą ręką cisnął garść sinego ognia, potem następną. Wysłannik Elity uniknął obu, wzlatując wyżej; ślepa miał teraz wąskie i złe.

Spikował z przenikliwym wizgiem, lecz musiał zboczyć, napotkawszy tarczę. Żmij śledził go, skupiony i ponury. Wiedział, że jego własne siły, siły ciała z krwi i kości, wyczerpią się szybciej niż energia magicznej istoty.

Nie przedłużaj walki. Kiedy się zmęczysz, staniesz się łatwym celem.

Stwór zawisł w powietrzu, rozwarł paszczę i rzygnął białymi płomieniami. Rozbryznięły się one wzdłuż niewidzialnej sfery tarczy, otaczając żmija oślepiającym inferno. Brune syknął z bólu, czując, jak opuszcza go siła życiowa – niewiele brakowało, żeby utracił koncentrację. Parę miesięcy wcześniej utraciłby ją na pewno.

Trzeba to skończyć.

Gdy płomienie opadły, skupił się, przywołując więcej mocy – tyle, ile tylko był w stanie. Jego postać spowił cień, jedynie oczy nadal lśniły. Uniósł dłoń, wokół której zaczęła się kształtować i rosnać kula czarnej energii. W następnej chwili zabrzmiał huk, od którego zadrżała ziemia, a od skalnych ścian odbiły się tysiące ech.

Piorun Borseliusa.

Wysłannik zwał się z wrzaskiem i trzepotem skrzydeł. Żmij podszedł powoli, osłaniając się na wszelki wypadek zaklęciem tarczy, ale stworzenie nie stanowiło już zagrożenia. Wiło się wśród piargów; z jego ran płynęła dziwna, srebrzysta krew, zastygając od razu w sople.

Krzyczący w Ciemności dobił istotę pchnięciem rapiera. Sekundę później spłynęło na niego wyczerpanie – zbyt późno pojął, że popełnił klasyczny błąd, rzucając czar tak potężny, że niemal przekraczało to możliwości jego ciała. Opadł na kolana, oddychając ciężko, nagle zbyt słaby, by ustać. W uszach zaczęło mu pulsować głuche, wzmagające się dzwonięcie; położył się na kamieniach w obawie, że straci przytomność.

Spokojnie. To zaraz minie.

Lecz wtedy gdzieś blisko zabrzmiał rumor, szybko narastający do huku.

Lawina.

Brakło mu sił, żeby podtrzymać tarczę, nie mówiąc o dematerializacji. Zdążył się tylko skulić, modląc się, żeby zanikająca osłona przynajmniej częściowo go ochroniła.

* * *

W jakiś czas po niechlubnej przygodzie z gwiazdnym kryształem Demetheos ar Kel otrzymał od samego arcymistrza drobny podarek. Zwierciadło N'hel, dzieło kapłanów z dalekiej północy, zdolne pokazywać rzeczy odległe, przyszłe i przeszłe. Srebrni magowie niechętnie korzystali z artefaktów, które nie wyszły spod ręki Elity, więc można to było odczytać trochę jak ofiarowanie szewcowi butów. Arcymistrz w czasie audyencji miał wyraźnie złośliwy błysk w oku, ale Demetheos przyjął prezent z kamienną twarzą i głębokim ukłonem, udając, że nie pojął aluzji.

Powróciwszy do swojej wieży, poświęcił kilka dni na zbadanie możliwości artefaktu i skonstatował, że zabawka jest wielce przydatna. Gdy to odkrył, jego irytacja zmaląła.

Dla niewtajemniczonego oka zwierciadełko wyglądało niezbyt imponująco – oprawione w biały metal, z rączką ze smoczej kości. Kiedy nie było w użyciu, w jego prostokątnej tafli kłębiła się mgła.

Zanim wysłał zabójcę w drogę, wyczerpany zaklęciami Demetheos rozkazał mu dotknąć artefaktu i wypowiedział ostatnią formułę. Chciał śledzić każdy krok wysłannika, przynajmniej tak długo, dopóki ten będzie przebywał w materialnym świecie. Jednak myśliwy wkrótce po wyruszeniu zniknął w bezmiarze sfer. Przez dwie następne doby tafla artefaktu pokazywała tylko nicłość. Stary mag, który swoje obowiązki tymczasowo przekazał w ręce sekretarza i innych akolitów, mógł w spokoju sączyć wzmacniające kordiały i odpoczywać, regenerując siły.

Trzeciej nocy Demetheos, choć jak co wieczór zażył odpowiednie leki, spał fatalnie. Śnili mu się mamroczący umarli, kłębiący się ponad spopielonym pustkowiec. Zdawało mu się, że w centrum ich zainteresowania jest coś ciemnego, obrzydliwego, czego nie widział dokładnie, ale czuł przywiewany wiatrem smród rozkładu.

Ocknął się i zobaczył, że leżące na stole zwierciadełko pełga słabym światłem. Wstał z bijącym sercem.

Jego wargi zacisnęły się, gdy w tafli artefaktu ujrzał rozszarpane, skąpane w srebrnej cieczy zwłoki wysłannika. Jednak obok leżała w kałuży krwi także i jego ofiara.

Nieruchome oczy zmija wpatrywały się w przestrzeń, twarz zastygła w grymasie zaskoczenia i bólu. Demetheos poczuł, że wzbiera w nim mściwa, niegodna Mistrza Elity satysfakcja.

Więc jednak... Jednak się udało.

Jego myśli pobiegły żywiej. Zbudzić akolitów... rozkazać, by zapalili świece w pracowni i przygotowali akcesoria konieczne do rzucenia czaru lokalizującego zwłoki... Posłać wiadomość do Domu Godnego Odejścia na Wyspie Salamander, by czekali w pogotowiu... A potem – potem podyktuje się sekretarzowi raport dla arcymistrza.

Nie miał świadomości, że pod sklepieniem komnaty unosi się niewidzialna dla jego oczu szara postać.

Demetheos był potężnym magiem, lecz z księżniczką Otchłani nie

mógł się równać. Widział w zwierciadle to, co Anyah pozwoliła mu zobaczyć.

Oczywiście gdy srebrni rzuca już swoje czary lokalizujące i odnajdą miejsce, gdzie spoczywa martwy wysłannik, nabiorą wątpliwości. Ale to nie nastąpi tak szybko. A kiedy ujrzą, że zwłoki zmija zniknęły, wcale nie jest powiedziane, że wyciągną z tego właściwe wnioski. Demonessa znała ludzi – wiedziała, jak niechętnie dopuszczają do świadomości myśl, że dali się wprowadzić w błąd. Byle prostak będzie szedł w zaparte i szukał wytłumaczeń pozwalających ominąć to najbardziej oczywiste, a co dopiero dumny Demetheos ar Kel.

Upewniwszy się, że stary mag uwierzył w to, w co tak bardzo chciał uwierzyć, Anyah przepłynęła z powrotem przez zamknięte okno i uleciała w noc. Było mało czasu.

Jej podopieczny umierał.

* * *

Brune jęknął, odzyskując przytomność. Twarz paliła go, w ustach czuł krew i piasek.

Spróbował wstać, ale przeszyły go iskry bólu, które wybuchły w głowie i w plecach, promieniując do karku i nóg. Potem znowu zapadł w błogosławioną ciemność.

Gdy odzyskał przytomność, nadal leżał na boku, zmarznięty i zdrętwiały. Na twarzy czuł lepką wilgoć – blizny musiały się otworzyć. Ból osłabł do tępego ćmienia.

Dostałem w głowę, spadałem?... Nie chciał wracać myślą do tych strasznych paru chwil, kiedy świat wydawał się walić i rozpadać wśród huku toczących się kamieni. Tuż obok leżał głaz, który jakimś cudem albo zrządzeniem losu nie zmiądzzył go. Zakłęcie tarczy czy szczęście głupca?

Żmij zebrał siły i chciał ostrożnie usiąść, ale ciało było jak bryła ołowiu, nie słuchało. Dopiero teraz uderzył go potworny strach.

Sparalizowany?... Bogowie, proszę, nie.

Usłyszał szelest szat, lekkie kroki. Gdy ujrzał, kto się zbliża, zeszywniał.

Ona.

Dziewczyna w szarych łachmanach uklękła, ujęła jego głowę w

dłonie. Poczul uderzenie ciemnej energii – leczyła go. Po chwili zaczęło mu wracać czucie w rękach i nogach.

Zaczerpnął tchu, chciał unieść się na łokciach, ale wtedy jego gardło wypełniła ciepła, metaliczna słoność. Jak przez mgłę zdał sobie sprawę, że się krztusi, z ust cieknie mu krew. Znów poczul ból, tym razem w klatce piersiowej – dźgało przy każdym oddechu, niczym sztyłem.

Obrażenia wewnętrzne. Jak rozdeptany owad.

Rozkaszał się i wszystko ponownie odpłynęło w ciemność.

Gdy się ocknął, dziewczyna w łachmanach nadal klęczała przy nim. Z jej oczu wyzierał strach. Ludzki strach.

– Nie możesz tak po prostu umrzeć! Nie teraz!

Ich oczy spotkały się. Znów dławiąc się kaszlem, Brune daremnie próbował wykrztusić prośbę.

Zostaw mnie. Nie męcz już. Proszę.

– Nigdy – usłyszał, albo tylko mu się zdawało. Dziewczyna w łachmanach dotknęła jego czoła i po raz trzeci osunął się w nieświadomość.

17. Pytania i odpowiedzi

Otworzył oczy i usiadł gwałtownie, ignorując ból, który przeszył jego ciało.

Znajdował się na piarzystym zboczu, którego niższe partie niknęły we mgle. Wokół piętrzyły się skały podobne do żuźla oraz pryzmy popiołu. Po niebie pełzły chmury w odcieniach ołowiu, granatu i metalicznej zieleni.

Psiakrew, co jest? Żyję czy umarłem?

Spojrzał po sobie. Ubranie miał poszarpane i ubrudzone ziemią, kurtka i tunika zeszywniały od zaschniętej krwi. Nie, co jak co, ale walka w dominium gnomów nie była snem. Intuicyjnie czuł, że mogło od niej upłynąć kilka ziemskich godzin, nie więcej.

Stopniowo ogarnęło go złowrogie podejrzenie. Otoczenie miało tak czarną aurę, że od samego przebywania tu czuł przyjemne ciepło, jakby był na lekkim rauszu. To w połączeniu ze spopielonym krajobrazem wręcz narzucało konkluzję.

Szybko sprawdził, czy sztylety są na swoim miejscu. Były. Futerał z fletem, który jakimś cudem przetrwał walkę i lawinę, również tkwił bezpiecznie ukryty pod kurtką.

Żmij rozejrzał się ponownie, już spięty, czujny. Zamarł, gdy ujrzał sylwetkę siedzącą na pobliskim gładzie.

– Zbudziłeś się? Świetnie – oznajmił życzliwie demon o pysku owcy i długich, nieforemnych kończynach. – Nie obawiaj się, nic ci tu nie grozi. Dasz radę wstać?

Brune nie bez trudu dźwignął się na nogi. Był obolały jak po morderczym wysiłku, paliło go pragnienie, jednak nie odniósł wrażenia, że dolega mu cokolwiek poważniejszego.

– Gdzie jestem? – spytał, w zasadzie znając już odpowiedź.

– W Dolinie Popiołów. Anyah przyniosła cię tu nieprzytomnego. Jak się czujesz?

– Bywało gorzej. – Krzyczący przeciągnął się ostrożnie, sprawdzając, które mięśnie zareagują bólem. Równocześnie usiłował ogarnąć sytuację. – Rozumiem, że udzieliliście mi pomocy?

– No ba. Uzdrowiliśmy cię, bracie.

– Więc mam teraz dług wdzięczności względem Otchłani, tak? – W głosie żmija zabrzmiała rezygnacja, ale demon potrząsnął głową.

– To nie do końca tak. Anyah wszystko ci wyjaśni, kiedy się tu zjawi. Teraz odpoczywa. Zmęczyła się, lecząc twoje rany.

Zeskoczył z głazu. Dwa razy wyższy od normalnego człowieka, poruszał się niezgrabnie na długich, kościstych odnóżach, przypominających koślawe szczudła. Odziany w bure szmaty, wyglądał tak groteskowo, że Krzyczący mimo woli zagapił się na niego.

– Ktoś ty, jeśli wolno spytać?

– Jestem Vrish, sługa Spalonego Władcy. Anyah dużo mi o tobie opowiadała. Masz, napij się. – Demon wyciągnął w stronę żmija manierkę, ale ten nie wziął jej. Vrish parsknął.

– Śmiało, bracie, nie zamierzam cię otruć. Dość już się nacierpiałeś.

Brune się poddał. W aurze demona nie wyczuwał wrogości czy fałszu, a zresztą gdyby poczęstowano go trucizną, dar prawdopodobnie by go ostrzegł.

Manierka zawierała wino rozcieńczone wodą. Smakowało dziwnie, wyczuwał w nim jakby nutę kadzidła i ziół. Zmusił się, żeby pić je małymi łykami, nie zakrzusić się.

– Możesz wypić wszystko – powiedział Vrish, kiedy żmij oddał mu opróżnione do połowy naczynie, ale Krzyczący potrząsnął głową. Nie miał aż tyle zaufania do tajemniczego trunku. Demon wzruszył ramionami i sam pociągnął długi haust, po czym zakorkował manierkę i przypiął ją do pasa.

– Chodź – polecił.

– Dokąd?

– Doprowadzić się do porządku i odpocząć. Jedno i drugie dobrze ci zrobi.

Nie widząc innego wyjścia, Brune ruszył za dziwnym przewodnikiem. Czuł się z lekka otumaniony wydarzeniami ostatniej doby. Nie do końca jeszcze przetrawił fakt, że żyje. A może śnił? Majaczył?

Pokonali garb jeżący się połamanymi skalnymi blokami. Tu i ówdzie unosiły się pasma mgły. Potem teren obniżył się gwałtownie i Krzyczący ujrzał przed sobą kotlinę tak zasnutą oparami, że z góry przypominała misę z mlekiem.

Zaczęli schodzić, zagłębiając się w mgłę.

– Bez obaw – rzucił przez ramię Vrish, widząc, że żmij rozgląda się nieufnie. – Nic ci tu nie grozi. Gdzie jak gdzie, ale na naszych włosciach włos ci z głowy spaść nie może.

Brune powstrzymał się od pytań, choć narastało w nim niedobre przeczucie. Na razie półświadomie wolał je odpychać. Chwilowo był bezpieczny – w to akurat mógł uwierzyć – a resztą będzie się martwił później.

Dotarli na krawędź szerokiej rozpadliny. W dole widniało kilka stawków, znad których unosiła się para. W jednym z nich woda bulgotała niepokojąco, a brzeg pokrywały białe i zielonkawe wykwity soli.

– Proszę. – Vrish pokazał w uśmiechu długie, żółte zęby. – Możesz się umyć i przebrać. Masz, Anyah kazała to dla ciebie przygotować. – Wręczył żmijowi zawiniątko. Brune zagapił się na niego.

– To jakiś żart?

– Zwykła uprzejmość. No, czas na mnie. – Vrish parsknął, tupnął racicą i zniknął w obłoku pachnącego kadzidłem dymu.

Krzyczący wycedził przekleństwo. Sięgnął umysłem w przestrzeń najdalej, jak się dało. Na ile mógł ocenić – był sam.

Chwilę deliberował w myślach. Sytuacja wydała mu się cokolwiek groteskowa. Sprawdził zawiniątko; tak jak przypuszczał, zawierało odzież.

Wciąż niezdecydowany, obszedł wszystkie stawki i zatrzymał się przy najdalszym, częściowo skrytym w cieniu wielkiej skały. Był on nieduży, ale wyglądał na dostatecznie głęboki, żeby dało się w nim zanurzyć po szyję. Woda miała barwę szmaragdu. Brune zszedł nad sam brzeg i nieufnie zamoczył w niej palce. Była ciepła, ale nie gorąca. Lekko zalatywała siarką.

Rozejrzał się. Mgły spowijały kotlinę, lecz zmysłami maga nie wyczuwał w pobliżu niczyjej obecności. Stawek także wydawał się bezpieczny, nic żywego nie kryło się blisko jego dna. Coś mówiło żmijowi, że gdyby chciano mu wyrządzić krzywdę, już by się to stało,

więc po namyśle rzucił kurtkę na ziemię i zaczął rozpinać klamry butów.

Ciepła siarkowa woda podziałała cudownie na jego obolałe mięśnie. Chętnie cieszyłby się nią dłużej, ale rozsądek i czujność kazały się spieszyć. Przez cały czas odruchowo sięgał umysłem ku mgłom w obawie, że zaraz wyłoni się z nich coś paskudnego.

Czyste ubranie z zawiniątka było tak podobne do jego własnego, że zakładając je, znów zadał sobie pytanie, czy nie śni. Przełożył zawartość kieszeni, odszukał w kaletce grzebień, rozczesał mokre włosy i związał je. Potem wspiął się kawałek po zboczu, usiadł na rzadkiej, szarej trawie i patrzył, jak nad gorącymi źródłami kłębi się para. Znów zaczynało go męczyć pragnienie, ale woda ze stawku pozostawiła na jego ustach słonogorzki posmak, bał się ją pić.

Nagle wyczuł za sobą czyjąś obecność i zerwał się na równe nogi. Na szczycie głazu, który jeszcze chwilę wcześniej był pusty, siedziała dziewczyna w łachmanach. Uśmiechała się. Widząc ten uśmiech, żmij poczuł wzbierający gniew. *Jakby patrzyła na ulubione zwierzątko.*

– Co tu robisz?! – wybuchnął. – Pilnujesz mnie, tak?

Wyglądała raczej na zasmuconą niż zniecierpliwioną.

– Tak ci z tym źle? Nie żyłbyś już, gdyby nie ja.

– Bo zapewne macie jakiś interes w tym, żebym żył – warknął. Westchnęła.

– To wszystko jest trochę bardziej skomplikowane, niż myślisz.

Na wpół zeskoczyła, na wpół sfrunęła z głazu, lądując miękko dwa kroki od niego. Zwalczył odruch, żeby dobyć sztyletu. Zamiast tego patrzył.

Z bliska wydała mu się uderzająco niepozorna. Zarówno jej krótko przystrzyżone włosy, jak i skóra miały szary odcień; wyglądały na pokryte warstwą pyłu. Strój, który żmij dotąd brał za łachmany, tak naprawdę składał się z cieniutkich jak pajęczyna płacht.

Niebieskie oczy spokojnie odwzajemniły jego spojrzenie.

– Nazywam się Anyah. Vrish wspomniał ci o mnie.

– Owszem. – Krzyczący zatrzymał wzrok na przypominającym obrozę naszyjniku z ciemnego metalu, który okalał jej szyję. W jego pamięci zjawiała się rycina z grymuaru przedstawiająca identyczny naszyjnik. – Niech zgadnę. Jesteś demonessą. Księżniczką Otchłani.

– Tak. Ale przede wszystkim jestem twoim stróżem. Pilnuję, żebyś

głupio nie zginął ani nie oszalał na skutek daru.

Brune znieruchomiał.

Nieemożliwe. Kłamie, demony zawsze kłamią.

Jakimś sposobem zdołał w końcu wykrztusić:

– Chcesz powiedzieć... że wam służę?

– Oczywiście. Jesteś naszym agentem w materialnym świecie.

Znowu zapadło milczenie. Krzyczący w Ciemności był jak ogłuszony
– kawałki układanki wskoczyły na miejsce.

– Chodź – powiedziała w końcu Anyah.

Wciąż jeszcze oszołomiony, ruszył za nią. Opuścili łączkę i wkroczyli na jęzor piarg. Anyah zatrzymała się obok odłamu skalnego, spod którego wypływał potoczek, kawałek dalej znów niknący wśród kamieni.

– Napij się, jeśli chcesz – powiedziała.

Żmij ukląkł, ale zawahał się. Demonessa znów westchnęła.

– Albo nie pij. Wedle uznania.

Woda była chłodna, jednak nie zimna. Miała przyjemny, lekko słonawy smak.

– Usiądź – poleciła Anyah, kiedy Brune zaspokoił pragnienie. – Muszę się z tobą rozmówić.

– O czym?

– Jestem ci winna parę wyjaśnień.

– Brzmi obiecująco – mruknął. Złapał się na tym, że patrzy na jej boscie stopy, jakby spodziewał się racic, kopytek lub pazurzastych łap. Czym prędzej podniósł wzrok na jej twarz. – Na początek, jeśli wolno, ja ci zadam kilka pytań. Powiadasz, że jestem waszym agentem. Dusze ludzi, którzy zginęli z mojej ręki, trafiają do waszej Doliny?

– Tak.

– Mam rozumieć, że kiedyś w przeszłości podpisałem cyrograf? Zaprzedałem wam duszę?

– Zgadza się.

– Dobrze, a czemu tego nie pamiętam?

– Ponieważ Spalony Władca wymazał ci to wspomnienie w obawie, że albo postradasz zmysły, albo sprawisz nam mnóstwo kłopotów, starając się uwolnić.

– Bo pewnie mój podpis nie został złożony dobrowolnie, co? – Brune zaśmiał się bez wesołości. – Wrobiliście mnie w ten cyrograf, przyznaj

się, demonesso.

– Jest ważny i to się liczy. – Anyah spokojnie odwzajemniła jego spojrzenie. – Nie wierzysz mi? Chcesz dowodów? Pierwszym jest to, co sam wiesz w głębi serca. Drugiego dostarczyły ci niedawno sfery. Pamiętasz miejsce, gdzie spod fal słyszać śpiew? Pod wodami rozciąga się cudowna kraina, baśniowe królestwo, gdzie mieszkają dusze błogosławionych. To jedno z nielicznych ocalałych jeszcze miejsc w zaświatach, dokąd sprawiedliwi odchodzą na wieczny odpoczynek. Słyszałeś ich głosy, prawda?

– Tak.

– I pamiętasz, co było potem? Chcieli cię zniszczyć, bo wiedzą, że należysz do nas.

Żmij z wysiłkiem opanował chaos myśli, które go ogarnęły. Intuicja podpowiadała mu, że jedyne, co może zrobić, to zachować kamienną twarz – niech nie wiedzą, czy uwierzył, a jeśli tak, jak to na niego wpłynęło.

– W porządku, teraz powiedz mi to, co chciałaś powiedzieć.

– Wyruszyłeś w sfery, próbując rozwikłać zagadkę snów, które cię nawiedzały. Władca zezwolił, żebym zaspokoila twoją ciekawość.

– Słucham – mruknął, starając się nie okazać, jak bardzo interesuje go każde słowo.

– Po tym, jak zaprzysiągłeś nam wierność, zostałeś potraktowany potężnymi czarami zapomnienia, które... no cóż, gdy wymazuje się dużą ilość wspomnień, nie sposób uniknąć skutków ubocznych. Niektórzy po czymś takim popadają w szaleństwo już na zawsze. Spalony Władca użył całego swojego kunsztu, żeby nie spotkał cię taki los.

– I z czasem wróciłem do siebie – uzupełnił cierpko Krzyczący. – Mniej lub bardziej.

– Wróciłeś do siebie. Odzyskałeś władze umysłowe i panowanie nad darem, duża część twojej wiedzy przetrwała bez szwanku. Znalazłeś sobie niszę, zacząłeś się rozwijać. Wszystko szło zgodnie z planem. Ale po jakimś czasie zaczęło się dziać coś niedobrego. Twój umysł generował kłamliwe sny, zlepkę tego, co pozostało, przemieszane z fragmentami historii, które w przeszłości czytałeś lub słyszałeś. Choć nie pamiętałeś ich na jawie, te sny tak cię wytrąciły z równowagi, że znów znalazłeś się na pograniczu choroby umysłu. Żeby to przerwać,

musiałam ci przywrócić cząstkę usuniętych wspomnień.

– Flet. – Brune odruchowo dotknął futerału z instrumentem.

– Zgadza się.

– Anyah, zanim stałem się magiem, studiowałem alchemię i muzykę. Byłem flecistą i kompozytorem. Czemu mi to zabraliście?

– Wiesz coś niecoś o reinkarnacjach, prawda?

– Tyle, ile wie każdy mag – odparł wolno Krzyczący. Ogarnęło go niemiłe podejrzenie, że za chwilę dowie się czegoś, co go nie ucieszy. – Duch zmarłego *ka-ira* może się wcielić w nowe ciało, opanowując młodą osobę, w której świeżo obudził się dar. Taka osoba z czasem zaczyna coraz bardziej się upodabniać fizycznie i psychicznie do pierwowzoru. Wykazuje zbliżone uzdolnienia, popełnia w życiu te same błędy i częstokroć ginie podobną śmiercią. Krótko mówiąc, przeznaczenie lubi się powtarzać. Zakładacie, że jestem czyjąś reinkarnacją?

– Zakładaliśmy, że możesz być. Kiedy przyszedłeś do nas po raz pierwszy, Spalony Władca był przekonany, że podążasz ścieżką czyjegoś losu. Usunął ci część wspomnień w nadziei, że zawróci cię z niej. Nie chciał...

– Nie chciał, żebym doszedł nią do takiego końca, jaki spotkał tego kogoś.

– Zgadza się. – Spuściła głowę. – Proszę, nie draż tego. Meandry losu są tak kapryśne, a ty... Teraz jesteś już zbyt silny, żeby przeznaczenie zdołało cię wepchnąć na czyjąś ścieżkę. Jesteś Krzyczącym w Ciemności i podążasz własną drogą.

Brune poczuł chłód, bo tknęło go paskudne podejrzenie.

Czarny mag i muzyk o zeszpeconej twarzy, który zaprzedał duszę demonom i popadł w szaleństwo, mordował kobiety, skończył w Domu Godnego Odejścia... Znam tę opowieść. Jakiś czas temu patrzyłem, jak uliczni artyści odgrywają ją na bulwarze.

A może to kolejny fałszywy trop?...

– Zaoferowaliście mi ponowny wybór między srebrem a czernią – powiedział wolno. – Czy dlatego, że mogę być kolejnym wcieleniem kogoś, kto oszalał na skutek skażonego daru?

– Nie pytaj o takie rzeczy. Już i tak zbyt wiele ci powiedziałam.

– Ale z tym ponownym wyborem to prawda?

– Prawda? Powiem ci prawdę! Przyszedłeś do nas jako skażony

talent, a Spalony Władca uważał, że jako srebrny bardziej się nam przydasz. Otchłani może zmienić barwę maga za jego dobrowolną zgodą. Niektórzy twoi bracia w darze zawierają z nami pakt tylko po to, żebyśmy przemienili ich czerń w srebro.

– Chcesz powiedzieć, że macie agentów wśród srebrnych?! – Krzyczący aż się poderwał. Śmiech demonessy osadził go w miejscu.

– Mamy agentów wszędzie. Co, nie wierzysz mi? Brune, wasz świat składa się z oszustw, masek i fasad. Sam najlepiej powinieneś zdawać sobie z tego sprawę. Wracając do wyboru, o który mnie pytasz: owszem, daliśmy ci go. Wybrałeś czerń. Na dobre czy na złe, widać tak miało być.

– Dobrze. – Zmierzył ją wzrokiem. – Następne pytanie, jeśli łaska: kim był prawdziwy Brune Keare? – W jego pamięci znów zjawiała się wykrzywiona bólem twarz umierającego ciemnowłosego mężczyzny, ugodzonego sztychem rapiera.

– Człowiekiem, którego zabiłeś, powróciwszy z Otchłani na ziemię. – Demonessa zaśmiała się. – Raczej sobie tego nie przypomnisz. To było na wyspie daleko na morzu, gdzie znajduje się portal sięgający w głąb naszego królestwa. Wszedłeś na powierzchnię na wpół przytomny, kontakt z nami tak rozdrażnił w tobie czerń, że przez jakiś czas gorączkowałeś i majaczyłeś jak świeżo obudzony talent. Schwytało cię kilku mieszkających na tej wyspie *ka-ira*, zamknęli cię w lochu swojej siedziby. Wszyscy przypłacili to śmiercią, w tym ten Brune. Nie wiem, czemu akurat jego imię tak ci się spodobało, że używasz go do tej pory.

– A czemu zawarłem z wami pakt?

– Mnie o to pytasz? Zaryzykuję przypuszczenie, że nie chodziło ci o władzę ani bogactwa.

Brune przycisnął dłoń do czoła, bo znowu przypląnęły do niego strzępy wspomnień.

Pochylasz się nade mną z figlarnym uśmiechem, ubrana tylko w złotą poświatę świec...

Daleko na horyzoncie – miasto, nad którym snują się dymy...

Stoisz w żałobnej sukni wśród spalonego krajobrazu. A może to już tylko sen?

– Ja cię kiedyś znałem – powiedział wolno. – Żyłaś wtedy ziemskim życiem, byłaś śmiertelniczką jak ja. Jak się nazywałaś?

Milczała, uśmiechając się zagadkowo.

– Jak? – powtórzył ostrzej. Nabrał budzącej dreszcz pewności, że jeśli tylko pozna jej imię, bariery w jego umyśle pękną i przypomni sobie wszystko. Kim kiedyś był – i kim była ona. I co ich łączyło.

Otworzył usta, lecz imię, które przez sekundę miał na końcu języka, umykało mu. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej jasne się stawało, że sobie nie przypomni.

– Tracisz energię na uganianie się za cieniami – westchnęła demonessa. – Jesteś *ka-ira*, czyn, co ci przystoi. Żyj. Rozwijaj swój talent, zamiast uciekać w opium i litować się nad pokonanymi.

– Abyście mogli dzięki mnie dalej zyskiwać dusze. – Twarz zmija wykrzywił tik.

– Brune, dziwię ci się. Skąd takie skrupuły? Dotąd zabijałeś przeważnie w samoobronie. Przypomnij mi: jak wysoką cenę wyznaczono za twoją głowę tylko dlatego, że posiadasz dar? Czemu miałbyś być cokolwiek winien tym, którzy na ciebie polują? Jaka różnicę ci robi, dokąd trafiają ich dusze? Życzyłbyś im wiecznego spokoju na rajskich łąkach?

– Dobrze wiesz, że nie o to chodzi – warknął. – Wchłaniając dusze, rośniecie w siłę. Szykujecie się, żeby prędzej czy później zaatakować nasz świat.

Przerwał, bo demonessa zaczęła się śmiać.

– Brune, Brune. – Potrząsnęła głową. – To opowieści fanatyków, samozwańczych proroków zagłady. Otchłań nie jest w stanie pochłonąć nawet cząstki waszego świata, tak jak woda nigdy nie zmiesza się z oliwą. Możemy więzić dusze, lecz nie wchłonimy tego, co materialne.

– Tak czy owak, prędzej czy później znajdę sposób, żeby anulować cyrograf. Wiecie o tym.

– Spodziewałam się, że to właśnie powiesz. – Westchnęła. – No cóż, przypomnę ci, że masz wobec mnie dług życia. I to, jeśli idzie o ścisłość, nie pierwszy.

– Odmawiam jego uznania. – Wzruszył ramionami. – Wmanewrowaliście mnie w coś wbrew mojej woli. Prawa magów w takiej sytuacji nie są wiążące.

– Skoro się upierasz, żeby widzieć sprawę w takim świetle. – Wyciągnęła rękę. Trzymała w niej gemmę z podobizną Eresha. – Proszę. Zgubiłeś to w górach.

Krzyczący przygryzł wargę; ukłuli go zraniona duma.

– Zatrzymaj ją na pamiętkę.

– Nie wygłupiaj się. Tobie się bardziej przyda.

– Dziękuję – mruknął niechętnie, chowając gemmę do kieszeni.

– Drobiazg. A wracając do tematu, przez cały czas zapominasz o czymś. W nagrodę za wierną służbę mógłbyś niejedno zyskać.

– Na przykład?

– Mógłbyś dostać z powrotem swoje wspomnienia.

Żmij otworzył usta, ale buntownicza odpowiedź, którą szykował, nie padła. Anyah musiała dostrzec jego zawahanie, bo uśmiechnęła się.

– Przemyśl to.

– Anyah... – Jego oczy błysnęły żółto, paskudnie. – Zawsze mogę zerwać cyrograf w bardzo prosty sposób. Wiesz w jaki.

– Nie możesz. – Jej twarz również nabrała nieładnego wyrazu. – Nie zabijesz się. Przewidzieliśmy taką możliwość. Nie będziesz w stanie tego zrobić.

– Założymy się?

– Żeby popełnić samobójstwo, trzeba przede wszystkim mieć motywację. Musiałbyś pamiętać. A po tym, co mi właśnie powiedziałaś, nie będziesz pamiętał.

Twarcz Krzyczącego skurczyła się w tiku. Przywołał moc, ale Anyah była przygotowana i dlatego szybsza. Skinęła tylko dłonią, uruchamiając splecione wcześniej wokół niego zaklęcia. Czar zapomnienia, czar posłuszeństwa. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Była córką Spalonego Władcy, potrafiła dużo i nawet wyćwiczona wola maga nie stanowiła dla niej przeszkody. W każdym razie – nie tego maga.

Żmij zachwiał się i usiadł z powrotem na kamieniu. Przygarbił się. Demonessa na wszelki wypadek odczekała chwilę, potem podeszła i uklękła, żeby spojrzeć mu w oczy. Po ich sennym, odległym wyrazie poznała, że zaklęcia zaczęły działać. Musnęła dłonią blizny na jego policzku.

– Podążaj swoją drogą. Szukaj odpowiedzi, jeśli pragniesz. To bez znaczenia.

Bez znaczenia, bo gdziekolwiek idziesz, przeznaczenie wiąże cię z nami.

Brune potrząsnął głową, bezskutecznie próbując się skupić – jego myśli rwały się jak po dużej dawce opium. Wiedział, że nie wolno mu zapomnieć... lecz nie pamiętał już o czym.

Zapach jej perfum... Brzoskwinie, pomarańcze, lilie wodne.

Jej szept.

– Żegnaj, flecisto.

Odpływał... czy spadał?

Kobieta w szarych szatach... Wirujące płatki śniegu...

Otworzył oczy i zadrżał – w izbie było zimno. Przetarł twarz, upewniając się, że nie śni.

Leżał na swoim sienniku i otaczała go znajoma rzeczywistość enklawy. Zapach kurzu i drewna, sterta ksiąg pod ścianą, ogólny nieład nieurządzonej jeszcze pracowni.

Krzyczący potrząsnął głową, zdezorientowany i zirytowany. Przeszłość nie chciała się złożyć w logiczną całość. Wyprawa w sfery... a potem? Dziwny sen, z którego pamiętał już tylko urywki.

Wyciągnął rękę. Futerał z fletem leżał u wezgłowia.

Brune nałożył kurtkę, buty i wyszedł na ganek. Wciągnął głęboko chłodne powietrze enklawy, czystsze niż w materialnym świecie. Gwiazdy mrugały ponad granią gór.

Patrząc w nocne niebo, nagle poczuł dreszcz. Tak, jak to czasem bywa, olśnienie spłynęło na niego znikąd. Przypomniał sobie.

Deuven de Ragues z Alkary.

Już tylko puste imię. Tylko popiół.

* * *

Enklawa płonie.

Dym spowija ogród. Willę pochłaniają płomienie, jej dach zapada się, sypiąc iskrami. Na ziemi – ciała Marshii, Lorraine, Bissa, Zazela.

Po twarzy spływa mi krew. Usiłuję wstać, lecz ręce i nogi odmawiają posłuszeństwa.

Wokół materializują się sylwetki w białych szatach, w srebrnych maskach. Na szyi każdej z nich błyszczy łańcuch z pentagramem.

Oczyścimy cię, parszywa owco!

Jeden z przybyszy wysuwa się do przodu, trzymając butlę z ciemnego szkła. Wiem, co znajduje się w środku. Stężony witriol, który zwęglą odzież i ciało.

Oczyścimy cię, słyszę jego głos.

Wylewa na mnie zawartość butli...

Anavri zbudziła się, ciężko oddychając. Odrzuciła przykrycie, bo miała wrażenie, że zaraz się udusi.

W enklawie trwała noc. Za oknami willi grały cykady.

Dziewczyna zmusiła się, żeby kontrolować oddech i odprężyć się, tak jak uczyła ją Marshia. Uspokajała się powoli, ale ciężko było przegnać upiorne wspomnienie bólu, który we śnie zdawał się tak rzeczywisty, że czuła go jeszcze przez chwilę po przebudzeniu. W końcu wstała, narzuciła na ramiona szal i bosy wyszła na korytarz.

W sypialni jej kuzynki paliła się świeczka. Lorraine czytała księgę, pogryzając lukrowane piernikowe serduszka.

– O, ty też nie śpisz? – zdziwiła się na widok kuzynki.

– Miałam zły sen. – Anavri zawahała się. – Mogę u ciebie posiedzieć?

– Chodź pod kołdrę, bo zmarzniesz. Chcesz piernika?

– Skąd masz ciastka?

– Od umarłych. Żartuję, kucharka mi dała! No, co tak patrzysz? – Lorraine roześmiała się, widząc minę kuzynki.

Obie podskoczyły, kiedy uchylone drzwi otwarły się szerzej, skrzypiąc. Do pokoju wsunął się Zazel. Anavri pogroziła mu palcem.

– A ty co, stworze? Wchodzisz do sypialni damy bez pukania?

– Wchodzę, bo słyszę, że panienki siedzą i plotkują zamiast spać.

– Na. – Lorraine wskazała chowańcowi talerz z pierniczkami. – Zjedz ciasteczko i nie marudź.

Zazel nie dał sobie dwa razy powtarzać. Wskoczył na łóżko i po chwili rozległo się pełne zadowolenia mlaskanie.

Anavri zapatrzyła się na płomyk świecy. Myślała o tym, co zimno i zdecydowanie powtarzała jej Marshia. *Jesteś żmijką, nie medium jak Lorraine – przewidywać nadchodzące zdarzenia będziesz mogła dopiero po długim szkoleniu, jeśli w ogóle.* Koszmary nie są obrazem przyszłości, lecz stanowią odbicie jej własnych lęków. I że mag nie może dać się złapać w pułapkę przesądnego strachu. Lecz

wspomnienie snu nie chciało jej opuścić.

Popatrzyła na księgę, którą jej kuzynka odłożyła na stolik. Traktat o astrologii. Otwarty był akurat na stronie z ryciną przedstawiającą Tanathe w otoczeniu łopoczących białych gołębi, na tle konstelacji Węża i Tancerki. Anavri zadrżała, tknięta już nie przecuciem, lecz chłodną pewnością.

Gdzieś tam w gwiazdach zapisana jest nasza śmierć.

* * *

Za oknami willi grały cykady.

Marshia Lavallo, podobnie jak Lorraine, miała w zwyczaju czytać przed snem. Bez światła; nie potrzebowała go wszak.

Biss zwinął się w nogach jej łóżka, kładąc łeb na mackach, i pochrapywał miarowo. Z ogrodu płynął zapach bzów, wiatr poruszał firanką.

Na poduszce Marshii leżał grymuar w oprawie z zielonkawego safianu. Zmijka po raz kolejny w zamyśleniu patrzyła na zdania, które dziesiątki lat wcześniej napisał Argil d'Engle zwany Sokołem – czarny mag, który przeżył Skazenie i oparł się szaleństwu, po to, żeby później i tak zginąć z rąk srebra, jak tyłu innych.

Dawno temu światem rządziło dziewięcioro bogów. Gdy w końcu trudy istnienia i gorycz nieśmiertelności przytłoczyły ich, odeszli, w pożegnalnym darze zostawiając ludziom magię. Lecz ich moc była zbyt wielka, aby mogli zniknąć z materialnego wymiaru ot tak, bez śladu. Odchodząc, pozostawili po sobie echo – czarodziejską wibrację, która co jakiś czas odzywa się w żarnach Czasu i Losu. Wśród śmiertelników wciąż na nowo pojawiają się jednostki obdarzone błogosławieństwem któregoś z bóstw.

Marshia przewróciła kartę z ryciną, na której widniał Eresh, Władca Much, o obliczu w połowie pięknym, w połowie sinym i martwym, dzierzący retortę wypełnioną szczątkami zwłok. W rogach ilustracji przedstawiono stylizowane pęki tojadu i mandragory.

Na kolejnych stronach widniały portrety wraz z krótkimi życiorysami. Szereg wybitnych przedstawicieli czarnej szkoły z czasów, gdy czerni jeszcze nie równała się skazie.

Nerhael z Shiath, pogromca demona zwanego Królem Zgnilizny.

Thervo d'Engle, autor słynnego dzieła „O transmutacji”.

Sophea z Manh, wielka egzorcystka. Okaleczona w dzieciństwie, przez całe życie ukrywała twarz pod woalem i tak też przedstawiono ją na rycinie.

Arauke z Gór Pajęczych, sławna uzdrowicielka, która uleczyła śmiertelnie chorego króla Alkary i ocaliła od zarazy jego kraj.

Nieszczęsny Adrien de Vere, siostrzeniec Arauke, przedstawiony w masce i z fletem. Genialny muzyk i jeden z najzdolniejszych magów w swoim pokoleniu, który mimo to skończył podłą, bolesną śmiercią w Domu Godnego Odejścia. Zachowały się o nim sprzeczne relacje – jedni twierdzili, że zaprzedał duszę Otchłani, inni, że oszalał w następstwie Skażenia.

Łączyły ich te same cechy. Zamiłowanie do alchemii. Biegłość w posługiwaniu się ziołami i truciznami, w sporządzaniu leków. W czasach przed Skażeniem – także zdolność uzdrawiania. Siła woli, umiejętność przepędzania demonów.

Wreszcie – znak na twarzy. Jakaś forma oszpececia, mniej lub bardziej rzucającego się w oczy. Blizny, biała plama lub znamię. Bóstwo czasem naznacza przy urodzeniu, czasem dopiero później, rękami losu.

Marshia Lavallo zamknęła grymuar. Przed oczami stanęła jej szczupła, nieco przygarbiona postać w czarnym odzieniu. Przekreślona szramami twarz o rozjarzonych źrenicach.

Ci, którzy cieszą się łaską bóstwa, nie giną łatwo. Ciekawe, dokąd wieszcie twoja droga, młodszy bracie. Jak się zapiszesz w kronikach. Bo że się zapiszesz, to oczywiste.

I – z ponurą pewnością kogoś, kto długo studiował ścieżki przeznaczenia – pomyślała, że zna odpowiedź.

* * *

Nad gościńcem gęstnieje mgła. Dorzucam do ognia. Iskry ulatują w ciemniejące niebo.

Po raz kolejny oglądam mapę Siedmiu Krain i mapę nieba, sprawdzam tablice astronomiczne i poczynione wyliczenia. Za kilka godzin, gdy układ gwiazd stanie się sprzyjający, wybieram się na północny wschód, do Alkary. Może znajdę tam odpowiedzi na moje

pytania, a może odpowiedzi znajdą mnie.

Tyle pytań. Spalona przeszłość, której być może nie zdołam odzyskać, ale zamierzam przynajmniej podjąć próbę.

Deuven de Ragues, jeśli wierzyć jedynej księdze, w której znalazłem wzmiankę o nim, zmarł ponad czterdzieści lat temu. Ale jakimś sposobem wiem, że Deuven de Ragues – to ja.

Z wcześniejszego życia pamiętam oderwane obrazy... a potem nic, aż do czasu, gdy ocknąłem się w podziemiach Shan Vaola. Lecz kilkadziesiąt lat temu byłem alchemikiem i kompozytorem. Miałem twarz bez blizn oraz siostrę o jasnych włosach. Chcę wiedzieć więcej.

Iskry ulatują w niebo. Nie będę pytać umarłych, co jest zapisane w gwiazdach. Ilekroć rozkładam dziś karty, przepowiadają mi niebezpieczeństwo. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Text copyright © by Agnieszka Hałas 2013, 2017
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor tego wydania: Agnieszka Horzowska

Projekt serii oraz ilustracja na okładce: Paweł Stepanow
Opracowanie graficzne okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Pośród cieni*, wyd. II, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-873-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**